



Philip Shelby

OAZA MARZENÍ



ALFA

Shelby Philip

Oaza marzeń

Rok 1965. W tajemniczych okolicznościach, w wypadku samochodowym ginie zamożny, międzynarodowy bankier Alexander Maser. Jego jedyna córka Kate - idealistka, absolwentka prawa uczelni w Berkeley - wyrusza z Kalifornii na pogrzeb do Nowego Jorku.

Ku ogromnemu zaskoczeniu Kate okazuje się, że bank ojca stoi na krawędzi bankructwa, a ona sama została wplątana w groźny skandal finansowy. Gdy atmosfera wokół rozgrzewa się do czerwoności, dziewczyna wyjeżdża nielegalnie do Libanu - kraju swych przodków i ziemi ojczystej Armanda Fremonta - przyjaciela rodziny, niezwykle bogatego i uderzająco przystojnego właściciela kasyna w Bejrucie. Tutaj Kate zanurza się w kuszący, egzotyczny świat rozkoszy i zdrady, przepychu i gwałtu. Kate usiłuje rozwiązać zagadkę śmierci ojca i odkrywa, jak trudno jest odróżnić sprzymierzeńców od wrogów i jak mroczne okazują się pewne tajemnice, tak mroczne, iż nawet miłość nie może ich przełamać.

1

Szwajcaria, 1965

Armand Fremont siedział po ciemku w mniejszym z dwóch pokoi komisariatu policji w St. Gallen. Ostry kwietniowy wiatr dął od okolicznych gór i pędził po ulicach małego miasteczka położonego trzydzieści kilometrów na północ od Genewy. Za każdym razem, kiedy podmuch wciskał się w pęknięcia w murach, grzechotała metalowa krata grzejnika stojącego obok biurka.

Był to jedyny dźwięk w pomieszczeniu oświetlonym tylko przez grzejnik. Blask pomarańczowych spiral podkreślał arystokratyczne rysy Armanda, tuszował głębokie bruzdy na opalonej twarzy, ale nie mógł złagodzić goszczącego na niej wyrazu. Zawzięta, niemal okrutna mina świadczyła, że mężczyzna niecierpliwie czeka na wyjaśnienia, jest wściekły nie mogąc zmienić biegu wydarzeń, które go tutaj sprowadziły, a zarazem przerażony, że oszukał śmierć tylko na kilka godzin lub dni.

Wiedział, co się stało. Może nawet wiedział jak. Nie wiedział jednak dlaczego. I nie satysfakcjonowały go wyjaśnienia policjantów, choć szczegółowe i udzielane gorliwie.

„Zrządzenie losu, monsieur. Samochód jechał z nadmierną szybkością. O tej porze roku makadam jest zdradliwy, sam pan rozumie. Zaraz po zachodzie słońca woda ze śniegu topniejącego w ciągu dnia zamarza. Powstaje cieniutka warstewka lodu, ale to wystarczy. I oczywiście nie należy zapominać o traktorze. Wskoczył na szosę nie wiadomo skąd. Farmer był nieostrożny, wręcz lekkomyślny. Surowo go ukażemy. Może gdyby nie on, monsieur Maser odzyskałby panowanie nad samochodem, wychodząc z zakrętu. A tak...”

Armand zaprotestował. To prawda, przyznał, że samochód jechał szybko, że szosa była oblodzona, że niespodziewanie wyjechał na nią ciągnik. Lecz Alexander Maser był doświadczonym kierowcą. Doskonałą formą fizyczną i świetny refleks powinny w zupełności wystarczyć

w takiej sytuacji. Poza tym brak śladów poślizgu dowodzi, że Alexander nie stracił panowania nad kierownicą.

Policjanci byli głusi na argumenty. Uprzejmi i protekcyjnalni, kiwali głowami, wzruszali ramionami i twierdzili, że nie ma potrzeby wszczynać śledztwa. Gdy mimo wszystko Fremont się upierał, nie próbowali nawet ukryć niechęci i irytacji. Za plecami nazwali go kłopotliwym gburem.

Nie poddał się i oświadczył, że chce zobaczyć raporty i wrak. Zamierzał się dowiedzieć, jak doszło do wypadku.

Tymczasem czekał w półmroku. Najpierw zobaczył zarys kobiecej sylwetki na tle matowych szklanych drzwi, a potem usłyszał nieśmiałe pukanie.

— Monsieur Fremont? — Rozległ się trzask przełącznika. Zapłonęło górne światło.

— O, więc jest pan tutaj.

Nie odpowiedział. Policjantka weszła do pokoju. Nagle poczuła się niepewnie.

Może to z powodu całkowitego bezruchu mężczyzny albo wyrazu napięcia na jego twarzy, który ją zmroził... albo jeszcze czegoś innego, czego nie potrafiła określić. Ciemne oczy wpatrywały się w jakiś odległy punkt ukryty w cieniu za jej plecami. Emilie Weinmeister miała starannie odprasowany mundur i włosy ściągnięte w ciasny kok. Była rozsądną kobietą bez skłonności do fantazjowania, ale nie mogła otrząsnąć się z dziwnego wrażenia, jakie wywarł na niej ten zamyślony mężczyzna. Odchrząknęła.

— Czekają na pana, monsieur.

Armand wstał, zapiął alpakowy płaszcz, włożył rękawiczki, wziął teczkę i ruszył za policjantką. Zaprowadziła go do ogromnej szopy po drugiej stronie ulicy. Pod ścianami stały jasnopomarańczowe pługi śnieżne i dmuchawy. Betonowa podłoga pomalowana na biało była nieskazitelnie czysta. Stojące pośrodku czerwone ferrari wyglądało jak egzotyczny kwiat. Armand wolno obszedł samochód, wzdrygając się na widok roztrzaskanej przedniej szyby, zakrwawionych odłamków szkła, straszliwie poskręcane metalu, pogiętych zderzaków i skrzywionego podwozia. Wydawało się nieprawdopodobne, że Alexander przeżył kolizję.

Od grupki stojącej obok małego stolika odłączył się mężczyzna i podszedł szybkim krokiem do Armanda. Przedstawił się jako starszy inspektor i podał Fremontowi starannie przepisany na maszynie raport w języku francuskim.

— Jeśli potrzebuje pan tłumaczenia... Armand szorstkim ruchem wziął raport.

— To nie jest konieczne — powiedział i znowu zaczął obchodzić samochód, czytając jednocześnie raport. Nie znalazł w nim niczego zaskakującego. Policyjni eksperci, którzy badali wrak, nie stwierdzili żadnych usterek technicznych. Śledztwo przeprowadzone na miejscu wypadku i przesłuchanie traktorzysty nie wniosły nic nowego. Dlatego też anonimowy oficer napisał, że istnieje tylko jedno oczywiste wytłumaczenie: błąd kierowcy. Armand odłożył raport na stolik i podziękował za pomoc. — A teraz — oświadczył — jeśli nie macie panowie nic przeciwko temu, chciałbym sam zbadać samochód.

Zdjął płaszcz i położył obok raportu.

Zirytowany inspektor ze złością zrobił krok do przodu, ale powstrzymał go starszy kolega. „Niech ten głupiec traci czas”, można było odczytać z wyrazu jego twarzy. „Wiesz, że niczego nie znajdzie”.

Starszy oficer nie wspomniał o informacji, którą otrzymał od Szwajcarskiej Policji Federalnej z Berna. Armand Fremont miał rozległe stosunki. Prokurator generalny, który podpisał teleks, żądał wprost, żeby Fremontowi, libańskiemu multimilionerowi i właścicielowi legendarnego bejruckiego Casino de Paradis, okazać uprzejmość i udzielić wszelkiej pomocy.

— Życzy pan sobie czegoś, monsieur? — zapytał przymilnie starszy oficer.

— Nie, dziękuję.

— Oficer Weinmeister zajmie się panem — powiedział policjant, zerkając na kobietę.

Oboje spojrzeli na Fremonta i uświadomili sobie, że wcale nie słucha.

Według zegarka zbliżał się świt, ale ciemność nie ustępowała. Fräulein Weinmeister siedziała przy stoliku, a u jej stóp stał elektryczny czajnik z kawą. Od czterech godzin obserwowała, jak Armand Fremont w kombinezonie mechanika włożonym na garnitur szyty na zamówienie bada wrak z troską lekarza zajmującego się rannym. Tyle że tutaj niczego nie było do naprawienia. Ani, jeśli dobrze się orientowała, do odkrycia.

Mężczyzna jednak drobiazgowo przeszukał cały samochód, zaczynając od komory silnika z tyłu i posuwając się do przodu kolejno wzdłuż obu boków. Wiele czasu przeleżał na plecach pod podwoziem, trzymając w ustach małą latarkę, by mieć wolne obie ręce. W jednej ścisnął zatłuszczoną szmatę. Jeszcze więcej czasu poświęcił kolumnie kierownicy. Starannie zbadał pedały, drążki, kable. Teraz znajdował

się z przodu samochodu, koncentrując uwagę na hamulcach i zawieszaniu. Emilie Weinmeister poprawiła się na niewygodnym metalowym krześle. Ten Armand Fremont wyglądał na człowieka o charakterze równie niezwykłym, jak jego wygląd. To nie szerokie bary ani grzywa srebrnych włosów zrobiły na niej wrażenie, lecz wytrwałość i upór. Kto ma takiego przyjaciela, pomyślała, jest szczęściarzem. Armand oświetlił latarką lewe koło i przetarł oś czystym skrawkiem szmaty. Pręt był doskonale gładki w dotyku, podobnie jak w jego własnym ferrari. Nadal leżąc na plecach Fremont przesunął się w stronę prawego koła.

Może szwajcarska policja miała rację. Może to był wypadek. Zdarzało się, że zdradliwe światło poranka zwodziło nawet zawodowych kierowców. Widział kiedyś coś podobnego podczas dwudziestoczwierogodzinnego wyścigu w Le Mans. To samo mogło się przytrafić Alexandra wi...

Ale tak się nie stało.

Armand wziął głęboki oddech i znieruchomiał. Zamknął oczy i przesunął opuszkami palców po drążku kierowniczym. Już wiedział, co się wydarzyło. Krew zaczęła krążyć w nim żywiej, ale jednocześnie poczuł zimny dreszcz.

Leżał pod samochodem, dopóki nie upewnił się, że potrafi nad sobą zapanować.

Wysunął się spod podwozia.

— Skończył pan?

— Tak.

Fräulein miała ochotę zapytać, czy coś znalazł. Oczywiście, że nie znalazł. Jego twarz zachowała kamienny wyraz. Jeśli coś odkrył, będzie musiał powiedzieć o tym jej zwierzchnikom. Takie są przepisy. Nie potrafiła jednak stwierdzić, jaki stosunek do przepisów ma Armand Fremont.

— Chcę, żeby przesłano samochód pod adres pana Masera w Paryżu. Pomoże mi pani z papierkową robotą?

Oczywiście. Zwierzchnicy jasno dali do zrozumienia, że śledztwo jest zakończone, a poza tym samochód, nawet wrak, stanowił prywatną własność.

Armand obserwował, jak panna Weinmeister zaczyna wypełniać formularz, marszcząc brwi. Mogło być gorzej. Na szczęście nie zadawała pytań. Musiałby kłamać, ponieważ nie potrafiłby wyjaśnić uczynnej pani oficer, że to nic był wypadek, lecz próba morderstwa.

Chirurg nie zdjął nawet fartucha poplamionego krwią. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko, siadając za biurkiem.

Armand czuł zapach środków dezynfekujących i alkoholu, słyszał ciche dzwonki wzywające pielęgniarki, które biegały w pośpiechu, stukając obcasami po podłodze wyłożonej płytkami.

— Bardzo mi przykro — odezwał się chirurg w końcu. — Niewiele mogliśmy zrobić. Odniósł rozległe obrażenia. Uraz był zbyt duży. Mogę panu tylko obiecać, że pan Maser nie będzie cierpieł.

Armand stał bez ruchu.

— Jak długo jeszcze?

Chirurg pokręcił głową i strząsnął popiół.

— Szczerze mówiąc, jestem zdumiony, że wciąż żyje. Nie poddaje się.

— Może mówić?

— Wątpię, czy odzyska przytomność. *On umrze. Naprawdę umrze.*

— Proszę mnie do niego zaprowadzić — powiedział nagłaco. Poszedł za lekarzem do pokoju Alexandra i zamknął za sobą drzwi.

Kiedy dotarł do szpitala, miał jeszcze nadzieję. Słowa chirurga i to, czego się dowiedział podczas długiej nocy w St. Gallen, pozbawiły go siły i pewności siebie.

Widok kruchego połamanego ciała leżącego na łóżku wstrząsnął nim do głębi.

Alexander, zawsze mający dla innych uśmiech i dobre słowo, był cały obandażowany, podłączony rurkami do aparatury podtrzymującej życie. Armand dotknął jego zimnych palców.

Dlaczego chciałeś mnie zobaczyć? Co takiego ważnego miałeś mi do powiedzenia, że nie mogłeś przekazać tego przez telefon...?

Przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę, ton głosu Alexandra, natarczywość i straszliwy smutek, jakby Maser poniósł niepowetowaną stratę... Nalegał, by Armand natychmiast przyjechał do Genewy, i odmówił wyjawienia przez telefon jakichkolwiek szczegółów.

Dlaczego? Czy ktoś mu zagrażał? Wiedział, kto?

Armand ścisnął dłoń przyjaciela.

Odezwij się, Alex! Jestem tutaj. Nie po to przyjechałem z tak daleka, żeby teraz się poddać. Muszę wiedzieć. Musisz się odezwać...

Poczuł delikatne dotknięcie i drgnawszy odwrócił się gwałtownie.

— Nic żyje — powiedział chirurg, zamykając powieki zmarłego.

— Proszę nas zostawić — poprosił Armand ochryple.

Lekarz zawahał się. Uważał, że gdy nadchodzi śmierć, żywi powinni pokornie się wycofać. Na twarzy Armanda Lrcmonla malował się

jednak gniew, a nie smutek. Może, pomyślał chirurg, nawet śmierć nie jest w stanie położyć kresu pewnym sprawom.

Maaser-el-Chouf był starożytnym rodem. W górach otaczających jego ziemie rosły największe lasy cedrowe w Libanie. Mówiono, że lasy te dostarczyły budulca na świątynię Salomona. Tyryjscy drwale wycinali drzewa po wschodniej stronie zboczy i toczyli pnie w dół, spławiając je rzeką Litani do morza kilka mil na północ od Tyru, który stanowił początek długiej podróży do Jerozolimy.

Rodzina Fremontów miała letni dom nad Litani i chociaż mieszkała w kraju zaledwie od kilkuset lat, zaprzyjaźniła się z sąsiadami, rodem Maaser-el-Chouf, których sześćdziesięciopokojowy pałac nazywano Mouchtara, „Miejsce Wybrane”. Dwie rodziny zbliżyły się jeszcze bardziej po narodzinach synów, co nastąpiło w odstępie trzech lat.

Armand Fremont i Alexander Maaser-el-Chouf spędzali dzieciństwo i okres dojrzewania nad brzegami Litani, w lasach i na terenie Mouchtary, pełnym posagów lwów, różanych ogrodów i królewskich cyprysów. Bliżsi sobie niż bracia, złączyli się więzią, która miała przetrwać całe życie. Armand, choć młodszy, był przywódcą. Urodzony w Bejrucie, podróżował wiele z rodziną i wydawał się Alexandrowi bardzo światowy. Jego opowieści o życiu w Bejrucie i wielkich europejskich miastach dawały Alexandrowi pojęcie o tym, co znajduje się poza senną i bezpieczną Mouchtarą, i w końcu skłoniły go do opuszczenia domu rodzinnego i porzucenia tradycyjnych zajęć. Członkowie rodu Maaser-el-Chouf byli arystokratami, posiadaczami ziemskimi, nie znającymi się na polityce. Handlowcy, finansisci, przedsiębiorcy, z roku na rok zyskiwali coraz większą władzę w Libanie. Wiadomo było, że Armand któregoś dnia przejmie kasyno, które założył jego dziadek, natomiast przyszłość Alexandra nie rysowała się tak jasno. Po długich dyskusjach i sporach ojciec oraz wujowie pozwolili mu towarzyszyć Armandowi do Paryża na studia uniwersyteckie. Alexander miał dwadzieścia jeden lat, a Armand osiemnaście, kiedy wyruszyli do Francji.

Więcej czasu spędzali w kawiarniach niż na wykładach i zyskali sobie szeroki krąg przyjaciół. W „La Coupole”, „Deux Magots”, „Le Dome” i „Le Floré” zbierali się filozofowie, artyści i politolodzy. Armand i Alexander brali udział w ich dyskusjach, których tematem często bywały przyczyny recesji gospodarczej ogarniającej świata i sposoby wyjścia z niej. To były gorące czasy.

Armand i Alexander sami również rozmawiali o przyszłości kraju rządzonego przez Francję na mocy mandatu Ligi Narodów. Obaj zgadzali się, że taka sytuacja nie może trwać wiecznie i że mandat wkrótce wygaśnie.

Bardzo pragnęli niepodległości, a jednocześnie lękali się jej, gdyż niepokoje społeczne i napięcia polityczne zagrażały stabilizacji. Największe, według nich, niebezpieczeństwo groziło ze strony politycznych i finansowych kół w Bejrucie. Obawiali się, że chciwość i korupcja doprowadzą do upadku kraju, podobnie jak to się stało z imperium otomańskim. Ślubowali występować przeciwko destrukcyjnym siłom. Ale jak mogli stworzyć dla nich przeciwwagę?

Znaleźli odpowiedź: dzięki pieniądзом. Armand doszedł do wniosku, że Stany Zjednoczone, szybciej dźwigające się z ekonomicznego upadku niż kraje europejskie, staną się następnym siedliskiem władzy, a dolary światową walutą. Przekonany do tej opinii Alexander zdecydował o swoim dalszym życiu.

Po roku studiów zostawił Armanda w Paryżu, wrócił do Mouchtary i przekonał rodzinę, by pozwoliła mu kupić złoto za resztki twardej waluty. Przetransferował je do Stanów Zjednoczonych, zmienił nazwisko na Alexander Maser i otworzył skromny bank. Podczas gdy konkurenci bankrutowali, on odnosił sukcesy w ostatnich latach recesji, ponieważ odwrócił się od spekulantów i zawarł sojusze z solidnymi przedsiębiorcami i ludźmi z rządu. Zanim Europa pogrążyła się w wojnie, Maritime Continental Bank Alexandra kwitł, a jego aktywa, zarówno w papierach wartościowych, jak i nieruchomościach, były warte dziesiątki milionów dolarów. Zbudował wielki dom i ożenił się z piękną Amerykanką ze znakomitej nowoangielskiej rodziny. W lecie 1941 roku urodziła im się córka, której dali imię Katherine.

Armand przyjrzał się martwej twarzy przyjaciela. Odległość i czas rozdzielały ich wiele razy, ale nigdy nie zdradzili ślubów, które złożyli w Paryżu. Podczas gdy Armand został w Bejrucie, zdobywając tam znaczącą pozycję, Alexander działał w cieniu. W ciągu lat poszerzył kontakty w świecie bankowym. Zgodnie z obawami, gdy wygasł mandat, władzę przejęli chciwi i nienasytzeni *zuama*.

Instytucja *zuama* stanowiła twój charakterystyczny dla Bliskiego Wschodu, a zwłaszcza dla Libanu. Byli to przywódcy polityczni, których władza opierała się na idei wierności i poczucia obowiązku wobec zwierzchnika. Ta średnowieczna koncepcja przetrwała i rozkwitła

w Libanie, gdzie między *zaim*, panem, a resztą społeczności, której członkowie byli właściwie jego poddanyymi, istniały feudalne więzy.

Zaimem zostawał najstarszy syn *zaima*, członek rodziny, która się wzbogaciła, albo ktoś, kto odniósł sukces w interesach i zdobył sobie rozległe wpływy. Władza *zaima* opierała się zarówno na jego osobowości i charyzmie, jak i zdolności dbania o interesy podległych mu ludzi, powiększania ich fortun i pomocy w razie potrzeby. Alexander dostarczał Armandowi informacji służących utrzymaniu członków *zuama* w szachu. Udzielał kredytów ich politycznym przeciwnikom, ludziom, którzy nie dawali się przekupić ani zastraszyć. Dbał o to, by nigdy nie dało się wykryć źródła pieniędzy przeznaczonych na ich wspólną sprawę. Później, kiedy ich działalność stała się bardziej skomplikowana i wymagała jeszcze większej ostrożności, Armand i Alexander utworzyli Interarmco, prywatną agencję bezpieczeństwa, która zbierała dla nich informacje — i w razie potrzeby wkraczała do akcji — na Bliskim Wschodzie.

Armand przesunął dłonią po twarzy przyjaciela. Omal się nie rozpląkał. Pięćdziesiąt jeden, zaledwie pięćdziesiąt jeden lat. Alexander dobrze je wykorzystał, walcząc skutecznie z *zuama*. Byli jak słonie rozwścieczone przez osę, nie mieli pojęcia, kiedy i gdzie użądli. Wiedzieli tylko, że ich to czeka.

— Gdyby *zuama* wiedzieli, że ty byłeś tą osą — szepnął Armand do martwego Alexa — tańczyliby na ulicach Libanu. Ale ja będę kontynuował to, co zaczęliśmy. Obiecuję ci, więc spoczywaj w spokoju, stary przyjacielu...

David Cabot szedł przez szpitalny korytarz. Zatrzymał się i rozprostował zeszywniałe mięśnie. Długo czekał na wiadomość o stanie Alexandra. Zobaczył, że z sali wychodzi chirurg z ponurą twarzą, ale nie podszedł do niego. Powstrzymała go nie tyle typowa dla Anglika powściągliwość, ile ostrożność, której nauczył się podczas lat kierowania Interarmco, gdzie sam wykonywał najniebezpieczniejszą robotę. Był lojalny wobec Armanda Fremonta. Dwukrotnie uratował życie swojego mentora. Na pamiątkę zostały mu blizny po kulach.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i stanął w nich Armand. Korytarz nagle wydał się ciasny i duszny. David zrozumiał, że Alexander nie żyje.

Podszedł do Armanda i w geście współczucia położył mu rękę na plecach. Różnica wieku między nimi wynosiła piętnaście lat, ale **obcy** brali ich za ojca i syna. I w pewnym sensie sami się za takich uważali.

— Odszedł — stwierdził David.

Armand skinął ze smutkiem głową i zaprowadził Davida do wnęki, w której mogli spokojnie porozmawiać. Wyjął z kieszeni płaszcza dwa krótkie pręty, przyłożył do siebie końcami i podał Davidowi.

— To prawy drążek kierownicy z ferrari — oznajmił głucho. — Z początku myślałem, że pękł pod wpływem uderzenia. Potem znalazłem to.

David pochylił się i z bliska przyjrzał prętowi. Przesunął po nim palcami.

— Jest wyżłobiony, jakby...

— Ktoś go nadpiłował — dokończył Armand spokojnie. — Wibracje dokonały reszty.

Wsunął kawałki z powrotem do kieszeni.

— Ktoś go zamordował?

Milczenie Armanda było wystarczającą odpowiedzią.

— Nie pozwól, by szwajcarska policja zaczęła coś podejrzewać — powiedział David. — Przejmie wtedy śledztwo i w rezultacie niczego się nie dowiemy.

Armand chwycił Davida za ramiona.

— Chcę wiedzieć, kto to zrobił!

— To, czego możemy się dowiedzieć na podstawie tego pręta, nie wystarczy.

— Musisz się postarać!

— Ten, kto majstrował przy samochodzie Alexandra, jest zawodowcem. Dokładnie wiedział, co robi. Amator posłużyłby się bombą lub pistoletem. Ten wykonał robotę i zadbał o to, żeby wszystko wyglądało na wypadek i żeby wydarzył się on daleko od Paryża. Nie zostawił żadnych śladów.

— Nie może być wielu takich zawodowców — stwierdził Armand.

— Istotnie — zgodził się David. — I nie są tani. Poza tym nie ogłaszają się. Trzeba wiedzieć, jak i gdzie ich szukać, co powiedzieć, kiedy już się ich znajdzie, a także ile zapłacić.

— Sugerujesz, że wynajęto kogoś, żeby zabił Alexa!

— Alex był bankierem. Nie miał okazji, by zetknąć się z tego rodzaju ludźmi, a tym bardziej tak im się narazić, żeby nastawiali na jego życie. Nic, to płatne morderstwo.

— A kto był zleceniodawcą? — zapytał Armand gwałtownie.

— Ty powinieneś się domyślić — odparł David. — Czy Alex powiedział ci coś przed śmiercią? Choć jedno słowo, nazwisko?

Nie odzyskał przytomności...

— Pomyśl! — naciskał David. — Alex dzwonił z Paryża, nalegając, żebyś się z nim spotkał w Genewie. Nie podał ci powodu. Powiedział coś jeszcze?

Armand zamknął oczy i przypomniał sobie krótką rozmowę. Nadal słyszał gniew i nutę strachu w głosie Alexa. *Dlaczego? Dlaczego nie zwróciłem na to uwagi?*

— Spróbujmy z innej strony — zaproponował David. — Czy Alex miał jakieś kłopoty finansowe, polityczne, sercowe? Był szantażowany?

— Nie mów bzdur!

— Wszystko jest możliwe, Armandzie! — odparował David. — Nie zabija się nikogo w taki sposób z powodu drobnej sprzeczki. Ktoś chciał wyrównać rachunki albo musiał usunąć Alexa, ponieważ stał się zagrożeniem...

— Zagrożeniem?

— Wiem, że to nie wytrzymuje krytyki, ponieważ, o ile obaj się orientujemy, Alex nie miał wrogów w kręgach finansjery...

— Ale mógł ich mieć gdzie indziej — uciął Armand. Minęła chwila, zanim David zrozumiał.

— Myślisz, że to ma coś wspólnego z Bejrutem?

— Może — powiedział Armand z namysłem. — To by pasowało. Pomyśl, Davidzie.

Nasz szanowny premier, zgrzybiały staruszek, ogłosił, że zamierza się wycofać.

Zuama kierowani przez Nabiła Tufailego już kłócą się między sobą, którego kandydata poprzeć. Można by sądzić, że do tej pory dojdą do porozumienia, ale są zbyt zajęci promowaniem własnych synów. Jedno jest jednak pewne. Nienawidzą i boją się człowieka, którego ja zamierzam poprzeć, Eduarda Zayediego. Jeśli w jakiś sposób zwęszyli, że Maritime Continental zarządza funduszami Zayediego, mieliby motyw, by usunąć Alexa z drogi!

— Nie wiem. To dla nich ogromne ryzyko!

— Tufaili i pozostali już wcześniej mnie atakowali — przypomniał mu Armand. David wiedział o tym, aż za dobrze. W ciągu ostatnich dziesięciu lat przekonał się, jak okrutni i zdeprawowani potrafią być lewantyńscy politycy. Ludzie tacy jak Armand Fremont, a było ich niewielu, reprezentowali to, co najlepsze w Libanie. Mocno kochali kraj i woleliby zaryzykować wszystko, niż zobaczyć, jak staje się łupem szakali takich jak Tufaili i potężni kupcy, brokerzy i pośrednicy, dla których liczyły się tylko pieniądze. Kodeks *zuama* opierał się na przekupstwie wspai lym przemocą. Fałszowali wybory, zastraszali tych, którzy ośmielili

wyrażać odmienne zdanie, rujnowali finansowo przeciwników. Tylko Armand Fremont ze swoim bogactwem i międzynarodowymi kontaktami wydawał się nietykalny, ale może się mylili.

— Naprawdę uważasz, że to *zuama*? — zapytał. — Myślisz, że odważyliby się na coś takiego?

— Sam powiedziałeś, że ten, kto wynajął mordercę, musiał mieć dużo pieniędzy i wiedzę, jak do niego dotrzeć — odparł Armand. — *Zuama* mają obie te rzeczy. Nie mówiąc o motywie.

— Jedno pytanie — powiedział David. — Dlaczego nie ty? Dlaczego celem był Alex, choć ty stanowisz znacznie większe zagrożenie? Jesteś jedynym człowiekiem, który przez wszystkie te lata zwyciężał na ich własnym boisku!

— Może Alex odkrył coś, czego nie powinien. Może w ten sposób Tufaili przesyła wiadomość.

— Byłby głupcem, gdyby tego próbował!

— To Bliski Wschód, Davidzie. Powinieneś wiedzieć, że sprawy nigdy nie są takie, jakie się wydają. Teraz chodźmy do biura, wypełnijmy szybko formularze i wynośmy się stąd. Jest mnóstwo rzeczy do zrobienia.

— A co z Katherine?

Na wspomnienie córki Alexa gniew Armanda zamienił się w smutek.

— Ja się tym zajmę. Musi się dowiedzieć ode mnie.

Nagle uświadomił sobie, jakie wrażenie zrobi wiadomość o śmierci Alexa. W świecie finansowym Nowego Jorku zawrze. Klienci Maritime Continental zaniepokoją się, międzynarodowe linie telefoniczne i teleksowe rozgrzeją do czerwoności. Musi jak najszybciej skontaktować się z Emilem Bartolim, zastępcą Alexandra. Na nim spocznie ciężar kierowania bankiem, zapobieżenia kryzysowi zaufania i uspokojenia obserwatorów z Wall Street.

Należy również zawiadomić innych. Zmarszczył czoło. Trzeba wysłać telegramy do krewnych, którzy mają udziały w Societe des Bains Mediterranien, holdingu będącym właścicielem kasyna. Armand kolejno przywoływał w pamięci ich twarze: piękną, lecz zimną Jasmine, swoją kuzynkę; Louisa, jej męża, którego ambicje polityczne przewyższały jego zdolności; siostrzeńca Pierre'a, dyrektora Libańskiego Banku Centralnego. Ale najpierw Katherine... kochaną Katherine.

2

Hej, hej, LBJ, ile dzieciaków dzisiaj zabiłeś?

Demonstranci maszerowali Telegraph Hill w stronę kampusu Berkeley. W bocznych ulicach gromadziło się ich coraz więcej.

Kate Maser stała na wzniesieniu obok Boalt Hall, budynku wydziału prawa.

Wczesnopopołudniowe słońce świeciło wyjątkowo jasno jak na San Francisco, więc nałożyła okulary przeciwsłoneczne. Choć była wysoka, musiała stanąć na palcach, żeby dojrzeć drugi koniec długiego szeregu stojących na chodniku policjantów w niebieskich hełmach. Obserwowali maszerujących, uderzając pałkami o dłonie.

Nieco dalej na Bancroft Way czekały samochody policyjne i furgonetki oraz dwa autobusy ze specjalnie wyszkolonymi oddziałami do rozpędzania demonstracji.

O, Boże, pomyślała Kate, żeby tylko nie doszło do przemocy! Los wszystkich obecnych zależał od policji i przywódców demonstracji, zwłaszcza Teda Bannermana. Jej Teda. Mężczyzny, który zmienił jej życie. Nawet z tej odległości czuła jego magnetyzm. Prowadził tłum, unosząc ręce w rewolucyjnym pozdrowieniu.

Wysoki, z ciemnobrązowymi włosami związanymi w kucyk, Ted był wulkanem energii. Z wprawą nadawał tempo marszowi, jak wielki kapelmistrz dyrygujący orkiestrą. Był złotoustym magikiem, który potrafił pociągnąć za sobą innych.

— Hej, hej, LBJ, ile dzieciaków dzisiaj zabiłeś?

Wiatr zwał długie rdzawe włosy na twarz Katherine. Odgarnęła je i splotła luźno na karku. Może lepiej, żeby nic nie widziała. Może za moment będzie świadkiem kłeski. Zamknęła na chwilę oczy. Już nie odczuwała nabożnego lęku wobec Teda, płomiennego rewolucjonisty, absolwenta Massachusetts Institute of Technology, człowieka, którego rektor nazwał trockistą. To określenie przylgnęło do niego. Kate szanowała Teda za to, że rozumiał tragedię amerykańskiego zaangażowania w Wietnamie, dostrzegał bagno, w które prezydent Johnson pro-

wadził kraj. Jak tysiące innych ludzi była pod wrażeniem jego nieomylnych przewidywań co do skutków wojny. Martwiły ją jednak konsekwencje sławy Teda, wielbionego bohatera. Zdjęcia na pierwszych stronach gazet i powszechnie okazywany podziw mogły zawrócić w głowie. Z czasem zobaczyła jego wady, a jej fascynacja osłabła. Gdzie się podział nieśmiały syn weterynarza ze Środkowego Wschodu, mężczyzna, w którym się zakochała? Odszedł na zawsze? Czy tylko ukrył się pod nową niepokojącą osobowością?

Kate nie była pewna, czy Ted zachowa się dzisiaj rozważnie. Obserwując, jak śpiewa i zagrzewa demonstrantów, zobaczyła człowieka, który stał się przywódcą, przewycięzając wrodzoną powściągliwość i niezdecydowanie. Miał pewne siebie spojrzenie, czysty i mocny głos. A kiedy popatrzyła na twarze maszerujących, zauważyła na nich taką samą adorację i zaufanie, jakie sama kiedyś do niego żywiła. Kiedyś. Teraz podejrzewała, że ma przed sobą demagoga, człowieka zakochanego we własnym wyobrażeniu o sobie. Potrafił pociągnąć za sobą tłumy, utrzymując je jednocześnie w przekonaniu, że robią to z własnej woli. Miał w sobie ogień i potrafił przemawiać, ale nigdy nie został zatrzymany przez policję. Pojawiał się w sądzie, żeby podtrzymać na duchu kolegów. Gniewny młody mężczyzna, którego rozpieszczała prasa, nie widział od środka celi więziennej.

Kate mieszkała z Tedem od czterech lat, zajmowała się razem z nim projektami segregacji, które zrodziły się w zdominowanym przez czarnych Oakland, i protestami przeciwko wojnie wietnamskiej. Postanowiła ukończyć prawo w ciągu dwóch lat i udało się jej, ale zapłaciła wysoką cenę. Ted zabierał jej cały wolny czas, którego nie spędzała na uniwersytecie, a później w firmie prawniczej. Od chwili zdania egzaminów adwokackich pracowała dla niego. Stała się znana w miejscowym komisariacie, gdzie zjawiała się o różnych porach dnia i nocy, żeby zobaczyć się z kolejnym „więźniem politycznym”. Nie znaczy to, że Ted ją wykorzystywał. Była szczerze oddana sprawie swobód obywatelskich i praw człowieka, ale...

— Hej, hej, LBJ, ile dzieciaków dzisiaj zabiłeś?

Około trzystu protestujących dotarło do skrzyżowania Telegraph Avenue z Bancroft Way. Przepychali się między stolikami ulicznych kawiarenek i tawern, strącając filiżanki z kawą, puszki piwa, drewniane szachy, przewracając metalowe krzeselka. Ludzka masa zalała Hancock Way. Kierowcy naciskali na hamulce i klaksony. W niecałą minutę demonstranci opanowali ulicę, a ich przednie szeregi znalazły się kilka metrów od policjantów.

— Uwaga! Uwaga! — Metaliczny głos z megafonu rozbrzmiał echem ponad krzykami i zamieszaniem. — Tu policja. Ta demonstracja jest nielegalna. Nie macie pozwolenia...

— Pieprzyć pozwolenie!

— Zakłóćcie ruch uliczny. Zostaniecie aresztowani.

Dalsze słowa zagłuszyło buczenie. Kate zobaczyła, że Ted z głośnikiem w dłoni wychodzi między demonstrantów i policję.

— Mamy prawo się tutaj zbierać. Tutaj lub gdziekolwiek zechcemy!

Tłum zawył z aprobatą.

— Mamy prawo domagać się, żeby uniwersytet zerwał stosunki z faszystowskimi podżegaczami wojennymi, którzy wysyłają nasze dzieci, żeby mordowały wietnamskie dzieci! Mamy wszelkie prawo i obowiązek powalić administrację na kolana, zamknąć do czasu spełnienia naszych żądań!

O nie, Ted, krzyknęła Kate w duchu, co robisz? Tłum zawrzał i ruszył na policjantów.

— Zamknąć Sproul! Zamknąć Sproul! Zamknąć Sproul!

Kate nie mogła uwierzyć własnym uszom. Sproul był głównym budynkiem administracji na kampusie Berkeley. Ted podburzał swoich zwolenników, żeby zajęli serce uniwersytetu!

I do paru innych rzeczy, pomyślała Kate, jak wejście na cudzy teren, zniszczenie własności prywatnej, nielegalna okupacja oraz — ponieważ konfrontacja była nieunikniona — do napaści i stawiania oporu przy aresztowaniu.

Porucznik z megafonem powtórzył to, o czym myślała Kate.

— Uwaga! Jeśli natychmiast się nie rozejdziecie, zostaniecie aresztowani. Jeśli spróbujecie przekroczyć linię policyjną, zostaniecie aresztowani. Jeśli spróbujecie przeszkodzić oficerowi w wypełnieniu obowiązków, zostaniecie aresztowani!

Tłum natychmiast się uspokoił. Zrozumiał ostrzeżenie. Nadszedł moment prawdy.

Wciąż jeszcze istniała szansa wycofania się, uniknięcia rozlewu krwi i nieszczęścia.

Kate wstrzymała oddech. Słyszała jedynie ciche trzaski aparatów fotograficznych należących do reporterów z berkeleyowskiego *Barb, Village Voice* i gazet ogólnokrajowych.

Kate zobaczyła, że Ted się waha, jakby zahipnotyzowany przez aparaty. Znał alternatywę: wycofać ludzi i narazić na szwank swój wizerunek rewolucjonisty lub poprowadzić demonstrantów dramatycznym gestem, który znajdzie się we wszystkich gazetach. Fotografowie czekali.

Ted wyrzucił w powietrze zaciśniętą pięść. Odchylił głowę i krzyknął:
— Zając Sproul!

Demonstranci ruszyli do ataku. Kate instynktownie cofnęła się i zaczęła wchodzić na pagórek. Pośliznęła się na trawie, ale posuwała się dalej na kolanach. Gdy się obejrzała, zobaczyła, że walka wre. Protestujący próbowali przedrzeć się przez kordon policyjny, a z kolei funkcjonariusze rzucili się w tłum, wymachując pałkami. Krzyki bólu i wściekłości wypełniły powietrze. Policjanci na oślep bili każdego, kto się nawinął. Kilku rzuciło się w pościg za demonstrantami, którym udało się przedrzeć przez kordon.

Kate wstała chwiejnie. Policja stopniowo ulegała przewadze liczebnej mimo wsparcia oddziałów specjalnych, które dołączyły do walki. Kate bezskutecznie próbowała wzrokiem odszukać Teda. Trzęsąc się ze strachu, ruszyła ostrożnie w stronę chodnika, gdzie leżało krwawiąc kilkunastu studentów z pierwszej fali ataku. Zaglądała kolejno w wykrzywione bólem twarze.

Tłum zawył, kiedy rozległy się charakterystyczne wybuchy pojemników z gazem. Kilka sekund później na ulicach pojawił się gęsty gryzący dym. Policjanci założyli maski i w ten sposób zyskali przewagę. Demonstranci dusili się, biegnąc na oślep we wszystkie strony, próbując uciec przed gazem. Stanowili łatwą zdobycz i jeden po drugim padali na ziemię pod ciosami pałek.

Kate obejrzała się i zobaczyła, że kilku studentów biegnie chwiejnie w chmurze gazu, uciekając przed dwoma policjantami. Po chwili funkcjonariusze dopadli ich. Połała się krew.

— Nie! — Kate bez zastanowienia skoczyła między ofiary a ścigających. — Jestem prawnikiem...

— Odpieprz się, dziwko!

Policyjna pałka uderzyła ją w łokieć, paraliżując całe ramię. Drugi cios dosięgnął ją tuż pod kolanami i powalił na ziemię. Kate usłyszała własny krzyk i zwinęła się w kłębek, próbując osłonić przed celującymi w nią wojskowymi butami. Łapczywie chwytając powietrze i kaszląc, odtoczyła się i znieruchomiała, dotykając policzkiem szorstkiego asfaltu. Z bólu, gniewu i upokorzenia z oczu trysnęły jej łzy.

— Zaczekajcie chwilę. Pozwólcie mi na nią spojrzeć.

Z rękami skutymi na plecach, przyciśnięta do boku policyjnej liugonetki, Kate poczuła, że ktoś ją odwraca. Rozpoznała porucznika, który wzywał protestujących do rozejścia się. Na jego brudnej

twarży widniały białe plamy w miejscach zasłoniętych wcześniej przez maskę.

— Kate Maser, zgadza się?

— Tak.

Głos Kate przypominał krakanie. Gardło miała wyschnięte od gazu.

— Pamiętam panią z komisariatu. Nazywam się Crandall. Być może pani mnie tam widziała. — Porucznik zwrócił się do sierżanta. — Proszę ją rozkuć. Chcę z nią porozmawiać.

Kate wytarła oczy rękawem bluzki.

— Szczypie, co? — zapytał i zaprowadził ją do sanitariuszy opatrujących pobitych i rannych, którzy leżeli na noszach, siedzieli na ziemi, wpatrywali się w przestrzeń, niepomiernie na krew i ból. — Proszę to przyłożyć do oczu — powiedział, podając jej chłodny mokry kompres. — Wcale nie musiało do tego dojść. Pani chłopak mógł ich powstrzymać.

Kate przycisnęła kompres do oczu i od razu poczuła ulgę.

— Gdzie on jest?

— Bannerman? Kto wie. Nigdy nie czeka, by zobaczyć swoje dzieło. — Trudno było nie dosłyszeć pogardy w głosie oficera. — Pani nie była razem z nim, prawda?

Kate potrząsnęła głową.

— Tak myślałem. Widziałem panią za kordonem. Jak się pani tutaj znalazła?

Kate wyjaśniła mu, że starała się dotrzeć do rannych demonstrantów. Crandall pokiwał głową.

— To głupie. Godne podziwu, ale głupie. — Zaprowadził Kate do radiowozu, otworzył tylne drzwi i gestem kazał jej wsiąść. — Wiedziała pani, na co się zanosi?

— Nie.

— Tym razem Bannerman przeszedł samego siebie. Proszę spojrzeć.

Kate podążyła wzrokiem za jego ręką. Wstrzymała oddech na widok rozbitych okien i wystaw sklepowych wzdłuż Bancroft Way.

— To nie była demonstracja — stwierdził porucznik. — Zamierzamy go ścigać za wszczęcie zamieszek. A to już jest przestępstwo. — Zawiesił głos i nachylił się do otwartych drzwiczek. — Proszę mi powiedzieć jedną rzecz. Jak to się stało, że taka bystra, przystojna dziewczyna jak pani związała się z tym narwańcem? On wszystkich wpędzi w kłopoty — z wyjątkiem siebie — a potem pani zjawia się na ratunek? O co tu chodzi?

— Po prostu wierzę w to, o co walczy Ted, poruczniku. A jeśli chodzi o zarzut wzniesienia zamieszek, może by pan to jeszcze raz przemyślał. Z tego, co widzę, to pańscy ludzie wpadli w szal.

Twarz Crandalla przybrała twardy wyraz.

— Proszę posłuchać, panno Maser. Moich ludzi było pięć albo sześć razy mniej niż demonstrantów. Mam kilkunastu rannych, w tym dwóch ciężko. Wszyscy trzymali się w ryzach, dopóki ich nie zaatakowano. Po pierwsze, działali w samoobronie. Po drugie, próbowali zapobiec zamieszkom na dużą skalę. Odpowiedzialność za to, co się stało, spada wyłącznie na pani chłopaka. Za dwie godziny zdobędę nakaz aresztowania Bannermana — dodał po chwili. — Spodziewam się, że do tego czasu sam zgłosi się na policję. Moi ludzie są naprawdę wkurzeni tym, co się wydarzyło. Chcą pomścić rannych kolegów. Więc jeśli będę musiał posłać ich do pani mieszkania, rozniosą je. I Bannermana również. Proszę zrobić wszystkim przysługę i przysłać go do mnie. Z pewnością złoży pani kaucję i Bannerman wyjdzie na wolność w samą porę, by znaleźć się w wiadomościach o jedenastej. — Crandall wyciągnął rękę do Kate. — Jeśli jeszcze jest pani słabo, każę komuś odwiedzić panią do domu.

Kate poczuła ból w nodze i skrzywiła się, ale odparła dumnie:

— Nie, dziękuję. Pójdę na piechotę.

— Proszę mu przekazać wiadomość. Daję dwie godziny.

Zwykle Kate lubiła iść spacerem przez kampus do mieszkania na Highland Avenue w pobliżu Laboratoriów Lawrence'a Berkeleya. Teraz kulała, ściągając na siebie zaciekawione spojrzenia studentów i pełne dezaprobaty wykładowców. Usilnie myślała o tym, co powiedział Crandall. Wyglądało na to, że tym razem Ted przesadził. Policja, rozwścieczona wydarzeniami na Bancroft Way, nie zamierzała mu tego darować.

Po pierwsze, musi przekonać Teda, żeby sam się zgłosił, co nie będzie takie proste. Po drugie, zebrać pieniądze na kaucję. Poza tym na pewno będzie chciał, żeby zajęła się aresztowanymi przyjaciółmi, skontaktowała z adwokatami...

Znowu wdepnęłam, pomyślała Kate, zatrzymując się, żeby złapać oddech. Została pobita, nawdychała się gazu, a martwi się, jak uchronić Teda od spędzenia nocy w więzieniu.

W mieszkaniu panował przyjemny chłód. Kate oparła się o drzwi i zamknęła oczy. Uświadomiła sobie nagle, jak bardzo jest brudna. Skrzywiła nos, czując zapach gazu łzawiącego, którym przesiakło ubranie.

— Kate, to ty?

Zajrzała do salonu w kształcie litery L i zobaczyła Teda rozwalonego na kanapie. Nie był sam. Obok niego siedziała dziewczyna o uduchowionej twarzy madonny i figurze króliczka z *Playboya*. Sądząc po zestawie maści i bandażu leżących na stoliku, ten anioł miłosierdzia opróżnił całą szafkę z lekarstwami.

— Cześć, jestem Rosemary — odezwała się dziewczyna i wróciła do opatrywania drobnej ranki na policzku Teda.

— Cześć, Katie, wszystko w porządku? W Kate zawrzał gniew.

— Nie! Zdajesz sobie sprawę, ile kosztował twój wyczyn? Widziałeś, co się działo? Pokuśtykała do krzesła.

— Jezu, Kate przykro mi. Nie wiedziałem, że jesteś ranna. Co się stało?

— Zostałam pobita, oto co się stało! I tak miałam szczęście. A co z tobą?

Ted usiadł i lekko dotknął Rosemary.

— Może zrobisz nam herbaty? Katie, przykro mi — mówił dalej, patrząc na nią z przejęciem. — Kiedy gliny zaczęły nas tłuc, próbowałem wydostać stamtąd naszych ludzi...

— O ile sobie przypominam, napuściłeś ten tłum na policję.

— To nieprawda! Mieliśmy prawo tam być. Jest wolność gromadzenia się. Gdyby administracja przysłała kogoś na rozmowy, może nie byłoby powodu maszerować na Sproul. — Ted pochylił się do przodu i dotknął policzka Kate. Cofnęła się. — Katie, naprawdę mi przykro z powodu tego, co cię spotkało. Ale sama widziałeś, co robili gliniarze. To dlatego prosiłem cię, żebyś przyszła. Wiedziałem, że dojdzie do konfrontacji. Chciałem, byś była świadkiem.

Kate uderzyła szczerość w głosie Teda, święte przekonanie, że przedstawia prawdziwą wersję wydarzeń. Była zbyt zmęczona, żeby się spierać. Usłyszała gwizdek czajnika.

— Rozmawiałam z jednym z oficerów, porucznikiem Crandallem — poinformowała ze znużeniem. — Zamierza postarać się o nakaz aresztowania. Jeśli sam się nie zgłosisz, przyśle tutaj po ciebie gliniarzy. Uprzedził, że nie będą się cackali.

— O czym ty, do diabła, mówisz? — Ted poderwał się, najwyraźniej zapominając o obrażeniach. — O co mnie oskarżają?

— Na początek o wywołanie zamieszek. Bzdury! Widziałeś, co się stało!

Kate popatrzyła na niego spokojnie.

— Tak, widziałam.

— Co masz na myśli?

— Policja ma zdjęcia stanowiące dowód, że podburzyłeś tłum.

— Jezu, Katie! Co ty wygadujesz! Przecież ciebie też złapali!

— Ted, przyjdą po ciebie. Muszę się wykapać. Lepiej zrób to samo.

— Radzisz mi jako prawnik, żeby iść jak cielę na rzeź? Kate zerwała się wściekła z krzesła.

— Rób, co chcesz! Będę gotowa za pół godziny, jeśli chcesz, żebym z tobą poszła.

Gorąca kąpiel uspokoiła ją, złagodziła ból. Wycierając się, Kate zauważyła niebiesko-żółte siniaki na ramionach i nogach. Przypomniała sobie masakrę i doszła do wniosku, że miała szczęście. Przeszła do sypialni i zaczęła się ubierać.

— Chcę, żebym się zgłosił, ale nie pójdzie im tak łatwo. Kiedy się tam zjawię, powiem, żeby się wypchali nakazem...

Przez uchylone drzwi Kate słyszała Teda snującego plany, jak zachowa się w komisariacie. W pewnym momencie wpadło jej w ucho nazwisko i domyśliła się, że jej chłopak rozmawia z reporterem z *San Francisco Chronicle*. Wiadomość, że Ted Bannerman zamierza wystąpić przeciwko policji, rozejdzie się błyskawicznie. Samo jego przybycie przerodzi się w widowisko.

Kiedy wyszła z sypialni, znowu rozmawiał przez telefon. Zdumiało ją to, co usłyszała.

— Czy to ktoś, kogo mam na myśli? — zapytała.

Ted obejrzał się jak mały chłopiec przyłapany z ręką w słoiku z konfiturami.

— Jake Hirsh — wymamrotał.

— Naprawdę? Zmieniasz doradcę?

— Posłuchaj, Katie. Widzę, że cała ta historia rzeczywiście tobą wstrząsnęła. Nie byłabyś w stanie wyklócać się w sądzie.

— I udało ci się złapać Hirsha? Tak po prostu?

Jake Hirsh był znanym w San Francisco prawnikiem od spraw kryminalnych.

Reprezentował ważnych klientów. Potrafił manipulować prasą i lubił znajdować się na widoku. Kate poznała go na wiecu, który Ted zorganizował w greckim amfiteatrze w Berkeley. Pamiętała, - obaj wiele czasu spędzili razem. Później, kiedy go o to zapytała, Ted wymigiwał się od odpowiedzi. Ostrzegła go przed Hirshem, który miał kiepską opinię u większości sędziów i prokuratorów.

Teraz widząc zmieszanie Teda, poskładała wszystko w całość.

— Zadzwoiłeś do Hirsha od razu po powrocie, prawda? Domyśliłeś się, że policja przyjdzie po ciebie. Chciałeś być gotowy.

— Katie...

— Podczas gdy ludzie, którzy za tobą poszli, bili się z policjantami, ty przygotowywałeś się do drugiego aktu przedstawienia!

— Daj spokój, Katie! Musiałem się ukryć...

— Co robisz doskonale!

Ted spojrział na nią i uśmiechnął się smutno.

— Nie rozumiesz, prawda? Nie chodzi tylko o jedną demonstrację, lecz o sytuację w kraju. O prawa ludzi, którzy chcą walczyć.

— Proszę, oszczędź mi frazesów.

Cisza, która między nimi zapadła, dławiała Kate.

— Posłuchaj, teraz nie pora na rozmowę. Rosemary odwiezie mnie na komisariat. Zadzwonię do ciebie, kiedy będzie po wszystkim.

Oślupiała Kate patrzyła, jak wychodzą. Rosemary poufałym gestem położyła dłoń na ramieniu Teda. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Katherine podeszła do stolika i chwyciła buteleczki, tubki i bandaże. Zaniosiła je do łazienki i wróciła po resztę. I wtedy zobaczyła żółto-czarną kopertę Western Union ze swoim nazwiskiem. Ted nawet nie raczył o niej wspomnieć.

Była trzecia nad ranem. Kate zapaliła kolejną świecę i postawiła ją obok innych przed pustym kominkiem. Świeży knot zaskwierczał i zamigotał, potem zaczął palić się równo, rozjaśniając ciemny salon.

Siedziała po turecku przed marmurowym kominkiem, wpatrując się w żółty telegram, w napisane na maszynie słowa chwiejące się w świetle świecy.

Nawet nie wiedziałam, że pojechał do Paryża ani że wybiera się do Szwajcarii. Jezu Chryste, naprawdę wcale go nie znałam!

Telegram przysłał Armand Fremont. Cofnęła się w czasie o kilkanaście lat. Sama miała wtedy dwanaście. Była wiosna. Mieszkali z ojcem w Bejrucie. Przypomniała sobie wielki hotel St. Georges i miłego mężczyznę, który podszedł do nich, przywitał się i uśmiechnął do niej.

— Jesteś czarującą panną, Katherine — powiedział, kłaniając się i całując ją w dłoń. Kate do tej pory pamiętała, że wymawiał jej imię z lekkim francuskim akcentem. Czuła się wspaniale i dorośle. Od tego momentu polubiła Armanda Fremonla, najlepszego przyjaciela ojca.

Później, w porze podwieczorku, ojciec zabrał ją do Salonu Orientalnego, okazałej sali utrzymanej w kolorach czerwonym i czarnym, poprzedzielanej chińskimi parawanami, na których były namalowane zamglone góry, smoki i drobne ptaszki ukryte w bujnych krzewach. Kelnerzy nosili pikowane jedwabne stroje, a ciastka różniły się od tych, które jadła do tej pory. Kate była tak oczarowana, że aż podskoczyła! kiedy ktoś wypowiedział jej imię.

— Cześć, Katherine.

To znowu on. Wysoki, uderzająco przystojny. Pod spojrzeniem jego czarnych oczu oblała się rumieńcem i zadrżała.

Wpadła w popłoch, kiedy ojciec oznajmił, że musi do kogoś zadzwonić. Armand Fremont siedział na wprost niej, ale jego głos zdawał się dobiegać z daleka.

— Opowiesz mi coś o sobie, Kate? — zapytał. — Co lubisz robić, co chciałabyś tutaj zobaczyć?

Kate zrobiła się purpurowa na twarzy i wymamrotała coś pod nosem.

— Nic z tego — zaprotestował Armand. — Takie piękne młode damy jak ty muszą mówić dżentelmenom, czego sobie życzą.

Łatwo powiedzieć! pomyślała Kate. Była koścista, wyższa od chłopców z St. Matthias, którzy przychodzili na zabawy. Nigdy nie prosili jej do tańca. Mówiła niewyraźnie z powodu aparatu korekcyjnego.

— Więc dobrze — wybawił ją Armand. — Sam coś zaproponuję. Bardzo chciałbym zabrać cię dzisiaj wieczorem do kasyna. Wyświadczysz mi tę uprzejmość, Kate?

Widząc wracającego ojca, Kate szepnęła:

— Tak.

Skąpane w różowych, niebieskich i fioletowych światłach Casino de Paradis wydawało się wyrastać prosto z morza. Kiedy Kate po raz pierwszy przestąpiła jego próg, poczuła się jak w arabskiej baśni. Kobiety w wieczorowych sukniach zostawiały za sobą zapach doskonałych perfum. Ich klejnoty rzucały błyski w świetle ogromnych kryształowych żyrandoli. Pod sufit pokryty malowidłami wznosiły się śmiechy i szepty oraz muzyka niewidocznej orkiestry. Kate pamiętała wyraźnie, że idąc przez wielki hol zatrzymała się nagle jak wryta. Zadarła głowę i spojrzała w górę oczarowana jak starożytny astronom na widok konstelacji. Cały świat zdawał się wirować wokół niej...

W okresie dojrzewania Kate czytała wszystkie magazyny mody, które wpadły jej w ręce. W większości z nich były działy plotek towarzyskich. W ten sposób śledziła poczynania Armanda Fremonta. Zdję-

cia przedstawiały go zwykle w Casino de Paradis, ubranego we frak lub smoking, w towarzystwie młodych pięknych kobiet, o które była zazdrosna. Marzyła o tym, by znowu wkroczyć do świata baśni, spotkać Armanda i przeżyć na nowo tę chwilę, kiedy sprawił, że niezgrabna nastolatka poczuła się księżniczką. Lecz w ciągu następnych lat podobna okazja nie powtórzyła się. Kate nigdy później nie odwiedziła Bejrutu, a przysyłane przez Armanda kartki z okazji świąt lub jej urodzin miały aurę, jakby pisał je miły, lecz daleki znajomy.

Kate naląła sobie resztkę gorącej czekolady i podciągnęła kolana do brody, opierając policzek na miękkim materiale szlafroka. Obok telegramu położyła ostatnią fotografię ojca i siebie. Zrobiono ją cztery lata temu, kiedy wyjechał służbowo do San Diego, a ona wsiadła w pociąg, żeby się z nim spotkać w La Jolla. Widok na zdjęciu zapierał dech w piersiach — zatoczka w kształcie podkowy, niebieska woda i spienione fale, a w oddali urwiska skalne pełne jaskiń i łuków wyżłobionych przez wodę. Sądząc jednak po gniewnym wyrazie twarzy utrwalonego na zdjęciu, piękno otoczenia niewiele dla niej znaczyło.

Matka umarła, kiedy Kate miała dziesięć lat. Jako dziecko spędzała wakacje w New Hampshire albo Cape Cod, a zimy w Vail lub Aspen. Ojciec rzadko się wtedy pojawiał, lecz w otoczeniu kuzynów i kuzynek nie uświadamiała sobie, jak bardzo za nim tęskni.

Chociaż pogrążyła się w smutku, kiedy nagle zabrakło matki, w głębi duszy nie wierzyła, że coś się zmieni. Przez pierwsze kilka miesięcy ojciec zabierał ją codziennie z Lowry School na Madison i razem jechali do domu na Park Avenue. Później jednak przed szkołą zaczął się pojawiać szofer ojca i zarazem jego człowiek do wszystkiego, a kolacje stały się przykre, gdyż nie mająca dzieci gospodyni usilnie starała się zabawić rozmową zdziwioną, przestraszoną i coraz bardziej samotną dziewczynkę, która tylko skubała jedzenie.

Z Paryża, Genewy, Rzymu i Aten przychodziły pocztówki. Dzięki nim Kate podążała za ojcem, który zajmował się powiększaniem fortuny Maritime Continental Bank. Przestała dotkliwie odczuwać samotność, zanim jeszcze poszła do Wellesley College. Jej stosunki z ojcem zmieniły się. Odważyła się samodzielnie badać świat, była ciekawa i pełna entuzjazmu, choć trochę przestraszona.

Jak większość kobiet w tamtych czasach Kate wybrała nauki humanistyczne. Ponieważ jednak mieszkała w Nowym Jorku, różniła się od swoich mniej bywałych w świecie siostr. Znała Village jak własną dłoń i w weekendy chodziła do kawiarni dla bohemy, gdzie zbierali się przedstawiciele Heat Generation, żeby słuchać dzieł Jacka Kerouaca

i Ginsberga. Nad niezliczonymi filiżankami kawy dyskutowała o *Outsiderze* Colina Wilsona i doszła do wniosku, że pokolenie chudych, bladych, ubierających się w czarne golfy i spodnie osobników przeznaczonych jest do większych i znacznie ważniejszych rzeczy niż rodzice schwytni w pułapkę drobnomieszczańskich cnót. Trudności sprawiała tylko odpowiedź na pytanie, o jakie wspomniałe przeznaczenie chodzi.

Czasami miała ochotę wziąć słuchawkę i porozmawiać z ojcem. Ale w lepszych stosunkach była z jego sekretarką, która mówiła, że go nie ma, a potem z poczuciem winy lub litości plotkowała z nią przez kilka minut. Przy rzadkich okazjach, kiedy spotykała się z ojcem, prowadzili wymuszone rozmowy. Nie wiedział prawie nic o jej życiu, o tym, gdzie bywała, o pozornie nieograniczonych perspektywach, o braku zdecydowania co do wyboru drogi życiowej. Czasem wyczuwała, że ojciec próbuje do niej dotrzeć, chce ją skłonić do zwierzeń. Widziała ból i rozczarowanie w jego oczach, kiedy wieczór zbliżał się do końca, a oni nadal pozostawali po przeciwnych stronach przepaści, która pogłębiała się z każdym rokiem. Bała się i była zła na niego za to, że żadne z nich nie potrafiło zmniejszyć tego dystansu.

— Kocham cię, Kate. Nie wolno ci o tym zapominać.

W głębi serca wierzyła mu, ale przez lata słowa te zdewaluowały się.

— Skoro mnie kochasz, dlaczego nie masz dla mnie czasu?

— Staram się, Kate. Wierz mi, staram się. Nie chodzi o to, że mi na tobie nie zależy...

— Tylko że bardziej ci zależy na tym przeklętym banku.

Kate spojrzała na zdjęcia z La Jolla. Słyszała echo własnych szorstkich słów, przypominała sobie widoczny na jego twarzy ból, kiedy oznajmiła, że zostanie w Berkeley... i nigdy nie wróci do domu.

Fotografia utrwaliła na zawsze jedną chwilę, z którą musiała żyć przez te wszystkie lata. Lata żalu i obwiniania się, ignorowania zaproszeń ojca, ograniczania się do pocztówek na Boże Narodzenie i urodziny. Lata, które nigdy nie wrócą...

Niech to licho, nawet nie pamiętam, kiedy mu ostatni raz powiedziałam, że go kocham!

A teraz odszedł na zawsze...

Zaskwiczczał dopalający się knot i wosk wylał się na marmur. Kate wstała i rozsunała zasłony. Niebo pojaśniało, a gwiazdy i sierp księżyca zbladły. Kate spojrzała na dwie otwarte torby z ubraniami. Zapakowała je mechanicznie, czując potrzebę zajęcia się czymś, i teraz nie mogła za nic sobie przypomnieć, co do nich włożyła.

— Katie? Katie, jeszcze nie śpisz?

Ted zamknął za sobą drzwi i wszedł do salonu. Zobaczył torby i spojrzał na nią ostro.

— Co, u licha, się tutaj dzieje? Kate podała mu telegram.

— Nawet nie raczyłeś mi o nim powiedzieć. Potrząsnął głową.

— Boże, Katie, przepraszam. To okropne. Wyciągnął do niej rękę, ale Kate go minęła.

— Pogrzeb jest w Nowym Jorku. Nie wiem, jak długo mnie me będzie.

— Dobrze się czujesz? Ten facet dzwonił do ciebie?

— Ten facet nazywa się Armand Fremont. Nie, nie dzwonił.

— Mogę coś dla ciebie zrobić? Kate zmusiła się do uśmiechu.

— Nie. Poradzę sobie.

— Posłuchaj, Katie. Nie wiem co powiedzieć. Ty i twój stary me byliście ze sobą blisko, prawda?

— Ted, nic nie mów. Po prostu nic nie mów. Dam sobie radę.

— Tak. No cóż, ciężko będzie teraz bez ciebie.

— Co masz na myśli?

— Hirsh złożył kaucję, ale gliny nadal oskarżają mnie o wywołanie zamieszek, nie mówiąc o paru innych bzdurnych zarzutach. To nie będzie proces, lecz teatr, Katie. Wielki dramat. Na pewno chciałabyś wziąć w nim udział. Zapowiada się historyczne wydarzenie.

Być może z powodu wyczerpania i nadwrażliwości Kate natychmiast wyczuła fałszywą nutę w głosie Teda.

— Obawiam się, że ty i Hirsh będziecie musieli tworzyć historię beze mnie.

— Ale to nie chodzi tylko o mnie. Hirsh ma zamiar zorganizować wspólny proces Mario, Jerry'ego, Tima i całej paczki. Gazety już nazywają nas Dziesiątką z Berkeley.

Kate zastanawiała się, kto to wymyślił i podsunął mediom.

— Nadal nie rozumiem, po co ci jestem potrzebna.

— Cóż, Hirsh nie da sobie rady z tyloma oskarżonymi naraz. Zamierza skorzystać z pomocy współpracowników, ale może nie dopatrzeć wielu ważnych rzeczy.

Powiedziałem mu więc, że ty też chętnie pomożesz.

Katie nie mogła uwierzyć własnym uszom.

Nic miałaś prawa mówić w moim imieniu! - oświadczyła

— Hirsh stwierdził, że potrzebuje kogoś, kto będzie wyszukiwał przepisów i precedensów — odparł Ted pospiesznie. — Pomyślałem, że to byłaby dla ciebie wielka okazja, Katie. Znasz reputację Hirsha. Początkujący prawnik zabiłby za szansę znalezienia się w jego zespole.

— Jego reputację? Zresztą Hirsh potrzebuje tylko chłopca na posyłki, w tym wypadku dziewczyny. Kogoś, kto będzie siedział w bibliotece, a w wolnych chwilach robił fotokopie i odbierał telefony.

Ted przewrócił oczami, a Kate uświadomiła sobie, że on doskonale sobie z tego zdaje sprawę. Zgodził się na wszystko i obiecał Hirshowi dostarczyć jelenia, niejaką Kate Maser.

— Posłuchaj, Katie. Przykro mi z powodu twojego staruszka — powiedział Ted, starając się nie tracić panowania nad sobą. — Przykro mi również, że nie pokazałem ci telegramu. Zapomniałem. Po tej walce z glinami... Wiem, że musisz jechać do Nowego Jorku. Ale nie rozumiem, po co masz tam zostawać po pogrzebie.

Potrzebuję cię tutaj!

— Nie wiem, co mnie czeka w Nowym Jorku — odparła Kate. — Więc nie mogę obiecać, kiedy wrócę. Z tego choćby powodu nie mogę zaangażować się w twoją obronę. I nie powinieneś przypuszczać, że będzie inaczej.

Ted westchnął i zaczął zdejmować brudne ubranie, które śmierdziało potem, ulicą i więzieniem.

— A gdybyś nie musiała jechać, pomogłabyś? Kate przygryzła wargi.

— Powiedziałam ci, nie jestem dziewczynką na posyłki, zwłaszcza dla Jake'a Hirsha.

Ted przesunął palcami po jej policzku.

— Zawsze myślałem, że będziesz przy mnie, Katie. Naprawdę. Nadal w to wierzę. Więc jedź i szybko wracaj do domu.

Serce Kate ścisnęło się, kiedy patrzyła, jak Ted idzie do łazienki, taki piękny, pociągający i czysty w bezwstydnym nagości. Coś w niej wrywało się do niego, a jednocześnie nienawidziła tej słabości, ponieważ Ted zawsze potrafił zadać jej ból. Omal go nie zawołała. Omal. Zrobiła jeden krok i znieruchomiła. Znała zapach celi więziennej. Znała też inny zapach, który pozostaje na ubraniu mężczyzny, na jego ciele: zapach kobiety nasyconej miłością.

Tak, Ted był w więzieniu i spotkał się z Jakiem Harishem. Później lednak, przed powrotem do domu, poszedł jeszcze gdzieś. Do czarującej Rosemary, która wyszła z tego mieszkania trzymając dłoń na jego ramieniu.

Czy sprytna Rosemary, na której twarzy widniał wtedy uśmiech, wiedziała, co się stanie? A Ted?

Kate usłyszała szum prysznica. *Już za późno.* Napisała liścik do Teda. Było to tylko jedno słowo: „Żegnaj”. Następnie zamknęła torby, włożyła płaszcz i wyszła w wilgotną mgłę.

Głupie i obraźliwe było to, że Ted miał rację: pomogłaby mu. Wiedziała to w głębi serca. Ale koniec z tym. Ponieważ tutaj, podobnie jak w Nowym Jorku, nie miała już domu, do którego mogłaby wrócić.

Dzień po tragedii w St. Gallen, szesnastego kwietnia, zaczął się sezon wyścigów łodzi motorowych. Producenci dostarczyli ręcznie wykonane łodzie warte setki tysięcy dolarów i wydali miliony na promocję i reklamę. Z powietrza statki wyglądały jak wspaniałe drapieżne ptaki. Czerwone, zielone, czarne i żółte odcinały się od tła lazurowego morza i białych pióropuszy piany. Nosiły nazwy *Skarabeusz*, *Pantera*, *Wilk*. Ich terenem łowieckim nie było jednak niebo, lecz morze, a pilotowali je śmiałkowie, którzy wiedzieli, jak wydusić maksimum mocy z przeciążonych silników, żeby osiągnąć ostateczny cel: zwycięstwo.

Zapaleńcy odłożyli wszystkie zajęcia i ściągnęli tłumnie z całego świata. Bywały wyścigi na dłuższych trasach i zdradliwszych wodach, prowadzone przy diabelskiej szybkości, która dziesięciokrotnie zwiększała niebezpieczeństwo. Nic jednak nie mogło się równać z wyścigiem Monako-Nicea 32, nazwanym tak ze względu na trzydziestodwukilo-metrową odległość dzielącą księstwo od Francji:

Uroczystości rozpoczęły się w Monte Carlo od śniadania z szampanem. Tutaj przedstawiono zawodników prasie. Były wśród nich legendy sportu. Marcello z Włoch, de Dion z Francji, Manitas de Plata z Argentyny, Baker-Howard z Londynu. Wśród doborowej dwunastki znalazł się jednak nowy przybysz, pilot brazylijskiej łodzi *Pantery*, na którym skupiła się uwaga wszystkich. Producent wiedział, że mocno ryzykuje. Jego pilot trenował dopiero od trzech lat i pomimo licznych zwycięstw nigdy nie próbował sił w tak ważnych zawodach, jak Monako -Nicea 32. Mimo to Brazylijczyk był bardziej niż zadowolony z próbných rejsów z Salwadoru do brazylijskiej prowincji Bahia. Inni mogli sobie uważać jego pilota za lekkomyślnego, zbyt ryzykującego, poświęcającego bezpieczeństwo dla szybkości i pozycji. Brazylijczyk miał inne zdanie. Zależało mu na kimś odważnym. Teraz, po tysiącu godzinach testów, wiedział, że **go** ma. Zdawał sobie zarazem sprawę, że liczby

i ładne obrazki nie przekonają potencjalnych kupców. Amatorzy wyścigów zaakceptują łódź — i kupią ją — tylko wtedy, gdy odniesie zwycięstwo. Patrząc na reporterów robiących zdjęcia, słyszał wewnętrzny głos, który mu mówił, że ma obie rzeczy: łódź i pilota.

Podczas śniadania piloci i protektorzy byli dla siebie uprzejmi, ale wszyscy się spieszyli. Po ostatniej filiżance kawy i obowiązkowej wymianie życzeń powodzenia, grupki rozeszły się do hangarów, gdzie mechanicy już rozgrzewali silniki. Tylko pilot *Pantery* uparł się, że nikt, nawet inżynierowie, nie może się zbliżyć do łodzi na dwadzieścia cztery godziny przed wyścigiem. Kiedy Brazylijczyk z lekkim sarkazmem zadał pytanie, kto wykona pracę, otrzymał zwięzłą odpowiedź:

— Ja. Wie pan, że mam kwalifikacje. Brazylijczyk zgodził się, a potem zapytał o powód.

— Możliwość sabotażu. Wie pan, ile mają do stracenia pozostali producenci, jeśli wygramy. W porównaniu z tym łapówka, która urządziłaby mechanika na całe życie, byłaby drobiazgiem. Zresztą, łódź jest pańska, ale życie moje.

Dzień był niemal bezwietrzny, a fale niewielkie. Producenci i kierowcy wymienili zadowolone uśmiechy: łodzie przystosowano do takich właśnie warunków.

Pantera, zaprojektowana do zmagania się z atlantyckimi falami w pobliżu wybrzeża Brazylii, wydawała się niezgrabna, wręcz ciężka obok smukłych kuzynów.

— Proszę się nie martwić — powiedział pilot uspokajającym tonem.

Brazylijczyk wzruszył ramionami.

— Powodzenia — mruknął i wsiadł do wynajętego helikoptera, żeby śledzić wyścig z powietrza.

Obserwował, jak *Pantera* wypływa z portu Monte Carlo do miejsca startu znajdującego się trzysta metrów od brzegu. Kiedy helikopter nabrał wysokości, producent zobaczył trasę oznakowaną przez czerwone boje. Co dwa kilometry stały łodzie sędziowskie. Przekroczenie linii, nawet o połowę długości łodzi, oznaczało automatyczną dyskwalifikację. Zdobywanie pozycji i wyścigi miały się odbywać w korytarzu o szerokości niecałych stu jardów. Było to przerażająco małe pole walki dla dwunastu łodzi, które razem miały moc ponad siedmiu tysięcy koni mechanicznych.

Gdy łodzie ustawiły się na starcie, tysiące widzów, którzy stali wzdłuż brzegu lub na balkonach wielkich hoteli i prywatnych willi, wstrzymało oddech. Wystrzeliła czerwona flaga i ciszę poranka przerwał huk silników.

Jak się spodziewano, Francuz de Dion i Baker-Howard z Anglii wyszli od razu na prowadzenie. Pozostałe łodzie zaatakowały ostro, z wyjątkiem *Pantery*, która, ku przerażeniu Brazylijczyka, ruszyła ostatnia. Brazylijczyk przeżegnał się odruchowo, obrażając przy okazji pilota, który pomyślał, że cudzoziemiec boi się z nim lecieć. Pilot *Pantery* nie posiadał się z radości. Łódź zachowywała się dokładnie tak, jak powinna. Silniki wyły coraz głośniej i fakt, że *Pantera* była ostatnia, nie miał żadnego znaczenia.

Pierwszy wypadek zdarzył się przy boi na dziesiątej mili, kiedy Włoch Marcello skręcił gwałtownie w prawo i zajechał drogę mniej doświadczonemu zawodnikowi. Publiczność wzdłuż Bas Corniche jęknęła z przerażenia, kiedy łódź zadarła dziób w niebo i przewróciła się do góry dnem. W ciągu paru sekund pomknęły w jej stronę jednostki ratunkowe.

Pilot *Pantery* natychmiast wykorzystał brak koncentracji Marcella i gładko minął rywala. Włoch wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Wyglądało na to, że wypadek zapoczątkował reakcję łańcuchową nieszczęść. Parę minut później eksplodował silnik jednej z łodzi, a kolejny zakrztusił się, prychnął i zgasł, a pilot bezradnie uderzył pięściami w koło sterowe.

Milę dalej został zdyskwalifikowany zawodnik, który chcąc uniknąć kolizji z Francuzem, przekroczył wyznaczoną linię. Sędzia odpalił żółtą rakietę i przekazał przez radio informację o dyskwalifikacji. Zostało już tylko ośmiu zawodników, ale według widzów wyścig i tak rozgrywał się między de Dionem a Bakerem-Howardem.

Jakże się mylili. Pilot *Pantery* ustawił łódź na falach utworzonych przez mknące z przodu jednostki. Inne statki zwolniłyby w takich warunkach, ale *Pantera* sunęła naprzód, młóćąc śrubami wodę. Bez wysiłku prześcignęła trzy konkurentki, tworząc tak potężny kilwater, że piloci musieli zredukować szybkość albo ryzykować wywrotkę.

Przy boi oznaczającej trzy czwarte trasy *Pantera* wysunęła się na trzecią pozycję. Liderzy zauważyli to i przysunęli się bliżej do siebie, płynąc dalej w równym tempie, ale zmieniając odrobinę kurs za każdym razem, kiedy *Pantera* próbowała wysforować się naprzód. Pilot przewidział ich strategię. Zamierzali go blokować aż do linii mety. Istniało jednak wyjście z tej sytuacji.

Widzowie wzdłuż nabrzeża Nicei byli zdumieni widokiem trzech łodzi mknących w trójkątnym szyku ku mecie znajdującej się w odległości zaledwie trzech czwartych mili. Brazylijczyk lecący helikopterem w myślach pochwalił pilota. Nie oczekiwał zwycięstwa, zważywszy na

to, że blokowano jego łódź. Nie było również czasu ani miejsca, by dogonić liderów. Ale pilot wykazał się ambicją i odwagą, a ponieważ łódź miała zapewnione trzecie miejsce, reklama będzie doskonała.

To, co się wydarzyło później, wszystkich wprawiło w osłupienie. Zamiast wyhamować i zadowolić się trzecim miejscem, pilot *Pantery* przyspieszył.

Widzowie, którzy mieli silne lornetki, nie mogli uwierzyć własnym oczom, widząc, w jakim tempie *Pantera* zbliża się do ruf prowadzących łodzi.

Cholerny szaleniec! pomyślał Anglik.

Nie tylko idiota, ale samobójca! pomyślał Włoch.

Nagle obaj poczuli wstrząs. Dziób *Pantery* najpierw musnął, a następnie uderzył w boki ich łodzi. Baker-Howard i Marcello zareagowali zgodnie z doświadczeniem i silnym instynktem samozachowawczym. Skręcili odpowiednio w lewo i w prawo. *Pantera* nie zatrzymała się. Z otwartymi szeroko przepustnicami i wyciem silnika przemknęła między nimi, pędząc w stronę mety i flotylli powitalnej.

Baker-Howard zrozumiał, że został wystrychnięty na dudka. Było już jednak za późno. Skręcił tak ostro, że nie zdołałby wrócić na kurs, by odzyskać prowadzenie. Mimo rozczarowania podziwiał pilota *Pantery*. Gdyby uderzenie okazało się za mocne, wszyscy trzej przekoziołkowaliby ponosząc śmierć. Nie stracił twarzy przegrywając z kimś tak odważnym, kto zdobył się na podobny manewr.

Marcello nie był równie wspaniałomyślny. On także musiał zboczyć z kursu.

Widział, jak wymyka mu się zwycięstwo. Ale niech to licho, jeśli pozwoli temu nowicjuszowi zrobić z siebie głupca. Pełną mocą silnika zawrócił łódź i ustawił ją ukośnie do *Pantery*.

Dla pilota *Pantery* dzika przyjemność wynikająca z ryzyka i bliskiej wygranej była największym afrodyzjakiem. Jakby dzielając radość swojego pana, łódź pędziła do przodu, bijąc własne rekordy szybkości.

Skarabeusz Marcella, jak czarny morski potwór, zbliżał się nieubłaganie do prawej burty. Każdy pilot zrobiłby w takiej sytuacji unik. Tak uważali krzyczący z przerażenia widzowie. Marcello był o tym przekonany.

Wszyscy się mylili. Mimo zagrożenia *Pantera* zwolniła. Na twarzy Marcella pojawiło się najpierw zdumienie, potem panika. *Skarabeusz* o włos minął dziób drugiej łodzi. We właściwym momencie pilot *Pantery* zamknął do końca przepustnice, by uniknąć zderzenia.

Biorąc pod uwagę szybkość, posunięcie Marcella było fatalne. Później organizatorzy wyścigu prywatnie zgodzili się, że można je również określić jako samobójcze. Wyniknąwszy się spod kontroli *Skarabeusz*

przewrócił się na bok i zaczął sunąć po powierzchni wody, odbijając się jak rzucony kamień. Marcello zginął na miejscu.

Pantera z rykiem silnika przekroczyła linię mety i wykonała zwycięską pętlę. Mijając łódź sędziowską, pilot wyszarpnął białą flagę i zrobił rundę przed flotyllą i Bas Corniche, gdzie stali wiwatujący widzowie. Następnie *Pantera* zawróciła i zacumowała przed Klubem Morskim. Sędziowie z pobladłymi twarzami czekali ze wspaniałym złotym trofeum wysokości półtora metra.

Pilot wyskoczył z łodzi, zdjął kask i rękawice, ukazując szopę kruczoczarnych włosów i długie smukłe dłonie.

Jasmine Fremont-Jabar wyrzuciła w górę ramiona na znak zwycięstwa. Na widok znanej już reporterom twarzy zabłysły setki fleszy. Pośród euforii nikt nie zauważył, że Jasmine zerknęła na wodę, gdzie dopalał się *Skarabeusz*. I nikt nie dostrzegł uśmiechu satysfakcji.

Jasmine znajdowała się w apartamencie hotelu Negresco na nicejskim bulwarze, Promenadę des Anglais. Wciąż jeszcze odczuwała podniecenie niedawnym zwycięstwem. Adrenalina podsyciała w niej gniew.

Jasmine była wspaniałą kobietą z długimi silnymi nogami, smukłą talią i obfitymi piersiami nie tkniętymi przez chirurga. Skończyła czterdziestkę, lecz wyglądała co najmniej dziesięć lat młodziej. Tylko gniew malujący się na twarzy o wydatnych kościach policzkowych i wykrzywione kąciki ust zdradzały wiek. Wokół błyszczących niebieskich oczu zaznaczały się lekkie zmarszczki.

— Gdzie to jest, do diabła? — zapytała, chodząc po pokoju i wymachując cygarniczką jak laską.

Anthony, jej wytworny ciemnooki libański asystent i totumfacki, poruszał się leniwie po przebieralni, zbierając części jej stroju wyścigowego, leżące na dywanie.

— Co mówiłaś, *cherie*?

— Słyszałeś! Anthony uniósł ręce.

— Nie wiem, *cherie*. W recepcji powiedzieli, że zaraz to przyślą na Kórę.

W tej chwili rozległ się dzwonek do drzwi i jednocześnie zabrzączał telefon.

Jasmine szybko otworzyła drzwi i chwyciła telegram ze srebrnej tacy trzymanej przez gońca. Pogrzebała w kieszeniach białego kombinezonu i rzuciła na tacę parę zmiętych banknotów.

To Pierre, dzwoni z Paryża — poinformował ją Anthony znudzonym głosem.

Zdaje się, że jest załamany, *cherie*.

— Idź się czymś zająć — poleciła Jasmine, biorąc od niego słuchawkę. — Pierre?

— Jasmine, słyszałaś?

Histeria w głosie Pierre'a wywołała uśmiech na jej twarzy.

— O tak, Pierre, słyszałam.

Krwistoczerwonym paznokciem otworzyła telegram.

Osiemnastoletni doręczyciel pochodził ze wsi i uważał się za szczęściarza, ponieważ dostał pracę u znanego paryskiego jubilera. Szczególnym szczęściarzem czuł się tego ranka. Stała przed nim piękna i naga kobieta. Złote włosy opadały jej na ramiona, a w niebieskich oczach czaiła się złośliwość przebijająca również w zmysłowym uśmiechu.

— P... p... paczka, madame — wyjąkał.

Dziewczyna, zupełnie nie zmieszana, zrobiła krok do przodu, a jej sterczące piersi lekko zafalowały. Leniwie wyciągnęła rękę po paczkę. Chłopak, który próbował skoncentrować spojrzenie na jakimś niewidocznym punkcie ponad jej ramieniem, skwapliwie wyjął rachunek, upuszczając go na podłogę. Odruchowo opadł na kolana, co okazało się wielkim błędem, ponieważ po drodze zobaczył skarby, o jakich mógł tylko śnić. Musiał pokonać tę samą drogę z powrotem, co zrobił już znacznie wolniej. Dziewczyna, może dwa lub trzy lata starsza od niego, uśmiechnęła się szelmowsko na widok jego zakłopotania.

— Kiedy dojdę na środek pokoju, możesz zamknąć drzwi — szepnęła.

Z ramionami opuszczonymi po bokach, lekko wymachując wąskim pudełkiem od jubilera, ruszyła powoli przez korytarz. Kiedy mijała ozdobne lustro w złoconej ramie, usłyszała szcęk zamka. Uśmiechnęła się szeroko i weszła do sypialni, gdzie jej kochanek ubierał się do kolacji.

— *Cher?*

Pierre Fremont spojrział na nią przestraszony.

— Co?

— Właśnie to odebrałam.

Pierre popatrzył na frontowe drzwi.

— Cleo, tak... — zająknął się, pokazując ręką jej nagość. Odrzuciła głowę do tyłu, roześmiała się i usiadła, opierając stopy o poręcz, krzesła. Na widok złościstości między jej nogami Pierre'owi zaschło w ustach.

— Nie bądź głupi! — powiedziała, udając zagniewanie. — Czy pokazałabym się tak obcemu?

— Nie, oczywiście, że nie — odpowiedział Pierre pośpiesznie. Nie, jego Cleo nie zrobiłaby czegoś takiego. O, lubiła paradować

nago i jeszcze bardziej ją za to kochał... zwłaszcza jeśli miała na sobie czarne pończochy i buty na wysokich obcasach, a usta grubo pomalowane czerwoną szminką. Babilońska ladaczniczka, madonna, czarownica, która raz pozwoliła mu siebie posmakować i w ten sposób uczyniła go nienasyconym.

Jakże kochał swoją Cleo! Rozkoszował się pięknem i przysięgał, że zrobi wszystko, by jej nie utracić, nigdy...

Dotrzymałem słowa, a ona nawet o tym nie wie.

Cleo wiedziała, jakie myśli krążą mu po głowie. Zawsze wiedziała. Jej matka również miała ten dar. Była pijaczką i dziwką, która oszukiwała turystów palących się do poznania egzotycznej Arabii. Przepowiadanie przyszłości, wróżenie z ręki, tarot. Ouija, podstarzali pasażerowie statków wycieczkowych, którzy czytali w czasopismach o tajemniczych związkach Madame Trubeckoj ze światem pozagrobowym. Była kosztowna reklama, wysoka opłata za klitkę ozdobioną jak namiot Valentino w *Szejku*, ale naiwnych nigdy nie brakowało.

Gdyby nie alkohol i narkotyki, zarobione w ten sposób pieniądze wystarczyłyby na życie. Lecz w sezonie turystycznym gust Madame Trubeckoj zmieniał się.

Przechodziła z taniego araku na markowego szampana i szare opium. W zimie użyczała swojego ciała, by zapłacić gospodarzowi. Kiedy Cleo skończyła dziesięć lat, czynsz został podniesiony, obejmując również jej usługi...

Cleo zwalczyła pokusę, by porwać z talerza następną truskawkę. Sięgnęła po nią niedbale, jakby w każdej chwili mogła wybierać z miliona. Dużo czasu zabrało jej wyrobienie w sobie takiej dyscypliny. Nawet teraz, kiedy miała życie, o jakim nie mogła marzyć jej matka, gdzieś głęboko w duszy była nadal smutnym, cichym dzieckiem, które bało się, że w każdej chwili może stracić wszystko.

— To dla mnie?

— Co?

— Pierre, doprawdy! Wcale nie zwracasz na mnie uwagi!

Jej lekko obrażona mina zawstydziała go i zarazem podnieciła. Wlepił wzrok w paczkę.

— Gdybym nie była pewna, że jesteś kawalerem, pomyślałabym, że to prezent dla żony! — Cleo wstała z udawanym rozdrażnieniem.

A może to dla innej kobiety?

— Ależ nie, Cleo!

Pierre pośpiesznie rozerwał opakowanie i otworzył pudełeczko. Na czarnym aksamicie leżała jedyna w swoim rodzaju bransoletka z dwóch pasków wysadzanych diamentami i szafirami, splecionych jak węże.

— Chodź tutaj! — szepnął ochryple.

Majstrował niezgrabnie przy zapięciu, gdyż nie mógł oderwać wzroku od jej doskonałych piersi. W końcu zapiął bransoletkę. Cleo zrobiła krok do tyłu i wyciągnęła rękę jak tancerka.

— Pamiętałeś! — wyszeptała kilkakrotnie.

Oczywiście, że pamiętał. Wystarczyło, że Cleo o czymś napomknęła

— na przykład o tym, jak bardzo się jej podobała bransoletka widziana na wystawie u Bułgariego — a Pierre traktował to jak subtelny rozkaz. Zależało mu jedynie na tym, by ją zadowolić i sprawić, żeby wyglądała tak jak teraz. Kiedy Cleo paradowała po pokoju, Pierre myślał: „moja... ona jest moja!”.

Nagle przypomniał sobie o telegramie, który dostał zaledwie godzinę temu. Gdy go przeczytał, strach ścisnął mu serce. Jednocześnie poczuł radość, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył. Wraz z wypadkiem Alexandra Masera na szosie pod Genewą zniknęło zagrożenie dla niego i dla Cleo. Mimo podniecenia i ulgi nie opuszczały go złe przeczucia. Wiele mogło się jeszcze wydarzyć. Dlatego też, kiedy w końcu się pozbierał, zadzwonił do Jasmine, która przewidziała wszystkie jego pytania i udzieliła mu odpowiedzi, jakich pragnął.

— Pierre, kochanie. Pytałam cię, czy naprawdę chcesz iść to uczcić.

— Cleo przekreśliła nadgarstek, a kamienie zaślniły przed oczami Pier-re'a.

Przesunęła językiem po wargach. — A może wolisz zostać?

— Zostańmy. Tylko my dwoje.

— Jak chcesz, mój kochany — szepnęła Cleo, siadając mu na kolanach.

Choć zachwycona podarunkiem, wiedziała, że Pierre coś przed nią ukrywa.

Wyraźnie się denerwował, biedny kłamca. Była zadowolona, że namówiła go do zostania. Gdy będą sami, spoi go winem. Pierre, znawca win, miał słabą głowę.

Kiedy zrobi się śpiący, Cleo zaciągnie go do łóżka, a potem przeszuka skrytkę. Nie podejrzewał, że ją znalazła.

Jeszcze dwa miesiące temu Pierre Fremont uważał swój świat za doskonały. Jako Fremont został wychowany w atmosferze władzy i przywilejów. Z natury ostrożny i skrupulatny, odkrył, że rozumie tajemny świat finansów i dobrze się w nim czuje. Dla niego bankowość kojarzyła się z porządkiem, a bez porządku nic się nie liczyło.

Jako doktorant na Sorbonie, pracował dla Rothschildów, a później w kilku innych europejskich instytucjach finansowych, zdobywając doświadczenie i nawiązując cenne kontakty. W wieku trzydziestu kilku lat zyskał sobie szacunek zagranicznych bankierów i ministrów finansów, a ostatnio osiągnął szczyt kariery, zostając najmłodszym dyrektorem w historii Banku Libańskiego. Na takim stanowisku nie mógł oczywiście mieć jakichkolwiek związków z Casino de Paradis i spółką holdingową SBM. Aby uniknąć niezręcznej sytuacji, oddał swoje udziały w zarząd powierniczy.

Bardzo mu to odpowiadało. Zawsze czuł się zdominowany przez Armanda. Wolał trzymać się w cieniu, więc chętnie pozwolił mu prowadzić Casino de Paradis i przyznawał, że Armand robi to doskonale. Poza utrzymaniem rezydencji w Paryżu i Bejrucie Pierre miał niewiele wydatków. Koszty podróży, przyjęć oraz nieprzewidziane wydatki pokrywał bank, a miesięczna pensja aż nadto wystarczała na jedną słabostkę: dobre jedzenie. Uważał, że ma dość pieniędzy nawet na dwa życia. Wkrótce się przekonał, jak mylne były jego kalkulacje.

Pomimo pozycji i zamożności Pierre'a wytworne bejruckie kobiety rzadko rzucały na niego drugie spojrzenie. Miał zaledwie metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, pospolitą twarz ze zbyt długim nosem i wodnistymi szarymi oczami. Skutkiem całych lat zaniedbywania ćwiczeń fizycznych był pokaźny brzuch. Linia włosów cofała się szybciej, niż topniał lód w południowym słońcu. W wieku zaledwie trzydziestu sześciu lat wyglądał i zachowywał się jak stary człowiek.

Gdyby Pierre miał więcej szczęścia, natura mogłaby go obdarzyć bogatą, magnetyczną osobowością. Był jednak wyjątkowym nudziarzem, choć nazwisko i konto w banku niezaprzeczalnie robiły wrażenie. Nie potrafił opowiadać anegdot ani dowcipów. Na przyjęciach marudził tylko o kuchni i winach. Bejruckie kobiety kochały jedzenie, ale nie lubiły o nim rozmawiać. A co z hazardem i szalonymi zabawami? Weekendami na jachcie i zakupami w Rzymie lub Atenach? Rozkosznymi plotkami o cudzołóstwie w wielkim świecie, odwiedzaniem podejrzanych i niebezpiecznych miejsc, które pobudzały najbardziej nawet oziębiałe zmysły? Pierre nie lubił żadnej z tych rzeczy.

Pogodzony ze starokawalerstwem, dwa razy do roku odwiedzał przybytek uważany za najbardziej stateczny burdel w Bejrucie. Doszedł do wniosku, że namiętność, o której słyszał w Klubie Jeździeckim, jest czymś dla niego niedostępnym.

Jedyną pasją Pierre'a było jedzenie. Założył mały pry walny klub, którego członkowie spotykali się dwa razy w miesiącu w swoich do-

mach. Gospodarz stawiał za punkt honoru, by, niezależnie od stanu majątkowego, wybrać dania, zrobić zakupy i wszystko przygotować.

Będąc akurat tego wieczoru gospodarzem, Pierre wybrał na główne danie dziczyznę i denerwował się, że jeszcze nie dostarczono owoców jałowca, które zamówił w supermarkecie Goodies, bejruckim dostawcy ingrediencji dla smakoszy. Kiedy więc wesoło zabrzączał dzwonek nad kuchennymi drzwiami, otworzył szeroko drzwi, spodziewając się arabskiego gońca.

Zamiast niego ujrzał zjawę. Była wysoka. Minispódniczka odsłaniała długie nogi. Bawełniany sweterek opinał piersi. Włosy miała związane w koński ogon, co nadawało jej młodzieńczy wygląd. W ramionach trzymała kwiaty do przystrojenia stołu.

— Dostawa dla Fremonta — powiedziała dziewczyna, rozglądając się po profesjonalnie zaprojektowanej i wyposażonej kuchni.

— Ja... ja jestem Fremont.

Cleo popatrzyła na niego sceptycznie. Ten palant w fartuchu niemal ciągnącym się po podłodze miałby być tym Fremontem, z powodu którego właściciel kwaciarni robił tyle zamieszania?

— Więc to dla pana. Mam je zostawić tutaj czy zanieść do jadalni?

— Do... jadalni.

— Potrzebuję wazonu.

— Tak, oczywiście, już...

Zdenerwowany, zakłopotany i onieśmielony Pierre omal nie upuścił wazy z Sevres, którą wybrał na tę okazję.

— Może ja to zrobię? — zaproponowała dziewczyna. — Bez dodatkowej opłaty.

Zanim Pierre zdołał powiedzieć słowo, stanęła przy stole jadalnym i zaczęła układać kwiaty. Usiadł naprzeciwko niej i obserwował, jak pracuje. Minęło pięć strasznych minut, zanim zdobył się na odwagę.

— Jak pani ma na imię, jeśli mogę zapytać? Chabrowe oczy spojrzały na niego ironicznie.

— Dlaczego chce pan wiedzieć?

— Cóż, ja tylko...

Szukał gorączkowo jakieś zręcznej, dowcipnej odpowiedzi, ale bezskutecznie.

Zaczerwienił się.

— W porządku — powiedziała dziewczyna. — Przynajmniej nie próbuje mnie pan bajerować. Mam na imię Cleo.

Cleo! Jak cudownie zabrzmiało to w jego uszach. Pierre nie potrafił *ię już wycofać. Może szklaneczkę wina?

Cleo popatrzyła na niego z kpina. Dokładnie wiedziała, o co chodzi. Musiała jedynie się zorientować, na ile może sobie pozwolić z tym imbecylem. Jeśli będzie dla niego miła, przynajmniej dostanie duży napiwek. Okazało się, że zyskała znacznie więcej. Cleo została przez dwie godziny, a Pierre był bliski łez, kiedy wychodziła. Kolacja tego wieczoru nie spotkała się z uznaniem, ale Pierre

o to nie dbał. Nie mógł zapomnieć o Cleo, lecz nie miał odwagi, by zadzwonić do niej do kwiaciarni. Poradził sobie z tym problemem, zamawiając kwiaty i modląc się, żeby przyniosła je Cleo. Tak też się stało. Po dwunastu bukietach w końcu odważył się i zaprosił ją na kolację. Nie posiadał się z radości, gdy wyraziła zgodę. Był najdumniejszym mężczyzną w Bejrucie, kiedy prowadził Cleo do restauracji „Oiseau Bleu” w Casino de Paradis, a potem na kabaret.

Ich związek wkrótce stał się tematem rozmów w całym Bejrucie. Pierre był zawstydzony, dopóki nie uświadomił sobie, że wszyscy traktują go z szacunkiem. Przyjaciele znali go nie tylko jako zatwardziałego kawalera, ale wiedzieli również, jak bardzo jest ostrożny, jeśli chodzi o pieniądze. Nie mogli uwierzyć, że płaci tej dziewczynie. Doszli więc do wniosku, że musi mieć inne zalety.

Pierre poczuł nareszcie, że naprawdę żyje. Młodość Cleo dodawała mu sił. Kiedy wychodzili na tańce, udzielała mu się jej energia. Wiedział, że staje się obiektem żartów. Zauważał krzywe uśmiešky na twarzach młodych mężczyzn włóczących się po bejruckich klubach

1 słyszał ich sarkastyczne uwagi. Lecz po raz pierwszy w życiu nie przejmował się tym, co kto mówi. Kiedy był z Cleo, nic się nie liczyło, ponieważ stworzyli swój własny świat, a już stracił na to nadzieję. Przysięgał sobie, że cokolwiek się stanie, nigdy z niego nie zrezygnuje.

Po sześciu miesiącach umizgów Cleo przeprowadziła się do niego. Stałoby się to szybciej, ale Pierre był ostrożny. Bał się, że Cleo go zostawi. Jeszcze bardziej obawiał się, że ma na boku chłopaka i robi z niego głupca. Tak więc wynajął bardzo dyskretnego i bardzo drogiego prywatnego detektywa, który śledził ją przez trzy miesiące.

Pierre'a zadowolili raporty. Cleo nie kłamała. Mieszkała w małym mieszkaniu w turystycznej części bejruckiego portu. Jej matka, już nieżyjąca, zarabiała na życie jako medium. Formalna edukacja Cleo skończyła się na ostatniej klasie szkoły parafialnej. Później dziewczyna dostała pracę w kwiaciarni. Według detektywa żyła spokojnie, **od czasu do czasu** chodziła na randki, ale nie miała żadnego romansu. Pierre nie mógł uwierzyć, że reszta świata przeoczyła taki bezcenny klejnot. Ale nie zamierzał kwestionować swojego szczęścia. Nie podejrzewał również, że dziewczyna może się okazać spozstrzegawcza i zaoferować

detektywowi to, czego nie mógłby dostać za żadne pieniądze, w zamian za pominięcie pewnych szczegółów i ubarwienie innych.

Po wprowadzeniu się Cleo Pierre ze zdumieniem odkrył, że we dwójkę nie da się żyć tanio na poziomie, do jakiego się przyzwyczaił. Kieszonkowe, które dawał Cleo, uważając je za bardzo szczodre, wkrótce okazało się niewystarczające. Z najbardziej ekskluzywnych i drogich sklepów odzieżowych Bejrutu zaczęły co miesiąc przychodzić rachunki. Nie znając cen kobiecych strojów, Pierre był zaskoczony, dopóki Cleo nie wyjaśniła mu delikatnie pewnych prawideł rządzących światem mody.

Przychodziło coraz więcej rachunków. Do ubrań potrzebne były dodatki, które z kolei wymagały biżuterii. Zadziwiająco odmieniona kobieta zażądała bentleya, żeby móc jeździć do fryzjera, manikiurzystki i masażysty, oraz maserati na przejażdżki wzdłuż wybrzeża. Nowych przyjaciół należało podejmować w odpowiedni sposób, co oznaczało rejsy nowym sześćdziesięciopowym jachtem.

Pierre, który potrafił w środku nocy wzywać ministrów, żeby wyliczyli się z wydatków, nawet szeptem nie zaprotestował przeciwko rozrzutności Cleo. Choć za każdym razem obiecywał sobie wydzielać jej pieniądze, doprowadzała go do ekstazy, po której opadał z sił. Wszystko jej wybaczał, zapominał i w głębi serca czuł ulgę. Nie potrafił znieść myśli, że gdyby wyraził jakieś obiekcje co do zwyczajów Cleo, uznałaby go za skąpca.

Ponieważ w Bejrucie uważano Pierre'a za bajecznie bogatego, nikt nie dziwił się jego hojności. Księgi rachunkowe świadczyły jednak

o czymś innym. Po pierwszym roku spędzonym z Cleo Pierre musiał stawić czoło faktowi, że stoi na skraju bankructwa. Rozszedł się jego

1 roczny dochód w wysokości miliona dolarów, cała gotówka i oszczędności. Pod koniec drugiego roku miał długi w trzech bankach lodyńskich, których cierpliwość zaczęła się wyczerpywać.

Przyparty do muru, stanął przed dylematem. Jeśli zacznie kontrolować wydatki Cleo, ona od niego odejdzie. Było to nie do przyjęcia. Ićsi nie zapłaci angielskim bankom, wcześniej czy później rozejdzie się plotka o jego kłopotach finansowych. Do tego również nie mógł dopuścić. Musiał zatem znaleźć nowe źródło dochodów. Pierre zastanowił się nad sytuacją i doszedł do smutnych wniosków. Nie mógł zwrócić się do nikogo po pieniądze, nawet do rodziny, ponieważ jako dyrektor banku narodowego naraziłby się na zarzut niewłaściwego postępowania. Nie mógł sprzedać udziałów w Societe des Ilams Mediterranien, ponieważ, prawo pierwokupu mieli członkowie

rodziny. To znaczy Armand, który nie powinien się dowiedzieć o rozpaczliwym położeniu Pierre'a i Jasmine, która potrzebowała pieniędzy na realizację swoich planów.

Pozostawało tylko jedno wyjście. Nikt się o tym nie dowie, nawet jego wszechmocny wuj Armand, który miał wszędzie oczy. Uda mu się, jeśli będzie postępował bardzo ostrożnie.

W najgorszych snach Pierre nie podejrzewał, że to nie Armand, lecz człowiek znajdujący się w odległości sześciu tysięcy mil — Alexander Maser — odkryje jego sekret.

— Kochanie, dobrze się czujesz?

Cleo wyszła z przebieralni. Czerwone cekiny minispódniczki od Saint Laurenta rzucały iskry.

Pierre uśmiechnął się, widząc zatroskaną minę Cleo.

— Trochę mi dolega żołądek. Możesz mi przynieść Fernet-Branca? Cleo naląła mu gorzkiego fioletowego likieru i patrzyła, jak pije.

— Teraz musisz mi powiedzieć, o co chodzi. Wiem, że to ma coś wspólnego z telegramem, który dzisiaj dostałeś.

— Alexander Maser zginął w wypadku samochodowym — oznajmił Pierre. Cleo zmarszczyła brwi i Pierre dostrzegł w jej oczach błysk na dźwięk tego nazwiska.

— Maser?

— Był bankierem z Nowego Jorku. Znałem go dość dobrze. Był najlepszym przyjacielem Armanda. Razem dorastali.

— Jakie to musi być straszne dla Armanda!

— Jasmine upierała się, że Louis i ja musimy pojechać do Nowego Jorku na pogrzeb.

Cleo od razu zauważyła, że Pierre nie wspomniał o niej, ale nie podjęła tematu.

— Więc dzisiaj wcześniej pójdziemy do łóżka — powiedziała Cleo zdecydowanie.

— Za dużo pracujesz, a teraz jeszcze ta okropna wiadomość. Chcę, żebyś odpoczął przed podróżą.

Zanim wieczór się skończył, Pierre opróżnił całą butelkę wina i trzy kieliszki likieru. Tej nocy nie zbudziłoby go nawet bombardowanie. Była tego pewna.

Cleo leżała naga w chłodnej pościeli. Na suficie widniał abstrakcyjny wzór, który tworzyły cienie trzech gałęzi na tle bladoniebieskiego księżyca. Bezszelestnie wysunęła się z łóżka i przeszła na stronę Pierre'a, stając naprzeciwko obrazu wiszącego na ścianie. To był Modig-

liani — Madonna o oczach łani namalowana w szarościach i błękitach. Miała wydłużone rysy, jakby jej twarz wyciągnięto niczym toffi. Cleo wiedziała, że malarz jest sławny, a obraz wart mnóstwo pieniędzy, ale nigdy jej się nie podobał.

Interesowało ją tylko to, co znajdowało się za nim.

Mieszkała z Pierre'em niecałe dwa tygodnie, kiedy odkryła, że za obrazem mieści się sejf. Zabawnie było obserwować Pierre'a wybierającego kombinację cyfrową. Widziała to, gdyż odpowiednie ustawienie luster w przebieralni dawało doskonały widok na sypialnię. Kiedy pierwszy raz otworzyła sejf, wiele rzeczy zrozumiała. Cleo pogładziła bransoletkę wysadzaną brylantami i szafirami, którą nałożyła przed pójściem do łóżka. Była zadowolona, że kochanek niewiele o niej wie. Pierre miał na oczach łuski. Nigdy nie dostrzegwał, że jej miłość do niego to udawanie. Nie była zdolna do uczuć. Traktowała to jako kolejne drobne oszustwo. Najnowszy prezent, jak większość z tych, którymi obsypywał ją Pierre, zostanie zastąpiony przez imitację, a oryginał zniknie w skrytce w rzymskim banku. Kochanek i tak nie zauważy różnicy.

Cleo nigdy nie brała miłości Pierre'a za coś trwałego. Wychowana przez ulicę i nauczona cynizmu, wiedziała, że któregoś dnia tak czy inaczej go utraci. W przeciwieństwie do swojej matki przygotowała się na ten dzień. Ukryta biżuteria urządzi ją na całe życie. Ale poznawszy mały sekret Pierre'a, zmieniła plany. Dlaczego miałyby się zadowolić milionem dolarów ze sprzedaży biżuterii? Mogłaby ją zatrzymać i dostać jeszcze tyle samo... albo więcej?

Spojrzała na Pierre'a zwiniętego na poduszce jak przerośnięte dziecko. Cieszyła ją świadomość, że może w każdej chwili otworzyć sejf i pomyszkować w czymś, co uważał za swój największy sekret. I zrobiłaby to, gdyby nie powiedział jej o telegramie od Armanda, zrozumiała, dlaczego Pierre nie mogący znieść widoku krwi czuł się tuk nieswojo. Postanowiła odłożyć sprawę na później. Pierre'a nie będzie przez dzień lub dwa dni. Miała mnóstwo czasu, by zrobić to, co zaplanowała.

W biurach Interarmco mieszczących się na najwyższym piętrze niepozornego budynku w dzielnicy handlowej nad jeziorem panował chłód. Taką temperaturę ustawiono z myślą o maszynach, a nie obsługujących je ludziach. Na całym piętrze znajdowało się kilkanaście stanowisk dla pracowników i tylko trzy gabinety dyrektorów. Resztę powierzchni zajmowały komputery, najszybsze i najpotężniejsze maszyny, jakie IBM i Univac miały do zaoferowania. Były sercem i mózgiem agencji bezpieczeństwa, którą stworzył David Cabot. Gromadząc, przetwarzając, magazynując i w razie potrzeby przywołując setki tysięcy bitów informacji z całego świata, komputery czyniły z Interarmco potężną prywatną służbę wywiadowczą. To właśnie ich zdolność do łączenia pozornie nie powiązanych ze sobą faktów dotyczących tysięcy osób i sytuacji na świecie często pozwalała Armandowi Fremontowi pokonać konkurentów.

Różowe promienie świtu przesunęły się po śpiącej postaci. Część umysłu Davida Cabota zarejestrowała światło padające na twarz. On sam nadal pozostawał w sennym koszmarze, pod wpływem którego jęczał i sływał potem. Sen zawsze był taki sam od dwudziestu lat.

David stoi przy sterze pięćdziesięcioczerostopowego jachtu *Marzenie Celesty*, nazwanego tak od imienia jego matki. Wschodnią część Morza Śródziemnego trzydzieści mil od tureckiego wybrzeża marszczy lekka bryza, wypełnia żagle i pcha statek przez fale. Wodny pył spryskuje Davida, ale chłopiec tylko się śmieje. Jest żylastym trzynastolatkiem, brązowym od słońca. Matka siedząca na pokładzie odwraca się do niego i grozi palcem. Ojciec obsługujący żagiel na dziobie uśmiecha się, ale mówi, żeby syn był ostrożny.

Są na morzu od dwóch tygodni. Wyruszyli z Cypru, klucząc między wyspami greckimi. Rejs zbliżał się do końca. Kierowali się na południe wzdłuż wybrzeża tureckiego, potem syryjskiego i dalej do Libanu. Pod-

róż była spotkaniem rodzinnym i prezentem jednocześnie. Ojciec Davida cztery lata spędził na wojnie. Matka pracowała jako pielęgniarka Czerwonego Krzyża w Londynie, a David został z przyjaciółmi w kraju. Wszyscy przetrwali na swój sposób. Teraz świętują powrót do normalnego życia.

Tego wieczoru łódź kołysze się łagodnie na falach, a rodzina obserwuje mrugające światła Trypolis. Tę porę dnia David kocha najbardziej. Jest najedzony, mięśnie twarde jak postronki odpoczywają, myśli, choć leniwe, wybiegają naprzód. Ojciec, który służył w Afryce, opowiadał im tyle cudownych historii o Bejrucie. David nie może się doczekać, kiedy go zobaczy.

Zapada w drzemkę na pokładzie. Czuje ruch wokół siebie, słyszy szepty, ale nie porusza się. Wie, że jest bezpieczny, że te dźwięki to tylko głosy jego rodziców... Wtedy następuje pierwsza eksplozja. David zrywa się oślepiiony płomieniem unoszącym się wysoko nad statkiem. Słyszy gardłowe słowa w języku, którego nie rozumie, i krzyk ojca. Potykając się idzie w stronę rufy i cofa z przerażeniem, widząc rój ciemnych postaci wspinających się na burty jak szczury. Nagle przy nim pojawia się ojciec z pistoletem w ręce. Chwyta Davida za kołnierz i odciąga. Pistolet strzela, ale pada ojciec. Kiedy David spogląda w dół, widzi krwawą masę zamiast torsu ojca.

Celesta Cabot nie traci głowy. Opatrywała straszniejsze rany. David patrzy, jak matka podnosi pistolet i strzela do atakujących. Dwaj padają, ale trzeci rzuca się na nią, unosi wysoko ramię. Ostrze błyszczy krwawo w dogasających płomieniach. David słyszy swój krzyk. Wymachuje rękami, zadając na oślep ciosy. Czerpie dziką satysfakcję z okrzyków bólu. Przeciwników jest jednak zbyt wielu. Coś mocno uderza go za uchem...

Kiedy odzyskuje przytomność, jest mu zimno i mokro. Ręce ma związane, a w ustach śmierdzącą szmatę. W oddali płonie łódź. Pomarańczowe płomienie odbijają się na wodzie. W oczach Davida zbierają się lzy. Drży gwałtownie, widząc, jak pęka maszt *Marzenia Celesty* i zanurza się w morzu. Słyszy za sobą śmiech, ochrypły szept, a potem i żuje czyjś dotyk...

Łudzi się w dużym pomieszczeniu o grubych murach, z małym zakitowanym okienkiem u góry. Mężczyzna o orlim nosie, z dużymi kolczykami w uszach i złotym zębem dźwiga go i stawia na nogi. Gdzieś w ciemności David słyszy szuranie bosych stóp po glinianej podłodze, pociąganie nosem i szloch.

Mężczyzna popycha Davida w stronę światła. Nagle pokój wypełnia się dziećmi trzymającymi się za ręce. Są wśród nich ciemni Afrykanie i śniadzi Arabowie, dzieci z oliwkową cerą i parę z niebieskimi oczami Skandynawów. David widzi przerażenie na ich twarzach, nieświadomy, że one dostrzegają je także u niego. Pomimo różnic wieku i koloru skóry strach i kajdanki czynią z nich braci i siostry. Mężczyzna ze złotymi kolczykami klaszcze w dłonie. Drzwi otwierają się i wchodzi kilku dobrze ubranych ludzi. Bez słowa przechodzą przed dziećmi, przesuwają dłońmi po ich włosach i skórze, unoszą brudne bawełniane koszule, żeby spojrzeć na genitalia.

Ręce Davida zaciskają się w pięści. Serce wali mu ze strachu i gniewu. Widzi płonący maszt, który wpada do morza, do grobu rodziców. Zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje, choć nie może uwierzyć, że przydarza się to właśnie jemu. Wie, że musi walczyć.

Jeden z mężczyzn unosi jego koszulę i ścisną penis. Pięść Davida trafia go w nos. Mężczyzna krzyczy i cofa się. David opada na kolana, gotów bronić się ze wszystkich sił. Mężczyzna ze złotymi kolczykami rusza na niego z batem w dłoni. Nie dociera jednak do niego. Zamiera w pół kroku, a wyraz wściekłości na jego twarzy ustępuje miejsca niedowierzaniu. Kiedy pada w przód, David widzi nóż w jego plecach.

Jeden po drugim kupcy padają, przeszyci kulami. David czuje zapach kordytu i przez dym dostrzega wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę o czarnych błyszczących oczach. Obok niego pojawiają się inni mężczyźni, klękają przed dziećmi, rozcinają łańcuchy.

— Kim jesteś, chłopcze? — pyta mężczyzna.

David wstaje chwiejnie. Coś w jego twarzy wywołuje uśmiech mężczyzny.

— Jesteś teraz bezpieczny, chłopcze — mówi. — Wkrótce wrócisz do domu.

Wargi Davida drżą, ale jakoś udaje mu się wydusić z siebie:

— Kim pan jest?

— Nazywam się Armand Fremont. Nie musisz się bać...

— Mam na imię David... i straciłem dom!

David Cabot długo stał pod gorącym prysznicem, ale nie mógł zetrzeć resztek koszmaru. To nie po raz pierwszy ani ostatni. Sen zawsze zostawiał ślad, kolejną cienką warstwę bólu nakładającą się na wcześniejsze.

Nie zniknęły również inne wspomnienia, choć te były ukojeniem. Ubierając się przypomniał sobie, jak wiele lat później, kiedy dowiedział się więcej o Armandzie, zapytał go:

— Dlaczego mnie nie oddałeś?

Armand spojrział na niego i David uświadomił sobie, że tamten nie jest pewien, czy znalazł właściwą odpowiedź.

— Bo zrozumiałem, że naprawdę straciłeś dom. Nikt wcześniej czegoś takiego mi nie powiedział.

— Ale musiały być setki innych sierot! Armand ze smutkiem skinął głową.

— Ale my wybraliśmy siebie, prawda?

To prawda. David nie miał po co wracać do Anglii. Zostali mu tylko stara ciotka i wuj. Kiedy brytyjski Czerwony Krzyż zjawił się w szpitalu, gdzie przebywały dzieci przed powrotem do domu, odmówił wyjazdu. Armand zauważył jego dziką determinację, którą jeszcze podkreślały strach i smutek. Na większość dzieci ktoś czekał, ale nie na tego zagubionego nastolatka, którego chmurne oczy z wyzwaniem patrzyły na Armanda.

Sprawy związane z pozostaniem Davida w Bejrucie załatwiono szybko. Ambasador brytyjski był bliskim przyjacielem Armanda i jego opinia, że Fremont zapewni dobrą opiekę Davidowi Cabotowi, przeważała. Chłopiec zamieszkał w domu Armanda. Został zapisany do najlepszych prywatnych szkół i po niecałych dwóch latach mówił płynnie po francusku i arabsku. Później wstąpił na Uniwersytet Amerykański w Bejrucie, a następnie skończył ekonomię w Harvardzie.

Kiedy uznał, że niewiele już się nauczył w szkołach, wrócił do Bejrutu i oznajmił Armandowi, że chce z nim pracować.

— Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań — zapewnił go Armand.

Był bardzo dumny z Davida i uważnie śledził jego postępy, zastanawiając się, co jego wychowanek postanowi zrobić w dorosłym życiu.

— Wiem — odparł David. — Ale chcę tego. Uratowałeś mnie, dałeś mi drugą szansę i nie chcę jej zmarnować.

I Armand zadał sobie pytanie, czy nadszedł czas, by urzeczywistnić pomysł, który od dawna chodził mu po głowie...

David przez kilka następnych lat pracował w najbardziej prestiżowych policjach na świecie: europejskim Interpolu, brytyjskim Scotland Yardzie i amerykańskim FBI. Został pierwszorzędnym kryminologiem, mistrzem w sztuce samoobrony i strzelcem wyborowym. Armand znowu uważnie śledził jego postępy. Kiedy David wrócił do Bejrutu, Fremont uznał, że wychowanek jest gotowy.

— Informacja to potęga — powiedział Davidowi. — Szczególnie na Bliskim Wschodzie. Bez niej nie przeżyłbym, nie mówiąc o sukcesach.

I przedstawił mu projekt, który opracował razem z Alexandrem Maserem: prywatnej agencji bezpieczeństwa. Jej klientelę stanowiliby bogaci ludzie z całego świata oraz wielkie międzynarodowe firmy i organizacje potrzebujące ochrony przed szpiegostwem przemysłowym, porwaniami, szantażem, wymuszeniami.

Armand zaproponował, by siedziba Interarmco mieściła się w Bejrucie, ak David natychmiast się temu sprzeciwił. Bejrut był miastem, gdzie najściślej strzeżone tajemnice wychodziły na jaw, narażając zainteresowanych na próby przekupstwa lub szantażu. Wcześniej czy później dostrzeżono by powiązania między kasynem a Interarmco i zaufanie — nie mówiąc o bezpieczeństwie — tych, którzy zawierzyli firmie, ległoby w gruzach.

David zaproponował Genewę i powiedział, że Interarmco nie powinno mieć żadnych więzi z kasynem, które mogło być jedynie klientem agencji. Odległość od Bejrutu działała na ich korzyść, podobnie jak neutralna lokalizacja siedziby w Szwajcarii.

— Czegoś mi nie mówisz — stwierdził David, kiedy wydawało się, że rozmowa dobiegła końca. — Tak, Interarmco podwoi lub potroi ilość napływających do ciebie informacji. Ale to nie wszystko. Istnieje ukryty plan, który ma coś wspólnego z handlem niewolnikami. Armandzie, nie byłem pierwszym dzieckiem, które uratowałeś. Ani ostatnim.

W tym momencie Armand wiedział, że dobrze wybrał.

— Co wiesz o tym handlu? — zapytał Davida.

Odpowiedź go zaskoczyła. Najwyraźniej David starannie zbadał sprawę. Rzucił garść danych historycznych, poczynając od czasów faraonów poprzez czasy Chrystusa, wyprawy krzyżowe aż po teraźniejszość.

— To się nie skończyło — stwierdził David cicho. — Nawet w czasie wojen, głodu lub plag. Nie oszczędzono żadnej rasy. Najpierw bardzo ceniono Afrykanów, później Azjatów. A teraz Europejczyków. Wspólną cechą jest to, że największe zyski zawsze przynosiły dzieci. Co za ironia, prawda? Najbardziej bezbronne, porywane z ulic, zwabiane w zaułki albo jak ja chwywane przez piratów, następnie oszalałmiane narkotykami i wysyłane statkami do domów publicznych lub prywatnych pokojów tortur...

— Walczyłem z tym przez całe życie — powiedział Annami. — Rozbijałem szajki handlarzy tylko po to, by się dowiedzieć, że na ich

miejsce powstały inne. Współpracuję z garstką uczciwych policjantów działających na Bliskim Wschodzie, z Interpolem, z niektórymi członkami ONZ i UNICEF. Walka trwa, Davidzie. To jest mój i Alexandra — a teraz Interarmco — ukryty plan. Oczy Davida zapłonęły dziko.

— I mój.

David ubrał się i przeszedł z łazienki do gabinetu. Na stoliku do kawy czekał na niego stos teleksów. Żaden nie dotyczył projektu, nad którym on i Armand pracowali przez ostatnie pięć lat.

Pod koniec lat sześćdziesiątych Interarmco pomogło zlikwidować kilkanaście małych band handlarzy niewolników działających w Syrii, Jordanii i Egipcie. Satysfakcja jednak nie trwała długo. W następnych latach pojawiły się na Bliskim Wschodzie pogłoski o nowej szajce. Policje i UNICEF donosiły, że dramatycznie zwiększyła się liczba uprowadzeń dzieci i nastolatków w Europie Zachodniej. Biorąc pod uwagę niedawne sukcesy, Armand Fremont sądził, że szybko rozprawi się z nowym zagrożeniem. Tym razem się pomylił. Ten, kto kierował szajką, był mistrzem. Tak dobrze się ukrywał, że nawet najlepiej opłacani informatorzy nie mogli trafić na jego ślad. Tych, którzy okazali się zbyt śmiali, znajdowano martwych, straszliwie okaleczonych.

Z biegiem lat liczba uprowadzonych i nigdy nie odnalezionych dzieci zwiększała się dramatycznie. Policja w Europie zdwoiła wysiłki, ale na próżno. Zaczęto wywierać międzynarodowe naciski na kraje Bliskiego Wschodu, których ministrowie tylko rozkładali ręce i żądali dowodów. Armand Fremont przyrzekł im je dostarczyć. Wziął szajkę na cel, uczynił z jej rozbicia swoją osobistą krucjatę i powiedział Davidowi Cabotowi, że chce znaleźć jej szefa.

David przeczytał teleksy. W ciągu lat pracy dla Armanda i Interarmco nigdy nie natrafił na taki labirynt. Ktokolwiek stworzył bandę, miał diabelski spryt, kierował nią za pomocą pieniędzy i strachu. David tym bardziej pragnął sukcesu. Chłopiec wyrósł na mężczyznę, ale przed oczami nadal miał chwile, kiedy księżycowej nocy na pokładzie *Marzenia Celesty* zawalił się jego świat.

Siadł za biurkiem i zajął się bieżącymi sprawami. Sekretarka przyniosła kawę i rogaliki oraz wiadomości, które w nocy nadeszły z Paryża.

Dyskretnie rozesłano wieść. Interarmco prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Alexandra Masera, chce wiedzieć, z kim się spotykał, gdzie i kiedy. Interarmco zapłaci hojnie świadkowi, który coś widział lub

słyszał. Ludzie znający ulicę, żyjący ze zbierania informacji wysłiznęli się w noc. Agencja miała zasłużoną reputację, że dobrze i szybko płaci w dowolnej walucie. Jeszcze lepszą opinią cieszyła się jako organizacja pamiętająca o tych, którzy jej w jakikolwiek sposób pomogli.

Rezultaty rozczarowały Davida. Nikt nie miał pojęcia, co Alexander Maser robił w Paryżu: ani informatorzy ze stołecznej policji i sfer rządowych, ani pracownicy prywatnych firm ochroniarskich, ani *madames* z ekskluzywnych burdeli. Każda wiadomość kończyła się tak samo: poszukiwania będą kontynuowane.

David wiedział, że Armand ma nadzieję dowiedzieć się czegoś, zanim poleci do Nowego Jorku. Rutynowy telefon do zapłakanej sekretarki Alexandra Masera tylko pogłębił tajemnicę: Alexander sam załatwił sprawy związane z podróżą. Sekretarka do ostatniej minuty nie wiedziała o jego wyjeździe.

Dlaczego Alexander nie chciał, by ktokolwiek się o tym dowiedział?

Zmusił się, żeby przejrzeć notatki, które zostawiła jego sekretarka. Wynikało z nich, że Armand zawiadomił Jasmine i Pierre'a Fremon-tów o śmierci Alexandra i terminie pogrzebu. Wbrew temu, czego spodziewał się David, telegramy nie zostały wysłane do Bejrutu. Jasmine przebywała w Nicei. David przypomniał sobie, że brała udział w wyścigu Monako-Nicea 32. A Pierre odebrał swój w Paryżu...

David spojrział na kartkę. Jego ręka sama po nią powędrowała. Trzymając różowy świstek, próbował sobie uświadomić, czy istniał jakiś związek między Pierre'em a Alexandrem Maserem. Brali udział w dwóch czy trzech konferencjach poświęconych bankowości i to wszystko. Alexander często jeździł do Paryża w interesach. Pierre Fremont mieszkał tam od lat. To, że byli w tym samym czasie w tym samym mieście...

Zbieg okoliczności. Nie chwytaj się brzytwy.

David odłożył kartkę i wyciągnął fotografię Katherine Maser. W dziewczynie było coś dziwnego, czego nie potrafił określić. Może miała zbyt pełne policzki albo zbyt wydatne wargi. A może chodziło o oczy — żywe, o wnikliwym spojrzeniu. Nawet gdyby nie czytał o niej w gazetach, domyśliłby się, że Katherine Maser wierzy w moc prawa, w triumf prawdy i sprawiedliwości. Obawiał się kłopotów z jej strony. Miał nadzieję, że słynny urok Armanda zdziała cuda i po pogrzebie Katherine Maser wróci do Kalifornii, żeby brać udział w marszach na rzecz lepszego świata. David wiedział, że wcześniej czy później uda mu się rozwiązać tajemnicę śmierci Alexandra Masera. Nie chciał, żeby w drogę wchodzili mu amatorzy.

6

Emil Bartoli był wicedyrektorem Maritime Continental i prawą ręką Alexandra Maser. Chudy mężczyzna o ascetycznym wyglądzie pochodził z rodu dożów. W wieku lat dwudziestu wiedział o finansach więcej niż bankierzy starsi od niego cztery razy. Twierdził, że z tą wiedzą przyszedł na świat. Chociaż miał do wyboru wielu pracodawców, zdecydował się na Maritime Continental, głównie ze względu na osobę Alexandra Maser. Ta niewielka instytucja, rodzaj zamkniętego klubu, odpowiadała mu najbardziej. W Nowym Jorku kierował ponad setką ludzi, ale kontaktował się z całym światem. Jeśli na giełdach w Tokio, Hongkongu, Zurychu, Londynie zaczynało się poruszenie, Bartoli pierwszy o tym wiedział. I co ważniejsze zwykle znał powody.

Jak wielu zatwardziałych kawalerów, Emil Bartoli przywiązał się do dziecka przyjaciela. Traktował Kate jak przybraną córkę. Nadzorował jej fundusz powierniczy i kiedy Kate wyjechała do Kalifornii, pisał do niej lub telefonował raz w miesiącu. A najbardziej pragnął pojednać ojca z córką. Teraz szansa przepadła raz na zawsze.

— Tak mi przykro, Kate — powiedział. — Wszyscy w banku składują ci kondolencje. Jeśli czegoś potrzebujesz, tylko poproś.

- Dziękuję, Emilu.

Ich spotkanie odbywało się w gabinecie ojca. Kate czuła się tu wyraźnie nieswojo. Miała na sobie długą kolorową spódnicę, haftowaną hluzkę i podniszczone długie buty. Na czole przewiązała zieloną opaskę, której końce zwisały na plecy. Ubierając się tego ranka w hotelu, wiedziała, że będzie wyglądała niestosownie. Gabinet ojca był urządzony w prawdziwie amerykańskim stylu: meble z drzewa wiśniowego z północno-zachodniego wybrzeża Pacyfiku, boazeria z miękkiej nowoangielskiej sosny, szafy z karolińskiego orzecha poznaczonego sękami. Wszyscy mężczyźni nosili garnitury od Brooks Brothers.

Na myśl o tym w Kate obudziła się przekora. Niech to lichy, jeśli zmieni styl. Teraz czuła się skępowana, a jej gest wydał się trywialny.

— Sprowadzili ciało, Emilu? — zapytała, patrząc w dół na ruch uliczny na Park Avenue.

W przeciwieństwie do większości instytucji finansowych Maritime Continental nie ulokował się na Wall Street. Alexander uznał usytuowanie na rogu Park Avenue i Czterdziestej Ósmej za dogodniejsze. Spodobał mu się budynek, dzieło architektury, którego parter zajmowały sklepy. Większość przechodniów nawet nie podejrzewała, że tutaj mieści się bank, co bardzo odpowiadało Alexandrowi.

— Tak, Kate — odparł Bartoli. — Wszystko załatwione. Moja sekretarka zna szczegóły. Jeśli chcesz wprowadzić jakieś zmiany, powiedz jej.

Kate odwróciła się do niego.

— Domyślam się, że należy się zająć jedną rzeczą. — Zatoczyła ramieniem koło. — Co stanie się z tym wszystkim?

— To proste — powiedział Bartoli. — Testament mówi, że ty i Societe des Bains Mediterranien macie po czterdzieści dziewięć procent udziałów. Pozostałe dwa procent jest pod moją pieczęcią. Jeśli wystąpią różnice poglądów co do polityki lub kierunku rozwoju banku, mój głos będzie decydujący. Nie sądzę jednak, żeby do tego doszło. Miałem umowę z twoim ojcem, że w razie jego śmierci ja zostaję dyrektorem. Polityka i cele banku pozostaną bez zmian. Sprzedaż lub fuzja są wykluczone. Zdobyliśmy świetnych klientów i z czasem jeszcze powiększymy ich liczbę. Zrobimy to jednak według kryteriów ustalonych przez Alexa.

— A ja?

— Cóż, Kate, jeśli chodzi o pieniądze, otrzymasz co kwartał pokaźną dywidendę. Naturalnie możesz zrobić z nią, co zechcesz.

— A co z aktywnym uczestnictwem w zarządzaniu bankiem? Bartoli był zaskoczony jej pytaniem, ale nie zdradził się z tym.

— Wybór oczywiście należy do ciebie. Nie brałem tego pod uwagę, ponieważ założyłem, że będziesz robiła karierę jako adwokat.

— Chodzi ci o to, co przeczytałeś w gazetach? — odparowała Kate, unosząc brwi.

— To także — przyznał Bartoli. I dodał: — Byłabyś zainteresowana przyjściem do nas?

— Nie wiem — mruknęła Kate.

Czyżby? Maritime Continental był symbolem establishmentu, jak wszystkie banki. Ich zasoby napędzały maszyny wojenne. Ludzie, którzy nimi kierowali, przelewali fundusze przeznaczone na pomoc socjalną na konta serdecznych przyjaciół, podczas gdy czarni i ubodzy biali

na próżno wyciągali ręce. Banki działały po cichu. Były strażnikami sekretów.

— Nie wiem — powtórzyła Kate.

— Nie musisz się decydować od razu.

Kate zaskoczył ten głos. Nie słyszała go od dawna, ale zachowała we wspomnieniach. Wzięła głęboki oddech i odwróciła się.

— Armand?

Był niemal dokładnie taki, jakim go sobie wyobrażała, choć oczywiście starszy, ale zmarszczki na czole i bruzdy na policzkach dodawały charakteru jego twarzy.

Zaczesane do tyłu gęste włosy posiwiały, lecz oczy, głębokie i hipnotyczne, oraz tembr głosu nie zmieniły się ani trochę.

— Kate, tak mi przykro.

Znalazła się w jego potężnym uścisku. Czowała pod policzkiem miękkiego kaszmiru garnituru przesycony zapachem wody kolońskiej. Stwierdziła, że udziela się jej jego siła i pewność siebie i po raz pierwszy od chwili, kiedy przeczytała telegram, szczerze uwierzyła, że jakoś pogodzi się z tym, co się stało, że pewnego dnia będzie mogła zostawić to za sobą.

Armand uśmiechnął się do Kate. Wiedział, że wyraz jego twarzy nie zdradza nic ponad szczerą troskę i zainteresowanie. Ale wewnątrz targało nim wiele sprzecznych emocji. Lubił Kate jako dziecko, przywiązał się do niej. Teraz uświadomił sobie wyraźnie, że Katherine jest kobietą.

Obecność Armanda była tak przytłaczająca, że Kate poczuła niepewność i o dziwo lekki strach.

— Jesteś zadowolony z decyzji podjętych przez Emila? — zapytała w końcu.

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem, ile propozycji od innych banków odrzucił. Oburzające. Sam chciałem, żeby przyszedł pracować do mnie. Nie chciałem o tym słyszeć. Trzymaj się go. Jest najlepszy.

Emil Bartoli skinieniem głowy podziękował za komplement. - Czy ty i ojciec prowadziliście interesy, o których powinnam wiedzieć? — spytała Kate.

Nie — odparł Armand swobodnie. — Maritime Continental zajmował się amerykańskimi inwestycjami kasyna. Są to głównie obligacje, weksle skarbowe, parę nieruchomości. Emil może je nadzorować z zamkniętymi oczami.

Świetnie — powiedziała Kate wolno. — Sądzę, że wszystko może zostać po staremu. — Zrobiła pauzę. — Ale jest jedna rzecz, którą chciałabym zobaczyć: policyjny raport o wypadku.

— Doprawdy, Kate... — zaprotestował Bartoli.

— Nie, Emilu. Wszystko w porządku. Mam go ze sobą. Twój ojciec mówił mi, że znasz parę języków. Czytasz po francusku? — Skinęła głową, ale Armand zawahał się, zanim podał jej raport. — Muszę cię ostrzec, Kate. Szwajcarzy byli bardzo skrupulatni. Są tu drastyczne szczegóły.

— Chcę tylko wiedzieć, jak umarł — wyjaśniła Kate cicho. — Muszę wiedzieć.

— Oczywiście — powiedział Armand łagodnie, rzucając Bartolemu ostrzegawcze spojrzenie. — Teraz cię zostawimy. Kiedy skończysz, możemy pójść na obiad. Jest dość czasu, żebyś się przebrała.

Skrzywiła się na aluzję Armanda co do jej stroju. Najwyraźniej nie chciał, żeby poszła z nim na obiad w obecnej kreacji.

— Kate... — Armand ścisnął ją za ramię i wyszedł za Bartolim. Uznała, że ten gest miał jej dodać odwagi. W rzeczywistości były to przeprosiny bez słów.

Idąc do gabinetu Bartolego, Armand obliczył w myśli, że w Maranello, gdzie znajduje się fabryka Ferrari, jest teraz godzina szósta wieczorem. Do tej pory wrak samochodu Alexandra, przewieziony do Włoch, a nie jak Fremont poinformował policję szwajcarską, do Paryża, został już zapewne zbadany przez fabrycznych inżynierów i mechaników. Armand nie miał powodu sądzić, że ich wnioski będą inne niż jego. Lecz pomimo całego doświadczenia nie był ekspertem. Potrzebował potwierdzenia od ludzi, których kwalifikacje i reputacja nie zostaną zakwestionowane w żadnym sądzie na świecie. Jeśli dojdzie do procesu...

Miał nadzieję, że Kate mu wybaczy. Raport z Maranello nie dotrze do jej rąk. Może dziewczyna nigdy się nie dowie, że jej ojciec został zamordowany.

Przy windzie odwrócił się do Bartolego.

— Delmonico będzie za godzinę? Bartoli skinął głową.

— Martwię się o nią, Emilu — powiedział nagle Armand. — Robi dobrą minę do złej gry, ale...

— Poradzi sobie, Armandzie. Wierz mi.

— Mam nadzieję — odparł Armand bez przekonania. Niepewność była uczuciem, którego rzadko doświadczał, i to go

wyprowadzało z równowagi. Jeszcze bardziej niepokoiło go wrażenie, jakie na nim wywarła Kate. To niewłaściwe, ostrzegł samego siebie. Ale nie mógł stłumić fascynacji.

Zamiast wrócić do hotelu, jak powiedział Bartolemu, poszedł spacerkiem do Pierwszego Banku Manhattańskiego na skrzyżowaniu Madison i Pięćdziesiątej. Uśmiechnął się do młodej urzędniczki za biurkiem i pokazał jej klucz od skrytki depozytowej.

— Muszę coś wyjąć.

Dziewczyna odwzajemniła uśmiech i zatrzymała wzrok na Armandzie dłużej, niż nakazywała uprzejmość. Powiedziała, że wróci za minutę z wzorem podpisu i drugim kluczem. Kiedy odeszła, uśmiech zniknął z twarzy Armanda. Serce zaczęło mu bić szybciej. Bóg wie od jak dawna on i Alexander mieli ten schowek. Wynajęli go, żeby przechowywać ważne dokumenty związane z bieżącymi sprawami. W razie gdyby coś przydarzyło się jednemu z nich, drugi zawsze miałby dostęp do materiałów i mógłby dokończyć pracę. Armand liczył jednak na coś więcej. Istniała szansa, że Alexander ukrył tu coś, co stanowiłoby ślad i pozwoliło rozwiązać zagadkę, dlatego musiał zginąć na szosie koło Genewy.

— Pan Fremont?

Armand obrzucił spojrzeniem młodego gorliwego człowieka, który pojawił się za kontuarem i odczytał nazwisko z karki.

— Jestem Nelson, zastępca kierownika.

— Tak?

— Bardzo mi przykro — powiedział Nelson jękając się. — Jest mały problem. — Ściszył głos. — Słyszał pan o panu Maserze?

— Co takiego?

Nelson rozejrzał się nerwowo.

— Zginął w wypadku samochodowym w Szwajcarii.

Armand tak przekonująco udał szok, że Nelson zaprowadził go do swojego gabinetu i zaproponował filiżankę kawy.

— Tym bardziej muszę otworzyć skrytkę — westchnął Armand. — Prowadziliśmy wspólne interesy, rozumie pan...

— Oczywiście — zapewnił Nelson. — Istnieją jednakże pewne przeszkody.

— Doprawdy?

— Zgodnie z prawem musimy zabezpieczyć skrytkę do czasu przeprowadzenia postępowania spadkowego. Wtedy do wykonawcy testamentu będzie należało dysponowanie mieniem zmarłego zgodnie z jego wolą.

Rozumiem — mruknął Armand. — I tak się sprawa przedstawia, chociaż mam prawo do skrytki i jej zawartości. Obawiam się, że tak.

Armand ukrył rozczarowanie i niecierpliwość pod uśmiechem rezygnacji. Za późno zareagował. Gdyby wcześniej o tym pomyślał, przyleciałby do Nowego Jorku, kiedy Alex leżał w szpitalu w Genewie.

Nie, nigdy nie mógłbyś go opuścić. To nic. Są inne sposoby.

Podziękował Nelsonowi ze stosowną powagą i opuścił bank. Miał jeszcze kilka minut do obiadu z Kate i Bartolim. Wykorzysta je, żeby zadzwonić do adwokata Alexa. W przeszłości wyświadczył prawnikowi bardzo szczególną przysługę. Mógł teraz na niego liczyć.

Pracownicy Maritime Continental stanowili zamkniętą grupę. Ich lojalność wobec Alexandra Masera, którego widywali często w ciągu dnia pracy, była niekwestionowana. Nagła śmierć wstrząsnęła wszystkimi.

— To okropne, co się przydarzyło biednemu panu Maserowi. Był takim dobrym, porządnym człowiekiem.

Prudence Templeton przyłożyła do oczu chusteczkę. Należała do typu kobiet określonych w magazynach mody jako „przystojne”, choć szpeciły ją zwały tłuszczu, na które nie pomagała żadna dieta. Natura obdarzyła ją na szczęście gęstymi lśnącymi włosami, błyszczącymi niebieskimi oczami i skórą delikatną jak jedwab. Niestety niewielu mężczyzn doceniało te zalety. Dopiero w zeszłym roku, w wieku trzydziestu ośmiu lat, Prudence Templeton znalazła kogoś, kto się na niej poznał.

— Tak, to prawda — mruknął Michael Samson, muskając palcami jej ramię.

Poczuł, że kobieta drży, i ledwo zdołał powstrzymać uśmiech. Władza nad nią tak go bawiła, że niemal wynagradzała wstręt, który odczuwał, kiedy się z nią kochał.

— Przypuszczam, że pan Bartoli powie nam o szczegółach pogrzebu — powiedziała Prudence, pociągając nosem. — Może powinniśmy zrobić składkę na wieniec.

— Pan Maser wolałby raczej, żebyśmy przeznaczyli te pieniądze na jakiś cel dobroczynny — stwierdził łagodnie Michael Samson.

— Och, Michaelu, oczywiście! Jaki jesteś spostrzegawczy!

Zbliżał się koniec pracy i właśnie zamykano banki w całej wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Sześciu urzędników w sali transferowej Maritime Continental sprawdzało dzienne transakcje, których, według oceny Michaela, nie było tym razem zbyt dużo. Obrót wyniósł sto milionów dolarów. Część z tego wpłynęła do banków na całym świecie. Zaczynając pracę w banku, Michael był oszołomiony suma-

mi — siedem milionów do Hijai Bank w Tokio; dwanaście do Bauhaus we Frankfurcie; dziesięć do China Commercial w Hongkongu. Wywarł na nim wrażenie również fakt, że tak niewielu ludzi wiedziało o tym, co się dzieje w dużym pomieszczeniu wykutym w skalnym podłożu pod Park Avenue. Obsługiwała je jedna winda, do której dziewięciu pracowników otrzymywało klucz codziennie rano, a oddawało wieczorem. Pośrodku stał długi, szeroki stół przedzielony półtorametrową przegrodą. Po obu stronach znajdowały się telefony łączące pokój z podobnymi pomieszczeniami w bankach na całym świecie. Obok każdego stanowiska stał teleks służący do przyjmowania i wysyłania potwierdzeń i zleceń, a wzdłuż przeciwległej ściany rząd komputerów, które przeprowadzały i księgowały transakcje. Tak, Michael Samson był pod wrażeniem. Po roku uważał, że praca jest nudna, a duszny pokój przyprawia o klaustrofobię. Mimo to dobrze maskował znudzenie i niecierpliwość. Przeszedł długą drogę, żeby dostać się do tego ukrytego serca Maritime Continental. Zmuszał się do robienia rzeczy, które budziły w nim odrazę. Nauczył się prowadzić podwójne życie i marzył o pięknym dniu, kiedy zdradzi tych, którzy mu zaufali, i wreszcie się uwolni.

— Michael? Michaelu, dobrze się czujesz?

— Tak... tak, oczywiście. Wybacz mi. To przez to, co się stało... Prudence Templeton poklepała go po ramieniu, czego nigdy by nie zrobiła w normalnych okolicznościach. Była szefową działu transferów, a Michael Samson jednym z jej siedmiu urzędników. Dbała o to, by nie okazywać mu więcej uwagi niż pozostałym. Sądziła, że nikt nie podejrzewa, iż dwa czy trzy razy w tygodniu Michael odwiedzają i robi rzeczy, w które do niedawna by nie uwierzyła. Te cenne sekrety były ink świece płonące jasnym gorącym płomieniem, wnosząc blask i ciepło do jej szarej egzystencji.

— Michaelu, przyjdiesz? — zapytała Prudence cichym głosem. Potrząsnął głową.

— Nie mogę. Dzisiaj jest środa.

Prudence westchnęła. W środy Michael grywał z zespołem jazzowym w klubach Greenwich Village. Prudence nie obchodził jazz ani czarni, z którymi zadawał się Michael. Nigdy nie była w jego mieszkaniu w Village i prawdę mówiąc, nie miała na to ochoty. Christopher Street zamieszkiwali ludzie, których nauczono ją, damę z Północnej Karoliny, ignorować i unikać.

Może później, kiedy skończysz? — zapytała z nadzieją. Będzie bardzo późno. Ale w niedzielę możemy pójść do Central Parku.

Prudence uspokojona obietnicą podziwiała męską urodę Michaela Samsona. Był typem latynoskiego kochanka, o którym marzyła jako dziewczyna. Choć niewysoki, miał umięśnione ciało, gęste czarne brwi i rzęsy oraz egzotyczne ciemne oczy, jednocześnie zmysłowe i okrutne. Prudence, która kochała klasykę, wyobrażała sobie, że tak wyglądał Odyseusz albo Jazon.

— W niedzielę — szepnęła.

W drodze do wyjścia Michael pogawędził trochę z kolegami. Później pożegnał się z nimi i obserwował, jak idą w stronę Lexington Avenue i hałaśliwych barów, w których tłoczyli się urzędnicy. Gdy przyszedł do pracy w banku, zapraszano go na martini. Zawsze uprzejmie odmawiał i propozycje skończyły się, tak jak tego pragnął. Nie chciał, żeby ludzie go dobrze poznali. Podobnie jak uwiedzenie Prudence Templeton, stanowiło to część planu.

Michael wyszedł z metra na Sheridan Square i pokonał pieszo resztę drogi do mieszkania na West Fourth Street. Village przypominało mu Bejrut. Ulice były pełne przedstawicieli kilkunastu ras i grup etnicznych mówiących różnymi językami. Znajdowały się tu maleńkie restauracyjki, które serwowały wszelkie rodzaje dań, jakie można wymarzyć. Ale w przeciwieństwie do Bejrutu w barach i kawiarniach przesiadywały studentki, które uważały się za awangardę, sypiając z ciemnoskórymi poetami i muzykami. Dla Michaela były naiwnymi zbłąkanymi dzieciakami, które same pakowały mu się do łóżka. Tęsknił do bejruckich kobiet stanowiących wyzwanie, brakowało mu walki, zdobywania, które czyniło nieuniknione zwycięstwo tak słodkim.

Michael odebrał pocztę i niecierpliwie ją przerzucał, idąc na trzecie piętro. Rok temu, kiedy przybył do Nowego Jorku, miał w sobie ogień. Przyjechał, by osiągnąć pewien cel. Teraz irytował się, dreptał w miejscu, miotał się po klatce, którą była praca w Maritime Continental. Chciał zrobić następny krok, ale od miesięcy panowała cisza. Nie dostał żadnej wiadomości z Bejrutu. Powoli przestawał wierzyć w obietnicę.

Otworzył drzwi i natychmiast, jak stary nowojorczyk, je zamknął. Wyczuł, że coś jest nie tak. Zapach — obcy, lecz jednocześnie jakby znajomy...

— Cześć Michael.

Stała w wejściu do sypialni, jej oczy błyszczały oczekiwaniem i pragnieniem, kuśiły.

— Jasmine... — powiedział Michael ochryple.

— Chodź do mnie, mój piękny — szepnęła. Juz czas.

Jasmine Fremont poznał pięć lat temu w rodzinnym Bejrucie. Michael Samson wtedy jeszcze nie istniał. Nazywał się Michael Saidi i był jedynym synem owdowiałego starszego krupiera w Casino de Paradis.

Przed długi czas ojciec pełnił funkcję szwajcara. Kiedy Michael skończył dziesięć lat, ojciec spełnił swoje największe marzenie, zostając krupierem. Nie posiadał się z dumy. Syn natomiast gardził tym stanowiskiem.

W wieku dojrzewania Michaelowi nie podobało się wiele rzeczy. Skoro ojciec co wieczór chodził do pracy ubrany w nienaganny smoking, dlaczego on musiał nosić używane ubrania, które pochodziły ze zbiórek urządzanych przez bogate kobiety? Dlaczego, odwiedzając ojca w kasynie, nigdy nie wchodził szerokimi frontowymi schodami, obok portierów w uniformach? Dlaczego musiał korzystać z tylnych drzwi? Dlaczego wszyscy znakomici goście przyjeżdżali pięknymi samochodami prowadzonymi przez szoferów w liberjach, a ojciec zawsze chodził cztery kilometry na piechotę, nawet kiedy był na to za stary?

Kiedy Michael zapytał o to, ojciec roześmiał się.

— Ponieważ, mój synu, nie mam takich pieniędzy jak oni.

I wtedy Michael Saidi zrozumiał, że ojciec jest i zawsze będzie sługą. Ta myśl zmieniła jego życie. Nie będzie taki jak ojciec. Chciał więcej, żądał więcej i będzie miał więcej! Kochał lśniące samochody i wspaniałe, obwieszane biżuterią kobiety i patrzył z zawiścią na zadowolone miny mężczyzn, na ich swobodę, która wyróżniała należących do uprzywilejowanych tego świata. Syn służącego śnił królewskie sny. Ojciec umarł, kiedy Michael miał dwadzieścia lat i dzięki stypendium był studentem Uniwersytetu Amerykańskiego w Bejrucie. Kilka dni po pogrzebie Saidi został wezwany przez kierownika kasyna. Kasyno zapewniało pracownikom pokaźne ubezpieczenie na wypadek śmierci. Pieniądzy tych starczyłoby na ukończenie studiów i może spędzenie roku za granicą. Michael najchętniej zrezygnowałby z ubezpieczenia, choćby tylko po to, by zobaczyć zaszokowaną minę kierownika. Wiedział jednak, że nie odważy się tego sprawdzić. W końcu przyjął pieniądze oraz kondolencje i szybko wyszedł, zanim upokorzenie stało się zbyt wielkie.

— Topimy smutki, co? — zapytał go z tyłu melodyjny głos. Michael siedział w barze przy basenie hotelu Phoenicia, jednym z najelegantszych lokali w Bejrucie. Był tak pochłonięty delectowaniem się bursztynową whisky, że nie zauważył kobiety, która usiadła obok niego. Smukła, ciemnowłosa i oszałamiająca, przypominała mu niebezpiecznego kota.

Phoenicia zawsze przynosiła Michaelowi szczęście, dostarczając jak z rogu obfitości bogatych brytyjskich, francuskich i niemieckich dziewcząt, które kupowały mu drinki i zabierały do pokojów. Ale ta kobieta różniła się od nich. Jej uroda była doskonała, sposób poruszania się i mówienia wystudiowany. Nie miał wątpliwości, że jest bajecznie bogata.

— Jeśli zamierza się pan upić przed obiadem, proponuję szampana.

Spojrzała nie niego wyczekująco. Pod wpływem impulsu Michael zamówił butelkę najlepszego wina, które kosztowało więcej niż jego miesięczna renta. Barman przyniósł dwa kieliszki. Nie czekając na zaproszenie kobieta wzięła jeden do ręki.

— Na zdrowie.

Michael odwzajemnił toast i zapytał:

— Kim pani jest?

— Kimś, kto zamierza sprawić, by poczuł się pan dużo, dużo lepiej.

Po trzech godzinach i następnych dwóch butelkach Michael był pijany. Wino i słodki głos kobiety rozwiązały mu język. Wyznał jej wszystkie sekrety, żywione urazy, marzenia.

— Nie znam twojego imienia — powiedział ochryłym głosem. Kobieta roześmiała się.

— Zważywszy na twoją kiepską opinię o Fremontach, może nie powinnam ci mówić.

Michael otworzył usta.

— Nazywam się Jasmine Fremont — oznajmiła. — I nie martw się, kochanie, nie obraziłam się. Ja również nie przepadam za niektórymi z nich. Ale to nieważne.

Widzisz, mój słodki, zamierzam dać ci nowe życie.

Najpierw jednak dała mu coś innego. Takiej czystej dzikiej namiętności nie doświadczył jeszcze nigdy. Wyczerpany i nasycony, słuchał obietnic Jasmine.

Zasnął w jej ramionach, nie wierząc w ani jedno słowo.

Okazało się, że jego cynizm nie miał uzasadnienia. Następnego dnia Jasmine zaczęła reorganizować życie Michaela. Znalazła mu mały, lecz elegancki apartament w Ra's Bejrut, jednej z kilku dzielnic, gdzie obok siebie mieszkali muzułmanie i chrześcijanie. Zleciła jego urządzenie zawodowemu dekoratorowi. U najlepszych krawców i właścicieli sklepów z galanterią męską otworzyła mu rachunki, podobnie jak w restauracjach i klubach. Wytrwale uczyła go właściwych manier, sposobu

ubierania się i etykiety. Nie wahała się go poprawiać, często sarkastycznie, kiedy robił błędy. Nakłoniła, by rzucił Uniwersytet Amerykański, i dała mu prywatnych nauczycieli. Kazała czytać najważniejsze gazety, zwłaszcza ich kolumny finansowe, omawiające interesy prowadzone przez multimilionerów.

— To najpotężniejsi ludzie w Bejrucie, na świecie. Zapamiętaj ich nazwiska, śledź ich posunięcia i ucz się!

Wszystko to przyprawiało Michaela o zawrót głowy, ale radził sobie doskonale. Dowodem sukcesów było przyjęcie go na wybraną przez Jasmine uczelnię, prestiżową Centré Politechnique w Paryżu, jedną z najlepszych w Europie szkół handlowych. Podczas kolacji, która miała to uczcić, Michael zasugerował, że nadszedł czas, by Jasmine przedstawiła go bejruckiej społeczności ludzi interesu, mających silne powiązania z kapitałem francuskim.

— Nie, kochasiu! Pójdiesz w innym kierunku.

Zamiast pić drinki w ekskluzywnym Klubie Jeździeckim, Michael znalazł się na zakurzonej drodze prowadzącej przez góry Shouf do doliny Bekaa. Była to dzika okolica, piękna, lecz niebezpieczna, zamieszkała przez milczących, podejrzliwych ludzi, którzy rzadko wypuszczali «ię poza góry, nosili raczej karabiny niż motyki i uprawiali konopie MI nz mak.

Michael próbował ukryć strach, ale Jasmine go przejrzała.

— Nie martw się — powiedziała. — Ci ludzie znają mnie dobrze i mi ufają. Michael nie mógł się pozbyć sceptycyzmu. W Bejrucie, który chlubił się, że jest oknem na Wschód, kobiety traktowano uprzejmie, a jeśli I»Vt V dość bystre, z szacunkiem. Na prowincji jednak nadal uważano je za sprzęty domowe lub zwierzęta pociągowe, wydawano za męża, albo, bardziej się to opłacało, sprzedawano w niewolę.

Michael był zaskoczony ciepłym powitaniem zgotowanym Jasmine pi zez członków plemienia. Po wypiciu tradycyjnej herbaty zaprowadzono ich na pola pokryte jak okiem sięgnąć kwitnącymi konopiami indyjskimi. Michael dowiedział się, że wkrótce zaczną się zbiory, uzyskana z roślin żywica po ostrożnym gotowaniu zmieni się w pastę, a następnie w cegły brązowoczarne haszyszu. Cztery miesiące później dojrzeje mak i cykl się powtórzy. Co my tutaj robimy? — zapytał.

Budujemy naszą przyszłość — odparła Jasmine. — A co myślales, Michaela? Że piękne ubrania i umiejętność posługiwania się sztucami wystarczą, by spełniły się twoje marzenia? Że zostaniesz *zaimem*?

Synowie służących, którzy nie mają rodziny, stosunków, pieniędzy, nie mają nic! Zamierzam uczynić cię bardzo bogatym, Michaelu. I bardzo potężnym. Ludzie będą się ciebie bardzo bali. Tak bardzo, że spełnią wszystkie twoje rozkazy i nigdy nie ośmielą się zapytać, skąd pochodzisz albo kim jesteś. Właśnie to, Michaelu, uczyni cię *zaimem* — strach.

Michael był oszołomiony tym, co mu pokazała Jasmine, ale wkrótce przekonał się, że to nie koniec edukacji. Przez następnych kilka miesięcy podróżowali razem do Kairu, Ammanu, Damaszku i Bagdadu, zatrzymując się w drogich hotelach i wspaniałych prywatnych rezydencjach, ale również w zrujnowanych mieszkaniach w najgorszych slumsach, jakie Michael widział. Szybko zorientował się, że ci, którzy mieszkają w luksusie, są kupcami, a ci, którzy poruszają się w mroku — dostawcami. W obu wypadkach towar był ten sam: ludzkie istoty.

Pilnie słuchał, kiedy Jasmine wyjaśniała mu, w jaki sposób odbywa się handel niewolnikami i jak ogromne zyski można z niego ciągnąć.

— Ale ryzyko jest równie wielkie — ostrzegła i opowiedziała o zlikwidowaniu w ostatnich czasach kilku szajek. — To nasza okazja. Powstała próżnia i ty musisz ją zapełnić.

Michael wahał się, nie dlatego, że był przeciwny kupczeniu ludzkim życiem, lecz dlatego, że nie miał pojęcia, gdzie zacząć. Jasmine wysłuchała go i roześmiała się.

— W Europie, dokąd wkrótce pojedziesz. Największe zyski można osiągnąć na europejskich dzieciach, dziesięcio-, jedenasto- i dwunastoletnich. Cenione są również starsze dziewczynki. Tak się złożyło, że jest teraz wielu kupców, ale nie ma ich kto obsłużyć. Władze wyłapały szefów band, przerywając łańcuch. Na szczęście pozostało wielu szeregowych członków. Mogą zapewnić transport z portu w Rzymie albo z Pireusu w Grecji. Nie mają jednak towaru.

— I to jest zadanie dla mnie — mruknął Michael.

— Tak, kochanie. Z takim wyglądem i urokiem będziesz zgarniał te rozkoszne europejskie dziewczęta jak śmietankę. Sprowadzaj naszym kupcom najlepszy towar, a będą lojalni.

— A jeśli ktoś spróbuje mi przeszkodzić? — zapytał Michael.

— Będziesz musiał zrobić wszystko, żeby chronić naszą inwestycję, prawda?

Michael miał jeszcze jedno pytanie.

— Powiedziałaś, że stare szajki zostały rozbite. Przez kogo? I skąd wiesz, że nam się to nie przydarzy?

Jasmine uśmiechnęła się.

— Ponieważ, mój drogi, znam człowieka, który to zrobił. Rozmawiam z nim co tydzień. Nie mówi mi wiele, ale to zawsze wystarczy, żeby nas ostrzec.

— A kto to jest?

— Oczywiście Armand Fremont.

Michael Saidi kontynuował edukację w Europie. Zanim wyjechał, Jasmine zabrała go na tłoczne *souqs* we wschodnim Bejrucie, gdzie mieszkali biedni Arabowie, służący i robotnicy na dniówki. Spotkali się tam ze starym mężczyzną w okularach o grubych szklach.

— Nie daj się zwieść — roześmiała się Jasmine. — Jest najlepszym fałszerzem w Libanie.

Michaelowi zrobiono zdjęcie. Zwitki banknotów przeszły z ręki do ręki i wkrótce stał się Michael Samsonem, obywatelem maltańskim z Valetty. Dostał metrykę urodzenia, paszport, prawo jazdy i pozwolenie na pracę.

Michael spojrział pytająco na Jasmine.

— Pewnego dnia wrócisz — powiedziała. — A wtedy nikt nie powinien doszukać się związku między człowiekiem, którym byłeś, a tym, którym jesteś teraz.

— A co z moją przeszłością, z papierami na Uniwersytecie Amerykańskim? — zapytał.

— Przestaną istnieć — odparła Jasmine, jakby to była najprostsza rzecz na świecie.

— Kiedy Michael zapytał o szczegóły, Jasmine powiedziała krótko: — Zaufaj mi. Zaplanowałam dla ciebie coś większego niż handel niewolnikami. To dopiero początek.

Michael Samson spędził dwa lata na Politechnice i uzyskał dyplom z wyróżnieniem. Dzięki Jasmine dostał pierwszą pracę w dużym francuskim banku komercyjnym, gdzie zaczął zgłębiać tajemnice handlu zagranicznego i poznawać drogi, którymi codziennie wędrują po świecie miliardy dolarów w różnych walutach.

Jednocześnie zyskał reputację *boulevardiera*, mężczyzny światowego, otoczonego pięknymi kobietami. Chociaż nieliczni znajomi zauważyli, że ta sama dziewczyna rzadko pojawia się dwa razy u jego boku, nigdy o nic nie pytali.

Po praktyce we Francji Michael przeszedł do mniejszego, lecz bardziej znanego banku w Zurychu. Uznał, że szybko wspina się na szczyt.

To nie jest twoim celem — przypomniała mu Jasmine. — Ciągłe zapominasz, że to tylko odskocznia i że nie powinienes zwracać na siebie uwagi. Spróbuj dostać się do Sauer Bank, do działu transferów.

Michael pohamował swoje zapędy. W bogatym Zurychu czyhało na niego mnóstwo pokus. Ale Jasmine trzymała go w ryzach. Choć Sauer Bank był czcigodną instytucją, płacił swoim urzędnikom głodowe pensje. Tylko drobne kieszonkowe od Jasmine pozwalało Michaelowi od czasu do czasu posmakować luksusu.

Zgodnie ze wskazówkami Jasmine Michael unikał zawierania bliskich przyjaźni. Nie było to trudne wśród pełnych rezerwy Szwajcarów. Wkrótce poznał powody Jasmine. Cztery czy pięć razy do roku kazała mu brać urlop lub zwolnienie lekarskie i w tajemnicy lecieć do Libanu. Podczas każdej podróży spędzał noc w Bejrucie i o świcie jechał do doliny Bekaa. Farmerzy, którzy hodowali konopie i mak, oraz członkowie plemienia, którzy przygotowywali narkotyki do transportu i dbali o to, by bezpiecznie dotarły do portów w Tyrze lub Sajdzie, witali go teraz jak starego znajomego. Michael spędzał z nimi długie godziny, siedząc po turecku przy ognisku. W powietrzu unosił się zapach mięty i pomarańczy. Rozmawiali o wielkich rzeczach, które miały nadejść...

Przy jednej z takich okazji, zanim odleciał do Bejrutu, Jasmine powiedziała:

— Czas poszerzyć horyzonty. Pojedziesz do Ameryki.

Michael nie był zaskoczony słowami Jasmine. Czekał na dalszy ciąg.

— Sauer prowadzi wspólne interesy z prywatnym bankiem o nazwie Maritime Continental. Chcę, żebyś zdobył pracę w tamtejszym dziale transferów.

— Maritime Continental to bank Alexandra Masera. — Michael spojrzął na nią ostro.

— Tak — powiedziała Jasmine cicho. — I chcę, żebyś się tam dostał.

— Na jak długo?

— Na rok, może osiemnaście miesięcy.

— Mam tam tkwić jak zwykły urzędnik?

— O nie, mój kochany. Będziesz robił wiele interesujących rzeczy — uśmiechnęła się Jasmine. — Zaufaj mi.

Chociaż Michael miał doskonałe referencje, zdobycie pracy w Maritime Continental zajęło mu prawie cztery miesiące. Wylądował w Nowym Jorku w mroźny lutowy dzień i szybko doszedł do wniosku, że znalazł się w piekle. Miejski hałas doprowadzał go do szalu, siał i beton przygnębiały, a praca okazała się ogłupiająca. Ale podobnie jak w Zurychu miał ukryty plan, który wymyśliła Jasmine.

Zdobył sobie reputację lekko ekscentrycznego odludka i kiedy kończył się dzień pracy, wkraczał w inny świat. Ponieważ Nowy Jork był gigantycznym tygłem, Michael wkrótce poznał Cypryjczyków, Maltańczyków, Libańczyków i Arabów, którzy szybko go zaakceptowali. Łamał się z nimi chlebem, pił herbatę, a później, kiedy zdobył ich zaufanie, częstowali go fajką z haszyszem. Po niecałych sześciu miesiącach znał nazwiska głównych importerów, dystrybutorów i ulicznych sprzedawców. Spotykał Sycylijszczyków o zimnych oczach, którzy prowadzili handel heroiną, tęgich Neapolitańczyków, którzy kontrolowali związek zawodowy robotników portowych. Słuchał studentów z Greenwich Village i odnotowywał w pamięci ich ciągłe wzmianki o marihuanie i haszyszu. Zaczynała się nowa epoka, a eksperymentowanie z narkotykami stanowiło jej ważny element. Wiadomo było, że najlepszy haszysz i opium pochodzą z Bliskiego Wschodu, zwłaszcza z doliny Bekaa. Michael dowiedział się też, że nikt nie miał dostępu do tych bogatych źródeł. Kupcy wysyłani do doliny Bekaa ginęli bez śladu i miejsce to zyskało sobie przerażającą reputację. Mówiono, że nikt nie może tam robić interesów. Jasmine kazała Michaelowi udowodnić, że to nieprawda.

Parę miesięcy zajęło mu zorganizowanie i sprowadzenie pierwszego transportu, ale Włosi rozproszili go w ciągu trzech dni i przyszli błagać o więcej. Michael zobowiązał się dostarczyć towar, ale uprzedził, że cena idzie w górę. Stopniowo ją podnosił, aż doszedł do czterech procent zarobku na każdym funcie haszyszu, który szmuglował do nowojorskiego portu. Zyski na opium dostarczonym do Marsylii były jeszcze większe.

Michael bardzo uważał, żeby jego dwa światy nie stykały się ze sobą. Sycylijszczyki znali go jako świetnie ubranego Maltańczyka, który trzyma klucz do skarbów Bekaa. W Maritime Continental był pilnym, kompetentnym i pozbawionym wyobraźni urzędnikiem. Dla Prudence Templeton stanowił zniszczone marzenie. W miarę jak interes narkotykowy rozwijał się, Michael coraz gorzej znosił uwięzienie w banku. Lubił poczucie władzy, którą dawały mu pieniądze. Marzył, by uwolnić się od nudnego Michaela Samsona, obarczonego podstarzałą kochanką, i pokazać się światu. Czasami, kiedy pokusa stawała się przemożna, wymyślał sposoby pozbycia się Jasmine. Dała mu wiele i zaprowadziła go daleko, ale teraz miał dość. Chciał wyfrunąć z gniazda. Z upływem miesięcy takie marzenia pojawiały się coraz częściej. Kiedy usłyszał o śmierci Alexandra Masera, zaczął się zastanawiać, czy to nie znak, że nadszedł czas, by coś zmienić w życiu. Rzeczywiście był to znak, tylko że Michael źle go zinterpretował.

Jasmine przeciągnęła się zmysłowo. Usiadła na łóżku i sięgnęła po papierosa.

Michael zagrzebany w wilgotnej pościeli obserwował kobietę.

— Niemal zapomniałem, jak to jest — mruknął. Jasmine zaśmiała się cicho.

— Ale ja nie. — Spojrzała nie niego. — Umierasz z ciekawości, dlaczego tutaj jestem.

Michael wzruszył ramionami.

— Pogrzeb Alexandra.

— Tak, między innymi. — Jasmine zaciągnęła się głęboko. — Ale także dlatego, że już czas, byś wrócił do domu.

Michael poderwał się.

— Do domu? A kto będzie tutaj wszystkiego doglądał?

— Masz na myśli interes narkotykowy? Cóż, zabierzesz go ze sobą. Twój ludzie poradzą sobie z rozprawieniem dziesięć razy większej ilości towaru. I będziesz im go wysyłał jako pan Bekaa, nowy bejrucki *zaim*.

Michael zamknął oczy. Wszystko miało się spełnić, tak jak sobie wymarzył.

— Najpierw trzeba jednak załatwić parę spraw — uprzedziła Jasmine.

Wychwycił w jej głosie dziwny ton.

— Na przykład?

— Nadal jesteś w zażyłych stosunkach z tą krową?

— Z Prudence? Niestety tak.

— Bądź dla niej szczególnie miły przez następne kilka dni. Niech będzie w pracy nieprzytomna, głucha i ślepa.

— Dlaczego?

Jasmine przycisnęła usta do jego warg i przesunęła dłonią po ciele.

— Powiem ci później.

Jak większość libańskich chrześcijan Alexander Maser był maronitą, członkiem chrześcijańskiego kościoła wschodniego podległego papieżowi. Kate sądziła, że religia odgrywała niewielką rolę w życiu ojca, była więc dość zaskoczona, kiedy poznała instrukcje, które zostawił w sprawie pogrzebu. Prosił, żeby mszę żałobną odprawiono w małym kościółku maronickim w Pawtucket na Rhode Island, a ciało złożono na kościelnym cmentarzu. Zapytała o to Emila.

— Libańczycy, którzy przyjeżdżają do Ameryki — wyjaśnił — wolą mieszkać w małych miastach. Alexander był hojnym ofiarodawcą na rzecz ich kościołów.

Tylu rzeczy się o nim dowiaduję. Jakie jeszcze niespodzianki mnie czekają?

Zgodnie z obietnicą Emil zadbał o wszystko. Wynajętym helikopterem polecili z Kate **na** małe lotnisko w Pawtucket, gdzie czekały na nich limuzyny.

Kate poczuła ulgę wyjeżdżając z Nowego Jorku. W tym dniu **panował** świeży kwietniowy chłód, a powietrze pachniało solą. Rankiem w dzień powszedni Pawtucket było doskonałym przykładem sennego nowoangielskiego miasteczka z białymi drewnianymi domami, wokół których rosły wysokie klony i wiązy.

W pogrzebie brała udział tylko rodzina i mała społeczność z Pawtucket, która uważała Alexandra za krewnego. Msza dla przyjaciół i współpracowników zmarłego miała się odbyć parę dni później w Katedrze Sw. Patryka. Stary kapłan z czarną krzaczastą brodą i gęstymi brwiami przywitał Kate i zaprowadził do kościoła. Po drodze przedstawił ją ojcom libańskich rodzin, którzy kłaniali się i całowali ją w rękę.

Wszyscy tutaj bardzo kochali twojego ojca — powiedział kaptan. Był hojnym człowiekiem, który czerpał radość z dzielenia się uwolnionym bogactwem.

Kate uprzejmie przyjmowała kondolencje. Ci ludzie traktowali ją, jakby jej ojciec był feudalnym panem, a ona księżniczką.

Kiedy kapłan zniknął w zakrystii, obok Kate zjawił się Armand Fremont.

— Nie wstydz się z ich powodu. Pamiętaj, Libańczyk jest po pierwsze członkiem rodziny, potem miejscowej społeczności, a wreszcie grupy religijnej. Kiedy przeniosłaś się do Kalifornii, Alexander spędzał tutaj wiele czasu. Kochał tych ludzi, więc okazują ci szacunek, na który według nich zasługujesz jako jego córka.

— Zanim Kate zdołała odpowiedzieć, wziął ją za ramię i poprowadził w stronę ostatniego rzędu ławek. — Powinnaś spotkać się z paroma osobami — powiedział.

— Nie wiem, czy je pamiętasz.

Kate spojrzała na dwóch mężczyzn i kobietę, stojących razem. Ledwo ich rozpoznała ze starych fotografii, ale nie potrafiła sobie przypomnieć nazwisk.

— O, Katherine! Pamiętasz mnie, prawda? Jestem Pierre Fremont. Upłynęło tyle czasu, a teraz spotykamy się w tak tragicznych okolicznościach. Naprawdę mi przykro.

— Dziękuję — odparła Kate, wyteżając pamięć.

— Prawdopodobnie mnie nie poznajesz, Katherine — odezwała się Jasmine. — Byłaś dzieckiem, kiedy się spotkałyśmy.

Jasmine jednak nie należała do kobiet, które się zapomina. Jej wygląd nienaganny nawet przy tak smutnej okazji — elegancko skrojona czarna suknia, gładko zaczesane do tyłu włosy i doskonały makijaż — świadczył, że jest osobą, z którą należy się liczyć. Kate poczuła się niepewnie pod krytycznym, lekko rozbawionym spojrzeniem. Nagle przypomniała sobie, jaka była przestraszona i zakłopotana, kiedy po raz pierwszy przedstawiono ją Jasmine, gdyż wydawało się jej, że kobieta patrzy przez nią na wylot... tak jak teraz.

— A to mój mąż — powiedziała Jasmine.

Kate widziała Louisa Jabara tylko na zdjęciach i pomyślała wtedy, że nie ma tak przystojnych mężczyzn. Teraz przekonała się, że są.

— Przykro nam z powodu twojej straty — mówił Louis. — Bardzo chcielibyśmy ci pomóc. Może przyjechałabyś do Bejrutu na krótkie wakacje.

— To bardzo uprzejme z waszej strony — zrewanżowała się Kate.

— Kate zapewne wróci do San Francisco i swojej praktyki adwokackiej, prawda, kochanie? — spytała Jasmine.

— Oczywiście — dodał Louis pośpiesznie. — Armand wspomniał nam o twoich sukcesach.

— I zapewnił, że bank jest w dobrych rękach — wtrącił się Pierre. —
Przypuszczam, że Bartoli przejmie obowiązki twojego ojca.
Kate skinęła głową, ale słowa, które wypowiedziała, zaskoczyły ją całkowicie.
— Jeszcze nie zdecydowałam, czy zostanę. Pierre zamrugał oczami.
— W Nowym Jorku?
— W banku — powiedziała Kate spokojnie. — Maritime Continental jest dziełem
mojego ojca. Teraz to mój spadek i w pewnym sensie obowiązek. Nie mogę tak po
prostu sobie odejść.
Chociaż zwracała się do trojga gości, patrzyła na Pierre'a, który wyraźnie pobladł.
— To bardzo szlachetne uczucie, Katherine, i zrozumiałe w tych okolicznościach —
stwierdził. — Ale interesy Maritime Continental są tak... skomplikowane. Nie
sądziś, że twój brak doświadczenia może zaszkodzić?
— Pierre ma całkowitą rację — poparł go Louis. — Maritime Continental to duży
bank, działa na rynku światowym. Trudno ci będzie w tym się zorientować.
— Mogę się nauczyć! — odparowała Kate ostro. Poczowała się dotknięta
protekcjonalnością tych dwóch układnych mężczyzn.
— Nie ma potrzeby się obrażać, *cherie* — odezwała się Jasmine. — Pierre i Louis
tylko mówią na głos to, o czym wszystkie kobiety doskonale wiedzą. Interesy to
straszne nudziarstwo. Jediną rozrywką jest wydawanie zarobionych dzięki nim
pieniędzy. Teraz masz ich dużo. Jesteś młoda i wolna, więc idź i używaj życia.
— Być może bawią nas inne rzeczy — rzuciła Kate. Jasmine uśmiechnęła się.
— *Touche*, kochanie. Wiem, że masz niezłą opinię jako adwokat. Teraz zacznym
rozumieć dlaczego. Nie sądz, że zamierzałam cię urazić.
— Wcale się nie obraziłam — odparła Kate. — Tylko... cóż, to hvin niespodzianka
ujrzeć was wszystkich. Dobrze, że tutaj jesteście.
Armand, który stał z boku z Prudence Templeton, słyszał większość rozmowy i
dziwił się coraz bardziej. Telegramy o śmierci Alesandra wysłał z obowiązku, choć
Fremontowie nie byli krewnymi zmarłego. Poza tym, o ile się orientował, nie
utrzymywali z nim kontaktów. Tylko Pierre od czasu do czasu miał z Alexandrem
jakieś wspólne interesy. Armand spodziewał się od nich kondolencji, a **nie** tego,
że rzucają wszystko i przyjadą **na** skromny pogrzeb w miasteczku, o którym **z**
pewnością nigdy nie słyszeli.

I traktowali Kate, jakby była od dawna nie widzianą krewną. Dlaczego? Czego mogli od niej chcieć?

Natychmiast odrzucił myśl o spadku. Zarówno Jasmine, jak i Pierre mieli więcej pieniędzy, niż potrzebowali. A skoro nie chodziło o pieniądze...

Msza właśnie się rozpoczynała, więc Armand powściągnął ciekawość. Nic na tyle jednak szybko, by nie zostało to zauważone.

Wyżsi rangą urzędnicy brali udział w pogrzebie założyciela banku, ale tego dnia machina Maritime Continental pracowała równie gładko jak zawsze. Istniała jednak pewna różnica, decydująca dla planów Michaela Samsona: w sali pokoju transferów nie było Prudence Temp-leton.

Nie miało to wpływu na pracę działu. Urzędnicy nie potrzebowali obecności szefowej, żeby dobrze wykonywać obowiązki, a gdyby jakaś sprawa wymagała pilnej decyzji, zająłby się tym ktoś z kierownictwa. Najważniejsze dla Michela było to, że Prudence nie zaglądała mu przez ramię.

Michael pracował pilnie przez cały ranek, udając, że jest zavalony robotą. Gdyby ktoś miał ochotę zaprosić go na obiad, jedno spojrzenie na stos papierów zniechęciłoby go. Wszyscy wiedzieli, że Michael Samson nie wyjdzie, dopóki nie skończy pracy.

W sali transferów obowiązywała zasada, że urzędnicy udają się na obiad w dwóch turach. Na miejscu zawsze musiały zostać co najmniej cztery osoby. Ponieważ Prudence była nieobecna i niewiele się tego dnia działo, wyszło jednocześnie pięciu urzędników. Na taką okazję czekał Michael.

Biurko Prudence Templeton stało przy kontuarze. Michael siedział po prawej stronie. Pozostali pracownicy mieli stanowiska w drugim końcu sali. Michael wyjął z kieszeni długi cienki klucz. Był to dupilkat tego, który Prudence używała do otwierania górnej szuflady biurka. Pewnej nocy spędzonej w jej mieszkaniu, udało mu się zdjąć oryginał z kółka i zrobić odcisk. Za dwieście dolarów usłużny ślusarz wykonał doskonałą, jego zdaniem, replikę.

Lepiej, żeby tak było.

Klucz gładko wszedł w zamek. Rozległ się zdradziecki dźwięk. — Hej, Mike, pomożesz mi?

Klucz upadł z brzękiem na podłogę, szuflada cofnęła się o centymetr. Michael obrócił się w samą porę, żeby zasłonić biurko Prudence przed wzrokiem urzędnika idącego w jego stronę.

Nie patrz na nią! Nie jest otwarta!

— Połóż to tutaj. — Michael wyrwał wydruki komputerowe z rąk urzędnika i rzucił je na biurko. — Jaki masz problem?

— To nic wielkiego. Tylko parę błędów w transferach. Michael przesunął wzrok z kolegi na wydruki i z powrotem. Mówił bardzo szybko, starając się odwrócić jego uwagę. W tym momencie jednak podeszli dwaj inni i stanęli tuż obok biurka Prudence, otwartej szuflady i klucza leżącego za nogą krzesła.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, Michael znalazł błąd. Urzędnicy dalej stali, kiwając głowami i żując końce ołówków. Już zaczął tracić nadzieję.

Miał ochotę krzyknąć, żeby sobie poszli.

W końcu wrócili do swoich biurka. Michael spojrzął na zegar ścienny, zdumiony, że nie minęło nawet pięć minut. Pochylił się i ukradkiem podniósł klucz.

Teraz czekało go najtrudniejsze zadanie. Informacje, których potrzebował, były napisane na skrawku papieru przyklejonym do dna szuflady. Żeby do nich się dostać, musiał ją całkowicie wysunąć. Znalazł na to sposób.

Jak większość ludzi pracujących w stałym napięciu wszyscy urzędnicy palili.

Michael obserwował ich do momentu, kiedy jeden z mężczyzn opróżnił przepełnioną popielniczkę. Michael niedbale podszedł do kosza i wrzucił do niego zmięty papier razem z chusteczką nasączoną płynem do zapalniczek. Ledwo wrócił do biurka, z kosza uniosła się smużka dymu.

Hej, co się dzieje? — krzyknął. Koledzy zobaczyli dym i natychmiast rzucili się po gaśnicę. Korzystając z zamieszania, Michael wysunął szufladę i uniół akta.

Dopiero wtedy spojrzął w dół. Wystarczyło mu kilka sekund, żeby zapamiętać dwa numery. Zamknął szufladę, przekręcił klucz. Nikt nic nie zauważył ani nie usłyszał. Ogień został ugaszony, zanim włączyły się alarmy. Wszyscy odetchnęli z ulgą i po krótkiej wymianie zdań wrócili do pracy.

To samo zrobił Michael. Połączył się teleksem z Banco de Brasil w Rio de Janeiro. Następnie wystukał pierwszy z dwóch zastrzeżonych numerów, które zapamiętał, a po nim prośbę o otwarcie rachunku. Wiedział, że żaden szanujący się bank na świecie tego nie zrobi, nie sprawdzwszy najpierw jego tożsamości. Ponieważ Michael podał wymagany numer kodu, pozostawało mu tylko czekać.

Zaczęli się schodzić urzędnicy, którzy mieli przerwę obiadową. Do

wyjścia szykowali się pozostali. Michael wyjął kanapkę i wmusił w siebie kilka kęsów. Minęła godzina, potem następna. Dalekopis włączał się od czasu do czasu, wypluwając wiadomości z całego świata... z wyjątkiem Brazylii. Dzień pracy zbliżał się do końca.

Kiedy pracownicy zbierali się do wyjścia, nadszedł jeszcze jeden teleks. Michael w napięciu przeczytał pierwsze linijki. Było to potwierdzenie z Rio. Po nim następował numer konta. I słowa podziękowania.

Nawet nie wiecie, jak miło robić z wami interesy!

Michael wsunął złożony papier do kieszeni. Następnie przesunął się z krzesłem do komputera. Na ekranie pojawiły się numery kont, które zamierzał uszczuplić. Należały do kilku największych instytucji dobroczynnych, muzeów i organizacji nie nastawionych na zysk. Z każdego konta Michael pobrał setki tysięcy dolarów, wydając komputerowi polecenie, żeby przetransferował je w ciągu trzech dni na rachunek, który właśnie założył w Banco de Brasil. W każdym wypadku autoryzował transakcję jednym z dwóch zastrzeżonych numerów.

Odchylił się na oparcie krzesła i wziął oddech. Skończone. Nie mógł się już wycofać. Wszystko, co robił przez ostatnie pięć lat, stanowiło przygotowanie do tej chwili.

Ale nie był to jeszcze finał zadania. Michael wmieszał się w tłum urzędników wychodzących z banku. Postawił kołnierz, chroniąc się przed zimnym kwietniowym wiatrem, i skierował w stronę stacji metra. Pół godziny później dotarł na Christopher Street w Village i zaczął szukać baru, który wolał się nie reklamować. Znalazł odpowiedni pod sex shopem.

Mimo wczesnej pory długa, niska sala była zatłoczona i pełna dymu. Wśród młodych obowiązuje strój stanowiła skóra i denim, podczas gdy starsi, którzy szukali towarzystwa na wieczór, preferowali kaszmir. Michael ściągał na siebie pełne podziwu spojrzenie jednych i drugich. Wcisnął się na wolne miejsce przy barze i zaczął polowanie.

W ciągu następnych dwóch godzin odrzucił ponad piętnaście propozycji drinków, kolacji albo kina. Jeden ze starych rozpustników posunął się nawet do tego, że zaproponował mu weekend w St. Thomas. Michael sącył piwo i rozglądał się po sali. Od razu wypatrzył swoją ofiarę. Gdyby nie znalazł jej tutaj, spróbowałby w barach dla sadoma-sochistów.

Mężczyzna wyglądał jak anioł — zaczesane do tyłu złote włosy, doskonałe kości policzkowe, sarnie oczy. Co ważniejsze, był jego budowy i wzrostu. Michael ściągnął go wzrokiem i zrobił miejsce obok.

— Okropna pogoda, co? — szepnął anioł.

— Straszna — przyznał Michael. — Whisky?

— Jesteś taki miły.

Anioł miał na imię Hector i pracował jako model u Brooks Brothers. Pogawędzili chwilę przy drinkach. Hector był zachwycony propozycją Michaela, by razem zjedli kolację w hiszpańskiej restauracji kilka ulic dalej.

— Słyszałem, że jest boska! — powiedział Hector.

— Najpierw jednak chcę się przebrać — oznajmił Michael. — Chodź ze mną. Mieszkam zaraz za rogiem.

Zwykle Hector nie chodził do cudzych mieszkań na pierwszej randce. Miał przykre doświadczenia ze starszymi mężczyznami, którzy okazywali się brutalni. Ale Michael tak mu się podobał...

— Nie ma tu nic do oglądania — powiedział Michael przepraszająco, otwierając frontowe drzwi i wpuszczając Hectora przodem.

— Nonsens. Uważam, że jest całkiem przytulnie.

Tylko tyle udało się powiedzieć aniołowi do momentu, gdy pięść Michaela trafiła go za uchem. Po drugim ciosie zachwiał się i runął na podłogę.

Michael szybko wciągnął go do mieszkania i zamknął drzwi. Rozebrał Hectora i położył na łóżku, które sięgało niemal do kominka. Wcisnął jego ubrania do taniej torby podróżnej, a na szyję włożył mu łańcuszek z rzymską monetą. Sprawdził apartament, by się upewnić, że zabrał wszystko, a zostawił tylko to, co chciał.

Zapalił dwie długie świece i postawił je po obu stronach kominka. Następnie odkręcił gaz.

— Dobranoc aniele!

Wyszedł przez okno na schody pożarowe. Hałas uliczny głużył jego kroki, a padający deszcz zmuszał ludzi do opuszczenia głów. Nikt nie spoglądał w górę.

Michael przeszedł przez jezdnię i schronił się we wnęce zamkniętej piekarni. Nie musiał długo czekać. Eksplozja była widowiskowa. Wypadły szyby w jego mieszkaniu.

Po paru sekundach wystrzeliły płomienie, rzucając

czerwonopomarańczowy blask na ulicę. Budynek był w tak złym stanie, że dach się zawalił, zanim nadjechała straż.

Michael ruszył w stronę Hudson Street i tam złapał taksówkę. Dwudziestodolarowy banknot uciszył protesty taksówkarza, który początkowo nie chciał jechać na

lotnisko Kennedyego. Michael nie przejmował się, że kierowca zapamięta jego twarz. Za osiemnaście godzin wysiadzie z samolotu w Rio de Janeiro. Dwa dni

później trafi pod noz jednego z najlepszych chirurgów plastycznych na świecie.

Zmiany

na twarzy będą subtelne, takie, by w razie przypadkowego spotkania dawni znajomi dostrzegali podobieństwo, ale nic ponadto. Za dodatkową opłatę lekarz zgodził się również zmienić mu odciski palców.

Michael uśmiechnął się, kiedy taksówka ruszyła z szarpnięciem. Samson zginął w tragicznym pożarze, a jego ciało było nie do rozpoznania. Pomyślał o Prudence Templeton i znów się uśmiechnął. Miał nadzieję, że nic będzie go opłakiwała zbyt długo.

Wrócili do Nowego Jorku, kiedy słońce zachodziło nad Hudsonem. Armand nalegał, żeby Kate i Emil poszli z nim na pożegnalnego drinka, zanim odleci do Paryża.

— Musisz już jechać? — zapytała Kate.

Od razu pożałowała tych słów. Uświadomiła sobie, że obecność Armanda uspokaja ją i dodaje otuchy. Nauczyła się na nim polegać. I od razu zrozumiała, do czego to może prowadzić: do zależności umacnianej przez romantyczne wyobrażenie, które miała o nim jako dziewczynka. Próbowwała zwalczyć te uczucia, żeby ustrzec się przed złudzeniem. Tego nauczył ją Ted.

— Tak — odparł Armand. — Obawiam się, że muszę jechać. — Wskazał na Bartolego. — Ale wiem, że będziesz pod dobrą opieką. — Zrobił pauzę. — Co masz zamiar robić, Kate?

— Zamierzam tu zostać, przynajmniej na jakiś czas. Nie wiem jeszcze, czy chcę sprzedać dom. Adwokat powiedział, że musi omówić ze mną parę spraw.

Armand wyjął z kieszeni na piersi złote pióro i na odwrocie wizytówki zapisał numer.

— To mój prywatny telefon. Możesz do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Objął ją i pocałował w policzek. Emilowi uściśnął dłoń.

— Opiekuj się nią — powiedział.

Bartoli zauważył, z jakim napięciem Kate patrzy za Armandem idącym w stronę wind. Dobrze znał to spojrzenie... i wiedział, co oznacza. Był zadowolony ze względu na Kate, że Armand wyjeżdża.

Wróciwszy do apartamentu, Armand wezwał gońca po bagaże. Czekaając na niego, zadzwonił do adwokata Alexandra. Zgodnie z obietnicą prawnik już poczynił odpowiednie kroki. Armand zostanie zawiadomiony w stosownej chwili. Reszta będzie zależeć od niego. Fremont podziękował, dając do zrozumienia, że w ten sposób adwokat odwdzieczył się za dawną przysługę.

Prudence Templeton zadrżała ze strachu oraz chłodu i ciaśniej owinęła się płaszczem. Nigdy nie przypuszczała, że znajdzie się w miejskiej kostnicy. I oto ledwo nad sobą panując, szła obskurnym wyłożonym płytkami korytarzem, w towarzystwie dwóch detektywów.

Wróciła z Pawtucket zmęczona i przygnębiona. Pogrzeby zawsze wprawiały ją w ponury nastrój. Nie mogła się doczekać, kiedy zadzwoni do Michaela i poprosi, żeby przyszedł. Chciała poczuć jego ciało, pozbyć się uczucia straszliwej samotności. Uśmiechnęła się na tę myśl. Michael był tak wrażliwy w tych sprawach.

I wtedy usłyszała dzwonek do drzwi. *To nie może być on.*

Marzenie rozwiało się na widok dwóch mężczyzn o ponurych twarzach. Powiedzieli jej o pożarze w Village i zapytali, czy znała kogoś o nazwisku Michael Samson. Tak. Czy może w takim razie pójść z nimi? Po co? Czy Michael jest ranny? *Nie, proszę pani. Przykro nam to mówić, ale pani przyjaciel zginął w płomieniach. Musi pani zidentyfikować ciało.*

Prudence wzdrygnęła się, czując ostry zapach płynu do balsamowania, unoszący się w sali sekcyjnej. Opuściła wzrok, żeby nie widzieć tego, co leżało na stołach z nierdzewnej stali, i pozwoliła się zaprowadzić do wbudowanej w ścianę lodówki. — Widok jest nieprzyjemny — uprzedził jeden z detektywów. — Wiem, że to nie będzie łatwe, ale proszę się nie spieszyć. Musimy mieć pewność.

Kiedy pomocnik koronera odsunął prześcieradło, Prudence wstrzymała oddech. Pokój zawirował jej przed oczami. Oparła się na ramieniu detektywa. Po chwili zmusiła się, by spojrzeć na zwęglone szczątki. Przywołała w pamięci twarz Michaela, żeby nie widzieć tej potworności. Iłył to naturalny mechanizm obronny, ale nieuchronnie prowadził **do** złego wniosku. Prudence zasugerowano, że to jest Michael Samson. Nic miała powodu nie wierzyć detektywom.

Skinęła głową.

— To on.

Detektyw podał jej szerniały kawałek metalu. Prudence przyjrzała się uważnie i zacisnęła go w dłoni.

Dałam mu to na urodziny — szepnęła. — To rzymska moneta z czasów Juliusza Cezara.

Detektyw nie widział nic o Cezarze, ale przedmiot już wcześniej zidentyfikowano jako starą monetę. Jeśli chodzi o niego, był to wystarczający dowód. Sprawę uznał za zamkniętą.

— Mam jeszcze parę pytań — powiedział detektyw, wyprowadzając ją z sali. Wyciągnął rękę. — Przykro mi, ale muszę dostać z powrotem tę monetę. Może pani porozmawiać o tym z jego krewnymi.

— Nie miał nikogo na świecie — szepnęła Prudence. Opowiedziała im resztę w zagraconym biurze cuchnącym dymem papierosowym. Michael Samson pochodził z Malty. Przyjechał do Maritime Continental z Europy rok temu. Prudence szybko przekazała szczegóły z jego teczki personalnej, ponieważ było ich niewiele. Gdy pracował w szwajcarskim Sauer Bank, postanowił przekazać swoje ubezpieczenie na rzecz Czerwonego Krzyża. Po przyjeździe do Stanów zmienił dyspozycje, przeznaczając pieniądze na United Way. Jego rodzice nie żyli. Nie miał rodzeństwa ani żony.

Prudence zapewniła detektywów, że polisa ubezpieczeniowa, którą bank dawał pracownikom, wystarczy na godny pogrzeb. Oczywiście ona zajmie się wszystkim. Dwaj detektywi spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami. Jeden z nich położył monetę przed Prudence.

— Proszę posłuchać, to wbrew przepisom, ale ponieważ pan Samson nie miał nikogo, może pani to weźmie? Jeśli przekazemy ją adwokatom, może zginąć. A tak przynajmniej...

Palce Prudence drżały, kiedy sięgała po monetę. Najpierw Alexander Maser, a teraz Michael. Tak kochała ich obu! Jak będzie teraz żyła bez Michaela, bez jego dotyku?

Pierwszy alarm włączył się w poniedziałek. O dziesiątej czterdzieści pięć skarbnik Nowojorskiego Towarzystwa Ochrony Zabytków, które kupowało i utrzymywało historyczne budowle w mieście, odebrał telefon z Pierwszego Banku Hudsonskiego z informacją, że Maritime Continental odmówił wypłacenia czeku na sześćset tysięcy dolarów. Zdziwiony skarbnik sprawdził księgi i stwierdził, że ma dość funduszy na pokrycie czeku. Bezzwłocznie zatelefonował do wicedyrektora Maritime Continental, który obsługiwał rachunek Towarzystwa.

Trzydzieści minut później wicedyrektor oznajmił, że na koncie brakuje czterysta tysięcy dolarów pobranych w zeszłym tygodniu. Nie zadał sobie trudu, by sprawdzić charakter operacji, gdyż pomyślał, że skarbnik Towarzystwa będzie ją pamiętał. Skarbnik z oburzeniem odparł, że skrupulatnie prowadzi księgi i że nigdy nie podpisał takiej wypłaty.

Skruszony wicedyrektor przystąpił do śledztwa. Sprawdził, że wypłaty dokonano przelewem. Kiedy przejrzał dokumentację, znalazł się **na** krawędzi drugiego zawału.

Emil Bartoli od razu zgodził się przyjąć wicedyrektora. W miarę jak przeglądał papiery, mina mu rzedła.

— Zrealizuj czek Towarzystwa z funduszy lokacyjnych — polecił. — I daj mi Prudence Templeton!

Gdy wicedyrektor, trochę spokojniejszy, wyszedł, zabrzączał telefon. Tym razem dzwoniło z dużej instytucji dobroczynnej. Jej przewodniczący był rozwścieczony, ponieważ zakwestionowano mu czek **na** milion dwieście tysięcy dolarów. Bartoli uspokoił go i obiecał natychmiast zająć się sprawą. Nie mógł jednak tego zrobić, ponieważ w tym momencie nastąpił trzeci kryzys. Tym razem chodziło o polityka, którego fundusz reelekcyjny zmniejszył się o dwa miliony dolarów. Panno Templeton, co się dzieje? — zapytał Bartoli zimno.

Zdziwiona zarówno samym wezwaniem, jak i niecodziennym zachowaniem Bartolego, Prudence Templeton była zupełnie zdezorien-

towana. Sprawy pogarszał jeszcze żal po śmierci Michaela. Ostatnie cztery dni spędziła oplakując go, a tego ranka wysiłkiem woli zwlokła się z łóżka i przyszła do pracy. Próbowwała się skoncentrować na wydrukach, które jej podał Bartoli, ale nic z nich nie rozumiała.

— Proszę mi wybaczyć, panie Bartoli, czy na pewno pan nie autoryzował tych operacji?

— Oczywiście, że nie!

— Pytam, ponieważ widzę tutaj pański numer kodowy.

— Wiem! Nie potrafię tego wyjaśnić. — Bartoli umilkł na chwilę. — Proszę spojrzeć na drugi.

Prudence Templeton zapało dech. Drugi numer należał do Alexandra Masera.

— Ale jak to możliwe?

— Właśnie tego musimy się dowiedzieć... i to szybko!

— Myśli pan, że ktoś... — Prudence nie była w stanie dokończyć pytania.

Bartoli milczał wymownie.

— Zajmę się tym natychmiast — oświadczyła.

— Jak najszybciej, panno Templeton. Nie wiemy, jak daleko to wszystko zaszło.

Po południu Bartoli już wiedział. Okradziono trzy następne rachunki, a straty sięgnęły sześciu milionów dolarów. *Jak to się skończy?*

Ale najgorsze miało dopiero nastąpić. Nie wiadomo, jak rozeszły się plotki w świecie bankowym. Mogła to być podsłuchana rozmowa, nieopatrznie rzucona uwaga, niezadowolony pracownik cieszący się z niepowodzenia banku. Jakkolwiek sprawa się przedstawiała, o trzeciej Bartoli przyjął telefon od szefa Wewnętrznej Komisji Bankowej. W Waszyngtonie usłyszano o skandalu w Maritime Continental. Powtarzano szeptem straszne słowo defraudacja.

Pomijając szczegóły, Bartoli przyznał, że wykryto pewne nieprawidłowości, i zapewnił, iż bank prowadzi śledztwo.

— Obawiam się, że niezbyt sprawnie — stwierdził szef komisji. — Wniesiono formalne oskarżenie.

— Kto? — zapytał skonsternowany Bartoli.

— Wasz niestały przyjaciel z prezydenckimi ambicjami. Martwi się o swoje dwa miliony, ale jest wściekły, że może być zamieszany w duży skandal.

To niedorzeczne!

— Zgadzam się. Ale zależy mi, żeby sprawa została załatwiona. W tych okolicznościach pozostaje mi tylko działać.

— Co ma pan na myśli? — zapytał Bartoli.

Godzinę później poznał odpowiedź. Do Maritime Continental przybyli trzej agenci FBI z zespołem kontrolerów bankowych i zabrali się do sprawdzania ksiąg. Byli pewni, że znajdą dowód, którego szukali, i tak się stało.

— Panie Bartoli — oświadczył starszy agent FBI — jest pan aresztowany pod zarzutem malwersacji i próby wywiezienia ze Stanów Zjednoczonych sumy wyższej niż dziesięć tysięcy dolarów bez wcześniejszego zawiadomienia Ministerstwa Finansów.

Emil Bartoli został wyprowadzony na oczach całego personelu.

Światło księżycy wlewające się przez wielkie okna rezydencji na Park Avenue hipnotyzowało Kate. Opuściła hotel i wprowadziła się do domu, w którym nie była od pięciu lat. Z początku czuła się niepewnie. Chodziła po pokojach, dotykając stylowych mebli, które ojciec zgromadził przez lata. Tylko raz zajrzała do jego gabinetu. Nie czuła się gotowa, by wkroczyć do tego sanktuarium. Nie otworzyła albumów ze zdjęciami, które znalazła w swojej dawnej sypialni. Nie miała na to jeszcze dość siły.

W pewnym momencie pomyślała o tym, jak daleko stąd odeszła. Napłynęły wspomnienia z Berkeley. Pracując w kancelariach adwokackich, podejmowała się różnych zadań, pomagała tym, którzy starali się /mienić społeczeństwo. Zajmowała się głównie sprawami wolności obywatelskich. I pomyślała o Tedzie. Którejś nocy widziała go w telewizji w towarzystwie adwokata, Jake'a Hirsha. Udzielał wywiadu na schodach sądu San Francisco. Słuchała uważnie tego, co mówił. Rozpoznała pasję i pewność siebie, ale dostrzegła też coś nowego. W słowach Teda brzmiały gniew i bezkompromisowość, których wcześniej nie słyszała.

A może nie chciała słyszeć...

Mimo woli zaczęła się zastanawiać, czy Ted naprawdę chce rozwiązać problemy, o których mówił. A może żyje dla wieców, widowisk, przemówień?

Kim byłby, gdyby nie miał swoich przekonań?

Kate знаła odpowiedź: nikim. *Do diabła z jego pozą i do diabła : Rosemary!*

Pomyślała o Armandzie, puszczając wodze wyobraźni, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi i świat, z którym dopiero brała się za bary, zatrzęsł się w posadach.

— Ci dwaj panowie... — zaczęła służąca, wchodząc do pokoju w towarzystwie dwóch mężczyzn.

— Pani jest Katherine Maser? — przerwał jeden z nich.

— Tak. O co chodzi?

— Jestem detektyw Young, proszę pani. Ten dzentelmen to szeryf federalny. Mamy nakaz aresztowania pani.

Kate była świadkiem dziesiątków aresztowań. Wiedziała, że te pierwsze chwile, kiedy podejrzany czuje chłód stali na nadgarstkach, są najgorsze. Strach, rozpacz, panika, nawet przerażenie — wszystko to widywała w oczach oskarżonych.

Nie mogła uwierzyć, że przydarza się to właśnie jej. Próbowwała zachować spokój. Kiedy detektyw skończył odczytywać jej prawa, zapytała go, dokąd jada i jakie są zarzuty.

— Prokurator okręgowy czeka na panią, panno Maser — poinformował Young. — On pani wszystko powie.

— O tej porze?

— Mamy swoje rozkazy, proszę pani.

Biuro prokuratora okręgowego na Manhattanie było otwarte całą dobę. Na korytarzach tłoczyli się złodzieje, prostytutki, pijacy, urzędnicy pili kawę, udęczeni obrońcy z urzędu szepem zawierali ugody z przepracowanymi zastępcami prokuratora. Kate zaprowadzono na ciche drugie piętro.

— Pani adwokat czeka — oznajmił Young, otwierając drzwi. Za lśniącem biurkiem siedział wysoki, atletycznie zbudowany czterdziestokilkuletni mężczyzna, w nienagannie odprasowanym trzyczęściowym garniturze.

— Saul Muskat, panno Maser, z biura Charliego Treloara. Kate знаła Charlesa Treloara. Jak sięgała pamięcią, był doradcą ojca, a zarazem jej nauczycielem i ideałem prawnika.

— Gdzie jest pan Treloar? — zapytała.

— W domu. Proszę posłuchać, panno Maser, nie potrzebuje pani doradcy prawnego. Zarzuty przeciwko pani są natury kryminalnej. Potrzebuje pani zwykłego adwokata. Ja nim jestem.

Kate usiadła.

— Jakie zarzuty?

Saul Muskat obszedł biurko i nachylił się nad Kate. Wbił w nią wzrok.

Może mi pani coś powiedzieć o rachunku czterdzieści siedem o s i e m dziesiąt?

Kate potrząsnęła głową.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— A o Nowojorskim Towarzystwie Ochrony Zabytków?

— Nie!

— O Banco de Brasil w Rio?

— Nigdy o nim nie słyszałam! Proszę mi powiedzieć, o co chodzi!

— Wiele osób chciałoby to wiedzieć — stwierdził Muskat szorstko. — Nie oglądała pani wiadomości?

— Dzisiaj nie.

— Więc nie ma pani pojęcia, co się stało?

— Nie. Ale przypuszczam, że pan mi powie, skoro potrzebuję adwokata!

Saul Muskat spojrział na nią w zamyśleniu.

— Dobrze. Jest pani oskarżona o zdefraudowanie ponad sześciu milionów dolarów z banku Maritime Continental. Jak do tej pory.

— To szaleństwo — szepnęła Kate.

Prawnik obserwował każdy ruch Kate, ton głosu, szukał najmniejszego znaku, który świadczyłby o winie. Nie dostrzegł niczego.

— Cóż, to zwariowany świat. Proszę posłuchać, panno Maser, powiem pani, co się stało. Potem pani mi powie, jak to możliwe.

Nie opuszczając ani jednego szczegółu, Muskat wyjaśnił, co się wydarzyło od chwili, kiedy odkryto brak pieniędzy, do czasu aresztowania Kate i Emila Bartolego.

— Emil? — krzyknęła Kate. — W jaki sposób jest w to zamieszany?

— Przelewy teleksowe wymagają potwierdzenia w postaci kodów identyfikacyjnych. Jeden należał do pani i pani ojca, a drugi do Bartolego.

— Jakie kody?

Prawnik wziął z biurka kartkę papieru.

— Oto zaprzysiężone zeznanie panny Prudence Templeton, która kieruje działem transferów. Wynika z niego, że numer pani i pani ojca to czterdzieści siedem osiemdziesiąt. Czy to coś pani mówi?

Kate myślała intensywnie. Numery były znajome.

— Tak wiem — powiedziała. — To kod, który dał mi ojciec, żebym mogła przelewać pieniądze stąd do Berkeley, nie zwracając mu za każdym razem głowy.

Prawnik westchnął.

Wiedziała pani, że to jest zarazem jego osobisty kod? Nie!

— Coz, ale tak jest. Z całą pewnością pani ojciec nie autoryzował przelewów. Tak więc pozostaje...

— Ja.

Muskat skinął głową.

— Tak to wygląda dla prokuratora.

— A dla pana? — zapytała Kate z wyzwaniem. Adwokat uśmiechnął się.

— Myślę, że jest pani niewinna. Nie wiem, jak do tego wszystkiego doszło, ale nie sądzę, żeby pani brała w tym udział.

— Dziękuję — odparła Kate. — Sądziłam, że prokuratorowi okręgowemu potrzeba będzie czegoś więcej, żeby wydać nakaz aresztowania. Na przykład motyw.

— Ma motyw — powiedział Muskat. — Zadawała się pani w Berkeley z dziwnymi ludźmi. Większość nazywa się radykałami. I jeszcze ten pani chłopak, który ciągle pojawia się w wiadomościach, jeśli akurat me próbuje spalić biur administracji na kampusie. Mówi się, że pani zdefraudowała pieniądze, ponieważ popiera pani rewolucję, cokolwiek to może znaczyć.

— To szaleństwo! — szepnęła Kate. Muskat wzruszył ramionami.

— Będzie pani musiała przekonać wszystkich, że jest inaczej.

— A co z Emilem? On również jest radykałem? Dlaczego jest w to wmieszany?

— Jego kod jest na dokumentach transferowych — przypomniał jej Muskat. —

Mówi się, że po śmierci pani ojca jego pozycja w banku stała się niepewna. Przyszła pani do niego z propozycją, której nie mógł odrzucić: pomóż mi zniszczyć bank, a ja zadbam, żebyś był urządzony na resztę życia. Trzy miliony dolarów, połowa brakującej sumy, może starczyć na długo.

— Chyba pan w to nie wierzy! — stwierdziła Kate, osłupiała.

— Nie wierzę. Ale wszystko pasuje. — Muskat zrobił pauzę. — Prokurator będzie chciał z panią porozmawiać. Proszę mu odpowiadać dokładnie tak jak mnie. Nie ręczę, czy od razu uzna panią za niewinną. Wystarczy, że będzie miał wątpliwości. Wtedy wydostanę panią jeszcze dzisiaj za kaucją. Ma pani przy sobie paszport?

— Jest w domu.

— To dobrze. Zadzwoń i każę komuś ze służby przynieść go tutaj.

— Po co?

— Coś za coś, pani mecenas. Muszę go dać prokuratorowi. Mecz paszportu nie będzie mogła pani uciec do Kio i wydać wszystkich pieniędzy, prawda?

— Prawda — potwierdziła Kate słabo. Była zła na samą siebie, żenię dostrzegła oczywistych rzeczy. — Chcę się zobaczyć z Emilem — oświadczyła.

Muskat potrząsnął głową.

— Nic z tego, dopóki prokurator z wami nie porozmawia. Proszę trzymać kciuki, panno Maser, a może niedługo oboje będziecie wymieniali się uwagami przy śniadaniu w Plaża.

Nie zjedli go w Plaża, lecz w barze za rogiem niedaleko sądu federalnego. Była szósta rano i w środku siedzieli policjanci z patroli, sekretarki, urzędnicy, młodzi prawnicy, dzienna zmiana pracowników sądu. Poplamione krzesła z imitacji skóry kleiły się do spódnicy Kate, a zapach pączków i bekonu przyprawiał ją o mdłości.

— Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro, Kate — odezwał się Bartoli podnosząc kubek z kawą.

Kate pomyślała, że Emil wygląda tu nie na miejscu w doskonale uszytym włoskim garniturze. Ona sama czuła się brudna i wyczerpana. Zaszło jej w gardle.

Przesłuchanie u zastępcy prokuratora okręgowego było bezlitosne, a pytania, powtarzane po kilka razy, frustrujące. Miała ochotę krzyczeć.

Potem, jak za dotknięciem magicznej różdżki, wszystko się skończyło. Stała przed budynkiem sądu z Saulem Muskatem. Kaucję za nią i Emila ustalono na milion dolarów. Zwyczajowe dziesięć procent wpłacono w formie czeku wystawionego na kancelarię Charlesa Treloara. Ustalono datę przesłuchania, a ona i Emil zobowiązała się na czas śledztwa nie opuszczać Nowego Jorku bez powiadomienia sądu. W przeciwnym razie groziło im natychmiastowe aresztowanie.

— Emilu, co się dzieje? — zapytała Kate.

— Sam chciałbym znać odpowiedź.

— Musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz. Czy oni są pewni, że to nie błąd urzędnika? — zapytała, chwytając się brzytwy.

— Nasi ludzie, nie mówiąc o kontrolerach, znaleźliby go do tej pory — odparł Emil.

— Nie, Kate, zakradł się jakiś sprytny lis i ograbił kurnik.

— Masz pojęcie, kto to? Potrząsnął głową.

— Najmniejszego. Starannie dobieramy pracowników. Żądamy życiorysu, referencji i opinii psychologa. Sprawdzamy, czy dana osoba nie była karana. Wierz mi, nie składamy propozycji, dopóki nie dowiemy się wszystkiego, co konieczne. — Zdusił niedopałek. — Dlatego tak trudno mi uwierzyć, że wśliznął się między nas jakiś drań. Ktoś,

kto nie tylko znał procedury przelewów, ale potrafił zdobyć kody bezpieczeństwa.

— Ilu ludzi miało dostęp do tej informacji?

— Tylko ja i Prudence. Najwyraźniej się myliłem.

Kate zauważyła, że Emil jest zły i jednocześnie zawstydzony.

— Emilu, domyślasz się, w którym dziale pracował złodziej? W sali transferów?

— Bez wątpienia — odpowiedział cicho. — To musiał być jeden z ośmiu pracujących tam urzędników. Lub raczej siedmiu.

Kate zmarszczyła brwi.

— Dlaczego siedmiu?

— Jeden z pracowników, Michael Samson, zginął w pożarze tydzień temu. W jego mieszkaniu wybuchł gaz.

— To straszne!

Podeszła kelnerka, żeby napęlnić im kubki. Kate zaczęła, aż kobieta odejdzie.

— Przypuszczam, że policja przesłuchuje ich wszystkich.

— Oczywiście.

— Więc to kwestia czasu — stwierdziła Kate, starając się podnieść Emila na duchu.

— Wcześniej czy później złodziej zostanie złapany.

Uśmiechnął się bladeo.

— Tak sądzę. Ale to nie zmienia faktu, że zawiodłem cię, Kate. Ciebie i twojego ojca. Taka rzecz nie powinna się wydarzyć, zwłaszcza teraz.

— Emilu...

— Nie, pozwól mi dokończyć. Wprawdzie nie jestem w więzieniu, ale dopóki nie zostanę uznany za niewinnego, ciąży na mnie odpowiedzialność wobec banku. Poza tym Urząd Rezerwy Federalnej już wyznaczył tymczasowego nadzorcę.

— Nie! — oświadczyła Kate. — Do licha, jesteś niewinny, dopóki nie udowodnią ci winy!

— Kate, nie rozumiesz! Sprzeniewierzono pieniądze. Wybuchł skandal i od jutra depozytariusze zaczną wycofywać wkłady. Usłyszymy mnóstwo wymówek i obietnic, ale to będą tylko czcze słowa. Tacy klienci nigdy nie wracają. Nie chcą ryzykować. — Uniósł rękę, żeby powstrzymać protest Kate. — Są też inne problemy. Nie dowiedzieliśmy się jeszcze od banku z Rio, dokąd przetransferowano pieniądze. Dopóki nie uzyskamy tej informacji, nic nie mogę zrobić.

— Kogo wyznaczy! Urząd Rezerwy Federalnej? - spytała Kate.

— Tym razem mieliśmy szczęście — odparł Emil. — Przysyłają Matthew Savage'a. Pracował u Salomon Brothers, ale przez ostatnie kilka lat był arbitrem i nadzorcą banków, którym groziło bankructwo. Znamy się od dawna. Ufam jego osądowi i decyzjom. Zrobi wszystko, żeby uratować Maritime Continental.

— Coś ukrywasz, Emilu — stwierdziła Kate, patrząc na niego uważnie.

Pozwolił sobie na skromny uśmiech.

— Savage będzie mnie informował o postępach śledztwa. Kate ścisnęła go za rękę.

— Emilu, wszystko się ułoży. Policja znajdzie złodzieja. Za kilka dni uznamy to za zły sen.

Bartoli nie odezwał się. Czuł w kościach, że to wcale nie będzie takie proste. Jako człowiek przesądny wierzył, że złe sny nigdy nie odchodzą. Wracają co jakiś czas jako koszmary.

Na Wall Street nazwano ten dzień Czarnym Wtorkiem. Około południa wycofało się sześćdziesięciu największych klientów Maritime Continental. Pod koniec dnia pracy liczba ta zwiększyła się pięciokrotnie. Bankowi groziła likwidacja. Tylko dzięki temu, że Maritime Continental prowadził konserwatywną politykę inwestycyjną, Urząd Rezerwy Federalnej wystąpił z publicznym oświadczeniem, że wkłady depozytariuszy nie są zagrożone.

Oświadczenie nie tylko nikogo nie uspokoiło, lecz wręcz podsyciło panikę. Klienci rozumowali w ten sposób: dlaczego instytucja nadzorująca przejmuje zarząd Maritime Continental, skoro wszystko jest w porządku? Zamykanie rachunków i wycofywanie wkładów postępowało w alarmującym tempie i żadne zakulisowe działania Emila Barlolego nie mogły tego zmienić. Co gorsza, osoby, z którymi Bartoli przez lata prowadził interesy, nie odbierały jego telefonów. Najdotkliwszy cios spadł w środę. Po czterdziestu ośmiu godzinach milczenia bank z Rio, do którego przetransferowano zdefraudowane fundusze, poinformował Matthew Savage'a i amerykańskich kontrolerów, że tych pieniędzy nie ma na jego kontach. Zgodnie z instrukcjami przesłanymi teleksem zostały przelane gdzie indziej, który to szczegół bankowcy z Rio dogodnie dla siebie pominęli, chowając do kieszeni sowitą prowizję.

— Sytuacja pogarsza się z minuty na minutę — oznajmił Emil przy kolacji.

Kate była przerażona jego wyglądem i otaczającą go aurą klęski.

— Pieniądze nie mogły tak po prostu zniknąć — zaprotestowała. — Muszą istnieć jakieś dokumenty. Ktoś musi coś wiedzieć!

— Siad wraca do nas, Kate. — I dodał gorzko: — Możesz przeczytać o tym w gazetach.

Kate dobrze wiedziała, o co mu chodzi. Fachowe pisma wyrażały opinie raczej ostrożnie, ale inne gazety były znacznie mniej życzliwe, sypiąc na stronach tytułowych szczegółami rzekomej defraudacji i aresztowania. Co gorsza, kontrolerzy nie znaleźli innych podejrzanych o udział w aferze.

Wszystko to irytowało Kate i pogłębiało jej frustrację. Nigdy nie czuła się tak bezradna jak teraz. Przeciwnicy byli zjawami grającymi według zasad, które sami ustalili. Widziała, jak grzęźnie, niezdolna obronić się przed spadającymi na nią ciosami. Uczucie bezradności przerażało ją i odbierało całą odwagę.

— Jedno mnie niepokoi — powiedziała.

— Co?

— Śmierć Michaela Samsona. Emil zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem. To był wypadek. Zginął w pożarze.

— I trudno go było rozpoznać — dodała Kate.

— Ale Prudence go zidentyfikowała. Miał na sobie medalik, który mu podarowała.

— To prawda — zgodziła się Kate. — A kobieta nie daje mężczyźnie czegoś tak osobistego, jeśli między nimi nic nie ma. To coś więcej niż gwiazdkowy czy urodzinowy prezent dla kolegi z pracy.

— Sugerujesz, że coś ich łączyło?

Z tonu Emila Kate wywnioskowała, że nie brał pod uwagę tej możliwości. Prudence Templeton ubierała się i zachowywała jak stara panna.

— To całkiem prawdopodobne — odparła Kate. — Na razie załóżmy, że tak było. Stąd wniosek, że nie wszystko wiedziałeś o Michaelu Samsonie.

— Z tego, co pamiętam z jego akt, miał doskonałe referencje z Sauer Bank.

— Tak, przejrzałam je. Ale czy zdajesz sobie sprawę, Emilu, że nikt naprawdę go nie znał! Był samotnikiem, nigdy nic chodził z kolegami na popołudniowego drinka. Czy to nie wydaje ci się trochę dziwne?

— Może — przyznał Emil. — Jeszcze raz zajrzę do jego teczek, sprawdzę referencje.

— To na początek, ale wątpię, czy coś znajdziesz. Zdaje się, że nasz pan Samson dzielił życie tylko z jedną osobą, Prudence Templeton.

Było to mieszkanie kobiety samotnej. Na kredensie i obramowaniu kominka leżały turystyczne pamiątki z Hawajów i Florydy, ale brakowało zdjęć towarzyszy wakacyjnych podróży. Na małych trójnożnych stolikach przykrytych serwetkami stały porcelanowe figurki, ale nie widać było żadnych oprawionych w ramki portretów rodzinnych. Na ścianie wisiał tylko krzyż i obraz St. Paul. Dzbanek z herbatą przykrywała wełniana osłona o splocie i wzorze identycznym jak w szalu otulającym ramiona Prudence Templeton, świadectwie długich godzin cierpliwej pracy kobiety walczącej z ciszą i samotnością. Kate wyobraziła sobie stukanie drutów, które w tej pustce musiało brzmieć bardzo głośno.

— Dziękuję, panno Templeton — powiedziała, biorąc od niej filiżankę. — To naprawdę nie było konieczne.

— Ależ tak, panno Maser. Na dworze jest bardzo zimno.

Kate łyknęła herbaty. Smutek odcisnął swoje piętno na Prudence Templeton. Oczy miała czerwone, zapuchnięte i rozbiegane, wargi obrzmiałe. Głos jednak był spokojny, jakby należał do kogoś innego. Kiedy podawała herbatę, poznaczone niebieskimi żyłami dłonie wyraźnie drżały.

— Naprawdę nie wiem, co jeszcze mogę dodać, panno Maser. Policja i kontrolerzy zadali mi setki pytań o ludzi, którzy ze mną pracują... to znaczy pracowali.

Powiedziałam im już wszystko. Także o panu Samsonie.

— Dobrze go pani znała, panno Templeton? Prudence wzruszyła ramionami.

— Właściwie nie. Trzymał się na uboczu. Kate odstawiła filiżankę.

— Panno Templeton, nie jestem tu po to, by panią jeszcze bardziej dręczyć. Muszę jednak zadać te pytania. Wie pani, co piszą w gazetach.

Prudence odwróciła wzrok.

— Ma pani na myśli te podłe plotki o pani i panu Bartolim? To śmieci.

— Oczywiście, że tak. Ale prasa na tym nie poprzestanie. Lubuje się w skandalach. Wcześniej czy później powiążą panią z Michaeliem Sainsonem.

Prudence machnęła ręką. Między nimi nic nie było.

— Panno Templeton, kiedy Michael Samson zginął, pani zidentyfikowała ciało. To pani podarowała mu kosztowny medalik, zajęła się pogrzebem. Oprócz księdza tylko pani stała nad grobem. Teraz go pani oplakuje, ponieważ go pani kochała? — Pochyliła się i dotknęła ręki kobiety. Dłoń była lodowata. Z wyrazu twarzy Prudence Kate odgadła, że strzeliła w dziesiątkę. — Nie chcę wściubiać nosa w pani sprawy — ciągnęła — ale tak mało wiemy o Michaelu Samsonie. Z akt personalnych niewiele wynika. Może nam pani coś o nim opowiedzieć? Prudence Templeton popatrzyła na nią z takim smutkiem i rozgoryczeniem, że Kate doznała wstrząsu.

— Jest pani okrutna, panno Maser — odezwała się w końcu. — Nie dlatego, że zadaje pani pytania, lecz dlatego, że jest pani młoda, piękna, bogata. Z pewnością ma pani powodzenie u mężczyzn. Ja nie zasługuję nawet na jedno spojrzenie. A najbardziej mnie boli, że pani tego nie dostrzega. Stara się pani przekonać mnie, że jesteśmy takie same, choć to nieprawda. To mnie obraża.

— Panno Templeton...

— Nie, zadała pani pytanie, więc odpowiem. Tak, kochałam Michaela. Byliśmy kochankami. Dał mi to, czego nigdy nie miałam. Nie jestem zgorzkniała. Chcę tylko, by pani zrozumiała, ile dla mnie znaczył Michael. Był skrytym człowiekiem. Czas, który razem spędzaliśmy, należał do nas. Przeszłość nie miała znaczenia, a jeśli chodzi o przyszłość, to prawdę mówiąc bałam się jej, ponieważ wiedziałam, że pewnego dnia Michael odejdzie. Więc nie pytałam go, kim jest i skąd pochodzi. Cieszyłam się nim, przyjmowałam to, co mi dawał. Widzę pytanie w pani oczach: co ja mu dawałam? Proszę się rozejrzeć, panno Maser. Czego mógłby chcieć? Sala transferów to nie miejsce, gdzie się szybko awansuje. I chociaż moja rekomendacja miałaby jakąś wagę, nie wystarczyłaby, żeby Michael dostał kierownicze stanowisko. Był bardzo bystry. Mógłby zająć wyżej, ale lubił swoją pracę i dobrze ją wykonywał. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Nalała sobie wystygłej herbaty. Kate wstała.

— Bardzo mi przykro, jeśli panią obraziłam, panno Templeton. Uważam, że jest pani niewinna, jeśli to może być pocieszeniem. Może pani liczyć na moją pomoc. — Kate umilkła na chwilę. — Jeszcze jedna prośba. Nie znaleźliśmy żadnego zdjęcia Michaela Samsona. Jeśli ma pani jakieś, chętnie bym je wzięła.

Prudence Templeton otworzyła drzwi.

— Nie, nie mam, panno Maser. Zresztą i tak bym pani nie dała. Po co pani wróciła? Dlaczego sprowadziła pani na nas kłopoty? Wiem, że pan Bartoli jest niewinny. Ale nic mogę tego samego powiedzieć o pani.

David Cabot czekał na Armanda w małym hotelu obok fabryki Ferrari w Maranello. Spędzili razem sobotnie popołudnie i całą niedzielę, czytając raporty inżynierów z badania wraku samochodu Alexandra. W poniedziałek pojechali do Rzymu, skąd mieli odlecieć do Bejrutu. Armand miał w ręku dowód, że Alexa zamordowano z premedytacją. Nie wiedział jednak, kto to zrobił.

Na lotnisku Fiumicino udali się do poczekalni Alitalii zarezerwowanej dla pasażerów pierwszej klasy. W telewizji nadawano akurat wiadomości. W ten sposób dowiedzieli się o skandalu w Nowym Jorku.

Natychmiast zmienili plany i pojechali do ekskluzywnego klubu, którego Armand był członkiem. Mając kilkanaście połączeń teleksowych z całym światem, klub stanowił miejsce wymiany najświeższych informacji. Przez następne dwa dni Armand i David patrzyli bezradnie, jak pękają i wałają się filary Maritime Continental.

— Nie mogę w to uwierzyć! — wykrzyknął David, chodząc długimi krokami po klubowym apartamencie. — Bartoli okrada bank? W porozumieniu z Katherine Maser? — Roześmiał się krótko. — To szczęście, że prasie nie udało się dopaść ciebie, żeby zdobyć komentarz.

Armand stał obok dużego okna balkonowego. W zamyśleniu patrzył w dół, ale nie widział turystów kłębiących się na Schodach Hiszpańskich.

— Ktoś zamierza zniszczyć Maritime Continental — stwierdził z lodowatym spokojem. — Dlaczego? Czy to jakaś wendeta, która ma związek z Alexandrem? A może bank jest głównym celem? Czyżby wiedzieli o jego działalności i powiązaniach więcej, niż przypuszczamy?

Spojrzał na Davida. — A Bartoli nie chce mnie wciągać w swoje kłopoty. Czy nie zachowuję się jak stary drań? Emil jest moim przyjacielem. Stracił reputację, a ja nie ruszam palcem, żeby mu pomóc. A co z Katherine? — zapytał David.

— Nie rozumiem, dlaczego jest w to wmieszana! — Uderzył dłońmi w balustradę z kutego żelaza. Metal zabrzęczał. — Według mnie to duży błąd ze strony prokuratury. Ten, kto wykorzystał numer kodowy Alexandra, chciał obciążyć jego, a nie Kate.

— Jesteś pewien? — spytał David. — Nie sądzisz, że to ma coś wspólnego z jej rzekomymi powiązaniem z radykałami?

Armand prychnął.

— Kate chce zmienić świat, a nie wysadzić go w powietrze. Wprawdzie żyła z tym Tedem Bannermanem, ale nic nie można jej zarzucić. Muszę jej jakoś pomóc. — Z ramionami skrzyżowanymi na piersi odwrócił się od okna. — Jestem pewien, że to, co się dzieje w Maritime Continental, ma jakiś związek ze śmiercią Alexa.

David uśmiechnął się blado.

— Oczywiście. Tylko jaki związek? Komu zależało na śmierci Alexa i likwidacji banku? Co chciał przez to zyskać?

W odpowiedzi Armand tylko uniósł brwi.

— Jeszcze nie ma nic z Paryża, przykro mi — dorzucił David. Armand położył dłoń na jego ramieniu. Zmizerowana twarz Davida świadczyła o tym, jak usilnie pracował, żeby natrafić na ślad zabójcy Alexandra. Armand wiedział, że wychowanek nie spocznie, dopóki nie znajdzie odpowiedzi.

— Powinniśmy wrócić do Bejrutu — stwierdził David. — Powiedziałem swoim ludziom w Paryżu, żeby mnie wezwali, jeśli coś odkryją.

— Muszę najpierw coś załatwić. Alex przechowywał dokumenty zawierające szczegóły naszej działalności.

— Co takiego?

— Miało to być zabezpieczenie na wypadek, gdyby któremuś z nas coś się przytrafiło — wyjaśnił Armand. — Dzięki temu inni mogliby kontynuować to, co zaczęliśmy. — Wyciągnął cienki, płaski klucz. — Po śmierci Alexa zabezpieczono jego skrytkę depozytową. Adwokat przekazał mi wiadomość, że będę mógł ją otworzyć w piątek, czyli pojutrze. Zamierzam wrócić do Nowego Jorku.

David obrócił klucz w palcach.

— Kto ma drugi?

Armand spojrzał na niego ostro.

— Kate. Nie sądzę, by wiedziała o istnieniu skrytki. Chcę się tam zjawić, jak tylko zakończą się formalności prawne. Kto wie. Może Alex zostawił coś, co nam pomoże.

Kate nie miała innego wyboru, jak zabarykadować się w domu. Kiedy wróciła z przesłuchania u prokuratora okręgowego, musiała przedzierać się przez tłum reporterów czekających na schodach. W środku również nie miała spokoju. Telefon urywał się. W końcu kazała służbie go wyłączyć.

Przez całą bezsenłą noc Kate szukała odpowiedzi. Kilkakrotnie w ciągu dnia dzwoniła do Emila, ale jego relacje o tym, co się dzieje w Maritime Continental, przyprawiły ją o ból serca. Klienci wycofywali się masowo.

— Policja nic nie znalazła? — zapytała Kate.

— Nic, co by nam pomogło. Ale przynajmniej oczyścili Prudence Templeton z wszelkiej winy. Utrata pracy byłaby dla niej strasznym ciosem.

Kate usiłowała podtrzymać w sobie wiarę, że sytuacja się poprawi. Rozmowy z Saulem Muskatem nie podniosły jej na duchu.

— Ani policja, ani federalni nie mają żadnego punktu zaczepienia — powiedział prawnik. — Jeśli chodzi o tego Michaela Samsona, to Prudence Templeton wystawiła mu świetną opinię. Dla policji jest czysty. Nawet nie szukają w tym kierunku.

Kate zmartwiła się. Nie chciała uwierzyć, że z przemęczenia doszukuje się związków, które nie istnieją.

Musi być jakaś odpowiedź, powiedziała do siebie. Albo miejsce, gdzie można ją znaleźć.

Usiadła w fotelu i zaczęła rozmyślać o zwyczajach ojca. Cofnęła się do czasów, kiedy żyła matka. Starła się odtworzyć w pamięci jej wypowiedziane ze śmiechem komentarze na temat nawyków męża. Bezskutecznie. Następnie próbowała sobie przypomnieć, czy ojciec mówił lub pokazywał jej coś szczególnego, czy mieli jakiś wspólny sekret. Ależ tak! Małe pudełeczko z drewna tekowego inkrustowane kością słoniową, wykonane ponad sto lat temu w Tajlandii. Ojciec przywiózł je z podróży i kiedy Kate zapytała, co jest w środku, uśmiechnął się i powiedział: „Tutaj trzymam swoje sekrety”.

Kate otworzyła drzwi gabinetu. Powoli przesunęła spojrzeniem po szafach na książki sięgających od podłogi do sufitu, pięknym biurku, ogromnym globusie, kilkunastu obrazach w srebrnych ramach. Omal się nie rozpląkała, czując wyraźnie obecność ojca.

I zobaczyła pudełko wyświecone od ciągłego polerowania. Stało na półce obok jej zdjęcia. Wzięła je do ręki i trzymała przez dłuższą chwilę. Sekrety ojca.

Podniosła wieczko. W środku leżał długi płaski klucz...

Nelson w okularach w rogowej oprawie czekał na Armanda w Pierwszym Banku Manhattańskim, który otwarto punktualnie o dziewiątej trzydzieści.

— O, pan Fremont. Dostałem instrukcje od adwokata pana Maser...

— Wiem — oświadczył Armand krótko, przechodząc obok Nelsona. — Chyba mogę teraz dostać się do skrytki?

— Oczywiście. Pokażę drogę.

— Znam drogę, panie Nelson, dziękuję.

W drodze do schodów prowadzących do podziemi Armand obserwował dwie pary drzwi obrotowych i przyglądał się wchodzącym ludziom. Bał się, czy jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności wśród tłumu nagle nie pojawi się Kate.

Strażnik okazał się uprzejmy. Otworzył skrytkę, wyjął z niej długie wąskie pudełko, zaniósł do kabiny i zamknął drzwi. Armand podniósł wieko i wyjął grubą kopertę złożoną na pół. Miał w ręku ślad, który być może pozwoli wyjaśnić śmierć Alexa. Korciło go, by złamać pieczęć i rozwiązać wątpliwości. Zwalczył pokusę i schował kopertę do dyplomacki. Minutę później szedł przez hol, znowu uważnie obserwując ruch w banku. Nagle usłyszał jej głos.

— Nie obchodzi mnie, co panu powiedziano! Mam prawo otworzyć tę skrytkę!

— Panno Maser, proszę mi wierzyć, to nic osobistego — mówił bezradny Nelson.

— Mamy jednak polecenie od prokuratora i naszych prawników...

— Świetnie! Więc niech pan robi swoje, a ja zrobię to, do czego mam prawo!

Uniósłszy wysoko głowę, Kate minęła go jak burza i ruszyła w stronę schodów, przechodząc w odległości niecałych trzech metrów od Armanda zasłoniętego przez potężną granitową kolumnę. Przemknęła mu przez głowę myśl, żeby pójść za nią, ale od razu ją porzucił. Bystra dziewczyna. Jak znalazła drugi klucz? Wiedział, że nie dostała go od prawnika Alexa.

Miał dług wobec Kate, ale Alexowi był winien jeszcze więcej. Jeśli w tych papierach kryła się prawda, lepiej, żeby Kate jej nie poznała.

— Mogę pani w czymś pomóc? Kate wzięła głęboki oddech.

— Nazywam się Katherine Maser i chciałabym dostać się do skrytki numer sto dwanaście A. Numer kodowy to dwa osiem siedem pięć. Oto mój klucz.

Udało się jej uśmiechnąć w nadziei, że rozwieje wątpliwości strażnika.

— Coś nie w porządku?

— Nie, proszę pani, nic — odparł mężczyzna. — Tylko to dziwne, że dwie osoby proszą o to samo pudełko w odstępie pięciu minut.

Kate załomotało serce.

— Proszę! Muszę się dostać do skrytki!

— W tej chwili, panienko! — powiedział strażnik, przekręcając klucz.

— Nie, niech pan nigdzie tego nie zanosi — powiedziała Kate. — Proszę tylko potrzymać.

Otworzyła wieko i wlepiła wzrok w puste wnętrze. *Pomyśl, Kate! Nie wpadaj w panikę!*

— Ten człowiek, który był tu przede mną? Jak się nazywa?

— Nie mogę powiedzieć, panienko.

— Ale musiał się podpisać! Każdy musi.

— Tak — potwierdził strażnik ostrożnie. — Ale nie mogę pani pozwolić zajrzeć do księgi.

Kate omal go nie uściskała.

— Oczywiście, że pan może. Właściwie powinnam się podpisać, zanim to otworzyłam, prawda?

Strażnik mrugnął do niej.

— Takie są przepisy.

Podbiegła do księgi i przesunęła palcem po nazwiskach. Na szczęście pismo było czytelne. Armand Fremont, numer paszportu ZN 26845, miejsce wydania, Liban. *Liban... Armand. Dlaczego Armand wrócił? Co się dzieje? I dlaczego nie powiedział, że wraca...?*

Kate wybiegła z banku i ruszyła Czterdziestą Ósmą do hotelu Barclay. Obok baru znalazła aparat telefoniczny. Pogrzebała w portmonetce i parę sekund później rozmawiała z uprzejmym agentem z biura podróży American Express. Nie było bezpośrednich lotów z Nowego Jorku do Bejrutu. Należało się przesiąść w Londynie, Paryżu lub Rzymie. Agent proponował połączenie przez Rzym, gdzie czekało się tylko dwie godziny. Czy panna Maser chce zarezerwować miejsce?

— Nie trzeba — odparła Kate i rozłączyła się.

Wiedziała, gdzie znaleźć Armanda i dlaczego przyjechał do Nowego Jorku. Nic pokonał sześciu tysięcy mil dla pustej skrytki depozytowej. Przyjechał, żeby coś z niej wyjąć...

Lód w martini roztopił się, ale Armand Fremont tego nie zauważył. Nie zwracał również uwagi na hałas w ruchliwej poczekalni Pan Am-u. Obok jego fotela stała teuszka. Cienka skóra była jak jedwab, ale jemu wydawało się, że dotyka tykającej bomby.

Lepiej, żeby twoje największe pragnienia nie ziściły się...

Gorzka prawda chińskiego przysłowia sprawiała ból. Chciał się tylko dowiedzieć, kto jest odpowiedzialny za śmierć Alexa. Teraz już wiedział i był wstrząśnięty. Wyobrażenia podsuwała tajemniczych wrogów lub potężnych konkurentów jako morderców. Ale nie to. Nigdy!

Dotknął brzegu szklanki i spojrzał przez dźwiękoszczelne szyby na pasy startowe. Morderca należał do rodziny. Nigdy by go nie podejrzewał.

Pierre.

Alex zostawił szczegółowy opis, jak i kiedy zorientował się, że Pierre defrauduje fundusze Narodowego Banku Libanu.

Pierre bardzo dobrze zacierał ślady, napisał Alex. Gdyby nie informator, prawie niemożliwe byłoby dotarcie do niego. Urzędnik jednego z londyńskich banków nabral podjęrzeń w związku z pewnymi lokatami, sprawdził po cichu parę rzeczy, domyślił się, że chodzi o defraudację.

Do napisanych odręcznie notatek były dołączone fotokopie wyciągów z rachunku bankowego. Wymienione w nich sumy przyprawiły o zawrót głowy.

Kolejna notatka mówiła o spotkaniu z Pierre'em, o jego początkowym oburzeniu i ostatecznym załamaniu się wobec nieustępliwości Alexa. W końcu wyznał prawdę. — *Na litość boską, Pierre, nie mów mi, że zrobiłeś to dla Cleol Ale tak było. Nie wzruszyły mnie żadne błagania ani prośby.*

— *To już koniec. Pierre. Jeśli tego trzeba, żeby ją zatrzymać przy sobie, obawiam się, że nie możesz jej mieć. Masz sześćdziesiąt dni, żeby oddać pieniądze. Kiedy załatwisz sprawę, spodziewam się, że złożysz rezygnację.*

Naprawdę nie widziałem nigdy równie żalosego człowieka.

— *Ale co zrobię? Jak będę żył? Nie mogłem mu nic doradzić.*

— *Nie wiem. W każdym razie nie tak jak do tej pory. Nigdy więcej. I Pierre zrozumiał, że alternatywą jest skandal, który go zrujnuje. Znalazło się jednak inne wyjście, pomyślał Armand, możliwość,*

której Alex nie wziął pod uwagę: że Pierre, przyparty do muru, zaatakuje. To był powód drugiego spotkania w Paryżu! o które, według notatek Alexa, poprosił Pierre.

Alex sądził, że Pierre chce mu powiedzieć, jak zamierza oddać pieniądze. Tak się jednak nie stało. To wtedy Alex poprosił Armanda o spotkanie i wsiadł w samochód, żeby pojechać do Genewy.

Notatki mogły zostać zakwestionowane. Armand postanowił pójść śladami Alexa, ale nie miał gwarancji, że zdobędzie to, czego potrzebował: potwierdzenia od informatora z brytyjskiego banku. Jeśli Pierre zadał sobie tyle trudu, żeby rozprawić się z Alexandrem, anonimowy Anglik też prawdopodobnie już nie żyje.

Armand spróbował drinka i skrzywił się. Słabowity, małowówny Pierre mordercą? Co za absurdalny pomysł. Pierre nie był człowiekiem czynu. Co więcej, nie potrafiłby nic zмайstrować przy ferrari. Musiałby wynająć zawodowca. Ale czy wiedziałby, gdzie i jak szukać zabójcy? Oczywiście, że nie!

Co oznacza, że miał współnika...

W umyśle Armanda znowu pojawił się obraz Cleo. Niecały tydzień po tym, jak Pierre zaczął się spotykać z Cleo, Armand wiedział o niej wszystko. Nie należała do tej klasy co piękne, leniwe kobiety, które polowały na przyjęciach i w bejruckich klubach na bogatego męża, lecz również była poszukiwaczką przygód. Dała dowód swojej zręczności, chwytając w sidła zdobywcę, która wymykała się innym bejruckim drapieżnikom. Armand nie żałował jej trofeum. To było uczciwe polowanie, bez szantażu czy grózb. A Pierre wyglądał na bardzo szczęśliwego.

Czy aż tyle mogło go kosztować uszczęśliwienie jej?

Jego styl życia z pewnością zmienił się na bardziej ekstrawagancki, ale Pierre był bardzo bogatym i zarazem oszczędnym człowiekiem. Ciardził ludźmi, którzy zaciągali długi. Armand nie mógł uwierzyć, że Pierre'a pchnęły do działania kłopoty finansowe.

Jeśli chodzi o Cleo jako potencjalną współniczkę, jej spryt i talenty nadawały się do sypialni, a nie do szukania i wynajmowania zabójcy.

Wszystko sprowadzało się do pytania, dlaczego Pierre zdefraudował pieniądze. Wiedząc to, miałby punkt wyjścia. Mógłby odkryć, kto jeszcze był zamieszany w zbrodnię, kto pomógł Pierre'owi albo zmusił go do działania szantażem. Armand wiedział, że musi od tej chwili zachować ostrożność. W pierwszym odruchu miał zamiar rozprawić się z Pierre'em od razu po przylocie do Bejrutu. Doszedł jednak do wniosku, że najpierw musi zobaczyć się z siostrzeńcem i wy badać w nadziei, że dyrektor Banque de Liban sam się zdradzi.

Armand nie podejrzewał jednak, że całkowicie się myli. Strach przed odkryciem defraudacji z pewnością był motywem Pierre'a, ale Fremont nie wziął pod uwagę, że współnik Pierre'a może mieć zupełnie inne powody, by pragnąć śmierci Alexandra Masera.

— Chcę, żebyś mi oddał to, co zabrałeś. Armand nie okazał zaskoczenia.

— Cześć, Kate — powiedział spokojnie, wstając. Cofnął się widząc gniew w jej oczach.

— Jesteś mi winny wyjaśnienie — oświadczyła. — Wiele wyjaśnień.

— Istotnie — przyznał. — Jak mnie znalazłaś?

— Minęłam się z tobą w banku.

— Rozumiem. — Armand pokazał gestem, żeby usiadła. — Masz ochotę na drinka?

— Nie. Chcę, żebyś mi powiedział, dlaczego przyjechałeś tutaj, nie zawiadamiając mnie o tym. Chcę zobaczyć to, co wyjąłeś ze skrytki ojca.

— Miałem prawo zrobić to, co zrobiłem — oznajmił Armand. — Skrytka należała do nas obu.

— Świetnie. Więc ja również mam prawo zobaczyć, co w niej było. Akurat zapowiedziano lot do Rzymu.

— Nawet nie zajrzałem do tych papierów — powiedział, czując do siebie wstręt. — Możliwe, że wcale cię nie zainteresują.

— Na listość boską, Armandzie! Nie słyszałeś, co się dzieje z Maritime Continental? Co spotkało Emila?

— Tak... i ciebie także, Kate...

— Modliłam się, żebyś zadzwonił. Przy każdym telefonie... — Przygryzła wargi. — A ty bez zapowiedzi przyjeżdżasz do Nowego Jorku. Nie zrobiłbyś tego, gdybyś nie miał ważnego powodu. — Ścisnęła go za rękę. — Pomóż mi, Armandzie, proszę. Jeśli ojciec zostawił coś, co mogłabym wykorzystać...

Armand usłyszał kolejne ogłoszenie o swoim locie. W myślach przeklął się za to, że nie dostrzegł tego, co wydawało się tak oczywiste. Ale jeśli to nie koniec? Jeśli zgodnie z diabelskim planem, którego nie potrafił rozgryźć, jedyna spadkobierczyni musi również zginąć?

— Jedź ze mną — rzucił nagle. — Nic cię tu nie trzyma, nie masz nikogo, kto by ci pomógł. Tutaj nie znajdziesz odpowiedzi.

Kate cofnęła się.

— Zwariowałaś?

Armand przytrzymał ją za ramiona.

— Posłuchaj mnie! Wszyscy myślą, że ograbiłaś bank swojego ojca. Dowody są pośrednie i dobry prawnik wyciągnąłby cię z lego. Ale podejrzenia zostaną. Cała ta sprawa zniszczy ci karierę i będzie się za tobą ciągnęła przez resztę życia! Daję ci szansę udowodnienia niewinności. Chcę ci pomóc. Ale musisz podjąć decyzję. Teraz.

Kate poczuła zamęt w głowie. To szaleństwo! W głębi duszy wiedziała jednak, że Armand ma rację. Sąd może ją w końcu oczyścić z zarzutów, ale w trakcie procesu będzie jak pod pręgierzem. Co ważniejsze, sama się nie dowie, kto zrujnował Maritime Continental. Armand stawarzał jej jedyną szansę.

— Czekam na twoją decyzję, Kate.

Zamknęła oczy. Czy naprawdę ma wybór? Musi odkryć prawdę. Od tego zależy jej los, a także los Emila Bartolego i reputacja ojca. Nigdy nie zazna spokoju, jeśli nie zdobędzie dowodu, że wszyscy są niewinni.

— Nie mam biletu — odezwała się. — Musiałam oddać paszport...

— Zajmę się wszystkim.

Kate uświadomiła sobie, że ma właśnie podjąć życiową decyzję. Towarzystwo Armanda nieco ją krępowało, ale jednocześnie czuła całym sercem, że może mu zaufać i że on nie tylko „zajmie się wszystkim”, lecz również udzieli rad, mając na względzie jej dobro. Wzięła głęboki oddech.

— W porządku. Jadę z tobą... bez paszportu, bez biletu, bez bagażu. Mam nadzieję, że potrafisz robić cuda i przeprowadzisz mnie przez kontrolę paszportową.

Uśmiechnął się i puścił do niej oko.

— Merlin idzie czynić cuda — powiedział beztrzęsco i szybkim krokiem ruszył do wyjścia z poczekalni.

Dziwne, pomyślała Kate. Wyrażna pewność siebie Armanda dodawała jej otuchy. Spokojnie obserwowała, jak wkracza do akcji. Najpierw rozmawiał przez telefon, a potem poszedł gdzieś z młodą kobietą, która zjawiła się w sali odlotów, najwyraźniej na jego prośbę.

Minęło sporo czasu. Kate już zaczęła się trochę denerwować, ale wtedy zbliżyła się do niej atrakcyjna kobieta, którą wcześniej widziała w towarzystwie Armanda.

Uśmiechnęła się czarująco.

— Jestem znajomą pana Fremonta. Mam na imię Elizabeth. Musimy załatwić pewną sprawę, a najlepiej będzie to zrobić w spokojniejszym miejscu. Proszę pójść ze mną. Kate skinęła głową, wzięła torebkę i ruszyła za Elizabeth. Weszły do prywatnego pomieszczenia, gdzie przy telefonie stał Armand.

— Ponieważ pan Fremont jest jeszcze zajęty, a czas ucieka, wyjaśnię, co zamierzamy zrobić. Właśnie wróciłam z lotu do Europy. Pan Fremont uważa, że jesteśmy do siebie wystarczająco podobne, żeby zmylić każdego, kto rzuci pobieżne spojrzenie na zdjęcie. — Zamilkła

PHILIP SHELBY

i obejrzała Kate od stóp do głów. - Jesteśmy prawie takiego samego wzrostu oraz budowy i mamy włosy podobnego koloru, prawda? Kate potwierdziła skinieniem głowy.

- Dam pani mój paszport. Myślę, że jeśli nałoży pani okulary i kapelusz i nie będzie patrzyła prosto na kontrolerów z urzędu imigracyjnego, nie powinno być kłopotów. Elizabeth podeszła do krzesła i wyjęła dokumenty z wiszącej na nim torebki.

Wręczyła Kate paszport.

- Robi to pani dla obcej osoby? - zapytała zdziwiona. - Łamie pani prawo. Może się pani narazić na poważne kłopoty. Jak poradzi sobie pani bez paszportu?

Elizabeth roześmiała się.

- Mam nadzieję, że Armand Fremont wynagrodzi mi kilka dni życia w napięciu i konieczność wymigania się od następnego lotu – Spowazniała. – Wiem, że to poważna sprawa, ale pamiętam, ile pan Fremont zrobił dla mnie rok temu, kiedy byłam w tarapatkach. Pożyczenie pani paszportu to drobiazg w porównaniu z jego pomocą - Uśmiechnęła się znowu. - Poza tym dokument wróci do mnie za trzy dni. Przywiezie go mój przyjaciel, który lata na trasie Bejrut-Rzym--Nowy Jork. Proszę się nie martwić.

Kate przełknęła ślinę i zajrzała do paszportu. Przez najbliższych kilkanaście godzin będzie Elizabeth Bartholomew. Podniosła wzrok i zaczęła dziękować.

- Nie mamy wiele czasu - przerwała jej Elizabeth. - Pan Fremont załatwia już bilet dla pani. Spodziewam się, że dostarczą go przy wejściu na pokład. Kupimy teraz w sklepie wolnocłowym trochę przyborów toaletowych i parę innych niezbędnych rzeczy

W dwóch sklepach za wszystko zapłaciła Elizabeth i niedługo potem Kate siedziała obok Armanda w kabinie pierwszej klasy. Kiedy samolot kołował na pas startowy, dotarło do niej, co zrobiła

Kathenne Maser, prawniczka, została zbiegiem.

Wysoko nad Atlantykiem wpadła w panikę. Ze wszystkich sił próbowała się uspokoić.

Nikt cię do tego nie zmuszał dziewczyno. To była twoja decyzja

Skoro ma ponieść konsekwencje, zdobędzie najpierw to, po co wyruszyła, przez co znalazła się w takiej sytuacji.

- Chcę zobaczyć to, co wyjąłeś ze skrytki mojego ojca - oznajmiła Armandowi po kolacji.

Armand spojrział na nią zimno.

— Przykro mi, nie mogę tego zrobić.

— Do licha, to należało do mojego ojca! — krzyknęła Kate. — Może pozwoliliby mi odkryć, co się dzieje w Maritime Continental.

— Kate, rozumiem, co czujesz. Bank obchodzi mnie tak samo jak ciebie. Zaufałaś mi i proszę, żebyś okazała trochę cierpliwości. To nie czas ani miejsce, by przejrzeć dokumenty, które zostawił twój ojciec. Ale wierz mi, jeśli znajdę coś, co ma związek z bankiem, powiem ci natychmiast. A teraz proponuję, żebyś się trochę przespała. Miałaś wyczerpujący dzień, a czeka cię długi lot.

Kate zrozumiała, że nie ma sensu się spierać, ale chciała go przekonać do swoich racji.

— Zgadzam się, Armandzie — powiedziała. — Zaufałam ci i wiele ryzykowałam. Nie miej przede mną sekretów. Bądź ze mną szczery. Daj mi coś, czym mogłabym walczyć!

Armand był wstrząśnięty siłą jej słów. Patrząc, jak układa się do snu, uświadomił sobie nagle, że wcale nie jest zrozpaczoną kobietą, którą pocieszał na pogrzebie, ani nieśmiałą nastolatką, którą zostawiał, kiedy opuszczał Bejrut. Jej determinacja zdumiała go. Zaczął się zastanawiać, ile jeszcze się o niej dowie.

Alexander byłby dumny...

Światła w kabinie przygasły. Kate obserwowała Armanda, który oddychał równo. Tyle można wyczytać z twarzy śpiących mężczyzn: zadowolenie albo strapienie, opanowanie albo wściekłość, szczerłość lub zdolność do oszustwa. Jeśli Armand żywił jakiś żal lub obawę, Kate ich nie dostrzegła. Jego ogorzała twarz była spokojna i gładka. Nie drgał na niej żaden mięsień, nie przebiegały tiki nerwowe. Kate zazdrościła mu spokoju. Zastanawiała się, czy to właściwa pora, by sięgnąć po schowaną w skrytce na bagaż podręczny teczkę Armanda. Z pewnością będzie zamknięta, ale zabierze ją do łazienki i otworzy zamki scyzorykiem, który zawsze nosiła w torebce.

Natychmiast jednak uświadomiła sobie, że tego nie zrobi. Byłaby to zdrada.

Zasypiając, udowodnił, że jej wierzy. Jakby wiedział, że takie świadectwo zaufania jest najlepszą ochroną.

*Bejrut to Las Vegas, Riwiera, St. Moritz przesycone arabskimi
wonnościami*
Life, 1965

10

Kate czekała w małym biurze, podczas gdy Armand rozmawiał z bejruckimi celnikami i urzędnikami imigracyjnymi. Oparła głowę o poręcz fotela i zamknęła oczy. Już się nie bała. Była ciekawa kraju, gdzie urodził się ojciec. Miała wrażenie, że sprowadził ją tutaj los, może po to, by zrozumiała, że dom ojca może być również jej domem.

Wszystkie te uczucia opadły ją z wielką mocą, kiedy samolot zbliżał się do lądowania, krążąc nad Bejrutem szerokimi łukami. Wciąż jeszcze miała pod powiekami ujrzane po raz pierwszy widoki. Odległe góry Shouf, ciemnozielone i pokryte czapami śniegu, ustąpiły miejsca pasmom brązowych wzgórz, na których zboczach stały wille porośnięte czerwonymi bougainville'ami. Nagle na równinie wyrosło miasto. Wieżowce ze szkła i stali skupiały całe światło słoneczne, wzmacniając je stukrotnie i rzucając blask na białe stiuki, pomarańczowe płytki i cegły.

— Pięknie, prawda? — szepnął Armand.

— Więcej — powiedziała zduszonym głosem. — Magiczne. Armand zaśmiał się cicho. Kate dostała gęziej skórki.

— Wszyscy tak reagują, Kate — oznajmił. — Ludzie, którzy byli w Acapulco, Monte Carlo, Hongkongu, San Francisco, ludzie, którzy uważają, że nic już nie może na nich wywrzeć wrażenia, niemieją na widok Bejrutu. Nie ma drugiego takiego miejsca na świecie.

— Nawet dla kogoś, kto trafia tutaj przypadkiem?

— Zwłaszcza dla kogoś takiego.

Samo wspomnienie jego głosu przyrównało ją teraz o dreszcz. Zmusiła się, żeby otworzyć oczy i usiąść. Dobry Boże, czyżby uczucia wymknęły się jej spod kontroli? Kraj rodzinny ojca. Armand. O tak. Armand robił na niej wrażenie. Przed tym lotem nigdy nie byli naprawdę sami. Otaczający ich ludzie i wydarzenia ostatnich kilku tygodni sprawiały, że z łatwością tłumila uczucia, które w niej wzbudzał. Ale **nie** teraz. Nie po siedemnastu spędzonych wspólnie **godzinach**. Był

dla niej tym samym co dla dwunastoletniej dziewczynki... a zanosilo się na znacznie więcej.

— Wszystko załatwione — powiedział Armand do ucha Kate, aż podskoczyła. Chwycił ją lekko za ramiona uspokajającym gestem i nachylił się z figlarnym błyskiem w oczach. — Myślałaś, że jestem policjantem, który czeka na ciebie z kajdankami?

Roześmiała się, może zbyt głośno, zachwycona jego dotykiem, wesołością, tym, że jest w Bejrucie, że żyje i jest wolna.

— Jesteś moim osobistym gliniarzem?

— Oczywiście, że nie. Pani przewodnikiem, madam. Chodź, tuż za lotniskiem poznasz smak Bejrutu. Jestem pewien, że zapomniałaś wszystko od czasu twojej ostatniej podróży.

— Hmm, nie wszystko — mruknęła Kate, wstając. Wzięła Armanda pod ramię. Gdy wyszli z klimatyzowanego biura, owiało ich suche gorące powietrze przesycone zapachem pomarańczy. Armand wskazał ręką przed siebie i Kate rozszerzyły się oczy. Dotarli do bazaru. Po obu stronach znajdowały się okna wystawowe najbardziej ekskluzywnych europejskich projektantów — Gucciego, Chanel, Diora. Byli tu również reprezentowani francuscy i włoscy jubilerzy oraz najwięksi szwajcarscy producenci zegarków. W kasetkach wykładanych aksamitem leżały diamenty, drogocenne kamienie w pięknych oprawach. Po chłodnych płytach z zielonego marmuru przechadzali się Arabowie w powiewających białych szatach oblamowanych czernią i złotem, zachodni biznesmeni w trzyczęściowych garniturach szytych na miarę, kobiety w najnowszych kreacjach Mary Quant z londyńskiej Carnaby Street.

Było tu jednak nie tylko bogactwo. Bliżej wyjść Kate zobaczyła tańsze sklepy dla turystów, zarzucone towarem. Na półkach i podłogach leżały skórzane torby, kilimy, „prawdziwe” antyki i najróżniejszego kształtu nargile, wszechobecne mosiężne fajki robione specjalnie dla amerykańskich i europejskich turystów, by mogli udowodnić, że naprawdę zwiedzili Bliski Wschód.

Stoiska z *shwarma*, gdzie kobiety ubrane na czarno odkrawały paski mięsa z obracającego się wysokiego szpikulca, konkurowały ze sprzedawcami, którzy rozcierali świeżą miętę do lodów waniliowych, oraz z wózkami, które oferowały wszystkie napoje od lokalnego araku po sześćdziesięcioletni koniak. Starzy, przygarbieni tragarze w czerwonych fezach nosili najbardziej nieprawdopodobne ciężary, bystroocy, szczerbaci chłopcy przemysłali wśród tłumu, a ich zwinne, szybkie dłonie wędrowały do torebek i kieszeni.

— To jeden wielki karnawał! — wykrzyknęła Kate.

— To dopiero wstęp — powiedział Armand i dał szturchańca urwisowi, który sięgał po zegarek Kate.

Przed terminalem czekał na nich perłowobiały rolls-royce. Szofer przytrzymał im drzwi.

Pojechali główną arterią Bejrutu, biegnącą wzdłuż morza Grand Corniche. Po lewej stronie Kate zobaczyła półksiężycową zatokę i złote plaże z czerwonymi, niebieskimi i żółtymi parasolami. Plażowicze wydawali się leżeć jeden na drugim, ale opalone dziewczyny w wielkich okularach jakimś cudem z łatwością odnajdowały drogę do wody.

Armand zauważył wyraz twarzy Kate i zachichotał.

— Inaczej niż w Kalifornii, co? Prawie wszystkie chodzą topless.

Kate uśmiechnęła się i spojrzała na prawo, gdzie wznosiły się wielkie budynki mieszkalne, które przypominały modne dzielnice Paryża. Między nimi stały słynne hotele: legendarny St. Georges, którego restaurację tak bardzo lubił jej ojciec, i nowo wybudowana Phoenicia, której trzypoziomowy basen z wodospadami stał się już znany w całym mieście.

— A to mój dom — oznajmił Armand.

Samochód skręcił z Corniche i bez trudu zaczął sunąć na wzgórze wąską drogą z drzewkami oliwnymi po obu stronach i prywatnymi willami w pastelowych kolorach. Po kilkunastu zakrętach zatrzymał się przed trzypiętrową rezydencją z widokiem na zatokę St. Georges.

— Baltazar się tobą zajmie — powiedział Armand, wskazując na siwowłosego mężczyznę w białej marynarce i czarnych spodniach, służącego w każdym calu. — Niestety muszę iść do kasyna. Ale wrócę koło ósmej. Zjemy wczesną kolację, a potem porozmawiamy.

Zanim Kate zdołała zaprotestować, Armand odjechał. Gdy Baltazar wprowadził ją do wnętrza chłodzonego morskim wiatrem i pachnącego ogrodem, uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona.

— Zaprowadzę panią do pokoju — zaproponował. — Pokojówka przygotuje kąpiel. Może również zrobić pani masaż. A potem może mała drzemka?

— Mam ochotę na kąpiel — powiedziała Kate z wdzięcznością. Jej pokój z zasłonami w kwiaty, narzutą na łóżko i baldachimem okazał się żywcem przeniesiony z magazynu mody. Duże drzwi balkonowe były uchylone i Kate poczuła zapach morza. Kiedy Baltazar wyszedł, rozebrała się i położyła na cudownie miękkim łóżku.

— Pięć minut — mruknęła. — Tylko pięć minut, a palem... I zasnęła.

Piętnaście akrów ziemi na krańcu półwyspu w kształcie podkowy, wysuwającego się w Morze Śródziemne, było najdroższe i najwięcej warte w całym Libanie.

Zakupione od sułtana imperium otomańskiego w 1861 roku, pozostawały w posiadaniu rodziny Fremontów mimo politycznej zawieruchy z niesłabnącą siłą przetaczającej się wzdłuż i wszerz krajów arabskich.

Ziemię sprzedano, ponieważ były to tylko skalne półki nie nadające się do uprawy ani hodowli. Nie to miał jednak w planach Aristide Fremont, kiedy płacił sułtanowi tysiąc złotych napoleonów. Na równinie i u podnóża wzgórz, wzdłuż plaż i skalistego wybrzeża widział oczami wyobraźni potężne miasto, które pewnego dnia stanie się pomostem między Wschodem i Zachodem. Aristide Fremont był studentem historii i znał dzieje tego regionu lepiej niż jego mieszkańcy. Wspaniała rasa kupców, Fenicjan, osiedliła się tutaj czternaście wieków przed Chrystusem, czyniąc to miasto największą stolicą handlu na świecie.

Bejrut stanowił dla Egipcjan, Kananejczyków, Greków i Babiloń-czyków centrum handlu. W wyobraźni Aristide'a Fremonta pewnego dnia cały świat miał tutaj wrócić. Chcąc go dobrze przyjąć i zatrzymać, zbudował coś, co uznano za pierwszy współczesny cud świata arabskiego. Casino de Paradis.

Inwestycja pochłonęła prawie całą fortunę Aristide'a zbitą na handlu. Wykorzystano wyłącznie miejscowe materiały: granitowe bloki z kamieniołomów w górach Shouf, cenne drzewo cedrowe, ulubione przez króla Salomona, szkło i metal w setkach różnych form i barw, przetworzone przez rzemieślników metodami nie zmienionymi od wieków. Budowa, nadzorowana przez wybitnego europejskiego architekta, Charlesa Garniera, trwała dziesięć lat, ale kiedy kasyno zostało ukończone rok po wojnie francusko-pruskiej, zmęczony walką świat natychmiast się zorientował, że jest to coś niezwykłego.

Kasyno odniosło niekwestionowany sukces z chwilą otwarcia, trzeciego maja 1872 roku. Członkowie rodów królewskich, arystokracja, bogaci kupcy i hazardziści wszelkiego autoramentu przyплыnęli morzem lub znieśli trudy trwającej tydzień podróży pociągiem przez Stambuł, żeby tutaj dotrzeć. I byli przekonani, że wstępują do ziemskiego raju,

Strzeżone z trzech stron przez poszarpane skały i grzmiące fale Morza Śródziemnego, a z czwartej przez wysokie ogrodzenia z kutego żelaza, tereny kasyna przypominały krainę baśni. Sprowadzono dziesiątki gatunków drzew i krzewów, żeby ocienić bujne trawniki. Na grzę-

dach rosły najbardziej egzotyczne okazy roślin z całego świata, starannie pielęgnowane przez armię ogrodników.

Wszystko to było zaledwie zapowiedzią wspaniałości czekających wewnątrz kasyna. Składało się ono właściwie z czterech osobnych budynków połączonych galeriami. Ulegając kanonowi obowiązującemu w Belle Epoque, Garnier wybrał styl Liberty, triumf zmysłowych zaokrągleń. Wejście, sale koncertowe i widowiskowe oraz salon gier, który obejmował prywatne pokoje, kabaret i słynną restaurację Bluebird, chociaż zaprojektowane z rozmachem, promieniowały ciepłem i przytulnością. Nimfy, melancholijni młodzieńcy, wiejskie dziewczęta ścigane przez satyrów stwarzały łagodny nastrój z nutką dekadencji.

Malowidła, które Aristide Fremont wybrał tak przewidująco, od niemal wieku spoglądały na cnoty i szaleństwa przedstawicieli setek różnych narodowości, ras i wyznań. Postacie na ręcznie tkanych flamandzkich gobelinach podsłuchiwały szepty księżniczek i maharadzów. Hebanowe stoły do ruletki miały na sobie odcisnięte ślady dłoni szejków, którzy stawiali w grze nie tylko złoto, ale i niewolników. Od witrażowych kopuł nadal odbijały się słabe echa modłów i przekleństw rzucanych przez zrozpaczonych ludzi w podniszczonych strojach wieczorowych, którzy zjawili się tutaj z przekonaniem prawdziwych hazardzistów, że jeden obrót koła lub rzut kośćmi zmieni ich los.

Możliwe, że kasyno dawało nie tyle możliwość gry, ile iluzję. Pośród takiego bogactwa i przepychu trudno było nie uwierzyć, że jest się wyróżnionym, że przeznaczeniem jest wygrana. I taka była moc iluzji i zwodniczej nadziei, że bez litości przyciągała księcia i biedaka, sybarytę i odludka, dziewicę i kurtyzanę. Trzy piętra nad holem wejściowym znajdował się gabinet Armanda Fremonta, zajmujący całą szerokość budynku i nazywany Kryształem. Roztaczał się z niego widok na główne schody, kolisty podjazd i ogród oraz na wielki przedpokój z okrągłym sklepieniem. Miał lustarzane szyby, co pozwoliło Armandowi obserwować gości bez ich wiedzy. W tym akurat momencie patrzył, jak Jasmine ubrana w granatowo--czerwoną kreację od Diora mija wielkiego szofera Salima i idzie po wyłożonych dywanem schodach do jego kryjówki.

W przeciwieństwie do innych pomieszczeń kasyna, wystrój gabinetu był niemal surowy. Na ścianach wisiały ulubione obrazy Armanda — starzy mistrzowie i parę van Goghów — a podłogę przykrywał ogromny dywan, który jego ojciec, Aristide, przyjął jako zapłatę od członka saudyjskiej rodziny królewskiej. Biurko i szafa wykonane na zamówie-

nie miały czyste skandynawskie linie. Telefon i aparatura audiowizualna były dziełem najnowszej techniki.

— Będziemy mieli towarzystwo — powiedział Armand, wskazując na monitor.

David podniósł wzrok, zobaczył na ekranie Jasmine i odłożył papiery, które Armand przywiózł z Nowego Jorku.

— Więc wiemy kto i dlaczego — stwierdził bezbarwnym głosem.

— Znamy zleceniodawcę — poprawił go Armand — a nie wykonawcę.

— Z pewnością potrafię przekonać Pierre'a, by temu zaradził. Jego spojrzenie zaniepokoiło Armanda. Wyczuwał kipiący w nim gniew.

Nie bał się, że David postąpi nierozważnie; nigdy tego nie robił.

— Na razie nie możemy pójść prosto do Pierre'a — powiedział pośpiesznie. — Powinniśmy najpierw przeprowadzić małe śledztwo.

David wzruszył ramionami.

— Alexander miał informatora w jednym z brytyjskich banków, z których usług korzystał Pierre. Odnalezienie tego człowieka nie będzie trudne. Ale jeśli Alex zapłacił za informacje, a tamten zniknął... — David spojrzął na zegarek. — W Londynie jest teraz wszystko zamknięte. Zadzwoń za dziewięć godzin. — Wstał i spojrzął na Armanda. — Wiesz, że nie musimy czekać. Istnieją sposoby, żeby wstrząsnąć Pierre'em. Anonimowe telefony w środku nocy, fotokopie notatek Alexandra. Pierre jest słaby, Armandzie. Załamie się albo ucieknie. W ten sposób może nas zaprowadzić do swojego współnika.

Pomysł był kuszący. Armand nie miał wątpliwości, że David potrafiłby nastraszyć Pierre'a. Coś go jednak powstrzymywało. Obawa, że współnik jest przebieglejszy, znacznie bardziej niebezpieczny niż Pierre.

— Dowiedz się jak najwięcej w Londynie — powiedział Armand.

— Pozwól mi poszukać również tutaj — nalegał David. — Bardzo dyskretnie, na dystans. Poznam jego rozkład dnia, zwyczaje i tak dalej, zanim się do niego dobierzemy.

— Rób, co uważasz za stosowne. Ale bądź ostrożny. — I dorzucił, kiedy David stał już przy drzwiach. — Kate jest teraz z nami. Nie chcę jej w to mieszać.

David uśmiechnął się lekko.

— Nic jej nie grozi. Ani tobie.

Niemal wpadł na Jasmine na zakręcie schodów.

David, miło cię widzieć — zawołała Jasmine. — Jakie nikczemne intrygi knujesz razem z Armandem?

— Próbujemy zarobić parę dolarów — odparł David lekkim tonem.

— Och, Davidzie, jesteś zbyt skromny. Jak zawsze. Szkoda, że nie widzimy cię częściej.

Uwolnił ramię.

— Armand czeka na ciebie. Dobranoc, Jasmine.

Ruszył między gośćmi tłoczącymi się w holu i wszedł w chłodny półmrok baru „Oiseau Bleu”. Zajął stołek w końcu odgrodzonym aksamitną wstęgą, zarezerwowanym dla Armanda i jego gości. Patina, egzotyczna piękność, w której żyłach płynęła libańska, syryjska i egipska krew, a zarazem jedna z najlepszych barmanek na Bliskim Wschodzie, podała mu jak zwykle wodę sodową.

— Wygląda na to, że przydałby ci się drink, partnerze. Patina była miłośniczką amerykańskich filmów sensacyjnych.

— Nie dzisiaj, dziękuję.

Patina westchnęła. David nie pił alkoholu, kiedy pracował. Właściwie Patina nigdy nie widziała, żeby pił, a posunęła się to tego, żeby go szpiegować. Pewnej nocy David powiedział żartem, że w dniu, kiedy Patina przyłapie go z drinkiem, ożeni się z nią. Nadal szpiegowała.

David trzymał szklanekę z wodą, nie zwracając uwagi na innych gości. Myślał o Jasmine, ojej sprycie, o tym, że jest kuzynką Pierre'a...

Wiedziałaś o kłopotach Pierre'a, Jasmine? Czy to do ciebie przybiegł po tym, jak Alexander go nastraszył? A jeśli tak, co mu szepnęłaś do ucha, Jasmine?

Nie, to się nie zgadza, Jasmine dba tylko o siebie. Nie narażałaby się, żeby komuś pomóc. A już najmniej takiemu szaremu człowiekowi jak Pierre. Nie miałyby z tego nic oprócz ryzyka. Ani pieniędzy, ani chwały... to bez sensu.

David porzucił ten trop. Jego myśli jak opiłki żelaza przyciągane przez magnes znowu skupiły się wokół Pierre'a. Po latach spędzonych na Bliskim Wschodzie Davida nie dziwiło postępowanie bogatych ludzi. Wkraczał do akcji, dopiero kiedy potężni zerowali na najsłabszych i najbardziej bezradnych. Pierre przekroczył granice. Zabił człowieka, którego David podziwiał i szanował, i zranił drugiego, którego kochał jak ojca. Takiego czynu nie mógł pozostawić bez kary; tak niewiele kochał w życiu.

— Armandzie, świetnie wyglądasz!

Jasmine wsunęła się do gabinetu. Wysadzany diamentami i łubinami naszyjnik rzucał ogień. Objęła Armanda i **pocałowała w policzek**.

— Zaczyna się sezon — skomentowała, spoglądając z góry na tłum kobiet w długich sukniach i mężczyzn w smokingach.

Oficjalne otwarcie sezonu w Bejrucie tradycyjnie odbywało się w drugi wtorek maja. Ale prywatne przyjęcia i bale dobroczynne zaczynały się wcześniej, a ich gospodynie rywalizowały ze sobą, jeśli chodzi o wystawność.

— Louis dzisiaj nie przyjdzie? — zapytał Armand niedbale.

— Zjawi się później.

Armand zorientował się, że to nie jest towarzyska wizyta.

Jasmine usadowiła się na jednym z dwóch krzeseł stojących przed biurkiem, wspaniałych antyków z okresu Drugiego Cesarstwa. Armand wybrał je specjalnie, ponieważ były wyjątkowo niewygodne. Stare sprężyny i pęki końskiego włosia kłuły gości w plecy. Dzięki temu nikt nie przedłużał wizyt. Jeśli Jasmine odczuwała niewygodę, dobrze to ukrywała.

— Armandzie, bardzo mi przykro z powodu Maritime Continental. To skandaliczne, co Amerykanie mówią o Alexandrze, zwłaszcza w tych okolicznościach.

Armand wyjął cygaro z pudełka i uciął koniec.

— Doceniam twoją troskę — powiedział. Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

— Wiesz, o co chodzi z tymi brakującymi pieniędzmi?

— Niestety nie. Prokuratura nowojorska próbuje to ustalić. Jasmine poprawiła się na krześle.

— Z pewnością nie chcesz dopuścić do zamknięcia Maritime Continental?

— Zdecydują o tym amerykańscy kontrolerzy bankowi, a nie ja.

— Chyba że pieniądze zostaną zwrócone.

Zapalił zapalkę i przyłożył do cygara. Uśmiechnął się miło, żeby złagodzić przykre słowa.

— Jasmine, nie sil się na subtelności. Do czego zmierzasz?

W jej czarnych oczach nie pojawił się nawet cień gniewu. Chryste, jest dobra! pomyślał Armand.

— Przyszło mi do głowy — powiedziała Jasmine — że mógłbyś zastanowić się nad zwrotem zdefraudowanych pieniędzy. Sposób jest prosty: publiczna oferta akcji Societe des Bains Mediterranien.

Armand drgnął.

— Myślę, że to byłoby możliwe.

— Nie wypada czekać z założonymi rękami i patrzeć, jak inni szargają reputację Alexa i niszczą to, co stworzył — ciągnęła Jasmine.

— Szlachetne sentymenty — mruknął Armand. — Proponujesz więc, żebym wystawił SBM i kasyno na sprzedaż?

Jasmine zmierzyła się z nim wzokiem.

— Tak.

— Ile masz udziałów? — zapytał Armand nagle.

— Milion.

— I na jakim poziomie, według ciebie, banki inwestycyjne takie jak Lazard lub Morgan Stanley ustalą cenę?

— Między czterdzieści pięć a pięćdziesiąt dolarów.

— Ostrożny szacunek. Ja stawiałbym raczej na sześćdziesiąt. Jasmine wzruszyła ramionami.

— To możliwe, zważywszy na opinię kasyna, sytuację na rynku, klimat polityczny...

— Odpowiedz na pytanie, Jasmine. Odpowiedz po mojej myśli, a obiecuję rozważyć twoją propozycję. Po co ci potrzebne pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt milionów dolarów?

Jasmine zawahała się. Podobnie jak przebiegły prawnik, jej kuzyn nigdy nie zadawał pytania, jeśli nie znał na nie odpowiedzi. Po co więc pytał?

— Potrzebuję pieniędzy, żeby wesprzeć kandydaturę Louisa na prezydenta — oświadczyła spokojnie, a potem dodała: — Przecież wiedziałeś, Armandzie. Wstał i obszedł biurko.

— O tak, wiedziałem. Musiałem jednak usłyszeć to od ciebie. Przez ostatni rok dawałaś wszystkim wokoło do zrozumienia, zwłaszcza Tu-failemu i innym *zuama*, że pomogę Louisowi. W ten sposób niemal przekonałaś ich, żeby go poparli. Ale nie do końca. Wybory są za trzy miesiące. Tufaili i reszta wciąż pozostają neutralni. I nie kiwną palcem, dopóki ja się nie zdeklaruję.

Jasmine starała się nad sobą zapanować. Miała dość niewygodnego krzesła i gry w kotka i myszkę z Armandem.

— Poprzesz Louisa?

Przez chwilę była przekonana, że Armand roześmieje się jej w twarz, ale myliła się. Jak większość ludzi, którzy mają moc spełniania lub odrzucania próśb, Armand Fremont nie musiał uciekać się do poniżania lub wyśmiewania. Mimo to zmrużyła oczy, jakby czekała na cios.

— Nie, Jasmine — powiedział stanowczo. Wściekła, porzuciła wystudiowaną pozę.

— Dlaczego? Dlaczego to robisz? Wiesz, że nic ma innych kandydatów. Wiesz, że *zuama* bez końca wadzą się między sobą o odpowied-

niego kandydata, wysuwają krewnych, którzy są nie do przyjęcia dla wszystkich. Wiesz, że interesy, twojego kasyna również, zależą od osiągnięcia kompromisu. Dlaczego więc odmawiasz i nie chcesz zrozumieć tego, co dla wszystkich jest oczywiste? Louis jest idealnym kandydatem. Jeśli ty go poprzesz, inni się podporządkują. Nikt nie ośmieli się z nim walczyć?

— I kimże zostanie Louis, jeśli nie dyktatorem?

— Nie bądź głupi! — roześmiała się Jasmine. — Wiesz, że Louis nie ma takich ambicji. Poza tym wokół niego będą inni ludzie...

O sekundę za późno zorientowała się, że wpadła w przygotowaną pułapkę.

— Jacy ludzie? — zapytał cicho.

— Ty, oczywiście — odparła, nie poddając się. — *Zuama*...

— I ty także, prawda?

Jasmine poczuła, że jego wzrok przeszywa ją na wylot.

— Oczywiście, że byłabym przy nim. Przecież jest moim mężem. Armand uśmiechnął się słysząc fałszywe oburzenie w jej głosie.

— Nie tylko stałabyś przy nim. Nie sądzisz, że *zuama* wiedzą, jakiego rodzaju człowiekiem jest Louis? Popelniają jednak błąd, gdyż wierzą, że po wyborach będą go mogli kontrolować. Tak bardzo cię nie doceniają, Jasmine, że na twoim miejscu czułbym się obrażony. Przecież to ty rządziłabyś Libanem, a nie Louis. Potrzebujesz pieniędzy, żeby zasiąść na tronie. — Armand uśmiechnął się. — A ja nigdy na to nie pozwolę.

Zerwała się z krzesła. Czerwone fałdy sukni zakryły opalone uda. W oczach zabłyśła nienawiść... lub pożądanie.

— Ty nie pozwolisz! Doprawdy, Armandzie, to śmieszne! Nie próbuj przede mną udawać bezinteresownego. Masz dużo do stracenia. Niewłaściwy człowiek u władzy może bardzo zaszkodzić.

— Podobnie jak niewłaściwa kobieta. Nie obchodzi mnie twoja chciwość. Potrafię to zrozumieć. Nienawidzę twojej żądzy władzy, satysfakcji, którą daje ci panowanie nad innymi. Mieć wobec ciebie dług wdzięczności to tak, jak być zakładnikiem.

Jasmine podeszła do niego, rozsiewając zapach piżma.

— Masz rację, Armandzie. Zadbałabym o to, by Louis zachowywał się przyzwoicie. I w pierwszej kolejności zrewanżowałabym się lodzinie. Myślisz, że mnie znasz, ale tylu rzeczy nigdy nie spróbowałeś, nie widziałeś, nic doświadczyłeś. Jesteś światowym człowiekiem, ale zostało ci parę rzeczy, które powinieneś poznać. Wystarczy tylko sięgnąć.

Stała tak blisko, że Armand poczuł się nieswojo.

— Odejdź, Jasmine — szepnął. — I zrozum jedno. Jeśli ty i Louis będziecie dalej ciągnęli tę głupią grę, powstrzymam was. Jego ukarzę i puszcę wolno. A ciebie zniszczę!

Jasmine poczuła, że traci siły. Była już tak blisko. Przez krótką chwilę czuła, że jego opór słabnie. Ale ta chwila minęła.

— Nie tak łatwo, Armandzie. — Uśmiechnęła się. — Nie tak łatwo. Nie będę cię trzymać za słowo. Wiem, że jeszcze raz się zastanowisz.

11

Kate spała tak głęboko, że po obudzeniu czuła się świeża i wypoczęta. Było tuż po siódmej. Armand miał wrócić za niecałą godzinę. Pobiegła pod prysznic i dwadzieścia minut później wyszła z łazienki, owijając ręcznikiem mokre włosy. Odrzuciła głowę i w tym momencie zobaczyła, co leży na świeżo pościelonym łóżku.

— Co to jest?

Niska ciemnowłosa kobieta z nieskazitelną oliwkową cerą i ogromnymi karmelowymi oczami uśmiechnęła się do niej w odpowiedzi.

— *Bonjour*, panienko — powiedziała. — Mam na imię Marie i jestem pani pokojówką. Chciałaby pani przymierzyć którąś z sukien?

Kate nie mogła uwierzyć własnym oczom. Na łóżku leżały suknie wieczorowe, które mogły pochodzić tylko od znanych projektantów. Na przymierzenie czekało kilkanaście par butów oraz pudło pełne jedwabnej bielizny z koronkami.

— Skąd to wszystko? — zapytała Kate.

— Pan Fremont zamówił — odparła Marie. Kate przesunęła dłońmi po satynowych kreacjach.

— Ale skąd znał moje wymiary? — Rozejrzała się w poszukiwaniu ubrania, w którym przyjechała, ale gdzieś zniknęło. Marie posłała jej porozumiewawczy uśmiech. — Nie mogę tego przyjąć.

— Pan Fremont wkrótce wróci — powiedziała Marie. — Obiecałam, że będzie pani gotowa.

Kate rozejrzała się bezradnie.

— Cóż, chyba nie chcemy, żeby pan Fremont czekał, prawda? Marie rozpromieniła się.

— Naprawdę nie powinieneś był tego robić.

— Czego?

— Chodzi mi o te stroje. Armand roześmiał się.

— Jeszcze nie widziałeś wszystkiego.

Białe rolls-royce sunął Corniche, gdy Kate zapytała:

— Kim jest twój kierowca? Chyba nigdy nie widziałam tak wielkiego mężczyzny! Szofer wydawał się zajmować całe przednie siedzenie, a kierownica ginęła w jego potężnych dłoniach. Łysina lśniła w łagodnym świetle. Widząc w lusterku wstecznym czarne oczy o zimnym spojrzeniu, Kate zadrżała.

— Salim jest Turkiem — powiedział Armand przyciszonym głosem.

— Gdzie go spotkałeś?

— Właściwiej było powiedzieć, że go znalazłem. Miał trzynaście lat i, nie uwierzyłabyś, był prawie tak wielki jak teraz. Występował na festynach, zginając zębami stalowe pręty, walcząc z pytonami i robiąc inne, znacznie mniej przyjemne rzeczy. Przez całe życie traktowano go jak wybryk natury i potrafił robić tylko to, czego od niego oczekiwano.

— Dopóki ty się nie zjawiłeś. Armand wzruszył ramionami.

— Salim jest bardzo odważnym i szlachetnym człowiekiem. Nigdy by cię nie skrzywdził.

Kate spodziewała się, że Armand powie coś więcej, ale tylko sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął długie wąskie pudełko na biżuterię i podał je Kate.

— O nie, nie mogę!

— Dodatek — powiedział Armand.

Kate zaparło dech, kiedy otworzyła pudełko. W środku leżał diamentowy naszyjnik z ogromnym rubinem pośrodku. Kate potrząsnęła głową.

— Nie mogę tego przyjąć...

— Więc uznaj, że pożyczasz na dzisiejszy wieczór.

Kate przyglądała się biżuterii. Dopiero kiedy samochód zatrzymał się na podjeździe, włożyła naszyjnik.

Kasyno skapane w czerwonych, niebieskich i białych światłach reflektorów prezentowało się z zewnątrz wspaniale. Ze swojej jedynej wizyty Kate pamiętała jednak, że jego królewskie wnętrza wymykają się wszelkim porównaniom.

Foyer ozdobione bezcennymi gobelinami było pełne ubranych w wieczorowe stroje kobiet i mężczyzn, którzy przyszli po rozrywkę. Niosło się echo ich głosów i śmiechów, rozbrzmiewało kilkanaście języków, od arabskiego po australijski angielski. Odźwierni i portierzy

w czerwonych tunikach i fezach prowadzili gości do restauracji „Oiseau Bleu”, do sal gier i teatru.

— Dobry wieczór, panno Maser.

Kate spojrzała na wysokiego smukłego mężczyznę, który nagle pojawił się przed nią.

— Kate, przedstawiam ci Davida Cabota — powiedział Armand.

— Miło mi pana poznać.

— Mnie również, panno Maser. Armandzie, mogę zamienić z tobą słowo? Chodzi o Londyn.

Armand przeprosił Kate i mężczyźni nachylili się do siebie. Po chwili Armand powrócił.

— Kto to był? — zapytała, pewna, że David Cabot to aktor.

— Mój specjalista od spraw bezpieczeństwa — wyjaśnił Armand. — Wygląda na to, że pewien szuler zaszczyca nas wizytą.

— Szuler?

— Tak. Obawiamy się, że może być w zмовie z jednym z dealerów.

— Tutaj? W tym miejscu?

— Zwłaszcza w tym miejscu — odparł Armand ponuro. — Kasyno jest magnesem dla wszelkich złodziei i oszustów świata. Nie sądz, że byś ich rozpoznała. Ci dranie ubierają się i zachowują jak milionerzy. Dla kamuflażu przyczepiają się do starszych bogatych kobiet albo wykorzystują byłe tancerki, żeby odwrócić uwagę od siebie. Gdybyśmy nie byli ostrożni, ograbiliby nas do czysta.

Po tym wyjaśnieniu Armand poprowadził ją w stronę głównej sali gier, Wielkiego Salonu. Po drodze zatrzymywano ich co krok. Wyglądało na to, że Armand zna wszystkich, od arabskich książąt i europejskich arystokratów po najzwyczajniejszych gońców. Wszystkim poświęcał tyle samo uwagi. Może trochę więcej kobietom, doszła do wniosku Kate. Podchodziły do niego, kłaniały się Kate, obrzucając ją spojrzeniem, ale całą uwagę — a w kilku wypadkach odsłonięty imponujący biust — kierowały na niego. Były wśród nich ubrane na czarno wdowy, mocno upudrowane i umalowane, eleganckie matrony wiszące u ramion mężów albo żigolaków, jak podejrzewała Kate. A także piękne młode istoty: posągowe ciemnoskóre Afrykanki, delikatne jak płatki róży Azjatki, śmiałe, skore do flirtów Skandynawki. Wobec wszystkich Armand zachowywał się jak dżentelmen. Zatrzymywał się, żeby przedstawić Kate, a następnie całe zainteresowanie skupiał na stojącej przed nim kobiecie, dzięki czemu czuła się, jakby była sama w sali.

— Masz dużo wielbicielek — zauważyła Kate, zaskoczona irytacją w swoim głosie.
— Taka jest rola gospodarza — odparł Armand swobodnie. Główna sala gier robiła wrażenie. Sufit znajdował się na wysokości osiemnastu metrów, a przykrywała go kopuła z pięknego polichromowanego szkła. Kolumny z żyłkowanego różowego marmuru podtrzymywały łuki triumfalne, a światło kryształowych kandelabrow nabierało ciepłej barwy od czerwonych stołów. Pomimo tłumu gości w sali panowała cisza. Grube dywany i ścianki działowe pochłaniały dźwięki.

— Inaczej to wszystko pamiętam — stwierdziła Kate.

— Zaczekaj, aż zobaczysz salę widowiskową — powiedział Armand. — Jutro wieczorem otwieramy nowy kabaret.

Stopniowo zaczęło jej się udzielać wiszące w powietrzu podniecenie. Zatrzymała się przy stole do ruletki, zwabiona wyrazem wyczekiwania, strachu i desperacji na twarzach graczy. Na widok ich skupienia krew zaczęła w niej krążyć żywiej. Radość z wygranej albo rozczarowanie niepowodzeniem powodowały, że serce biło jej szybciej lub zamierało.

— Co jest tam? — zapytała, wskazując na miejsce odgrodzone aksamitnymi sznurami i strzeżone przez dwóch mężczyzn w czarnych garniturach.

— Prywatne pokoje — wyjaśnił Armand. — Gra się tam tylko w bakarata, a za przystąpienie do gry płaci sto tysięcy dolarów.

Uśmiechnął się na widok zdumienia Kate.

— Dla większości z tych ludzi nie jest to duża suma. Rozejrzyj się. Tam siedzi niemiecki wydawca z Monachium, multimilioner. Ten obok niego to właściciel Aeroarmes, dostawca sprzętu wojskowego dla rządu francuskiego. Do toalety idzie szwajcarski bankier. Ciekawe, co powiedzieliby jego klienci, gdyby go teraz widzieli. Masz tu szejków i księciów, hinduskich maharadzów, sułtana Brunei. Ci ludzie przychodzą tutaj dla rozrywki. Nie dbają o koszty, najważniejsze, że się dobrze bawią. Jeśli wygrywają, tym lepiej. Ale wszyscy wiemy, że wrócą i wtedy wygra kasyno.

— Tyle można by zrobić z tymi pieniędzmi — zauważyła Kate. — To niemal nieprzyzwoite.

— Byłabyś zaskoczona, co się z nimi robi — powiedział Armand lekko.

Zanim Kate zdążyła poprosić o wyjaśnienie, Armand odwrócił się, żeby porozmawiać z krupierem. Kate zauważyła to już wcześniej. Podchodził do któregoś z pracowników i mówił szeptem parę słów. Najczęściej odpowiedzią było kiwnięcie albo potrząśnięcie głową. Armand

oddalał się jak gdyby nigdy nic i wchodził na powrót w rolę gospodarza.

— Armandzie, naprawdę uważam, że powinniśmy...

— Kate, wybacz...

W jego tonie zabrzmiało ostrzeżenie. Kate rozejrzała się, ale niczego nie dostrzegła. Gdy szli w stronę jednej z kas dyskretnie umieszczonych w płytkich wnękach obok marmurowych kolumn, zjawiała się nagle przy nich jakaś kobieta.

— Pan Fremont, dzięki Bogu!

Armand rzucił spojrzenie przez ramię. Kate zauważyła, że przygląda się jej badawczo, jakby się wahał. Kate popatrzyła na kobietę. Była młoda i bardzo ładna, ale głęboko zasmucona. Niegdyś piękna sukienka wyglądała na znoszoną, a aksamitne buty miały zdarte noski. Zmarszczki i bruzdy na ciemnej twarzy świadczyły o ciężkich przeżyciach. A może, pomyślała Kate, o czymś innym.

Widoczny na niej wyraz zaszczucia przypominał jej nielegalnych meksykańskich imigrantów, których kiedyś broniła. Była to twarz bezradnej, zrozpaczonej kobiety.

— Wszystko będzie w porządku — usłyszała ciche słowa Armanda. Ledwo poruszał ustami. Stał tak, że jego postać i marmurowa kolumna zasłaniały kobietę. — Wszystko załatwione. Cieszę się, że udało się pani dotrzeć tutaj bezpiecznie!

Kobieta zamknęła oczy, jakby się modliła.

— Niech pana Bóg błogosławi! — szepnęła. Armand wyjął z kieszeni bon.

— Proszę to zanieść kasjerowi. Da pani trochę pieniędzy. Proszę zagrać przy stole szóstym w Sali Amerykańskiej. W oczko. Rozdający oczekuje pani. Gwarantuję, że będzie miała pani dzisiaj szczęście.

Kobieta utkwiała wzrok w Armandzie, a następnie, ku zdumieniu Kate, chwyciła jego rękę i podniosła do ust.

— Niech pana Bóg błogosławi! — powtórzyła jak litanię. Kate obserwowała, jak kobieta idzie w stronę kasy.

— Armandzie, o co tutaj chodzi? Uśmiechnął się z przymusem.

— Przysługa dla starego przyjaciela, Kate. Przykro mi, muszę cię opuścić na chwilę.

— Skinął na jednego z ludzi z ochrony. — Francois przyniesie ci wszystko, czego sobie zażyczysz. Wracam za parę minut.

— Mogę pani w czymś pomóc, mademoiselle? — spytał ochroniarz, zanim Kate zdążyła coś powiedzieć.

- Nie, dziękuję.

Ruszyła między stołami. Warkot koła ruletki i stukot kulki nie pozwalały skupić myśli. Co tutaj się dzieje? Była tak zaskoczona dziwnym zachowaniem Armanda, że nie zauważyła Jasmine.

— Katherine! Co za niespodzianka! Więc przyjechałaś. *Jak ci się to udało, Katherine, skoro gazety obwołały cię główną podejrzaną w aferze Maritime Continental?*

— Jasmine! Cześć.

— Chodź, musisz mi wszystko opowiedzieć. — Wzięła ją pod ramię i poprowadziła w stronę Wielkiego Salonu. — Kiedy przyjechałaś?

— Dzisiaj po południu — odparła Kate, obrzucając niespokojnym spojrzeniem salę w nadziei, że zobaczy gdzieś Armanda.

— Naprawdę? I już byłaś na zakupach.

Krytycznie przyjrzała się sukni Kate. Była to blad różowa kreacja od Balenciagi, na ramiączkach ozdobionych klejnotami, otwierająca się z tyłu jak tulipan. Jasmine doszła do wniosku, że nie uszyto jej na miarę. Mimo to leżała doskonale.

— Jak długo zamierzasz zostać? — zapytała, nie zwracając uwagi na skrepowanie Kate.

— Naprawdę nie wiem...

— Co za okropna sytuacja! Ludzie wygadują takie rzeczy o twoim ojcu. Wstyd! Czy policja naprawdę uważa, że miałaś z tym coś wspólnego?

— Nie przypuszczałam, że o tym wiesz — powiedziała Kate chłodno.

Jasmine cofnęła się o krok.

— Wybacz mi, jeśli cię obraziłam. Gdy usłyszałam o Maritime Continental, od razu pomyślałam o tobie. — Zrobiła pauzę. — Szybko się przekonasz, że w Bejrucie jest niewiele tajemnic. *Middle West Report*, odpowiednik waszego *Time'a*, opisał tę historię w ostatnim wydaniu.

— Przykro mi — przeprosiła Kate. — To był koszmar. Istotnie, to jeden z powodów, dla których jestem tutaj. Armand uznał, że będzie dla mnie najlepiej, jeśli wyjadę na trochę... dopóki wszystko się nie wyjaśni.

— To był doskonały pomysł — zapewniła ją Jasmine. — Jesteśmy rodziną, Kate. Dzwoń do mnie, kiedy będziesz miała ochotę. Wierz mi, rozumiem, przez co przeszłaś. Najpierw straciłaś ojca, a teraz jeszcze to. Mam nadzieję, że pozwolisz mi zostać twoją przyjaciółką.

Uspokojona Kate poczuła przyływ sympatii do tej kobiety, która wyciągała do niej rękę.

— Dziękuję, Jasmine. To wiele dla mnie znaczy.

— Więc nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli przedstawię cię paru moim przyjaciółom? Są bardzo interesujący i zabawni. Wiem, jak zajęty potrafi być Armand. Nie chcę, żebyś błąkała się sama po tym jego seraju!

Kate roześmiała się.

— Chciałabym ich poznać. Dziękuję.

Już miała ją poprosić, żeby przyłączyła się do niej i Armanda, kiedy Jasmine skinęła głową w kierunku wejścia do Wielkiego Salonu.

— O, jest twój błędny rycerz! — Zaśmiała się. — Cóż, zostawiam cię. Armand pomoże ci ze wszystkim się uporać. Spodziewam się, że jutro do mnie zadzwonisz. Pójdziemy na obiad i odbędziemy długą miłą pogawędkę.

Przy kasie Jasmine podpisała bon na pięć tysięcy funtów libańskich. Następnie rozmyśliła się i podwoiła sumę. Uznała, że dopisuje jej szczęście. Katherine to piękna dziewczyna. Może, jeśli los będzie łaskawy, uda się ją namówić na wspólną zabawę z nią i Louisem. Nigdy nie miała amerykańskiej dziewczyny, a Louis twierdził, że potrafią być wspaniałe.

— Kate! Przykro mi, że kazałem ci czekać. — Armand wziął ją pod ramię, kierując się w stronę restauracji „Oiseau Bleu”. — Gawędziłaś z Jasmine?

— Tak, ona jest cudowna. Twierdzi, że chętnie mi pomoże.

— Doprawdy? Jak to wspaniałomyślnie z jej strony.

Nie można było nie usłyszeć przekąsu w głosie Armanda. Kate zaskoczył ten ton.

Zważywszy na to, co Fremont mówił o znaczeniu więzów pokrewieństwa w Libanie, nie brała nawet pod uwagę możliwości nieporozumień w rodzinie.

Armand zaprowadził Kate do prywatnej sali jadalnej odgradzonej / dwóch stron matowymi szybami w zawile wzory. Gdy tylko weszli do środka i szklane drzwi zamknęły się za nimi, zrobiło się cicho. Kate zorientowała się, że są to lustrzane szyby i że można stąd obserwować, co się dzieje w restauracji.

— To jeden z moich grzechów — rzucił Armand, czytając w jej myślach. — Lubię wiedzieć, co słyhać w mojej skromnej firmie.

— Uhm — mruknęła Kate ze złośliwym uśmiechem.

Wyrzała przez okno z panoramicznym widokiem na ogrody kasyna i reflektory oświetlające wzburzone Morze Śródziemne. Zjawił się kelner z zakurzoną butelką czerwonego wina i długą świecą. Otworzył wino i położył korek przed Armandem.

— Zaczekamy kilka minut, żeby wino się ustąpiło i pooddychało — powiedział Armand. Dotknął dłoni Kate. — Jak się czujesz?

— Jestem w szoku — odparła Kate bez ogródek.

— Wiele przeszłaś — stwierdził Armand łagodnie. — Minie trochę czasu, zanim odzyskasz spokój.

— Jest tylko jeden problem. Nie wiem właściwie, co się stało. Ktoś wywrócił mój świat do góry nogami. Muszę wiedzieć, kto i dlaczego, Armandzie.

Popatrzyła na niego uważnie. Wytrzymała jej wzrok, a Kate upewniła się, że on wie, o co jej chodzi. Nalał wina, uważnie obserwując osad na dnie butelki. W powietrze uniósł się wspaniały zapach.

— Spróbuj.

Kate zawahała się, a potem uniosła kieliszek do ust. Wino było jak ambrozja. Nigdy takiego nie piła.

Armand z przyjemnością obserwował Kate. Dzięki sztuczce z winem zyskał trochę na czasie. Przez całe życie musiał podejmować decyzje, ile może powiedzieć innym. Musiał manipulować ludźmi. Sądził, że nic nie może go już dotknąć. Dlaczego więc z Kate było inaczej? W jej obecności czuł, że otaczający go pancerz jest bardzo kruchy.

Ona domaga się prawdy, której nie mogę zdradzić, żeby nie narazić jej na niebezpieczeństwo. Dopóki nie będę miał w szachu Pierre'a i jego współnika, prawda musi pozostać w ukryciu.

— Mogłaś otworzyć teczkę w samolocie — stwierdził. — Dlaczego tego nie zrobiłaś?

Jego bezpośredniość zaskoczyła Kate. Szybko jednak się otrząsnęła.

— Szanuję prywatność innych ludzi.

— Nawet w takich okolicznościach?

— Zwłaszcza w takich. — Umilkła na chwilę. — Nie chciałam ci tego zrobić. Nie chciałam, żeby coś się popsło między nami. — Roześmiała się. — Może nie jestem tak twarda, jak sądziłam.

— Nie doceniasz siebie. — Armand zapatrzył się na grę kolorów na szkle butelki. Pociągnął łyk wina w nadziei, że doda mu odwagi. — Twój ojciec zostawił notatki na temat Maritime Continental.

Kate podskoczyła jak oparzona.

— Powiedz mi, Armandzie. Na litość boską, powiedz mi! Wziął ją za rękę.

— Niewiele tego. Alexander miał w londyńskim banku znajomego, który ostrzegł go o groźbie wiszącej nad Maritime Continental.

— To znaczy?

— O defraudacji. Kate potrząsnęła głową.

— Więc wiedział! — szepnęła. — Przez cały czas wiedział, że coś się stanie.

— Nie wyciągaj pochopnych wniosków! — zaprotestował Armand. — Alex nie wiedział, jakie to może mieć skutki dla Maritime Continental. Podejrzewam, że próbował odkryć coś więcej, ale... zginął.

— Zostawił jakieś nazwisko?

— Tak. Znajomego z Londynu.

— Czy ten znajomy powiedział ojcu, kogo podejrzewa o defraudację?

— Nie, w notatkach Alexa nie ma nic, co by na to wskazywało — odparł Armand, czując do siebie wstręt.

— Musimy porozmawiać z tym człowiekiem — oświadczyła Kate. Armand uniósł rękę.

— To nie takie proste. Zdaje się, że zniknął. Szukamy go teraz.

— Musimy go znaleźć, Armandzie! Jeśli wiedział o defraudacji, może wiedział też, kto z Maritime Continental jest w to zamieszany! Nie rozumiesz? Dzięki tej informacji prokurator mógłby oczyścić z zarzutów mnie, Emila i bank! — Oczy Kate zabłyśły nadzieją. — Pokaż mi notatki ojca, Armandzie. Może jest tam uwaga, którą przeoczyłeś lub źle zrozumiałeś.

— Kate, posłuchaj mnie uważnie i nie obrażaj się. Alex wymienił nie tylko nazwisko swojego informatora. Jest jeszcze drugi człowiek, bardzo potężny i wpływowy. Nie wiem, jaką pełni w tym wszystkim rolę, ale muszę postępować z najwyższą ostrożnością.

— Kto to taki? — przerwała mu Kate. — Jeśli jest w Nowym Jorku, pomogę ci go znaleźć!

Armand potrząsnął głową.

— Nie, jest tutaj, w Bejrucie. I jeśli się dowie, że rozpytuję o niego, konsekwencje mogą być straszne.

Kate zareagowała, jakby wymierzył jej policzek.

— Więc mi nie wierzysz?

— W grę wchodzi ludzkie życie — odparował Armand. — Proszę cię, Kate, żebyś mi zaufała, pozwoliła zrobić to po mojemu.

Kusiło ją, żeby się odciąć, ale zdusiła w sobie gniew.

— Jak, według ciebie, mogłabym zaszkodzić sprawie?

- Nie mam pojęcia. Myślę jednak, że pytanie brzmi, jak mogłabyś pomóc?

Gdybym wiedziała, co zostawił ojciec...

— Kate, szanuję cię, ale wiesz bardzo niewiele o interesach Maritime Continental i prawie nic o kręgach finansowych w Londynie czy gdzie indziej. Nie wiesz, jakie zadawać pytania ani komu. Mamy do czynienia z przebiegłymi ludźmi. Jeśli zaczną podejrzewać, że ktoś jest na ich tropie, wezmą nogi za pas. Albo, co gorsza, zaatakują. Nie pozwolę na to.

— Masz zwyczaj decydowania, co jest najlepsze dla innych? — rzuciła sarkastycznie.

— Wcale nie — odparł spokojnie. — Ale spodziewałem się, że ktoś z twoją inteligencją i wykształceniem będzie wiedział, kiedy potrzebuje rady, i okaże tyle odpowiedzialności, by ją przyjąć.

Gdyby powiedział coś innego, dał jej jakiegokolwiek wyjaśnienie, okazał choć odrobinę szacunku, może by to zaakceptowała, przynajmniej na początek. Ale słowa Armanda żądliły i upokarzały. Przekroczył granicę tego, co Kate uważała za słuszne i sprawiedliwe.

— Czy to twoje ostatnie słowo w tej kwestii?

— Na razie tak. Mam nadzieję, że zrozumiesz... Kate wstała od stolika.

— Nie, nie rozumiem. Szczerze mówiąc, jeśli tak załatwiasz wszystkie sprawy, to współczuję innym. — Niezamierzenie złagodziła ton. — Byłeś najlepszym przyjacielem mojego ojca. Wziąłeś coś, co należało do niego, a co mogłoby mi pomóc. Przyjechałam tutaj, ponieważ ci ufałam, Armandzie. Mimo tylu lat wciąż pamiętam pierwszy raz... — Głos jej zadrżał. — Przyjaciel tak by nie postąpił. Nie rozumiem takiej przyjaźni, Armandzie. Jeśli tak to nazywasz...

Otworzyła drzwi i wymaszerowała z sali. W holu jakaś silna dłoń chwyciła ją za łokieć i poprowadziła w stronę baru.

— Kim pan jest? — zapytała wściekła. I natychmiast go poznała.

— Więc pamięta pani.

— Tak, pamiętam. Pan Cabot. Miło mi znowu pana widzieć. A teraz, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, pójdę już.

— Nie, musi mnie pani wysłuchać. — Wie pani, czym się zajmuję? — zapytał David.

— Jest pan jakimś tam ochroniarzem. David potrząsnął głową.

— Nie jakimś tam, panno Maser. Jednym z najlepszych. Proszę o mnie zapytać, jeśli pani chce.

— Dlaczego miałabym to robić?

— Ponieważ to ja zamierzam znaleźć człowieka, który zniszczył Maritime Continental.

Kate rozszerzyły się oczy.

— Nie wiem, co się tam stało. — Skinął głową w kierunku restauracji. — Zaryzykuję domysł, że Armand nie był zbyt chętny do podzielenia się informacjami. Niech pani się na niego nie gniewa, panno Maser. On dokładnie wie, co robi.

— Czy to znaczy, że Armand pokazał panu notatki mojego ojca?

— A jak pani myśli?

Kate poczerwieniała ze wstydu.

— Więc wygląda na to, że wszyscy oprócz mnie wiedzą, co się dzieje. Dziękuję, że mi pan to uświadomił, panie Cabot. Dobranoc!

— Panno Maser!

Kate obejrzała się przez ramię.

— Niech pani się nie unosi. Nie mamy do czynienia z domorosłymi rewolucjonistami. Tu się toczy gra o dużą stawkę. Ściany mają uszy. Proszę uważać na to, co pani mówi.

Kate spiorunowała go wzrokiem.

— Dziękuję za radę, panie Cabot. Poczekamy i zobaczymy, co pan zdoła. Może wtedy zmieni pan ton!

Tu Fremont.

— Londyńskie powietrze cuchnie — powiedział David Cabot.

— Co z naszym przyjacielem z Regent Bank?

— Zdaje się, że Kenneth Morton, szef działu zagranicznego, wziął sobie urlop.

— Jaki?

— Powiedział, że ma na południu Francji umierającego ojca.

— Czy to prawda?

— Rodzina ma francuskie korzenie. Ojciec przeniósł się na starość do Francji. Ale z Mortona dziwny podróżnik. Zostawił walizki. Wszystkie ubrania wiszą w szafie. Przed drzwiami stoją trzy butelki mleka, więc albo jest roztargniony, albo zostawił wszystko w pośpiechu.

— Myślisz, że to drugie?

— Tak.

— Kiedy zadzwonisz?

— Po wizycie w Prowansji.

— Davidzie, uważaj na siebie. Ktoś może go obserwować.

— Zawsze oglądam się za siebie, Armandzie. Wiesz o tym.

— Zrób mi przyjemność i bądź szczególnie ostrożny.

— Dobrze. A jak się miewa panna Maser?

U kogoś innego Armand spodziewałby się żartobliwego tonu. David mówił śmiertelnie poważnie.

— Nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia od czasu tamtego wieczoru.

— Myślę, że ty również powinieneś uważać, Armandzie. Dziewczyna może narobić kłopotów. Nie pozwól, by cię wystrychnęła na dudka.

To była opinia zawodowca i Armand przyjął ją do wiadomości. Lecz zirytował go ton Davida.

— Zajmę się nią.

Na linii zapanowała cisza.

— Kiedy będzie już po wszystkim, oboje zrozumiecie, co się dzieje — powiedział David łagodnie. — Na razie trzymaj ją od tego z daleka. Do widzenia, Armandzie. Armand powoli odłożył słuchawkę. Co, u licha, David miał na myśli, wygłaszając ostatnie uwagi? Dlaczego coś miałyby się dziać między nim a Kate?

Był wyprowadzony z równowagi. Słowa Davida jątrzyły jak drzazga, której nie mógł usunąć.

Może David dostrzega to, co wyraźnie mam wypisane na twarzy. Wszyscy to widzą oprócz mnie?

Kate i Jasmine siedziały na tarasie Phoenicii. Ponieważ właścicielom nie udało się dostać za żadną cenę ani kawałka plaży, hotel miał ogromny basen wykładany płytkami o trzech odcieniach niebieskiego. W jednym końcu, bezpośrednio za tarasem, znajdowała się gruba szklana ściana, tak że klienci baru mogli obserwować podwodne akrobacje kąpiących się. Kate uśmiechnęła się do trzech muskularnych mężczyzn w skąpych kąpielówkach, którzy podплыnęli do ściany i wyszczerzyli się do niej.

— Widzę, że czujesz się coraz bardziej jak u siebie w domu — zauważyła Jasmine.

— A mam inne wyjście? Jasmine klasnęła w dłoń.

— Jeszcze zostaniesz prawdziwą mieszkanką Bejrutu! Wszyscy jesteśmy fatalistami.

Kate uśmiechnęła się i pociągnęła łyk zimnego Corton-Charlemagne, który Jasmine zamówiła do obiadu. Nie sądziła, że po kłótni z Armandem powstanie między nimi mur milczenia, ale tak się stało. Kiedy Jasmine zadzwoniła, żeby zaprosić ją na obiad, niewiele brakowało, by Kate wybuchnęła.

— Jeśli uważasz, że jestem zbyt bezpośrednia, powiedz — oświadczyła Jasmine, dotykając dłoni kelnera, który właśnie zapalił jej papierosa. Kate była wstrząśnięta zmysłowością tego zwykłego gestu. — Ludzie często mi to mówią, ale ja się nie przejmuję. Nie musisz mi mówić niczego, na co nie masz ochoty.

— Świetnie.

— Dla nikogo nie jest sekretem, że miałaś ciężkie przeżycia — ciągnęła Jasmine. — Ale prawdę mówiąc, otaczająca cię tajemnica dodaje ci stylu. Zapewniam cię, że jesteś na ustach całego Bejrutu!

Kate zaczerwieniła się.

— Kiedy tu weszłam, zauważyłam, że ludzie na mnie patrzą. Nie jestem pewna, czy mi się to podoba.

Jasmine obrzuciła salę taksującym spojrzeniem.

— Przypuszczam, że chodzi o twój strój.

Kate popatrzyła na nią nie rozumiejącym wzrokiem. Wybrała prostą białą spódnicę i niebieską jedwabną bluzkę w kropki, odpowiednie, według niej, na tę okazję.

Dopóki nie zobaczyła, co mają na sobie inne kobiety, dopóki Jasmine nie pojawiła się w zielonej sukni z krepy i szyfonowym szalu.

— Zajmiemy się twoją garderobą — oznajmiła Jasmine. — Rozumiem, co przeżywasz. Śmierć Alexandra, potem ta historia, cóż... Pamiętaj, że jestem tutaj, by ci pomagać. To nie pora, by się zdręczać, Katherine. Zapewniam cię, że Armand robi wszystko, by zakończyć tę głupią sprawę. Jest człowiekiem czynu, ale nie zawsze wie, czego potrzeba kobiecie. Więc jeśli masz ochotę z kimś porozmawiać, dzwoń. Chcę być twoją przyjaciółką.

Kate była zaskoczona i poruszona. Postanowiła zlekceważyć opinię Armanda i zaufać swojemu pierwszemu wrażeniu, że Jasmine jest przyzwoitą i wielkoduszną kobietą.

— To bardzo miłe z twojej strony — powiedziała.

Kiedy kelner przyniósł sałatkę z homara, Jasmine podniosła kieliszek.

— Czin-czin, moja droga. Na szczęście!

Przez cały posiłek mówiła, opowiadając pikantne historyjki o ludziach siedzących przy innych stolikach. Raczyła Kate opowieściami o planowanych balach karnawałowych i namawiała ją, żeby przyszła. Kate nie potrafiła odmówić.

Słońce i chłodne wino zaczęło działać. Sałatka była wyborna, a porcje ogromne.

Obserwując, jak Jasmine pochłania ostatni kęs, Kate zastanawiała się, w jaki sposób ta kobieta zachowuje świetną figurę.

Jasmine jakby czytała jej w myślach.

— W Bejrucie kobiety żyją poza domem, na plaży i w wodzie. Uwielbiają tańczyć. A te mile, które przemierzają podczas zakupów! — Przy cappucino zapytała: — Czy są jakieś wieści z Nowego Jorku?

— Niektóre są dobre — odparła Kate. — Znasz Emila Bartolego?

— Znam. Pewni bankierzy, którzy nazywają go Bartoli Borgia, są zachwyceni tym, co mu się przydarzyło.

— Jest uczciwym i porządnym człowiekiem, który przeżywa **piekło**! — zjeżyła się Kate i zrelacjonowała dwie rozmowy teleloniczne.

Kiedy prokurator dowiedział się, że Kate poleciała do Bejrutu, Bartolego ponownie aresztowano. Tylko dzięki darowi przekonywania jego prawników wypuszczono go za przyprawiającą o zawrót głowy kaucją pięciu milionów dolarów. Bartoli nie miał pojęcia, kto ją zapłacił. Kate również wtedy nie wiedziała. W drodze eliminacji doszła do wniosku, że jedynym człowiekiem, który nie tylko miał dość pieniędzy, ale był gotów dać je bez namysłu, jest Armand. Kiedy zapytała go o to, tylko się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

Kate martwiła się, że jest przyczyną kolejnego poniżenia Emila, ale odpowiedź bankiera zaskoczyła ją.

— Postąpiłaś właściwie — stwierdził. — Armand prowadzi śledztwo, a ty musisz dbać o własne interesy. Wy dwoje macie wspólny cel. Armand to potężny sojusznik. Ma koneksje na całym świecie. Współpracuj z nim, Kate. Jest teraz naszą jedyną szansą. — Emil powiedział jeszcze ogródkami, że jej wyjazd umocnił przekonanie prokuratora, iż jest w jakiś sposób zamieszana w defraudację. — Co wcale nie pogarsza sprawy — zakończył.

— Co masz na myśli?

— Kontrolerzy federalni postanowili uporządkować sprawy banku, a następnie sprzedać aktywa, żeby spłacić tych, którzy stracili pieniądze. Savage protestował, ale w Waszyngtonie nie chcieli słuchać.

Kate była ogłuszona.

— Ale to oznacza sprzedaż budynku!

— To oznacza coś więcej, Kate — powiedział Emil ze smutkiem. — Maritime Continental przestanie istnieć.

— Nie mogą tego zrobić!

— O, moja droga Kate, obawiam się, że mogą i to zrobić.

— Ale co się stanie z tobą?

— Zaczekam, aż zostanę oczyszczony z zarzutów — odparł Emil spokojnie. — Tylko ty możesz mi teraz pomóc, Kate. Ty i Armand.

— Nie opuszczę cię!

— Wiem, że nie. Przecież jesteś córką swego ojca.

— Mój Boże! — wykrzyknęła Jasmine. — Czy Armand wie, co lubić?

— David Cabot zajmuje się tą sprawą w Londynie. — Kate od lazu pożałowała tych słów. *Ściany mają uszy. Proszę uważać na to, co pani mówi.* W jego głosie słyszała wyraźną naganę. — Kim jest David Cabot? — zapytała pośpiesznie w nadziei, że odwróci uwagę Jasmine.

Podobno jest szefem jakiejś agencji bezpieczeństwa. Jasmine bawiła się złotym łańcuszkiem.

— David... — zawiesiła głos. — A tak, kieruje Interarmco, jedną z najlepszych prywatnych agencji ochrony na świecie. Ale kim jest? Coś ci powiem, moja droga. Wszyscy się nad tym zastanawiają.

— Nie rozumiem.

— David to tajemnicza postać, nawet w tym kraju, gdzie z czasem wszystkie najmroczniejsze sekrety wychodzą na jaw. Pewnego dnia dwadzieścia lat temu David po prostu pojawił się w domu Armanda. Przez długi czas nikt nie miał o niczym pojęcia. Potem dowiedzieliśmy się, że Armand wziął go na wychowanie. W tę sprawę byli zaangażowani wysocy urzędnicy, łącznie z brytyjskim ambasadorem. Nikt jednak nie znał szczegółów.

— Na wychowanie? — powtórzyła Kate z niedowierzaniem.

— Tak — powiedziała Jasmine. — Potem okazało się, że David i jego rodzice żeglowali wzdłuż wybrzeża syryjskiego i tam zaatakowali ich piraci. Ocalał tylko David. Nie wiadomo, czy Armand miał coś wspólnego z jego uratowaniem, czy też ktoś przyprowadził chłopca do niego. Armand pokierował życiem Davida, posyłając go do szkoły i na uczelnię. Mówi się, że przed założeniem Interarmco David pracował w policji kilku krajów.

— To niewiarygodna historia — stwierdziła Kate.

Jasmine zgodziła się w myślach. Kate byłaby jeszcze bardziej zdziwiona, gdyby usłyszała o krucjacie Armanda przeciwko handlarzom białymi niewolnikami i prawdziwych okolicznościach, w których natknął się na Davida Cabota. Spojrzała na zegarek.

— Ale dość tych ponurych historii. Bądź ostrożna i nie pozwól Davidowi Cabotowi mieszać się do swoich spraw. Nie jestem pewna, czy Armand ma kontrolę nad tym człowiekiem.

Kate wciąż wirowało w głowie, kiedy Jasmine skinęła na kelnera, podpisała rachunek i oznajmiła:

— Teraz musimy pójść do miasta i kupić ci parę rzeczy.

— Jasmine, naprawdę nie sędzę...

— Nie przyjmuję odmowy. Chodźmy. Opuściły taras i ruszyły przez atrium Phoenicii.

— Jak cię traktuje Armand?

— On jest... bardzo uprzejmy. Jasmine roześmiała się.

— Moja droga, sądząc po sposobie, w jaki patrzyliście na siebie w kasynie, powiedziałabym, że był bardziej niż uprzejmy.

Kate zmarszczyła brwi. Miała wobec Armanda mieszane uczucia. Wspomnienia z dzieciństwa i budzące się uczucie zbladły wobec braku

zaufania z jego strony. Dobrze pamiętała o innym mężczyźnie, któremu pozwoliła wkroczyć w swoje życie... i który zdradził ją z uśmiechem. Nie mogła zaprzeczyć, że między nią a Armandem istnieje silny związek, którego nie potrafiła określić. Obiecała sobie jednak nie stracić kontroli nad sobą, nie dać się porwać. Miała zbyt dużo do stracenia.

— Przyjaźnicie się z Armandem? — zapytała Kate, przerywając ciszę. — Poza tym, że jesteście spokrewnieni.

— Pytasz, czy jesteśmy kochankami — rzuciła Jasmine uszczypliwie, śmiejąc się z miny Kate. — Nie ma w tym nic niezwykłego. Ale nie, nigdy nie byśmy kochankami.

— Przepraszam. To nie moja sprawa.

— Nie bądź głupia! Nie przeczę, że uważam Armanda za bardzo atrakcyjnego. Kobieta musiałaby być ślepa, żeby tego nie dostrzec. Ale jestem mężatką. Może ci się wydawać, że Bejrut to Sodoma i Gomora. To prawda, że wiele kobiet szuka przyjemności poza małżeńskim łóżem. Tyle że ja do nich nie należę. — Zrobiła pauzę. — Zresztą i tak nie wybrałabym Armanda.

— Dlaczego?

— Co zauważyłaś tamtej nocy w kasynie? Kate zastanowiła się.

— Armand zna chyba wszystkich.

— A kogo w szczególności?

— Kobiety.

— *Voilà!* Armand musi pełnić obowiązki gospodarza. I robi to dobrze. Szczególnie wobec damskiej klienteli.

Kate wciąż o tym rozmyślała, kiedy skręciły w szeroki pasaż. Po obu stronach ciągnęły się drogie butiki.

— Możemy zacząć tutaj — oznajmiła, wchodząc do Courreges. Sprzedawczynie zbiegły się wokół niej. — To jest Katherine Maser, przyjaciółka pana Fremonta. Sprzedawczynie natychmiast otoczyły Kate. Udało się jej uwolnić i odciągnąć Jasmine na bok.

— Nie mam pieniędzy.

Jasmine wskazała na ubranie Kate.

— Skąd to masz?

— Armand powiedział, że bym poszła na zakupy i podpisywała rachunki swoim nazwiskiem. Obiecał, że wszystko załatwi, a pieniądze oddam mu później.

Oczywiście, że załatwi. One o tym wiedzą.

Kate spojrzała na gorliwe sprzedawczynie i wszystko zrozumiała. Armand podniósł słuchawkę i otworzył kredyty w najlepszych sklepach w mieście.

— Jasmine, na tym nie ma ceny — stwierdziła Kate, biorąc do ręki minispódniczkę.

— W tych sklepach nie ma nigdzie cen — poinformowała ją Jasmine. — Na rachunkach wymienione są tylko sztuki. Ceny dopisuje się później. To bardzo miłosierne, nie uważasz?

Kilka dni po spotkaniu z Kate Jasmine wyprawiła kolację dla trzech osób. Ze względu na poufny charakter rozmów przy stole dała służbie wolne, postanawiając samodzielnie przygotować lekki posiłek. Uwielbiała arabskie jedzenie, więc zrobiła ogromną tacę *mezze*, zestaw bliskowschodnich przekąsek, oraz kilkanaście *samboussacs*, lewantyńskich pasztecików mięsnych zapiekanych w lekkim cieście. Chociaż miała piękny dwupoziomowy apartament w najmodniejszej dzielnicy, Ra's Bejrut, kochała to ustronie na wzgórzach dwadzieścia kilometrów na północ od miasta. Nad krajobrazem dominowała Góra wysokości siedmiuset pięćdziesięciu metrów, dawna chrześcijańska twierdza. Na szczycie stała ogromna statua Marii Dziewicy z ramionami wyciągniętymi w stronę miasta i zatoki. Wśród wzgórz były rozrzucone wille bogatych i sławnych ludzi, a ciągnące się w dole plaże stanowiły tereny rekreacyjne. Pośrodku rozlokowało się miasto, pełne teatrów, restauracji i sklepów dla bogaczy. Widoczne za przeszkloną ścianą Morze Śródziemne brało słońce w objęcia, łagodnie jak matka dziecko.

— Zdaje się, że nie masz apetytu — zauważyła Jasmine, zwracając się do Pierre'a.

— Cleo narzuciła ci kolejną dietę?

Oboje z Louisem zwrócili uwagę na nietypową błądź Pierre'a i na luźny, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, kołnierzyk koszuli.

— Chyba jestem przeziębiony. — I obserwując, jak Jasmine nalewa kawę i likiery, dodał: — Nie sądzę jednak, że zaprosiliście mnie na kolację, by pytać o zdrowie.

Jasmine zignorowała kpinę. Ona i Pierre zawsze byli dla siebie uprzejmi, ale do niedawna niewiele ich łączyło oprócz pokrewieństwa.

— Dowiedziałam się czegoś, co dotyczy nas trojga — oznajmiła. — Wygląda na to, że Armand nie poprze kandydatury Louisa na prezydenta.

Louis pobladł. Widelczyk do deserów zabrzączał o porcelanę.

— Co takiego? Skąd wiesz? Kto ci powiedział?

Przez cały dzień Louis starał się dowiedzieć, dlaczego Jasmine zaprosiła Pierre'a na kolację. Ale w najgorszych domysłach nie brał pod uwagę takiego powodu.

— Rozmawiałam z Armandem kilka dni temu w kasynie — ciągnęła Jasmine, nie zwracając uwagi na wybuch męża. — Armand nie poprze cię, kochanie.

— Czy Tufaili wie? — wyrzucił z siebie Louis. Jasmine zmiażdżyła go spojrzeniem.

— Dowie się, jeśli powiesz to trochę głośniej! — Zwróciła się do Pierre'a. —

Wcześniej czy później Armand zadeklaruje się po czyjejś stronie. Pytanie brzmi po czyjej. Niepewność nie jest dobra dla nas ani dla ciebie czy Banku Centralnego.

— Bank nie miesza się do polityki — odparł Pierre wyniosłym tonem.

— Lepiej, żeby zaczął! — odcięła się Jasmine. — Dyrektor banku jest na usługach prezydenta. Jak długo utrzymasz się na stanowisku, jeśli Armand poprze niewłaściwego człowieka?

Myśl, że jego pozycja może być zagrożona, wystraszyła Pierre'a śmiertelnie. Nikogo nie może wpuścić na swoje miejsce, nikogo! Gdyby przyszedł nowy człowiek i dokładnie sprawdził księgi... Pierre zadrżał.

— Czego chcesz ode mnie?

— Jednego z dwojga — odparła Jasmine. — Przekonaj Armanda, żeby przestał się wygłupiać i pomógł Louisowi albo daj nam pieniądze na kampanię.

— Nie mogę zrobić żadnej z tych rzeczy! — krzyknął Pierre. — Armand mnie nie posłucha. Wiesz o tym. A pieniędzy nie mam!

— Jesteś kiepskim kłamcą, Pierre — zaśmiała się Jasmine. — Obsypujesz swoją dziewczkę prezentami. Z pewnością coś ci zostało.

— Moje życie osobiste to nie twój interes! Jeśli tak bardzo potrzebujesz pieniędzy, dlaczego nie przekonasz Armanda, żeby wystawił akcje SBM na sprzedaż?

— Próbowałam — powiedziała Jasmine spokojnie, wywołując konsternację u obu mężczyzn. — Właśnie to mu zaproponowałam. Zdecydowanie odrzucił pomysł.

— Ten człowiek jest szalony! — stwierdził Pierre, potrząsając głową.

— Może — odparła. — Ale jego szaleństwo może zaszkodzić nam wszystkim.

Pierre, myślę, że powinieneś przemyśleć sprawę sfinansowania kampanii. Przecież to naprawdę niewiele za dożywotnie stanowisko dyrektora banku.

Pierre nie odezwał się. Obserwował światła zapalające się w porcie.

— Muszę już iść — oświadczył w końcu. — Jestem umówiony...

— Jeśli zaczekasz minutę, pójdę z tobą — powiedziała Jasmine. Spojrzała na męża.

— Louis, mogę z tobą chwilę porozmawiać?

Zaczekała, aż znajdą się w sypilani i, gwałtownie chwyciła jego twarz w dłonie.

— Chcę, żebyś zachował spokój, Louis. Nic nie mów, nic nie rób...

— To już koniec, prawda? — spytał załóżnie. — Przekonanie Armanda do sprzedaży akcji było naszą ostatnią nadzieją.

— Nie, mój kochany — uspokoiła go. — Tyle się może jeszcze wydarzyć...

Louis spojrzał na nią ze strachem...

— Co masz na myśli?

— Bejrut to takie niebezpieczne miejsce. Zachowanie ostrożności nic nie daje. Jakiś szalenciec może cię w każdej chwili pozbawić życia.

— Nie mówisz tego poważnie!

— A gdyby coś takiego się przydarzyło, podejrzenia padłyby na tych, którzy mają oczywiste motywy. Choćby na Pierre'a utrzymującego młodą, bardzo kosztowną kobietę i obawiającego się, że przypadnie mu synekura w banku...

— Jasmine...

— Cii... Nie mówię, że coś takiego się zdarzy, tylko że to możliwe. — Pocałowała go lekko w usta. — Wrócę późno. Nie czekaj na mnie.

Bogowie obdarzyli Louisa wyrazistymi, pięknymi rysami zwykle zarezerwowanymi dla nich samych. Wysokie kości policzkowe, silna szczęka, zmysłowe usta niezmiennie przyciągały spojrzenia kobiet. W następnej chwili ich wzrok przykuwały wilgotne, płomienne oczy. Gdy podeszły bliżej, niewolił je męski zapach zmieszany z wonią Gras-se. Odrzucanie głowy, lekko ochryply śmiech ukazujący doskonale białe zęby wystarczały, by dokończyć podboju. Bogom nie wystarczyło jednak, że uczynili Louisa Jabara pięknym. Naprawdę go rozpieścili, kładąc się urodzić w libańskiej rodzinie równie bogatej co przekupnej.

Jego ojciec był piratem albo kupcem, zależy, kogo o to pytano. Starszy Jabar zbudował flotę handlową, której zdezelowane statki krążyły po Morzu Śródziemnym, przewożąc wszelkie towary za odpowiednią zapłatę. Dzięki obrotowości ojca Louis nie musiał zarabiać na życie. Poza tym był jedynym męskim potomkiem pośród pięciorga dzieci i z tego względu miał nieograniczony dostęp do rodzinnego skarbcza.

Wstąpił na Uniwersytet Amerykański w Bejrucie i mieszkał w eleganckiej dzielnicy Manara, nazwanej tak od słynnej latarni morskiej. Doskonale grał w golfa w Bejruckim Klubie Golfowym i miał otwarty kredyt w ekskluzywnym supermarkecie Goodies. Chociaż nie potrzebował rekwizytów, żeby podtrzymać zainteresowanie licznych dziewcząt, żółte lamborghini często się przydawało.

Po ukończeniu studiów Louis — który wiele czasu spędzał w szykownych kawiarniach Ra's Bejrut omawiając wydarzenia dnia z ludźmi, którzy uważali się za intelektualistów — postanowił pojechać do Paryża, żeby spróbować kariery dziennikarskiej. Jak wszyscy dobrze urodzeni Libańczycy doskonale mówił po francusku, więc nie musiał pokonywać bariery językowej. Duża suma libańskich funtów wydawanych na drinki dla amerykańskich dziennikarzy pozwoliła mu zdobyć nazwiska paru ludzi z *International Herald Tribune*, którzy mogli okazać się pomocni.

Louis zakochał się w Paryżu. Uwielbiał jego szerokie bulwary z szeregiem butików i drogich sklepów oraz nieskończoną różnorodnością znakomitych restauracji. Ponad wszystko zaś wielbił kobiety. Zamieszkał w wielkim apartamencie na modnym Prawym Brzegu, zwiedzał miasto dzień i noc w towarzystwie bogatych libańskich emigrantów, którzy stali się bardziej francuscy niż sami Francuzi. Plany zostania dziennikarzem szybko wywietrzały mu z głowy. Louis wrócił do starego zwyczaju stawiania drinków pracownikom *Tribune*, którzy zrobili sobie biuro w barze hotelu Lancaster. Zadymiony, hałaśliwy, zawsze pełen interesujących ludzi bar stał się jego drugim domem. W tym czasie Louis uważał, że nie może być szczęśliwszy. Ale bogowie, być może zmęczeni swoją hojnością, mieli inne pomysły.

W Bejrucie Louis bywał regularnie w Casino de Paradis. W Paryżu /ostał bywalcem kasyna w Enghien. Był bardzo biegłym, odważnym graczem, prawdziwym hazardzistą, którego kochali szefowie kasyna, ponieważ niezależnie od rezultatów zawsze stanowił wabik. Pewnej nocy jednak, kiedy Louisowi dobrze szło i myślał, że nic go nie powstrzyma, dach runął mu na głowę.

Wkroczyła w jego życie w czerwonej kreacji od Diora, uczesana przez Sabrinę, pachnąca perfumami Balmania. Kiedy Louis po raz pierwszy zobaczył ją w foyer kasyna, omal nie przegrał. Zresztą tak się Ntalo za chwilę.

— Przyniosłam panu pecha, monsieur? — zapytała kobieta. — Jeśli tak, muszę to panu jakoś wynagrodzić.

Jej głos budził dreszcze. Oczy pieściły i przyciągały. Louis, co do niego niepodobne, oniemiał. Był tak zakłopotany, że przegrał również następną kolejkę.

— Jest pan lepszym graczem — skarciła go łagodnie. — Proszę się skupić.

Obiecuję, że przyniosę panu szczęście.

Louis nie przejąłby się ani trochę, gdyby przegrał całe leżące przed nim pięćdziesiąt tysięcy franków. Przez następne dwie godziny grał zapamiętane. Przeciwnicy przychodzili i odchodzili, a on był niepokonany. Do północy wygrał cztery razy tyle, ile wynosiła pierwotna stawka.

— Wystarczy — powiedziała kobieta. — Teraz może mnie pan zabrać na kolację.

Jedli kawior i popijali szampana. Louis podniósł kieliszek, żeby wznieść toast, i dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie zna nawet jej imienia.

— Jasmine Fremont.

— Z Bejrutu?

— Oczywiście.

— Mój Boże! To zdumiewające! Jak to się stało, że nigdy się nie spotkaliśmy?

Wzruszyła ramionami.

— Podróżowałam.

— Dokąd?

— Europa, Ameryka — odparła wymijająco i obdarzyła go dziwnym uśmiechem.

— Uważam, że nasze spotkanie to cud. Dokończ szampana, Louis, a ja pokażę ci coś naprawdę zdumiewającego.

Nie poszła do jego apartamentu, lecz zabrała go do Ritza. Na tle okna balkonowego, za którym panowała noc, rozebrała się, pozwalając mu rozkoszować się widokiem.

Kiedy Louis w końcu ruszył w jej stronę, to ona rzuciła się na niego, szarpiąc na nim ubranie i całując z zachłannością, jakiej nigdy nie doświadczył. Dopiero znacznie później, kiedy wspominał tę noc, zrozumiał, że Jasmine go zniewoliła.

Zostali parą. Widywano ich w najlepszych restauracjach, klubach i kabaretach.

Jasmine знаła chyba wszystkich, których warto było znać w Paryżu, i Louis wkrótce zaczął jadać kolacje z elitą polityczną i towarzyską miasta. Przekonał się również, że zrzuca starą skórę, żeby zrobić miejsce dla nowej. Nagle zaczęto słuchać jego opinii.

Ludzie o ogromnych wpływach zapraszali go do klubów i domów, szukali jego rady we wszelkich sprawach mających związek z Libanem. Kto jest najbardziej godnym zaufania bankierem? Który broker może zagwa-

rantować wejście na rynek? Które tereny nad brzegiem morza są przeznaczone pod zabudowę?

Louis odpowiadał na pytania najlepiej, jak potrafił. Wkrótce jego rachunki za telefony do Bejrutu przekroczyły wydatki na ubrania. Nawiązywał kontakty z przyjaciółmi i znajomymi, o których dawno zapomniał, a oni ze swojej strony aż palili się, żeby mu pomóc, wiedząc, że libańskim zwyczajem procent od pomyślnie załatwionej transakcji trafi do ich kieszeni.

Tylko jedno pytanie, niezmiennie powtarzane, wprawiało Louisa w zakłopotanie. Czym się właściwie zajmuje? Jakie ma ambicje?

Podczas jednej z kolacji odpowiedziała za niego Jasmine.

— Cóż, Louis ma ogromną szansę stać się jednym z czołowych bejruckich polityków. Jest człowiekiem, który może reprezentować Liban w świecie. To rzuca się w oczy.

Ku jego najwyższemu zdumieniu wszyscy obecni przy stole przytaknęli. Co dziwniejsze, on sam w to uwierzył. — I zastanawiał się, dlaczego do tej pory nie dostrzegł tego, co było tak oczywiste.

Kiedy wrócił do Bejrutu z Jasmine u boku, nabrał przekonania, że Liban, pomost między Wschodem a Zachodem, może stać się jeszcze ważniejszy i bardziej wpływowy niż do tej pory... pod przywództwem właściwego człowieka.

Doszedł do wniosku, że odpowiednim sposobem rozpoczęcia kariery politycznej będzie poślubienie Jasmine podczas najbardziej spektakularnej ceremonii, jaką Bejrut kiedykolwiek widział. W wieczór, kiedy się oświadczył, był w panice, że ona go odrzuci. Kiedy wyraziła zgodę, nie posiadał się z radości.

— Szkoda tylko, że nie mam większego posagu — wyszeptała ze smutkiem.

Louis ledwo słuchał, kiedy wyjaśniała statut spółki holdingowej Societe des Bains Mediterranien, który zabraniał jej sprzedaży udziałów komukolwiek spoza rodziny.

— Nie bądź głupia — szepnął Louis. — Jesteś dla mnie wszystkim. Pieniądze — machnął niedbale ręką — możemy zdobyć gdziekolwiek. A ty jesteś tylko jedna. Był to naprawdę bajkowy ślub. Armand przeprowadził uroczystościom i chociaż, wszystko było zorganizowane ze smakiem i bez oglądania się na koszty, Louis uznał, że gratulacje i życzenia składane przez właściciela kasyna są zbyt oficjalne. Potrafił jednak docenić znaczenie faktu, że jest spokrewniony z Fremontami. W świecie lewantyńskich polityków wartość rodzinnych koneksji była nieoceniona, podobnie jak gwaran-

cja, że w razie potrzeby nikt nie odmówi mu pomocy. Louis nie wątpił, że kiedy wyjawí swoje zamiary, Armand zapewni mu poparcie.

Louis zamierzał zaraz po ślubie pomówić z Armandem o przyszłości, ale Jasmine mu to odradziła.

— Lepiej zaczekać — powiedziała. — On należy do ludzi, którzy muszą być pewni, skąd wieje wiatr, zanim przyjmą na siebie zobowiązanie. Idź najpierw do innych. Louis był odmiennego zdania, ale doszedł do wniosku, że Jasmine ma lepsze rozeznanie, i zgodnie z jej radą skierował uwagę ku *zuama*.

Jako właściciel floty ojciec Louisa był *zaimem*. Ponieważ jednak Louis nie miał ochoty iść w jego ślady, interes podupadł i rodzina utraciła wpływy, więc nie mógł wejść w szeregi *zuama* na równych prawach.

Jasmine znalazła rozwiązanie.

— Żaden *zuama* nie ma wyraźnej przewagi nad innymi. Nie chcą wybierać spośród siebie jednego człowieka, który by im przewodził. To zrozumiałe, ponieważ taki człowiek faworyzowałby swoją rodzinę. Fakt, że nie należysz do nich, jest twoją siłą. Mógłbyś zostać pośrednikiem, arbitrem w sporach, mądrym sędzią. — Uśmiechnęła się. — Następnym prezydentem Libanu.

Chociaż wybory prezydenckie miały się odbyć dopiero za dwa lata, Louis zaczął zabiegać o względy *zuama* przy pomocy Jasmine. Przyjęli Louisa dość łaskawie, choć nie bez podejrzliwości. Przedarłszy się przez labirynt lewantyńskiej uprzejmości i dwuznaczników, w końcu dopiął swego. Rodziny i ich doradcy zebrali się we wspaniałych willach rozsianych na słonecznym wybrzeżu Libanu. Odbyły się wielkie debaty. Wszyscy zgodzili się, że kandydatura Louisa Jabara na prezydenta ma swoje plusy. W przeciwnym razie każda rodzina prawdopodobnie wysunęłaby swojego kandydata. Każda miała nieograniczone środki, a to oznaczało zażartą publiczną walkę ze szkodą dla *zuama* i co gorsza dla interesów. Idea kompromisu zaczęła zyskiwać popularność.

Louisa zapraszano na prywatne bankiety, gdzie wypytano go o zamiary. Okazał się dość elokwentny. Stabilność i pomyślność Libanu, oświadczył, jest rezultatem pracy takich ludzi jak *zuama*. W dziedzinie handlu nic nie wymaga zmian. Ale właściwy człowiek w prezydenckim pałacu mógłby, dzięki zagranicznym inwestycjom i pomocy światłych *zuama*, zapewnić krajowi jeszcze większą pomyślność.

Oczywiście Louis miał tyle przyzwoitości, by nie wspomnieć, że jako pośrednicy, przedsiębiorcy budowlani i dostawcy, obecni mieliby spory zysk od każdego dolara, franka, funta i marki, które dotarłyby

do Libanu. Nie musiał się martwić. Mózg każdego *zaima* dokonywał szybkich obliczeń.

Zuama oswajali się z myślą poparcia niezależnego kandydata. Brakowało im jednak pewnej rzeczy. Louis odkrył to dopiero później. Nie mieli na niego haka, gwarancji, że nie wyprze się obietnic. Martwili się tym w skrytości. Jabar był dość bogaty, żeby przystąpić do wyborów, ale nie aż tak, by kupić stanowisko. *Zuama* byli pewni, że Armand Fremont, zachowując zwykłą powściągliwość, zadeklaruje się po stronie męża kuzynki. W lewentyńskim świecie krewni wspierali się lub niszczyli.

Milczenie Armanda mówiło samo za siebie.

Zuama stanęli przed dylematem: jak mieli trzymać Louisa w garści, skoro nie potrzebował pieniędzy? Ze wszystkich sił starali się rozwiązać problem, węsząc w tajemnicy. Niewiele odkryli. Louis nie pił ani nie uprawiał hazardu. Nie używał narkotyków. Nie miał kochanki ani nie zabawiał się z małymi chłopcami. Więc co robił?

Kiedy nadeszła odpowiedź, wprawiła *zuama* w osłupienie. Nie potrafili w nią uwierzyć. Lecz gdy zyskali pewność, zwołali naradę wojenną i podjęli decyzję. Louis zapalił następnego papierosa i spojrzał na iskrzące się światła bejruckiego portu. Pamięć o tym, jak Tabbara zrobił z niego głupca, nadal sprawiała ból. Przez cały czas naprawdę wierzył, że Jasmine ma wszystko pod kontrolą i że Armand Fremont poprze jego kandydaturę. Prawdę mówiąc, Louis musiał trwać w tej wierze, ponieważ łaskawi do niedawna bogowie odwrócili się do niego plecami. Ludzie uważali małżeństwo Louisa za idealne. Jego żona była w miarę inteligentna, piękna i, o ile potrafili to stwierdzić, wierna. Wszyscy mężczyźni w Bejrucie pożąдали Jasmine. Wiele godzin spędzonych w łaźniach parowych lub na stołach masażu poświęcono rozważaniom, jak urozmaicone i ekscytujące musi być życie seksualne Louisa. Oczywiście nikt nie miał tak złych manier, by zapytać o to samego zainteresowanego. Ale gdyby ktoś taki się znalazł, odpowiedź by go zaskoczyła. Louis nie był mężem, lecz więźniem.

Początkowo Louis uważał seksualne wymagania Jasmine za wyzwanie. Miewał kobiety, które uważały się za nie nasycone, i poskramiał je wszystkie. Ale nie Jasmine. Jej wymagania w łóżku i poza nim były ogromne, a seksualne akrobacje zamiast przyjemności potrafiły sprawiać ból.

Louis drżał za każdym razem, kiedy pomyślał o ich sypialni. Była to izba tortur z kajdankami, skórzanymi uprzężami, kołnierzami, czar-

ną maską i zestawem pejców, w tym najbardziej ceniony, wykonany ze skóry nosorożca. Jasmine była zawsze dominującym partnerem, brała go kiedy i jak chciała. Kilkakrotnie sprowadzała inne kobiety, które rzucały się na niego i dręczyły według wskazówek Jasmine.

Rozpaczał, gdyż nie mógł uwolnić się od piekła małżeństwa. Tylko Jasmine była w stanie zdobyć pieniądze od Armanda Fremonta, żeby dzięki nim uzyskać poparcie *zuama*. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na opuszczenie jej, nawet gdyby okazało się to możliwe. Pomysł, by zostać następnym prezydentem Libanu, przerodził się z kaprysu w manię.

Pogodzony z niewolą, podążał za Jasmine, która jeździła po całym świecie, folgując swojej miłości do sportu i przyjęć. Nabawił się zapalenia płuc w Szkocji, podczas gdy ona strzelała do kuropatw, i doznał lekkiego wstrząsu mózgu po wypadku na nartach w St. Moritz. Kiedy przyjaciele drażnili się z nim, że ma pecha, Louis tylko się uśmiechał. Nikt niczego nie podejrzewał. On zaś uważał, że nie mogło mu się w życiu gorzej ułożyć. Potem wezwali go *zuama*.

Spotkanie, którego zażądał Tufaili, odbyło się w jego domu zbudowanym na ruinach seraju jednego z krzyżowców.

— *Zuama* byli pod wrażeniem, że wszystko tak dobrze się układa między tobą a twoimi krewnymi — powiedział Tufaili ochryplym szeptem.

Louis nie mógł się powstrzymać, by nie rzucić spojrzenia na Jasmine, która wpatrywała się twardo w Tufailego.

Na chwilę ogarnęło ją przerażenie, że Tufaili w jakiś sposób dowiedział się jednej rzeczy, której nikt, ale to nikt nie powinien się dowiedzieć. Ta wzmianka o krewnych. Opanowała drżenie. Chyba nie odkryli prawdy o jej rodzicach? Tufaili był taki sprytny, taki przebiegły. Czy mógł odkryć, że matka wcale o nią nie dbała, ograniczając się do sprawienia jej od czasu do czasu lania? Albo że ojciec interesował się nią aż za bardzo... i zadawał jej w łóżku wyrafinowane tortury, kiedy jeszcze była dzieckiem? Jeśli Tufaili wiedział... Nie pozwoli staremu draniowi się zastraszyć ani szantażować. Stłumiła emocje i odzyskała nad sobą panowanie na tyle, by móc się przymilać do starego diabła.

— Co masz na myśli, Nabilu? — zapytała.

— Niech Louis odpowie! — warknął *zaim*. — No więc?

— Wszystko jest w porządku! — oburzył się Louis.

— Może. Ale nie do końca. Louis potrząsnął głową.

— Nie rozumiem.

Tym razem Tufaili skupił uwagę na Jasmine.

— Sądziliśmy, ponieważ tak nam sugerował twój mąż, że kiedy nadejdzie pora, Armand Fremont poprze jego kandydaturę.

— Oczywiście, że poprze! — wykrzyknęła Jasmine. Tufaili pokiwał serdelkowatym palcem.

— Nie, wcale nie oczywiście. Dowiedzieliśmy się, że Armand Fremont nie ma wysokiego mniemania o twoim mężu. Właściwie nie jest ani trochę pod wrażeniem jego politycznych talentów.

Louis był wstrząśnięty.

— To szaleństwo! Skąd moglibyście wiedzieć...

— Nieważne — odparł Tufaili, obserwując Louisa. — Rzecz w tym, że wiemy. Na naszych źródłach można polegać.

Louis poczuł zamęt w głowie. Rozgorzała w nim furia. Upokorzenia, jakich mu nie szczeniła Jasmine, ukrywany wstyd, podwójne życie, tym płacił za realizację marzenia, które w nim podsyciła. A teraz wszystko miał utracić.

— Sądzę, że się mylisz, Nabilu — oświadczyła Jasmine. — Ale ponieważ jesteś przekonany, że twoja informacja jest prawdziwa, może nam powiesz, czego chcesz.

— Już zainwestowaliśmy dużo czasu i pieniędzy w Louisa — odparł Tufaili. — Jeśli Armand Fremont nie zmieni zdania, lub co gorsza sprzeciwi się kandydaturze Louisa, wszyscy sporo stracimy. — Zrobił przerwę. — A to jest nie do przyjęcia.

— A dzięki czemu stanie się do przyjęcia? — zapytała Jasmine. Tufaili uśmiechnął się łaskawie.

— Dzięki dwudziestu milionom dolarów. Będzie to dowód dobrej wiary lub gwarancja, że *zuama* nie poniosą całego ciężaru finansowego kampanii.

— To niemożliwe! — zaprotestował Louis.

— Dość tego! — Jasmine wytrzymała wzrok Tufailego. — Z pewnością wiesz, że nie mamy takich pieniędzy.

— Może nie. Ale masz udziały w Casino de Paradis...

— To prawda.

— I myślę, że gdyby wystawić akcje SBM na sprzedaż, dostałabyś /a nie dużo.

Dwadzieścia milionów byłoby dla ciebie drobiazgiem. — Tufaili pochylił się do przodu. Zapach jego wody kolońskiej przyprawił Louisa o mdłości. — Bardzo tanio, zważywszy, że zyskałabyś cały kraj, Jasmine.

Tufaili ma rację, pomyślał Louis. Dwadzieścia milionów to tanio jak barszcz. Tyle że równie dobrze mógłby zażądać księżycy. Na koniec wyznaczył im ostateczny termin, kiedy mieli się pojawić z pieniędzmi. Z każdym dniem tykanie zegara stawało się głośniejsze.

Po spotkaniu z Tufailim Louis był gotowy zrezygnować z marzeń. Jasmine nie chciała nawet o tym słyszeć. Tak czy inaczej zdobędą pieniądze, nieważne za jaką cenę.

Nawet morderstwa?

Najpierw Alexander Maser. Potem skandal i bankructwo Maritime Continental...

Louis nie łączył tych tragedii z intrygami Jasmine. *Teraz mówi o Armandzie i o wypadkach...*

Pomimo ciepłego nocnego wietrzyku Louis zadrżał. Nigdy nie podejrzewał, że jego żona jest zdolna do takiej zawziętości. Gdy ją wreszcie dostrzegł, poraziła go myśl, że Jasmine może być odpowiedzialna za to, co się stało z Maserem i bankiem. I ośmielił się zadać sobie pytanie, czy ktokolwiek ma kontrolę nad Jasmine.

13

Trzydziestominutowa jazda do Bejrutu była dla Pierre'a udawką. Słyszał o dyskretnym śledztwie Armanda w sprawie Maritime Continental. A teraz córka Alexandra zjawiała się w Bejrucie... Po co? I co jeszcze ukrywała Jasmine? Tylko o tym mógł myśleć podczas jazdy wąskimi, krętymi ulicami Ra's Bejrut, które o tej porze były pełne ludzi.

— Wszystko u ciebie w porządku? — zapytała Jasmine. Pierre przestraszył się na dźwięk jej głosu.

— Tak, oczywiście. Jasmine roześmiała się.

— Och, Pierre, jesteś takim kiepskim kłamcą!

Pierre tak mocno ścisnął kierownicę bentleya, że zbieleły mu kostki. W ostatniej chwili ominął wychodzące z klubu pary.

— Pierre!

— Przepraszam. Te cholerne tłumy na ulicach.

— Tylko się z tobą drażniłam — uspokoiła go Jasmine. — Wszystko jest możliwe, jeśli chodzi o młode dziewczyny. Gdy znajdą mężczyznę, który spełnia ich zachcianki, myślą, że tak będzie zawsze.

— Tak, chyba masz rację — wydusił Pierre.

— Trudno odmówić komuś, kogo się tak bardzo kocha, prawda? Zawsze się człowiek boi, że dziewczyna go zostawi.

Pierre'owi udało się uniknąć wjechania w krzaki przed domem Jasmine. Wyłączył silnik i opadł na skórzane siedzenie. Ręce trzęsły mu się tak mocno, że ledwo zdołał zapalić papierosa.

— Jak się dowiedziałeś, Jasmine? Musisz mi powiedzieć! Jak poznałeś prawdę o banku... o tym, co robiłem?

— Już mnie o to pytałeś — odparła Jasmine znudzonym tonem. — Ale moja odpowiedź brzmi tak samo: to nie twój interes, Pierre.

Dziwka!

Unióś rękę, ale Jasmine nawet nic drgnęła. Opuścił ramię.

— Gdybyś mnie uderzył, Pierre, ucięłabym ci kutasa — powiedziała lodowatym tonem. — Jeśli kiedykolwiek podniesiesz na mnie rękę, zniszczę cię!

— Ja... przepraszam. Nie wiem, co mnie napadło. Po prostu...

— Czujesz się bezradny. I jak większość mężczyzn, którzy wpadli w pułapkę, bijesz na oślep. Ale nie mnie, Pierre. Nigdy mnie. Rozumiesz?

— Tak... tak, obiecuję, to się nigdy więcej nie powtórzy.

— Przynajmniej ze mną. Teraz posłuchaj uważnie, ponieważ to, co powiem, dotyczy twojego dobrego przyjaciela Kennetha Mortona. Zdaje się, że ktoś o niego wypytywał w Londynie.

— To niemożliwe! — szepnął Pierre. — Morton dostał zapłatę. Pojechał do Prowansji. Jak ktoś mógłby się dowiedzieć...

I sam sobie udzielił odpowiedzi. *Alexander? Alexander zostawił wiadomość z nazwiskiem Mortona?*

— Armand. Ale to nie on go teraz szuka. To David Cabot.

Na dźwięk tego nazwiska Pierre'owi żołądek skurczył się ze strachu.

— Ten drań! On jest jak rottweiler. Kiedy chwyci cię zębami, nie puści!

— Tym razem puści. Zajmę się tym. Ale w zamian chcę, żebyś się postarał, bardzo postarał, zdobyć pieniądze dla Louisa.

— Obiecuję zrobić wszystko, co w mojej mocy. Ale musisz zrozumieć moją sytuację...

Jasmine wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. Potem nagle mocno uszczypnęła, patrząc mu prosto w oczy. Pierre krzyknął.

— Ależ rozumiem, Pierre. Rozumiem doskonale.

Jasmine śmiała się złośliwie, idąc wolnym krokiem do swego apartamentu. Co za stary cap z tego Pierre'a. Jak odkryła defraudację? Głupiec, nigdy by się nie domyślił źródła informacji. Rozkoszowała się wspomnieniem tamtego dnia sprzed sześciu miesięcy.

Cleo telefonowała do niej kilka razy, zanim Jasmine w końcu się odezwała. Odkąd Pierre związał się z Cleo, Jasmine odrzucała jego zaproszenia. Im bardziej Pierre błagał ją, by przyjęła Cleo do swojego kręgu, z tym większym wyrachowaniem ignorowała dziewczynę. To dlatego była tak zdziwiona i zaintrygowana tamtego dnia, że w końcu zmiękła i zadzwoniła do Cleo.

Cleo poprosiła o spotkanie. Jasmine wybrała kawiarnię w sercu Ra's Bejrut. Nie przychodziła tutaj często, tylko wykorzystywała to

miejsce na spotkania z ludźmi, z którymi nie chciała być widziana w Phoenicia lub St. Georges. Dziewczyna od razu zorientowała się, że wybór tej kawiarni jest afrontem. Na jej twarzy pojawiły się gniew i uraza.

Zamówiła kawę i zdjęła za duże okulary przeciwsłoneczne. Wbiła wzrok w Jasmine, która nawet się z nią nie przywitała.

— Nie lubisz mnie, prawda? — stwierdziła bez ogródek.

— Mogłaś mnie zapytać o to przez telefon. Odpowiedź brzmiałaby tak samo: niespecjalnie.

— Myślisz, że jesteś ode mnie lepsza.

— Cleo, jeśli tylko o to ci chodziło, naprawdę tracimy czas. Już zamierzała odejść, kiedy Cleo powiedziała:

— Mam coś, co może cię zainteresować.

Jasmine usiadła z powrotem, rozglądając się wokół siebie. Nikt w kawiarni nie zwracał na nie uwagi, a stoliki obok nich były puste.

— Słucham.

— Nie wiem, czy mogę ci zaufać.

Jasmine spojrzała na nią w zamyśleniu. Dziewczyna nie była przestraszona, lecz niepewna i ostrożna. Może rzeczywiście miała coś do zaoferowania.

— Potrzebujesz mojej pomocy — stwierdziła Jasmine.

— Tak.

— Ale kiedy mi powiesz, stracisz atut. Prawdę mówiąc, przestaniesz być potrzebna.

— Otóż to. Byłabyś głupia, gdybyś mnie zdradziła w ten sposób. Ale mogłabyś to zrobić, ponieważ taka właśnie jesteś.

— Co za pochlebstwo — mruknęła Jasmine. — Cóż, to zależy od ciebie, Cleo. Nie mamy obie za dużo czasu.

Cleo pochyliła się do przodu.

— Chodzi o Pierre'a.

— Co masz na myśli?

— Wiesz, że kupował mi wszystko, na co miałam ochotę. Jasmine spojrzała taksująco na jej ubranie.

— On jest bankrutem — oznajmiła Cleo, uśmiechając się na widok zaskoczenia w oczach Jasmine. — Nie wiedziałaś, prawda?

— Mówisz bzdury! — warknęła Jasmine. — Pierre ma mnóstwo pieniędzy.

- Nic, kochanie. To ja mam mnóstwo pieniędzy. Spójrz na mnie, Jasmine.

Przypomnij sobie wszystko, co mi kupił, a potem pomnóż to przez dziesięć.

Naprawdę sądzisz, że Pierre ma takie dochody?

— O czym ty mówisz, Cleo? — zapytała w końcu Jasmine.

— Pierre jest złodziejem — odparła Cleo z satysfakcją w głosie. — Na wielką skalę.

— Lepiej, żebyś miała jakiś dowód — powiedziała Jasmine zimno.

Cleo poszperała w torebce i wyjęła kopie dokumentów, które znalazła w sejfie Pierre'a. Kilka minut później Jasmine zorientowała się, że Pierre jest większym głupcem, niż myślała.

— Przypuszczam, że jest tego więcej.

— Znacznie więcej.

— I co proponujesz z tym zrobić, Cleo?

— Na razie nic. Ale może nadejść dzień, kiedy uznam, że Pierre za bardzo ryzykuje. Albo stanie się nieostrożny i popełni błąd. Dziękując się z tobą tą informacją, zabezpieczam się.

— Doprawdy? Skąd wiesz, że nie powiem Pierre'owi o twoim małym sekrecie?

Choć jest w tobie zadurzony, wyrzuciłby cię za drzwi.

— O, nie sądzę, żebyś to zrobiła, Jasmine. Ponieważ teraz jest to również twój mały sekret. Nie sądzisz, że już cię trochę poznałam? Kochasz sekrety. Jak skąpiec gromadzisz je, chowasz, wykorzystujesz tylko w dogodnym momencie, kiedy możesz z nich najwięcej wyciągnąć. Nie, nie powiesz Pierre'owi. Zatrzymasz dla siebie do czasu, dopóki nie będziesz tego potrzebowała.

Jasmine uśmiechnęła się.

— Toczysz ze mną bardzo niebezpieczną grę.

— Nie pierwszą — rzuciła Cleo. — Dlatego muszę się zabezpieczyć.

— Co masz na myśli?

— Jeśli Pierre wpadnie, nie chcę być przy nim. Chcę mieć dosyć pieniędzy, żeby już zawsze żyć tak jak teraz.

— Przecież masz ich mnóstwo!

— Daj spokój, Jasmine! To, co ci daję, jest warte marny milion dolarów.

— A jeśli coś się stanie Pierre'owi, dlaczego miałabym ci płacić? Będzie wtedy za późno.

Cleo roześmiała się.

— Jasmine, jeśli mi nie zapłacisz, obrzucę cię takim błotem, że nic będziesz wiedziała, co się dzieje. Zaświadczę w sądzie, że ja, prosta dziewczyna, odkryłam, co robi mój kochanek, i śmiertelnie wystraszona przyszedłam do ciebie po radę. Ty przekonałaś mnie, żebym milczała, aleja na wszelki wypadek opisałam wszystko w pamiętniku... Już rozumiesz, Jasmine?

— Owszem.

— Więc zawieramy umowę? Jasmine wstała i poprawiła kapelusz.

— Tak, Cleo. Milion w wybranym przez ciebie banku, jeśli cokolwiek się przydarzy Pierre'owi. Poza tym nic się nie zmienia. Rozumiesz? Nic.

Cleo rzuciła kilka monet na talerzyk z rachunkiem.

— Zachowaj dla siebie swoje fochy i pretensje, Jasmine. Niczego od ciebie nie chcę.

— Spojrzała na monety. — Wiesz, co mnie naprawdę irytuje w takich ludziach jak ty? To, że wydaje się wam, że nie musicie za nic płacić. Nie tym razem. To dlatego, Jasmine, kawa jest na mój rachunek.

Wspomnienie ostatnich słów Cleo wciąż bolało, ale Jasmine już niemal przekonała samą siebie, że dostała rzecz wartą miliona dolarów... jeśli w ogóle będzie je musiała zapłacić.

Oczywiście Cleo nie zamierzała oddać jej tych cholernych fotokopii, ale to było bez znaczenia. Jasmine miała fotograficzną pamięć,

o czym Pierre przekonał się kilka dni później.

Zanim przystąpiła do działania, pomyślała o konsekwencjach szantażu wobec Pierre'a. Doszła do wniosku, że nie może przegrać. I miała rację. Pierre załamał się, gdy zasypała go szczegółami.

Jego reakcja sprawiła Jasmine satysfakcję tym większą, że pomimo błagań nie zdradziła mu, jak zdobyła informacje. Obserwując go, domyśliła się, że przed jego przerażonymi oczami pojawiają się twarze podejrzanych. Jak większość ofiar był jednak zbyt przestraszony, żeby dostrzec to, co oczywiste. Że zrobiła to osoba, którą najbardziej kochał

i której ufał.

— Więc czego chcesz ode mnie? — zapytał, kiedy odzyskał panowanie nad sobą.

— W tej chwili nic.

Pierre gwałtownie potrząsnął głową.

— Nie, Jasmine, Zawsze czegoś chcesz!

— Dowiesz się, kiedy przyjdzie pora — powiedziała. — Do tego i zasu twój mały sekret jest u mnie bezpieczny.

Podobnie jak u Cleo...

Czy to była intuicja, czy też zrządzenie losu, Jasmine stwierdziła, że nie może dłużej czekać. Uważała, że kiedy szczęście odwraca się od człowieka, nic nie powstrzyma upadku. Tego popołudnia, kiedy rozhisteryzowany Pierre wpadł do jej domu, wołając, że Alexander Maser wykrył defraudację, i zarzucając jej zdradę, Jasmine zorientowała się, że nadszedł właściwy moment.

— Wiesz, co musisz zrobić — powiedziała.

Pierre spojrział na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem.

— Co mi zostało? — zapytał żałośnie.

— To chyba oczywiste — szepnęła, przewiercając go wzrokiem. Po przerażonej minie poznała, że zrozumiał.

— Nie! Jesteś szalona!

— W przeciwnym razie stracisz wszystko. Stanowisko, kobietę, reputację. Nie zostałyby ci nic, Pierre. Nie miałbyś nawet odwagi, by wybrać ostatnie honorowe wyjście. — Pochyliła się ku niemu. Wzdrygnął się, czując jej dotyk. — Powiem ci dokładnie, co masz robić, do kogo zadzwonić, co powiedzieć. To nie jest takie trudne, jak ci się może wydawać. I nie martw się o wyrzuty sumienia, Pierre. Kiedy Alexander Maser zniknie, nie uronisz ani łzy. Poczujesz wielką ulgę.

I poczuł ulgę, pomyślała, wchodząc do mieszkania. Na jakiś czas...

Pierre odetchnął, kiedy zobaczył, że w jego willi nie palą się światła. Po raz pierwszy nie dbał o to, dokąd poszła Cleo. Potrzebował samotności. Wyłączył alarm we frontowych drzwiach i skierował się prosto do barku w jadalni. Wyjął butelkę whisky i usiadł w świetle księżycy odbijającym się od zatoki St. Georges.

Jednym haustem wypił szkocką i nalał sobie więcej. Rzadko pił alkohol i ten jeden drink uderzył mu do głowy. Modlił się, żeby myśli przestały mu wirować jak podczas szalonej karnawałowej przejażdżki, żeby zniknął strach, który ścisnął gardło. Ale whisky podziałała odwrotnie, potęgując przerażenie. Kiedy Cleo wróciła, Pierre z pijacką pewnością podjął decyzję.

— Pierre, co się stało?

Ubrana w obcisłą elastyczną sukienkę od Schulmachera w czarno-białą szachownicę, Cleo nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wykorzystała nieobecność Pierre'a, żeby wyjść do najnowszego nocnego klubu Hipopotam. Przez trzy godziny tańczyła jak szalona, często zmieniając partnerów. Spodziewała się, że Pierre będzie już spał.

— Co cię napadło? — zapytała. — Dlaczego piłeś? Pierre popatrzył na nią szklanym wzrokiem.

— Żeby poznać prawdę. Piłem dla prawdy.

— O Chryste! — mruknęła Cleo. — Chodź, zaprowadzę cię do łóżka.

— Nie! Muszę z tobą porozmawiać. Nie mam innego wyboru. Rozpacz w głosie Pierre'a przestraszyła Cleo. Nigdy nie widziała go pijanego i nie miała pojęcia, dlaczego doprowadził się do takiego stanu. Jeśli były jakieś znaki ostrzegawcze, nie zauważyła ich.

— W porządku, kochanie. Porozmawiamy. Usiądę i porozmawiamy, jak długo zechcesz.

— Wiesz, że cię kocham — wybełkotał Pierre.

— Oczywiście, że wiem.

— I że zrobię dla ciebie wszystko.

— Tak.

— Ale już nie mogę. — Łzy zaczęły płynąć mu po policzkach. — Jestem bankrutem. Nie mam pieniędzy.

Cleo zadrżała.

— Pierre, nie mów bzdur! Oczywiście, że masz pieniądze! Pierre potrząsnął głową ze znużeniem.

— Nie są moje. Korzystałem z pieniędzy banku. Jego słowa zmroziły Cleo.

— Co masz na myśli, kochanie? — zapytała cicho.

I Pierre otumaniony whisky zdobył się na wyznanie. Ponieważ Cleo знаła zawartość sejfu, już dawno domyśliła się, skąd pochodzą pieniądze. Ale była zdumiona, jak sprytnie dokonywał kradzieży.

— Więc widzisz, kochana, Alexander dowiedział się o tym. Do tej pory nie wiem jak. Kiedy zginął, naprawdę wierzyłem, że niebezpieczeństwo minęło. Ale myliłem się. Teraz Armand zadaje pytania. Może dlatego, że Alexander zostawił coś, co mnie obciąża. Cokolwiek to jest, Armand pozna prawdę. To stary lis. Potem mnie zniszczy. — Pierre wmusił w siebie jeszcze trochę alkoholu i zakrztusił się. — Nie zniosę takiego życia! Strachu, że każdy telefon albo pukanie do drzwi oznacza policję. Wyobrażam sobie, jak wyciągają mnie z domu w kajdankach. Nie wytrzymałbym tego, Cleo, nie dałbym rady! Muszę się przyznać, sam się zgłosić, póki jeszcze czas. Bank zrobi wszystko, żeby uniknąć skandalu. Może będę mógł zwrócić to, co ukradłem. Tak, oczywiście, Zarząd się zgodzi. Zrozumieją, że nie jestem przestępcą...

Cleo przycisnęła do piersi jego głowę.

— Nie, oczywiście, że nie jesteś, kochanie. Jesteś dobrym, porządnym i wielkodusznym człowiekiem. Ale, mój kochany, oni nie okażą ci litości. Posłuchaj mnie, proszę, dla dobra nas obojga. — Cleo myślała intensywnie. Jeśli Pierre będzie się upierał przy swoim zwariowanym pomysle, wszystko przepadnie. Musi go jakoś powstrzymać, przynajmniej przez kilka następnych dni. — Pierre, nie możesz pójść do banku ani na policję.

Odsunął się.

Dlaczego? - spytał płacząco.

— Bo jeśli to zrobisz, mnie również zniszczysz — powiedziała Cleo poważnie. — Pomyśl, mój kochany. Robiłeś to dla mnie. Wszyscy powiedzą, że to przeze mnie. Ktoś nawet zasugeruje, że zmusiłam cię do tego. Nie rozumiesz? Jestem twoją współniczką! Ucierpię tak samo jak ty. Potrafisz sobie wyobrazić mnie w więzieniu, kochanie?

Pierre zadrżał.

— Ale ty jesteś niewinna. Przekonam ich o tym!

— Uwierz w to, co zechcą. Wiem, że to rozumiesz. Błagam cię, mój kochany, nie zgłaszaj się, bo jeśli to zrobisz...

— Nigdy bym nie pozwolił, żeby coś ci się stało — szepnął Pierre ochryple. — Prędzej bym umarł!

— Nie, najdroższy. Musisz żyć! Musimy oboje to przetrzymać! Nie możesz iść na policję...

— Ale Armand... Cleo objęła jego głowę.

— Wszystko będzie dobrze — zamruczała. — Zobaczysz, obiecuję. A teraz zaśnij w moich ramionach. Wszystko będzie dobrze.

Jasmine przesunęła krzesło, chowając się przed słońcem. Czekala w kawiarni w Ra's Bejrut, zirytowana i zaniepokojona. Długimi pola-kierowanymi paznokciami bębniła po metalowym stoliku.

Śmierć Alexandra Masera stanowiła pierwszy etap planu doprowadzenia Maritime Continental Bank do ruiny. Bankructwo z kolei powinno skłonić Armanda do wystawienia akcji kasyna na sprzedaż i ratowania reputacji drogiego zmarłego przyjaciela. Była pewna, że Armand tak właśnie postąpi. Dzięki temu ona zdobędzie pieniądze na kampanię wyborczą Louisa. Ale Armand okpił ją. Może miał grubszą skórę, niż sądziła.

Chociaż na pustej szosie pod Genewą wszystko poszło zgodnie z planem, nadal nie miała tego, czego chciała.

Dostrzegła zbliżającą się do niej Cleo z twarzą ukrytą za śmiesznymi okularami przeciwsłonecznymi.

Kolejne kłopoty...

— Dużo czasu minęło od tamtego dnia, kiedy mi postawiłaś kawę — przywitała ją Jasmine.

Cleo rzuciła na stół paczkę papierosów i skinęła na przechodzącego kelnera.

— Wódka, podwójna!

O lej porze — skomentowała Jasmine.

— Myślę, że pójdziesz w moje ślady, kiedy ci powiem o Pierrze! — odpaliła Cleo.

— Uspokój się, kochanie — powiedziała Jasmine, dając znak kelnerowi.

Cleo zapaliła papierosa.

— Załamał się.

— Wyjaśnij mi to.

Cleo opowiedziała o pijackich wyrzutach sumienia Pierre'a i jego zamiarze przyznania się do winy.

— Sądysz, że mówił to poważnie? — spytała Jasmine.

— Oczywiście!

— Masz nad nim kontrolę?

Cleo przygryzła wargę. Nigdy w życiu nie wątpiła w swoją władzę nad mężczyznami. Ale tym razem było inaczej.

— Na razie tak, ale nie na długo. Jasmine milczała przez chwilę.

— Cóż, chyba muszę go jakoś przekonać, żeby nic nie mówił.

— Pamiętaj, jeśli coś się stanie, jesteś mi winna...

— Tak, Cleo, pamiętam!

Nieco utemperowana, Cleo ściszyła głos.

— Możesz to zrobić? — zapytała. — Przemówić mu do rozsądku? Jasmine uśmiechnęła się.

— Powiedzmy, że mogę sprawić, by zrozumiał swój błąd.

14

Kate miała mieszane uczucia, kiedy Armand zaprosił ją na kolację. Lecz w drodze do hotelu St. Georges, uświadomiła sobie, jak bardzo jej brakowało jego towarzystwa.

Ulokowany na skraju tego samego półwyspu, na którym stało Casino de Paradis, St. Georges był sercem Bejrutu. Wszystkie znane gwiazdy filmowe z Hollywood w swoim czasie pozowały fotografom przy tutejszym basenie. Inne osobistości romansowały w okazałych apartamentach lub brały śluby w jego ogrodach, a kilka lat później w którejś z restauracji zawiadomiały o rozwodzie. Biznesmeni ze wszystkich części świata zbierali się w sali klubowej „Golden Calf”, żeby targować się o ceny ropy, dyskutować o jakości pereł, pieczętować transakcje warte miliony uściskiem dłoni i lampką szampana.

Kate weszła do hotelu przez bar „Disco Volante”.

— Wyglądasz pięknie, Kate. Lanvin, prawda?

Kate odebrała zmysłami jego obecność, usłyszała głos. Była to ta sama woda kolońska, którą pachniał w samolocie.

— Dziękuję, że przyjęłaś zaproszenie — powiedział Armand, patrząc jej w oczy.

— Jeszcze możesz tego pożałować — odparła Kate. — Mam do ciebie dużo pytań.

— Postaram się na nie odpowiedzieć — zapewnił Armand uroczyście.

Kiedy szli przez hol, zauważyła, że kłania mu się wiele osób. Zobaczyła również, że niemal wszyscy obecni mierzą ją wzrokiem. Ku zaskoczeniu Kate minęli główną salę i Armand poprowadził ją gdzieś na tyły hotelu.

— Będziemy jedli w kuchni? — zapytała.

— Niezupełnie.

Sala była jedną z najbardziej eleganckich, jakie w życiu widziała. Przypomniały się jej fotografie luksusowych liniowców z lat trzydzie-

stych. Sufit sięgał na wysokość dwóch pięter, a misternie rzeźbione dębowe kolumny i szerokie schody odbijały się w kryształowych lustrach. Maitre d'hotel zaprowadził ich do najlepszego stolika, skąd mogli obserwować salę. Przechodząc między stolikami, Kate zauważyła, że brak tu kobiet. Kiedy napomknęła o tym Armandowi, przyłożył palec do ust.

— Pamiętasz bar, przez który przechodziliśmy?

Skinęła głową. Niewielki „Disco Volante” był pełen ludzi w niezbyt wytwornych strojach wieczorowych.

— To dziennikarze — wyjaśnił Armand. — Obserwują tych tutaj dżentelmenów, którzy w większości są dyplomatami.

Kate zerknęła nad kartą.

— Jak w całym Bejrucie obowiązują tu pewne zasady — kontynuował Armand. — Biurokraci potrzebowali miejsca, gdzie mogliby się spotykać, żeby w spokoju i ciszy dzielić świat. Dziennikarze zwiedzieli się o tym i zażądali wstępu. Tak więc hotel poszedł na kompromis. Dziennikarzy wpuszczono do baru. Stamtąd obserwują, kto przychodzi i wychodzi, ale niczego nie mogą podsłuchać. Interpretują te fakty podobnie jak starożytni przepowiadali przyszłość z wnętrzości kury. I jak przypuszczam, z takim samym powodzeniem.

— Powiedziałeś, że większość obecnych należy do korpusu dyplomatycznego. A pozostali?

— To szpiedzy.

— Słucham?

— Szpiedzy. Pamiętasz Kima Philby'ego, wysoko postawionego oficera wywiadu brytyjskiego, który okazał się rosyjskim podwójnym agentem? Kochał to miejsce. Prawdę mówiąc, był tak dobrym klientem, że w recepcji nadal trzymają korespondencję do niego.

— Żartujesz!

— Wcale nie. Wszyscy pracownicy tego hotelu są na listach płac co najmniej dwóch wywiadów. Zejdź do kuchni po zamknięciu, a usłyszysz, jak kelnerzy wymieniają się uwagami, żeby się przekonać, kto komu i co zamelduje.

— Ilu melduje tobie? — zapytała spokojnie.

W oczach Armanda na moment błysnęło rozbawienie.

— Mam zamówić dla nas obojga? — zapytał uprzejmie. — *Cana-nul a l'orange* jest znakomita.

Gdy kelner przyjął zamówienie, Kate przeprosiła i poszła do toalety. Armand sączył wino i myślał o dziewczynie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego tak mocno go do niej ciągnęło. Nie widział jej od tamtej nocy w kasynie i z zaskoczeniem stwierdził, że za nią tęsknił. Kate była pięk-

na kobietą, ale w Bejrucie spotykało się takich tysiące. Podziwiał jej determinację i siłę, ale irytowała go szorstkość, którą często słyszał w jej głosie. Najwyraźniej nadal gniewała się o to, co się wydarzyło przed kilkoma dniami. Co więc w niej widział?

Przestraszyło go to pytanie. Nigdy wcześniej nie przychodziło mu do głowy. Zawsze uważał, że w jego życiu nie ma miejsca na trwały związek. Nagle uświadomił sobie, jakie to smutne. Kochał kobiety, ich wdzięk, poczucie humoru, sposób, w jaki się śmiały, poruszały we śnie, ich czułość i wielkość. Ale aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że potrafią mieć śliskie sumienia i twarde serca. Widział, jak bogactwo i przepych je psują, budząc przekonanie, że marzenia naprawdę mają cenę i że są mężczyźni, którzy z łatwością mogą je spełnić. Był świadkiem cudzołóstwa i perwersji, uzależnienia od narkotyków i degradacji. Poza tym nie spotkał kobiety, przed którą mógłby się odkryć, do której mógłby się przytulić w nocy i zasnąć ufnie jak dziecko.

Gdy obserwował wracającą Kate, pomyślał o tajemniczej sile uczucia. *Nie bądź głupcem!* upomniął się ze złością.

Jest taka młoda. I do tego córka Alexandra. Ale gdzie przebiega granica między obowiązkiem wobec starego przyjaciela a własnymi uczuciami?

— Pensa za twoje myśli — powiedziała Kate, widząc wyraz twarzy Armanda. Roześmiał się.

— Obawiam się, że zażądałabyś reszty. Bierzmy się do jedzenia.

Kaczka okazała się znakomita. Podczas posiłku Armand robił złośliwe komentarze na temat współbiesiadników, wprowadzając Kate w ciekawy świat.

— Dowiedziałam się o Bejrucie paru rzeczy. Między innymi tego, że wszyscy tutaj kochają gry — zauważyła Kate.

— To narodowa rozrywka — zgodził się Armand. — Życie w Libanie to jedna wielka gra, kombinacja szczęścia, zręczności i odwagi.

— Co bardzo ci się opłaca.

— To kwestia praktyki. — I zmienił temat. — Mam dla ciebie wiadomości. Nie takie, jakich byśmy pragnęli, ale to dopiero początek.

Kate nachyliła się do przodu.

— O naszym tajemniczym wspólniku? Armand potrząsnął głową.

— O pieniądzach, które zniknęły z Maritime Conlincnlal. I przekazał jej to, co udało mu się ustalić.

W miarę jak mówił, Kate coraz bardziej się dziwiła.

— Nie rozumiem — stwierdziła. — Z Rio pieniądze powędrowały do Panamy, a potem do Genewy. Policja szwajcarska i banki wiedzą, że je zdefraudowano.

Musieli sprawdzić, do kogo należy rachunek. Dlaczego nic nie robią?

— Z powodu szwajcarskiego prawa o tajemnicy bankowej.

— Które obowiązuje, nawet jeśli popełniono przestępstwo?

— W skarbcach Zurychu nadal znajdują się nazistowskie łupy wojenne. O, są furtki, dzięki którym mając odpowiednie dokumenty i cierpliwość Hioba można uzyskać decyzję o ujawnieniu rachunku. Wymaga to jednak lat zabiegów i tylko w jednym lub dwóch wypadkach na tysiąc kończy się sukcesem.

— Więc poddajemy się?

— Zasluguję na trochę więcej zaufania — zbeształ ją Armand. — W przeciwieństwie do tego, co myślą niektórzy, Szwajcarzy to ludzie rozsądni.

— Znasz jakichś dyrektorów lub urzędników? — zapytała Kate z nadzieją.

— Dyrektor banku, który bezpośrednio zajmuje się klientami, nigdy nie zawiedzie ich zaufania. Ale pomogą nam urzędnicy, którzy nie znają właścicieli kont z twarzy, tylko ich numery. Oczywiście jeśli będą w stanie.

Kate zabłysły oczy.

— Więc masz kogoś!

— Nie rób sobie nadziei — ostrzegł Armand. — Czeka nas długa droga.

Skinęła głową. Cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną. Tak niewiele potrafiła zdziałać. Mogła jednak przynajmniej uzyskać odpowiedź na proste pytanie.

— Armandzie, słyszałam różne rzeczy o Davidzie Cabocie. Spojrzał na nią ostro.

— Od kogo?

— Od Jasmine.

— Rozumiem. I co Jasmine ci powiedziała? Kate wzięła głęboki oddech.

— Powiedziała mi, że rodzina Davida Cabota została zamordowana przez piratów. Ocalał tylko David. I ty go wzięłeś do siebie.

Armand zapalił cygaro.

— To prawda. Ale nie cała. Jeśli chcesz, opowiem ci wszystko pod warunkiem, że nigdy nikomu tego nie powtórzysz.

— Nie powtórzę.

— Dobrze. Pewnie słyszałaś opowieści o współczesnym handlu niewolnikami w tej części świata. Większość z nich jest prawdziwa. Korzysta się z tras wytyczonych przed wiekami, a ofiary również się nie zmieniły. Pochodzą z Afryki, Indii, Europy. Są to dzieci, nastoletnie dziewczęta i chłopcy, młode kobiety... David omal sam nie stał się jedną z ofiar.

Armand niczego nie ukrywał i Kate aż się wzdrygnęła, słysząc te wszystkie okropności.

— Był to jeden z głównych powodów, dla których twój ojciec i ja założyliśmy Interarmco. Chcieliśmy rozbić szajki czerpiące zyski z niewolnictwa i ludzkiej niedoli. David właśnie tym się zajmuje. — Oparł się o poręcz krzesła. Miał wilgotne oczy. — Chyba nigdy nie spotkałem człowieka, który nosi w sobie tyle bólu, ile David. Ciągnie go do tych porywanych, wykorzystywanych dzieci jak ćmę do ognia. Jest tyle historii, które ci mogę o nim opowiedzieć. Rozpracowywał siatkę handlarzy, dowiadywał się, które łodzie przewożą dzieci, do których portów zawijają, gdzie trzymane są ofiary do czasu aukcji. Tropił szajki jedną po drugiej. Łodzie padały ofiarą tajemniczych eksplozji kotłów, płonęły magazyny, znikali handlarze. David nie wie, ile dzieci uratował. Nie sądzę, żeby o to dbał. Wystarczy mu, jeżeli może uchronić od niewoli choć jedno dziecko. Nadal tkwi w nim przerażony chłopiec, na którego oczach zamordowano rodziców. Dlatego będzie kontynuował swoje dzieło do śmierci.

Kate przeszły ciarki po plecach. Przypomniała sobie twarde oczy Davida Cabota, jego ostrzeżenie, drzemiącą w nim gwałtowność.

— To dlatego mu ufasz — stwierdziła w końcu.

— Bezgranicznie — odparł Armand spokojnie.

— Dowiedziałaś się czegoś nowego?

— Jeszcze nic. Ale będę dzisiaj wieczorem z nim rozmawiał. Kate dotknęła ramienia Armanda.

— I mój ojciec był w to zaangażowany.

— Tak. Od samego początku i bez wytchnienia, ponieważ handel niewolnikami nigdy się nie kończy. To monstrum o tysiącu głowach. Odetnij jedną, a wyrośnie następna. Kilka lat temu myślałem, że zniszczyliśmy największe bandy działające na Bliskim Wschodzie. I zrobiliśmy to! Ale na miejsce pięciu pojawiła się nowa. Pomimo wysiłków Davida nic możemy znaleźć człowieka, który nią kieruje. Kale wysączyła resztkę koniaku, patrząc, jak Armand podpisuje czek. Była oszołomiona jego rewelacjami. W innym świetle ujrzała nie

tylko siedzącego naprzeciwko niej mężczyznę, ale także swojego ojca i drugie życie, o które go nawet nie podejrzewała.

Ile jeszcze jest do odkrycia? Dokąd to wszystko doprowadzi?

Odsuwając krzesło Kate, Armand powiedział:

— Rozmawiałem z Emilem. Wspomniał o jakimś wypadku, który miał miejsce w tym samym czasie co afera w banku.

Minęła chwila, zanim Kate zrozumiała.

— A tak. Jeden z pracowników zginął w pożarze. Uznałam, że to dziwny zbieg okoliczności. Ale zbadalam sprawę i okazało się, że nie ma żadnego związku z aferą.

— Możesz mi powiedzieć coś więcej?

Wzruszyła ramionami, a potem szybko opowiedziała o pożarze w Greenwich Village, w którym zginął urzędnik z działu transferów, Michael Samson, i o swojej wizycie u Prudence Templeton, która zidentyfikowała ciało.

— Nie doszukałam się żadnego związku — zakończyła.

— Chyba masz rację — zgodził się Armand. — To wygląda na zbieg okoliczności.

— Kiedy wychodzili z restauracji, dorzucił: — Mam nadzieję, że już nie jesteś na mnie zła, Kate.

— Nie lubię sekretów.

— Wierzę, że niedługo nie będzie żadnych sekretów.

Kate pomyślała, że w słowach Armanda może być więcej prawdy, niż on sam przypuszcza. Wszyscy jej mówili, że Bejrut to miasto, gdzie głównym towarem jest informacja. Czas więc przystąpić do działania.

Tej nocy Armand rozmawiał z Davidem, który nadal przebywał na południu Francji.

— Miejscowi mówią, że Morton jest tutaj — poinformował go David. — Bawi się w ornitologa. Podobno urządza sobie kilkudniowe wyprawy w góry. Mogę tylko czekać na jego powrót.

— Niekoniecznie — powiedział Armand. W skrócie przekazał Davidowi treść rozmowy z Kate na temat dziwnych okoliczności śmierci Michaela Samsona. — Chciałbym dowiedzieć się czegoś o jego przeszłości — zakończył Armand. — Dasz radę to zrobić?

— Jestem niecałą godzinę drogi do Cannes, gdzie znam paru ludzi, którzy mogą mi pomóc. Resztą zajmie się Genewa.

— Prawdopodobnie to fałszywy trop, Davidzie. Nie chcę, żebyś zgubił Mortona.

— Nie zgubię. Miejscowi gliniarze nie lubią go zbyt. Zdaje się, że lo arogancki typek. Udziela mi pomocy.

— Uważaj na siebie.

Armand wyobraził sobie uśmiech na twarzy Davida.

— Powodzenia, Armandzie.

— Przeczucie cię nie myliło — oznajmił David czterdzieści osiem godzin później.

— Mam parę ciekawych rzeczy na temat Michaela Samsona.

I przedstawił mu rezultaty śledztwa.

— Siad urywa się na Malcie — powiedział Armand w zamyśleniu.

— Zgadza się. Samson przyszedł do Maritime Continental z referencjami od Sauer Bank z Zurychu. Wcześniej pracował w dwóch francuskich bankach, z których jeden to Credit Foncier. Podobno informacje o pochodzeniu z Malty i studiach we Francji są sprawdzone.

— A co z Politechniką?

— Przyjęli Samsona na podstawie wyników uzyskanych na Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie.

— Więc... — ponaglił Armand.

— Archiwa uniwersytetu potwierdzają, że Samson rzeczywiście był obywatelem maltańskim.

— Ilu Maltańczyków tam studiowało? — zapytał Armand.

— W ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat — trzech.

— Sukinsyn jest tak samo Maltańczykiem jak ja!

— Myślisz, że może istnieć związek między Samsonem a tym, co się wydarzyło w Maritime Continental?

— Założyłbym się tylko o to, że Samson nie jest Maltańczykiem. Stworzył sobie dobrą legendę. Po co? To może mieć coś wspólnego z Maritime Continental. Załatw sprawę z Mortonem i przygotuj się do podróży.

— Dokąd mam jechać? — zapytał David.

— To chyba oczywiste. Na Maltę.

Alejandro Lopez nie należał do osób, które zwracają na siebie uwagę. Średniego wzrostu, żylasty, o gładkiej ciemnej cerze, wyglądał na Araba, Greka lub Włocha. Kobiety miały trudności z określeniem jego wieku. Pod błyszczącymi ciemnymi oczami rysowały się zmarszczki, ale gęsta czupryna czarnych włosów i doskonale białe zęby odmładzały go. Wszyscy jednak zgadzali się, że Alejandro Lopez jest czarującym dżentelmenem, dobrze wychowanym i bywałym w świecie, i zastanawiali się, dlaczego się nie ożenił.

Lopez był handlarzem win. Prowadził kwitnące przedsiębiorstwo w Gibraltarze. Dobrze go tutaj znano i zawsze mile widziano. Zaopatrywał oficerów brytyjskiego garnizonu w znakomite wina po cenach hurtowych i sprowadzał na zamówienie specjalne gatunki. Jego sklep i magazyn dawały stałe zatrudnienie kilkunastu osobom, które uważały, że Lopez jest uczciwym i hojnym szefem. Jego owdowiała gospodyni, mająca aspiracje do drugiego małżeństwa, nie widziała świata poza Alejandro i marzyła o jego szczupłym silnym ciele.

Nikogo nie dziwiło, że Lopez spędza dużo czasu poza Gibraltarem. Uważano za naturalne, że podróżuje po Europie, by odwiedzać winnice i sprawdzać próbki ich wyrobów. Jego paszport był pełen stempli z różnych krajów śródziemnomorskich, od Portugalii po Turcję.

Kiedy Lopez przebywał w swoim biurze, spędzał mnóstwo czasu przy telefonie. Dzięki Brytyjczykom Gibraltar miał jeden z najlepszych systemów telekomunikacyjnych na świecie. Ponieważ przestarzała hiszpańska centrala nie spełniała zadania, brytyjscy przyjaciele Lopeza zadbali o to, by miał dostęp do specjalnych linii. To oczywiste, że sprawny telefon jest czymś niezbędnym dla kupca robiącego międzynarodowe interesy.

Był również niezbędny dla najemnego zabójcy, a ludzie, którzy korzystali z usług Alejandro Lopeza, uważali go za jednego z najlepszych na świecie.

Przeglądał właśnie rachunki w swoim biurze, kiedy ładna sekretarka poinformowała go, że na linii czeka klient pytający o pewien gatunek szampana. Lopez podziękował jej i odebrał telefon. Ponieważ rozmowa trwała krótko, sekretarka domyśliła się, że szef nie może zrealizować zamówienia.

Tego popołudnia Lopez zjadł obiad o zwykłej porze. Zamiast pójść do jednej z kilku często odwiedzanych przez niego restauracji, spotkał się w klubie oficerskim z pułkownikiem, któremu dostarczał najlepszą szkocką whisky.

W połowie lekkiego posiłku przypomniał sobie, że musi do kogoś zadzwonić.

Gospodarz był mu na tyle wdzięczny, że pozwolił skorzystać z telefonu w zaciszu biblioteki. Stamtąd Lopez przeprowadził rozmowę z Bejrutem.

— Tu Charles — powiedział bezbarwnym tonem. Głos po drugiej stronie linii był daleki i zimny.

— Jest zadanie.

— Słucham.

Głos podał mu szczegóły i dorzucił na koniec:

— Jak najszybciej.

Lopez dokonał szybkich obliczeń.

— Będzie dodatkowa zapłata. Dwadzieścia procent więcej.

— Pieniądze zostaną przelane dzisiaj po południu do Zurychu. Druga część po wykonaniu zlecenia.

— Dziękuję, Bejrut. Powiadomię, kiedy będzie po wszystkim. Kiedy Lopez wrócił do jadalni, gospodarz zapytał go:

— Mam nadzieję, że dobre wiadomości?

— Obawiam się, że znowu muszę wyjechać — westchnął Lopez.

Leżąc na skotłowanym łóżku Michael obserwował, jak Jasmine robi sobie makijaż.

— Nie sądzę, żeby cię wpuścili do „Hipopotama” w takim stroju — stwierdziła Jasmine, mierząc wzrokiem nagi tors Michaela.

— Wpuściliby, gdyby wiedzieli, że jestem właścicielem połowy klubu — odparł leniwie.

— Lepiej, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

— Dobrze jest wrócić, Jasmine. Być z tobą. Być znowu Michaellem Saidim.

Podczas nieobecności Michaela w Bejrucie Jasmine dbała o jego rosnącą fortunę zbijaną na handlu narkotykami i białymi niewolnikami. Choć kusiło ją, żeby przywłaszczyć sobie te kilka milionów dolarów, których tak rozpaczliwie potrzebowała w związku z planami Louisa, powstrzymała się. Michael miał się jej jeszcze przydać. Założyła więc firmę, żeby kupować małe parcele, udziały w nocnych klubach, restauracjach, wybranych butikach, a nawet wyścigach konnych. Była to ostatnia część planu, którą zamierzała mu wyjawić, kiedy zawdzięczający wszystko samemu sobie biznesmen Michael Saidi wróci z zagranicy, by wejść do bejruckiego towarzystwa.

Nawet ją zaskoczyło, jak doskonale poradził sobie brazylijski chirurg plastyczny.

Wyjęła zdjęcia Michaela z czasów nowojorskich i bejruckich i kazała mu stanąć obok. Ocena wypadła świetnie. Michael Samson naprawdę umarł dla świata, a dawny Michael Saidi śmiało mógł się stać takim właśnie człowiekiem.

— To fantastyczne, prawda? — zauważył Michael leniwie, obserwując, jak Jasmine wygładza pończochę — Armand przewraca Bliski Wschód do góry nogami, próbując znaleźć nową szajkę handlarzy niewolników, ale nie zadaje sobie trudu, żeby zajrzeć na własne podwórko. Nic ma pojęcia, że ściga zjawę. Boże, chciałabym zobaczyć jego minę, gdyby dowiedział się prawdy!

— Możliwe, ale nie powinieneś się cieszyć na zapas i nie doceniać Armanda — ostrzegła go Jasmine. — Wielu ludzi tak robiło i musieli za to zapłacić.

— Ale ty nie dopuścisz go za blisko, prawda, Jasmine? — powiedział Michael cicho, dotykając jej nogi.

— Chcę, żebyś coś zrobił — oznajmiła, odpychając jego dłoń. — Córka Alexandra Maser jest w Bejrucie.

Michael już słyszał o tym od swoich informatorów z Bejruckiej Agencji Prasowej, ale nie przerywał Jasmine.

— Zdaje się, że ma zamiar wyjaśnić to, co się wydarzyło w Maritime Continental. Dobrze byłoby wiedzieć, jak jej idzie, nie sądzisz?

— W jaki sposób? — zapytał Michael, już znając odpowiedź.

— Nie bądź taki skromny! — rzuciła Jasmine niecierpliwie. — Wykorzystaj swój nieodparty urok.

— Nawet gdyby to oznaczało pójście z nią do łóżka? Oczy Jasmine zapłonęły.

— Jest młoda, właściwie samotna w mieście, którego nie zna, i do tego wszystkiego naiwna. Sądzę, Michaelu, że odrobina życzliwości i zainteresowania wystarczy, by zdobyć sympatię panny Katherine Maser.

Popatrzył na nią w zamyśleniu.

— Martwisz się z jej powodu, prawda?

— Stanowi komplikację — warknęła. — Postaraj się, by pozostała niegroźna.

— A co z Armandem?

Jasmine podeszła do łóżka. Miała na sobie pończochy i pas, ale była bez majtek. Stała bardzo blisko Michaela. Spojrzała na niego z żarem, chwyciła jego głowę i przycisnęła między uda.

— Stał się niebezpieczny — szepnęła. — To naprawdę tragiczne...

W tygodniach poprzedzających bejrucki karnawał zawsze panował największy ruch. Sale gier były zatłoczone. O północy Armand wykonał zwyczajowy obchód kasyna. Oczekiwali tego zarówno goście, jak i pracownicy. Każdy miał szansę podejść do niego i porozmawiać.

Zaczął od głównych sal, zatrzymując się przy każdym stoliku, by wymienić spojrzenia z krupierami. Szepnął kilka słów zachęty do bejruckich „kondorów”, uszmięgowanych pań w zaawansowanym wieku, które swoją wytrzymałością potrafiły zmęczyć nawet najbardziej doświadczonych pracowników kasyna. Po sześciu czy siedmiu godzinach gry „kondory” dopiero się rozgrzewały. Armand zrobił szybką rundę

po Sali Amerykańskiej i odprowadził do drzwi turystów, którzy grali na automatach. Przeszedł do prywatnych pokoi i poobserwował przez chwilę zażartą grę biznesmenów z Hongkongu. Nie zachowywali się jak inni gracze. Nie panowali nad emocjami. Pili i palili bez przerwy. Pomimo umiarkowanej temperatury spływali potem. Zgrzytali zębami, pomrukiwali, jakby błagając bogów, by zapewnili im wygraną. Armand przyglądał się ich grze przez pół godziny, w którym to czasie Casino de Paradis powiększyło konto o milion dolarów.

Zgodnie ze zwyczajem Armand udał się do kuchni, w których panowała gorączkowa krzątanina. Jakimś cudem pośród pokrzykiwania, przepychania i wybuchów złości kucharzom udawało się przygotować czterysta wspaniałych dań. Szefowie odpowiadali na jego pozdrowienia niedbałymi machnięciami rąk. Armand nie obrażał się. Najlepsi szefowie kuchni byli przewrażliwieni jak konie wyścigowe i delikatni jak miśnieńska porcelana, na której podawano ich dzieła. Armand minął kuchnie i pomieszczenia gospodarcze i wszedł do chłodnej piwnicy z winami. Określenie piwnica było niewłaściwe. Tutejsza kolekcja win składała się z ponad stu tysięcy butelek przechowywanych w pomieszczeniu, do którego pasowała jedynie nazwa „pieczara”. Rzeczywiście przodek Armanda Fremonta wydrążył ten wielki magazyn w skale. Dzięki temu temperatura i wilgotność były idealne dla wina. I dla innych rzeczy.

Armand starannie zamknął za sobą wszystkie drzwi. Czerwone światelka najlepszych systemów alarmowych znaczyły jego drogę. Szedł między skrzyniami i półkami, na których spoczywały roczniki, o jakich tylko mógł zamarzyć znawca win. Dotarł do zaokrąglonych drewnianych drzwi wzmocnionych żelaznymi sztabami.

W Libanie, podobnie jak na całym Bliskim Wschodzie, wielkie domy, zamki, meczety i monastyny były wyposażone w sekretne przejścia, żeby mieszkańcy mogli uciec w razie ataku lub oblężenia albo sprowadzić posiłki, jedzenie i amunicję. Kasyno miało dwie drogi ucieczki, z których jedna prowadziła do labiryntu nadbrzeżnych tuneli i była bardzo niebezpieczna. Jeśli ktoś nie wiedział dokładnie, gdzie skręcić, mógł się zgubić na zawsze. Druga droga biegła do samego stoku i sprytnie ukrytego wyjścia. Tutaj również znajdowały się pułapki na nieostrożnych lub nie znających podziemi. Człowiekowi, który przyszedł na spotkanie z Armandem, nie groziło niebezpieczeństwo, ponieważ spędził całe życie wśród tych wzgórz.

— Dobry wieczór, opacie.

Cześć, Armandzie, mój przyjaciel u.

Mężczyźni objęli się. Opat, który przybrał jako nowicjusz imię John, należał do Zakonu Trzeciego Krzyża. Grecki monastyr znajdował się na wzgórzach między Bejrutem a Jounyeh. Stanowił wyjątek w świecie arabskim, ponieważ w tysiącletniej historii ani razu nie został splądrowany.

Armand został przedstawiony opatowi przez swojego dziadka. Już wtedy opat był starszym człowiekiem. Teraz osiągnął biblijny wiek osiemdziesięciu lat. Nadal jednak kierował zakonem i cieszył się niekwestionowanym autorytetem. Bracia należeli do jednych z najlepiej wykształconych ludzi w Libanie, znali się na wielu rzeczach, od inżynierii po medycynę. Takie umiejętności uniezależniały ich od świata zewnętrznego. Do środka nie wpuszczano żadnych gości i osoby postronne sądziły, że mnisi zajmują się tylko uprawą ziemi i wielbieniem Boga. Armand często się zastanawiał, jak Pan patrzy na tę mistyfikację. Pomimo całej pokory i wyrzeczenia się świata doczesnego bracia z Zakonu Trzeciego Krzyża mieli najbardziej rozbudowaną i niezawodną siatkę wywiadowczą w całym kraju. Podróżowali po Libanie, obracali się wśród ludzi, którzy ich szanowali lub pozostawali obojętni. Podśluchiwali rozmowy toczone w kilkunastu językach i robili dokładne zapiski. Na koniec z całego tego bogactwa najważniejsze rzeczy wybierał opat i dzielił się nimi z jednym człowiekiem, o którym wiedział, że nigdy nie zdradzi kraju dla osobistej korzyści. Z Armandem Fremontem.

Przez całe lata dostarczał Fremontowi bezcennych informacji. Po dokładnym zbadaniu Armand wykorzystywał je w subtelny sposób. Przychodził do ludzi, którzy uważali, że stoją ponad prawem, dla których korupcja była rzeczą codzienną, którzy intrygowali i stosowali przemoc, i szeptał, że zna ich sekrety. Słowa okazywały się bardziej śmiertelne niż sztylety.

Współpraca opata na tym się nie kończyła. Bracia pomagali Armandowi w bitwie przeciwko handlarzom niewolnikami. Czasami podsłuchane słowo lub nieostrożny komentarz wystarczyły, by Armand wpadł na trop.

Obaj zachowywali środki ostrożności. Piwnica kasyna okazała się najlepszym miejscem na spotkania. Armand nigdy nie postawił stopy w monastyrze. Wszyscy wiedzieli, że jest agnostykiem.

Lecz. nigdy jeszcze opat nie wyznaczył tak krótkiego terminu.

— Mój przyjacielu, jaka pilna sprawa sprowadza cię tutaj? — zapytał Armand.

Opat chodził wokół stołu.

— Armandzie, jak wiesz, opium, które idzie do Ameryki, pochodzi z Turcji.

— Większość.

— Jest nowe źródło — oznajmił opat cichym głosem. — Tutaj w Libanie. W dolinie Bekaa.

Armand nie mógł uwierzyć własnym uszom. Nigdy o tym nie słyszał.

— Wiesz, skąd dokładnie? — zapytał. — Kto może za tym stać?

— Jeszcze nie wiem. Bekaa to schronienie złodziei i morderców. Nawet nam trudno jest zdobyć dokładne informacje. Ale będziemy się starali. — Opat zrobił pauzę. — Ostatnio do kraju napłynęły liczne dostawy broni. Karabiny z Europy, Związku Radzieckiego, nawet ze Stanów Zjednoczonych.

Wręczył Armandowi kopię raportu celnego.

— Zdobył go dla nas jeden z wiernych — powiedział ze smutnym uśmiechem.

Armand przeczytał raport.

— Wynika z tego, że rządowi udaje się przechwycić mniej niż dziesięć procent dostaw. Co oznacza, że w nieznanym rękach jest tysiące sztuk broni. I będzie użyta!

— Przez kogo? — zapytał opat z z troską.

— Przez tych, którzy są w stanie ją kupić! — odparł Armand. — Wiesz, ile mamy sekt i odłamów? Druzowie, szyici, sunnici, maronici, Palestyńczycy, Koptowie.

Dziela ich wielkie różnice, pod którymi czai się nienawiść. Każda grupa ma swoich bogatych popleczników. Każda boi się, że zostanie zaatakowana. Wszystkie kupują broń, opacie. Jeśli się tego nie powstrzyma, na ulicach pojawią się prywatne armie walczące o poszczególne części miasta.

Opat spojrział ze strachem na Armanda.

— To byłaby wojna domowa. Najbardziej okrutna i niebezpieczna. Religia przeciwko religii, sekta przeciwko sekcie. Ale kto by tego chciał? — wykrzyknął. — To jak podłożenie ognia, którego nie można ugasić!

— Ktoś chce — powiedział Armand cicho. — Ktoś próbuje zniszczyć Liban. Ktoś zorientował się, jak słaby jest ten kraj, jak niewiele trzeba, by wzniecić nienawiść. Kiedy raz się zacznie zabijanie, libański kodeks zemsty dokona reszty. Rzeź będzie trwała latami!

Opat milczał przez chwilę, a potem powiedział:

— Obawiam się, że jest jeszcze jedna sprawa. Co takiego? — zapytał Armand.

— Nie co, lecz kto.

Na widok smutku i strachu w oczach przyjaciela Armandowi ścisnęło się serce.

— Powiedz mi, opacie.

— Jeden z braci w Tangerze podsłuchał plotkę o zabójcy. Jest znany pod pseudonimem Bachus. Podobno mieszka w Hiszpanii, może w Gibraltarze. Ma reputację jednego z najlepszych na świecie.

— Zapewnię ci wszelką ochronę — zaoferował się natychmiast Armand. Opat uniósł rękę.

— Nie rozumiesz. Nie chodzi o mnie. Mówi się, że ty jesteś celem, Armandzie.

Gdy opat odszedł, Armand wrócił do kasyna. Starał się nie spieszyć. Poruszał się wśród tłumu ze zwykłym wdziękiem, zatrzymując się przy gościach. Kiedy dotarł do swojego gabinetu, zamknął drzwi na klucz i wykręcił numer. David Cabot zgłosił się po pierwszym dzwonku. Armand powiedział mu o ostrzeżeniu opata.

— Więc szakale ruszyły na żer. Przestraszyliśmy ich — skomentował David.

— To może być tylko plotka — zauważył Armand.

— Wtedy opat nie podnosiłby alarmu — odparł David z pewnością siebie.

— Myślisz, że to ten sam drań, który dopadł Alexandra?

— Jestem tego pewien.

— Więc wynika z tego...

— Że ten, kto kazał zabić Alexandra, wziął teraz ciebie na cel. Armand zamknął oczy. Na plecach poczuł chłód, jakby ktoś wrzucił mu za koszulę kostkę lodu.

— Wracam jak najszybciej — oznajmił David. — Najpóźniej jutro w nocy.

— Ale Morton...

— Zawiadomią mnie, kiedy się zjawi. To z jego powodu jesteś teraz w niebezpieczeństwie, Armandzie. — David umilkł na chwilę. — Nic chcę, żebyś był sam. Niech ktoś z ochrony kasyna pojedzie dzisiaj z tobą do domu. Pierwsze, co zrobię rano, to ściągnę do Bejrutu swoich ludzi z Genewy.

— Davidzie, a Kate...

— Jej nic nie grozi. Poza tym nie chcę jej wtajemniczać. — David wyczuł, że Armand nadal ma obawy. — Wracam jutro w nocy — powtórzył. Jeśli sytuacja się zmieni, zadbam o jej ochronę.

— Dziękuję, Davidzie.

— Zabezpiecz się na noc, Armandzie. Jutro zapewnię ci taką ochronę, że nikt się do ciebie nie zbliży.

Z restauracji na dachu hotelu Orient w Tangerze roztaczał się widok na zatokę. Ku zaskoczeniu Alejandra Lopeza jedzenie okazało się całkiem dobre, choć lista win pozostawiała według niego wiele do życzenia.

Niemniej jednak wycieczka do Tangeru była owocna. Sypnął pieniędzmi, rzucił właściwym ludziom parę słów i wkrótce rozeszły się plotki o zabójcy, który poluje na Armanda Fremonta. Lopez był pewien, że do tej pory Fremont już o tym usłyszał. I nieświadomie posłuży za przynętę.

15

Doroczne przyjęcie karnawałowe u Jasmine Fremont odbywało się na tydzień przed paradą i innymi uroczystościami. Lista gości pozwalała określić hierarchię towarzyską. Uczestnicy mieli zagwarantowane zaproszenia na wszystkie ważne bale w nadchodzącym roku. Pechowcy, którzy nie znaleźli się na liście, mogli równie dobrze wyjąć z szaf walizki od Vuittona i zacząć się pakować do wyjazdu na Syberię.

Kate zjawiła się o jedenastej w nocy, kiedy zabawa rozkręciła się na dobre. Była ubrana w czerwony żakiet, lejące się spodnie i przezroczysty szal owinięty wokół głowy.

— Wyglądasz doskonale! — wykrzyknęła Jasmine, biorąc ją za rękę.

Jasmine miała na sobie ściśle przylegającą do ciała suknię Emma-nuelle Khanh. Bizuteria zaprojektowana przez Paco Rabanne pochodziła z Rzymu. Kate zauważyła, że w modzie są skąpe stroje. Gołe plecy, gołe brzuchy, przezroczyste materiały, bardzo krótkie, bardzo przewiewne sukienki naszywane cekinami. Marzenie właściciela haremu, pomyślała.

Jasmine zatrzymywała się co chwila, żeby przedstawić Kate, którą, ku jej zaskoczeniu, nieznajome osoby witały jak odzyskaną krewną i zdawały się wszystko o niej wiedzieć.

— Bejrut to małe miasto — stwierdziła Jasmine.

Za salą balową znajdował się pokój oddzielony panelami przedstawiającymi dni chwały Persji. Czarna, czerwona, niebieska i złota farba olejna pokryła się patyną, która w ciągu wieków nabrała połysku. Pośrodku stał duży, niski stół otoczony wyszywanymi poduszkami.

— Pamiętasz Louisa i Pierre'a? — zapytała Jasmine.

— Tak, oczywiście.

Obaj mężczyźni opłukali palce w srebrnej czarze i wstali, żeby przywitać się z Kale. Cieszę się, że jednak przyszedłeś — powiedział Louis.

— Ja również — dodał Pierre. — Może coś zjesz? Zerknęła na Jasmine, która powiedziała:

— Radzę ci zjeść kolację. Noc dopiero się zaczęła.

Kate zdjęła szpilki i usadowiła się wygodnie na poduszkach.

— Cokolwiek to jest — wskazała na parujące rondle — pachnie wspaniale.

— Libańczycy nazywają to „rózańcem derwisza” — poinformował ją Pierre. —

Jagnię, oberżyna, cukinia, pomidory i cebula, przyprawione cynamonem i oregano, zapieczone w rondlu, *siniyyah*. Mogę ci nałożyć?

„Różaniec” okazał się jeszcze smaczniejszy, niż Kate przypuszczała. Szybko przyzwyczała się do siedzenia na poduszkach. Zimne białe wino z Grecji było doskonałym uzupełnieniem potrawy.

— Musisz nam wybaczyć, że cię nie odwiedziliśmy — powiedział Louis, jedząc palcami baklawa. — To był dla ciebie ciężki okres. Ucieszyliśmy się, kiedy Jasmine nas zapewniła, że sprawa zaczyna się wyjaśniać.

— Istotnie — odparła Kate między kęsami, zastanawiając się, co takiego Jasmine im przekazała.

— Skoro już się zaaklimatyzowałaś, mam nadzieję, że będziemy cię częściej widywać — powiedział Louis taktownie.

— A jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zwróć się do mnie — dorzucił Pierre.

^ Od czasu do czasu wchodzili różni mężczyźni, żeby zamienić kilka słów z Louisem. Wszyscy mieli na sobie drogie ubrania i zachowywali się z całkowitą swobodą.

Kate wyczuła w nich władzę.

— Kim są ci ludzie? — szeptem zapytała Pierre'a.

— No tak, Jasmine nic ci nie powiedziała. Widzisz, Louis ubiega się o prezydenturę Libanu. Ci mężczyźni, bardzo bogaci i bardzo wpływowi, popierają go. Louis ma wielu zwolenników w całym kraju.

Przejęta podziwem, rzuciła na Louisa kilka ukradkowych spojrzeń i stwierdziła, że widzi go w zupełnie innym świetle. Nie był już wytwornym, zbyt pięknym mężczyzną, który wypadł blado w porównaniu z elektryzującą osobowością Jasmine. Przychodzący do Louisa ludzie, choć starsi od niego, okazywali mu wielki szacunek, zadając pytania i wysłuchując uważnie tego, co miał do powiedzenia. Z jego twarzy zniknął wyraz rozleniwienia. Miał bystry, czujny i spokojny wzrok. Na Kate zrobiło to duże wrażenie i podzieliła się z Pierrem swoim spostrzeżeniem.

— Louis bardzo by chciał z tobą porozmawiać — odparł Pierre. — Podziwia amerykańskich polityków, zwłaszcza prezydenta Kennedy'ego. Kto wie? Może potrafisz udzielić mu jakieś rady... jako prawniczka.

Kate zaśmiała się.

— Myślę, że Louis doskonale sobie radzi bez mojej pomocy.

W pewnym momencie przeszła obok nich piękna dziewczyna uwieszona na ramionach dwóch młodych dryblasów i Pierre wyraźnie stracił humor...

— To nie moja sprawa — powiedziała Kate cicho — ale jeśli chcesz się z kimś zobaczyć...

Zaczerwienił się mocno.

— Przepraszam. Powinienem cię przedstawić. To była Cleo. Ona i ja... to znaczy, my... mieszkamy razem.

— To wspaniale — powiedziała Kate szczerze.

— Tak... możliwe.

W tym momencie Kate zobaczyła w oczach Pierre'a ból, podejrzliwość, strach przed zdradą, która wydawała się nieunikniona. Współczuła mu. Czy ona kiedykolwiek zapomni ten ranek, kiedy Ted wrócił do domu przynosząc ze sobą zapach innej kobiety?

— Wybacz mi, Kate — powiedział Pierre, przerywając niezręczną ciszę.

Kate obserwowała, jak odchodzi. Trzymała kciuki, żeby miał więcej szczęścia niż ona.

— Muszę cię przeprosić — odezwał się Louis, przysuwając się do niej. — Strasznie cię zaniedbałem. — Spojrzał na nią uważnie. — Mój Boże, wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha!

Kate udało się uśmiechnąć.

— Tylko małego duszka. — I szybko zmieniła temat. — Pierre mówił mi, że jesteś kandydatem na prezydenta. To pasjonujące.

— To ciężka praca — odparł Louis skromnie. — Ale myślę, że wiele można zdziałać w Libanie.

— Co zamierzasz zrobić, jeśli zostaniesz wybrany? Louis zamrugął.

— Cóż, to, co robił każdy prezydent przede mną: zadbam o to, by nic się nie zmieniło. Świat najbardziej lubi stabilność, Kate. Liban prosperuje, ponieważ ludzie wiedzą, że tu jest bezpiecznie. Nasze przepisy o tajemnicy bankowej są surowsze od szwajcarskich, tutejsze atrakcje i rozrywki konkurują z najlepszymi na świecie. Każdego roku przyjeżdżają miliony gości i biznesmenów, ponieważ uczyniliśmy Bejrut pomostem między Wschodem a Zachodem. To muszę chronić.

Zrobił pauzę. — Zauważ jednak, że mamy dwa miliony mieszkańców ściśniętych na obszarze mniejszym od Szwajcarii. Jest tu kilka narodowości i dwa razy tyle religii i sekt. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że te różnice doprowadzą do rozbicia kraju. Pozwól, że opowiem ci przypowieść. Stary muzułmanin na łożu śmierci wzywa maronickiego kapłana i mówi, że chce się nawrócić na chrześcijaństwo. Zaszokowana rodzina pyta starca, dlaczego. Muzułmanin mruga okiem i szepcze: „Lepiej, żeby umarł jeden z nich niż z naszych”. Oto Liban w paru słowach, Katherine. Mamy za sobą tysiące lat różnic i uprzedzeń. Każda grupa religijna ma zagwarantowany udział we władzy. Wiedzą, że w ich imieniu ktoś domaga się sprawiedliwości i uczciwej gry.

Kate była ciekawa, kto pisze przemówienia dla Louisa. Nie wątpiła w jego szczerość i pasję, ale zadawała sobie pytanie, czy jest rzeczywiście dość potężny, by utrzymać w szachu wszystkie siły, o których mówił, moce, które w każdej chwili mogły zawładnąć uczniem czarnoksiężnika.

— Louis, wybacz, ale Jasmine cię szuka.

Kate podniosła wzrok zaintrygowana głębokim, miłym głosem. Mężczyzna wpatrywał się w nią bez skrepowania. Kiedy Louis wyszedł, nieznajomy poprosił ją do tańca. Gdy znaleźli się na parkiecie, przedstawiła się i zapytała go o nazwisko.

— Michael, Michael Saidi.

Po drugiej stronie sali balowej Jasmine obserwowała każdy krok Michaela i Kate.

— Powiedziałaś jej? — zapytała Louisa, nie odrywając wzroku od tańczących.

— Dokładnie jak zaplanowaliśmy.

— I?

Louis wzruszył ramionami.

— To Amerykanka o liberalnych poglądach. Myśli, że Korpus Pokoju potrafi rozwiązać wszystkie światowe problemy. Jest jednak wystarczająco bystra, by zrozumieć, że są rzeczy, których nie wie lub nie potrafi ocenić.

Jasmine wolno pokiwała głową.

— To dobrze. Bo jest w rękach doskonałego tancerza.

Po raz pierwszy od tego okropnego wieczoru w Meverlv llills Kate naprawdę zapomniała o przykrościach. Sprawiała to muzyka i taniec

w ramionach mężczyzny, któremu się podobała i który w żaden sposób nie był powiązany z niedawnymi tragediami.

Gdy zeszli z parkietu, Kate przyjrzała się Michaelowi. Był niezaprzeczalnie przystojny, ale nie rzucał się w oczy. Wyglądał na starszego od niej o kilka lat i stanowił zagadkę.

— Kim jesteś, Michaelu Saidi? — zapytała.

Uśmiechnął się i zaprowadził ją na taras, gdzie stało kilka innych par.

— Dzisiaj w nocy o tym nie rozmawiam — oświadczył. — Jestem Michael, a ty Katherine i to wszystko, co o sobie wiemy. Będziemy tańczyli, śmiali się i bawili. I w ten sposób poznamy się najlepiej.

— Co zrobimy, gdy noc się skończy?

— Wtedy postanowimy, co z nami będzie.

— To takie proste?

— Nie ma nic nudniejszego niż proste rzeczy. — Umilkł na chwilę. — Jesteś Amerykanką. Dobrze znasz Bejrut?

— Wcale nie znam.

— Więc naprawimy to. Masz samochód?

— Nie możemy jeszcze wyjść! — zaprotestowała Kate.

— Oczywiście, że możemy. Jeśli tylko chcemy. Nie bój się, że obrazimy Jasmine. Przyjęcie będzie jeszcze trwało, kiedy wrócimy.

Kate czuła się jak w baśni z tysiąca i jednej nocy.

Zwiedzanie rozpoczęło się od Ra's Bejrutu, dzielnicy starych kamiennych domów z ogrodami otoczonymi murem i wysokich eleganckich budynków mieszkalnych, które wznosiły się wokół Uniwersytetu Amerykańskiego. We wszystkich kierunkach rozbiegały się wąskie uliczki oświetlone ozdobnymi staroświeckimi latarniami i pełne ludzi. Atmosfera przypominała Kate Dzielnicę Łacińską w Paryżu lub nowojorskie Greenwich Village. Z tym wyjątkiem, że tempo życia było tutaj dwa razy szybsze, kolory wydawały się jaskrawsze, a wszystko wokół bardziej urozmaicone.

Michael zabrał ją do restauracji jakby żywcem przeniesionej ze środkowych stanów Ameryki. Był tam staroświecki bar, winylowe obrotowe stołki i małe krzeselka, których druciane oparcia miały kształt serca. Obok stały chłodziarki pełne ciastek, łącznie z libańskimi przysmakami, takimi jak *atayef* z orzechami i cynamonem czy *fleur de I ihan* przypominający napoleonkę z kremem.

Stoliki stały tak blisko siebie, że tworzyły jakby jeden wspólny stół. Wkrótce Kate wdała się w rozmowy z siedzącymi obok ludźmi, między

z miejscową sławą, Joyce Kimball. Drobna, czarnowłosa, żywa jak srebro kobieta była felietonistką *Daily Star*.

— Wiemy o tobie wszystko, kochanie! — szepnęła do Kate konspiracyjnie. — Tak między nami, ale oczywiście do wykorzystania w rubryce, nie wzięłaś tych pieniędzy, prawda?

— Nie.

Kimball zamachała cygarniczką jak batutą.

— Wiedziałam! Wszyscy ci głupi ludzie w Ameryce uważają, że wzięłaś. Zapominają zadać sobie najważniejsze pytanie.

— Jakie?

— Po co miałabyś to robić? Jeśli twój zmarły ojciec, zapewne wspaniały człowiek, był na skraju bankructwa, wystarczyło, by poprosił Armanda. On jest bogaty jak szach Iranu!

Kiedy Joyce Kimball rzuciła się na następną ofiarę, Michael nachylił się i szepnął Kate do ucha:

— Może się wydawać postrzelona, ale jest uczciwa. Pamiętaj jednak, że ona wszystko wydrukuje, więc jutro cały Bejrut to przeczyta i uwierzy.

— Miejmy nadzieję — mruknęła Kate. Przed restauracją Michael spojrzał na zegarek.

— Może jeszcze zdążymy, jeśli się pospieszymy — powiedział, marszcząc czoło.

— Ale będzie nam potrzebny specjalny środek transportu. Lubisz ryzyko?

Kate spojrzała na niego czujnie.

— Zależy jakie.

— Jazdę taksówką.

— Chyba potrafię się na to zdobyć.

— Doskonale!

Kate nie miała pojęcia, skąd się wziął samochód. Nie widziała, żeby Michael podniósł rękę, a mimo to nowy Chevrolet zatrzymał się z piskiem tuż przed nimi. Otworzyły się tylne drzwi. Kate miała wątpliwości, czy kierowca skończył szesnaście lat. Michael podał po arabsku kierunek i zanim Kate się zorientowała, poczuła, że pęd wciska ją w miękkie poduszki tylnego siedzenia. Następnie popełniła błąd siadając prosto i wyglądając przez okno.

Samochód przedzierał się przez ruch uliczny jak błyskawica. Taksówkarz trzymał kierownicę jednym palcem, co kilka sekund wciskając klakson. Drugiej ręki używał, by podkreślać niektóre słowa w rozmowie prowadzonej z Michałem, któremu w dodatku patrzył prosto w oczy.

— O, mój Boże! — krzyknęła Kate.

Chłopak gwałtownie skręcił w lewo i popędził uliczką, która według Kate była jednokierunkowa. Zbliżył się do jadącego w żółtym tempie cadillaca, wychylił się przez okno i puścił wiązaną przekleństw w stronę właściciela, potem gwałtownie szarpnął kierownicą i z wyciem silnika wyminął go, choć z przeciwka nadjeżdżał z turkotem starożytny tramwaj.

Kate pomyślała, że to ostatni obraz, jaki widzi w życiu. W ostatniej chwili taksówkarz zrobił jedyną możliwą rzecz: skręcił i wpadł na podjazd do budynku mieszkalnego, zatrzymując się kilka cali od grupki staruszków siedzących na tarasie. Uśmiechnął się do Kate.

— Szybko dojedziemy. Teraz jest mały ruch.

Nawet nie spojrzawszy we wsteczne lustro, cofnął samochód i z rykiem wypadł na ulicę. Gdy następnym razem Kate otworzyła oczy, znajdowali się wysoko nad miastem.

— Zdążymy na koniec przedstawienia — powiedział Michael. Wyglądał na bardzo zadowolonego.

Kate wysiadła, przytrzymując się ręką dachu taksówki, żeby utrzymać równowagę.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Michael troskliwie.

— Dobrze, dobrze — wymamrotała, modląc się, by świat przestał wirować.

— To bardzo szczególne miejsce dla Bejrutczyków — wyjaśnił Michael. — Chodź. Popatrz.

Szczyt wzgórza był skąpany w łagodnej niebieskawej poświacie, która nadawała skalistemu terenowi wygląd niczym z innej planety. Michael wziął Kate za rękę i zaprowadził na wierzchołek. Przeszli pod wspaniałą skalną bramą, za którą wznosiło się sześć wysokich kolumn rysujących się na tle nocnego nieba, samotnych i dumnych strażników.

— To wszystko, co zostało ze Świątyni Jowisza — powiedział Michael. — Kiedyś to była największa świątynia w całym imperium rzymskim.

Wokół nich panowała całkowita cisza. Kiedy szli między kolumnami, Kate usłyszała nagle żalosny szloch dochodzący z ciemności. Po drugiej stronie wzgórza znajdował się amfiteatr, a jego tysiącletnie kamienne siedzenia były wypełnione ludźmi. W dole, na scenie, stała samotna kobieta. Diwa. Nawet z tego miejsca Kate doskonale słyszała jej melancholijny głos.

— To Umm Kalthum, najsłynniejsza arabska śpiewaczka naszych czasów — szepnął Michael.

Kate była oczarowana wspaniałym głosem. Pieśń skończyła się. Zgasł pojedynczy reflektor i zapadła całkowita ciemność i cisza. Cały amfiteatr zdawał się wstrzymywać oddech. I wtedy zagrała orkiestra, na scenie rozbłysły różnokolorowe światła i do solistki dołączył chór. Wyciągnęła ramiona w stronę publiczności i zaczęła klaskać w dłonie, zachęcając ją do tego samego.

— To było cudowne — powiedziała Kate, kiedy schodzili po zboczu.

Michael zauważył, że dziewczyna ze strachem zbliża się do taksówki.

— Nie martw się. Powiem mu, że się nam nie spieszy.

Kate nie zapytała, dokąd jadą. Czowała się swobodnie w towarzystwie Michaela i z niecierpliwością czekała, czym ją zaskoczy. Następnym przystankiem okazał się Uniwersytet Amerykański, który był jeszcze otwarty. Ruszyli między pachnącymi platanami zasadzonymi wiek temu przez założycieli uniwersytetu, wielbego Daniela Blissa, i zajrzeli do „Baru Wuja Sama”, gdzie studenci czytali poezje i grali na gitarze. Wychodząc z kampusu, Kate spojrzała w górę na stary kamienny łuk i przeczytała wyryte na nim motto.

„Życie pełnią życia”.

— Tak może brzmieć credo Libanu — stwierdził Michael. — Ale sama to wiesz.

Nazywasz się Maser. To jest twój kraj.

Te słowa potrafiły właściwą strunę. Kate już nie myślała o Bejrucie jak o obcym mieście. Czowała się dobrze wśród jego mieszkańców

0 dziwnych zwyczajach. Polubiła zapach pomarańczy, cynamonu

1 gałki muszkatołowej, a gardłowy język arabski i wdzięczny francuski zaśpiew stały się miłe dla ucha.

Usiedli pod kwitnącym drzewkiem cytrynowym w kawiarni na wolnym powietrzu i zamówili kawę.

— Michaelu, nie chcę cię obrazić — zaczęła Kate. — Naprawdę świetnie się bawię...

— Ale? — zachęcił ją łagodnie.

— Jestem pewna, że wiesz o mnie więcej niż ja o tobie. Uważam, że to nie w porządku.

Michael odrzucił głowę i zaśmiał się.

— Wybaczysz mi, jeśli powiem, że jesteś typową Amerykanką.

— Nie zamierzałam być wścibska — przeprosiła Kate.

— Ależ. skąd. Prawdę mówiąc, pochlebia mi, że chcesz się czegoś o mnie dowiedzieć.

Urok Michaela polegał między innymi na tym, że mężczyzna potrafił bez wysiłku podtrzymać rozmowę, zainteresować słuchaczy. Ale prawdziwym sekretem jego powodzenia było to, że umiejętnie kłamał. Opowiedział Kate o swoim ojcu, starym i

cenionym pracowniku Casino de Paradis, nie próbując uczynić z niego kogoś więcej. Nie zdradził się jednak z uczuciami rozgoryczenia i pogardy. Podobnie, kiedy mówił o swoich podróżach po Europie, gładko opisywał miejsca i przeżycia, ale nie wspominał o pracy w szwajcarskim banku. Kiedy dotarł w swojej relacji do Ameryki, poznał po błysku w oczach Kate, że jest zafascynowana. Ujęły ją opowieści z życia imigranta z Bliskiego Wschodu o tym, jak założył skromną firmę eksportowo-importową, która zaczęła prosperować. Wszyscy, zwłaszcza kobiety, pomyślał Michael, kochają historie o karierze rezolutnego, lecz skromnego bohatera od czyścibuta do milionera.

— Więc już wszystko wiesz — zakończył Michael jak doskonały pilot lądujący kruchym szybowcem. — Nie byłem w Stanach od bardzo dawna, ale los nadal się do mnie uśmiecha.

— Wygląda na to, że osiągnęłaś więcej niż inni — skomentowała Kate.

— Niezupelnie. Spójrz na siebie. Z tego, co wiem, jesteś bardzo utalentowaną adwokatką.

— Kto wie jak jeszcze długo? — mruknęła Kate i natychmiast pożałowała tych słów.

Michael nakrył jej dłoń swoją.

— Wszystko się wyjaśni. Zobaczysz.

Kate wróciła myślą do swojego postanowienia, żeby jakoś wybrnąć z sytuacji, zamiast czekać i obserwować, jak Armand prowadzi tajemniczą grę.

— Michaelu, co wiesz o aferze w Maritime Continental? — zapytała nagle.

— Tylko to, co widziałem w telewizji i przeczytałem w gazetach — odparł, a potem dodał pospiesznie: — To nie znaczy, że wierzę we wszystko. Sugestie, że miałaś z tym coś wspólnego, są absurdalne.

Skąd masz tę pewność? — spytała. — Wcale mnie nie znasz. Michael wzruszył ramionami.

Czasami trzeba polegać na intuicji i wierze. Chyba nie będzie naiwnością, jeśli powiem, że nie jesteś tego rodzaju osobą. Właśnie w to wierzę.

Szczerłość i uczciwość Michaela uradowały jej serce. Przypomniała sobie chłodne upomnienia Davida Cabota.

— Kate, wystarczy, że poprosisz, a chętnie ci pomogę. Zawahała się, a potem opowiedziała Michaelowi całą historię ze swojego punktu widzenia.

— Widzisz więc — zakończyła — że prawdziwy defraudant jest nadal na wolności.

— Czy policja ma jakichś podejrzanych? — zapytał Michael.

— Są tak pewni, że Emil Bartoli i ja jesteśmy winni, że nawet nie szukają.

To pocieszające, pomyślał Michael.

— Zdaje się, że jest w to zamieszana jeszcze jedna osoba — powiedziała Kate.

— Wspólnik?

— Ktoś, kogo podejrzewał mój ojciec. Michael wyprostował się na krześle.

— W gazetach nic o tym nie było.

— I nie będzie! — wybuchnęła Kate. — Minutę temu mówiłeś o zaufaniu, Michaelu. Więc ufam, że zatrzymasz dla siebie wszystko, co ci powiedziałam.

— Oczywiście, Kate. To się rozumie samo przez się. Wiesz, kim jest ten człowiek? Kate potrząsnęła głową.

— Wiem tylko, że jest bardzo wpływowy i że mieszka w Bejrucie. Michael cicho gwizdnął.

— Zaczynam się martwić o ciebie, Kate. To niebezpieczna gra.

— Jakiś drań rujnuje moje życie, Michaelu. Moje i Emila Bartole-go.

Systematycznie niszczy dobre imię mojego ojca i wszystko, co zbudował. Może jest niebezpieczny. Ale ja jestem wściekła!

Michael uniósł ręce.

— Świetnie. Potrafię to zrozumieć. Mogę coś dla ciebie zrobić? Kate zastanawiała się przez chwilę.

— Urodziłeś się i wychowałeś tutaj, Michaelu. Aż tyle się nie zmieniło, odkąd wyjechałeś. Poza tym znasz miasto i tutejszych ludzi. Wiesz, jak do nich dotrzeć.

Bardzo dyskretnie, oczywiście.

Michael odetchnął głęboko.

— Nie chcę się przeceniać, Kate, ale znam właściwych ludzi i pomogę ci w miarę możliwości.

Kate poweselała.

O drugiej nad ranem przyjęcie u Jasmine trwało w najlepsze. Kate pożegnała się z Michaeliem i została jeszcze chwilę, żeby porozmawiać

z Jasmine, a potem wymówiła się bólem głowy i wyszła. Straciła ochotę do zabawy. Uznała, że zrobiła duży krok do przodu: zyskała sobie sojusznika, który był gotów jej pomóc. Musi jeszcze nakreślić plan działania.

Gdy tylko wyszła, Michael zaciągnął Jasmine do sypialni.

— Ona wie więcej, niż sądzisz! — oznajmił i zrelacjonował jej wszystko, czego dowiedział się od Kate.

Jasmine paliła w milczeniu papierosa i słuchała.

— I nie musiałeś iść z nią do łóżka.

— Jasmine, o czym ty mówisz?

— Nie rozumiesz? Ta mała głuptaska nie ma pojęcia, co się tutaj dzieje. Powiedziała ci jednak, jak daleko zaszedł Armand, który wszędzie węszy.

— A kto twierdzi, że Armand mówi jej wszystko? — odparował Michael.

— Masz oczywiście rację — ułagodziła go Jasmine. — Ale widzisz, mój kochany, niedługo nie będzie miało znaczenia, ile Armand wie lub podejrzewa. Na razie jednak musisz być najlepszym przyjacielem Katherine.

16

Przed wiekami Fenicjanie uczynili Malte przystankiem w podróżach handlowych po Morzu Śródziemnym. W obecnych czasach wyspa-for-teca wciąż miała na Bliskim Wschodzie znaczne wpływy w najróżniejszych dziedzinach, od architektury po filozofię.

Następnego dnia rano po rozmowie z Armandem David przybył do siedziby gubernatora w Valetcie, stolicy Malty. Udał się prosto do kierownika urzędu stanu cywilnego, który pełnił funkcję szefa całej maltańskiej biurokracji. Przedstawił się i wyjaśnił cichemu, skromnemu mężczyźnie, czego szuka. Otrzymał uprzejmą odpowiedź, że takie informacje są ściśle poufne.

Rozmowa toczyła się przez godzinę. David przymilał się i naciskał, a Maltańczyk trwał przy swoim. W końcu David oznajmił, że zamierza sobie kupić coś ze skór, z których Malta zasłużenie słynęła. A konkretnie pasek. Urzędnik podał mu nazwy kilku sklepów.

Po obiedzie David wrócił do urzędu. Maltańczyk zapytał go grzecznie, czy zrobił dobre zakupy.

— Tak — odparł David. — Dzięki pańskiej pomocy udało mi się dobić bardzo korzystnego targu. I proszę, żeby pan przyjął mały podarunek w zamian za pańską uprzejmość.

David położył na stole długi, wąski podarunek. Kierownik urzędu nie tknął go i przez chwilę David obawiał się, że nie uda mu się załatwić sprawy. Lecz po chwili urzędnik otworzył pakunek i wyjął czarny skórzany pasek. Nie zdejmując wzroku z Davida, pomacał skórę na całej długości. Na czarnej powierzchni pojawiły się niewielkie okrągłe wgłębienia.

Urzędnik skinął głową w stronę leżącej na stole teczki.

— Proszę wybaczyć na chwilę. Pójdę to przymierzyć — powiedział. David szybkim ruchem otworzył teczkę. Oczy mu się zwięziły.

Armand miał rację. Michael Samson, o którym mówiła Kale, dokładnie zatarł za sobą ślady. Oficjalny dokument stwierdzał **jego** śmierć w wieku ośmiu lat.

— Jak pan sądzi?

David obrócił się i spojrział na Maltańczyka. Pasek był bardzo gustowny. Nikt nie mógł podejrzewać, że jest w nim ukrytych dwadzieścia złotych krugerandów.

— Prezentuje się doskonale — stwierdził David. — W związku z tym mam dla pana jeszcze jeden.

Urzędnik uszczęśliwiony skinął głową.

— No tak. Mamy pewność, że ktoś wykorzystał dokumenty tego ośmioletniego chłopca, Michaela Samsona.

David odwrócił się od szklanej ściany gabinetu wychodzącej na foyer. Lot z Valetty trwał tylko dziewięćdziesiąt minut. Godzinę po wylądowaniu Cabot był już w kasynie.

— Tak. Posłużono się metryką urodzenia Samsona, żeby uzyskać pozwolenie na pracę, prawo jazdy i paszport. Widziałeś kopie dokumentów.

— Zdobył to wszystko, bo nikt nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, czy nie ma aktu zgonu — stwierdził Armand sarkastycznie.

David wzruszył ramionami.

— Maltańczycy nie zwracają uwagi na takie rzeczy.

— I nikt nic nie pamięta.

— Armandzie, to było siedem lat temu — przypomniał mu David. — W najlepszym razie jakiś urzędnik widział tego kogoś przez minutę czy dwie po drugiej stronie lady. Nie byłby w stanie go rozpoznać pod koniec dnia.

— Żadnych fotografii — powiedział Armand. — To mnie niepokoi. Kiedy składasz podanie o paszport, musisz dostarczyć dwa zdjęcia, jedno do paszportu, a drugie do archiwum.

— Widziałem akta. Była tam kiedyś fotografia. Widać jeszcze resztki kleju.

Maltańczyk uważa, że odkleiła się i zginęła.

— A ty jak sądzisz? David był bardzo spokojny.

— Opłacono kogoś, żeby ukradł zdjęcie.

— Możesz się dowiedzieć kogo?

— To niemożliwe. Nie wiedziałbym, gdzie zacząć. To był prawdopodobnie urzędnik, ale ci ludzie są przenoszeni lub awansowani co kilka lat. Trudno powiedzieć, gdzie może być teraz. — David zrobił pauzę. — Jeśli jeszcze żyje.

Co masz na myśli? - zapytał Armand.

— Gdybym zadał sobie tyle trudu, żeby nakłonić kogoś do kradzieży zdjęcia z kartotek paszportowych, chciałbym, żeby złodziej mi je oddał. W przeciwnym razie zawsze istniałaby możliwość szantażu. Ale złodziej widział moją twarz, nawet dwa razy: na fotografii i wtedy, kiedy mi ją dostarczył. Jedyne sposoby, by zapewnić sobie bezpieczeństwo, to śmiertelny, lecz nie budzący podejrzeń wypadek. Jestem pewien, że w którymś wydaniu *Globe and Mail* z Valetty jest wzmianka o takim wypadku. Właśnie to sprawdzam.

Obaj mężczyźni rozumieli, co to oznacza. Michael Samson był kimś znacznie bardziej niebezpiecznym niż tylko zwykłym defraudantem. Jeśli zabił raz, żeby się chronić, nie zawahałby się przed zrobieniem tego znowu, zwłaszcza gdyby przyparto go do muru.

— Jaki jest twój następny krok? — zapytał Armand.

— Jeszcze nie wiem. Nigdzie nie jadę, dopóki nie sprawdzę plotki, o której powiedział nam opat.

Armand niecierpliwie machnął ręką.

— Nie tak łatwo mnie zabić. Mam Salima i twoich ochroniarzy. Nie, Davidzie. Zajmij się Samsonem. Gdzieś musi istnieć jego zdjęcie albo przynajmniej ktoś, kto może go opisać. Zaprzęgnij do pracy swoje cenne komputery.

— Zwęszyłeś trop, co, Armandzie? — powiedział David cicho. — Jaki?

— Podejrzewam, że mamy dwa osobne tropy. Pierwszy to Pierre. Teraz odkryliśmy drugi, Michaela Samsona. Davidzie, myślę, że jeśli pociągniemy za obie nitki, stwierdzimy, że są ze sobą splecione...

Nie wszyscy pasażerowie statku wycieczkowego *Athena* postanowili odwiedzić Casino de Paradis. Niektórzy wsiedli do czekających w porcie autobusów, żeby zrobić trzygodzinną wycieczkę po mieście, inni spędzali czas indywidualnie, chodząc po bazarach rozsianych wzdłuż nabrzeża. Tylko kilku dokonało wyboru, którego cena nie była wliczona w cenę wycieczki: obiad w bejruckim Jachtklubie, trzykondygnacyjnym kompleksie zbudowanym na wzgórzu sto metrów nad basenem portowym, a potem przejażdżkę kolejką linową do posągu Dziewicy.

Alejandro Lopez nie miał nic przeciwko zapłaceniu za dodatkowe atrakcje.

Jak podejrzewał, jedzenie w klubie okazało się przeciętne. Najwyraźniej ani kierownictwo, ani szefowie kuchni nie nastawiali się na turystów. Miał jednak okazję przyjrzeć się sięgającej od podłogi do sufitu szybie oddzielającej salę jadalną i ocenić jej grubość. Dzięki temu mógł określić, jaki kaliber kuli będzie najlepszy.

Po kawie Lopez wsiadł do kolejki. W dłoni trzymał ukryty stoper. Podczas jazdy w górę nacisnął go trzykrotnie i w drodze powrotnej, po spacerze wokół posągu, również trzykrotnie. Już wiedział, że ostatni kurs kolejki jest o północy, kiedy to wszystkie wagoniki wracają do zajezdni obok basenu jachtowego. Wiedział również, że w noc karnawałową turyści i Bejrutczycy będą świętowali i bawili się gdzie indziej. Musi tylko wśliznąć się niepostrzeżenie do wagoniku, co, zważywszy na wiek i znudzenie obsługujących, nie powinno być trudne.

Jeśli chodzi o sam strzał, Lopez nie miał wątpliwości, że mu się uda. Co prawda, kolejka będzie w ruchu, ale ponieważ nie było wiatru, wagonik nie powinien się kołysać, dopóki nie dotrze do następnego słupa, dwadzieścia metrów od miejsca, z którego Lopez zamierzał strzelić.

Mijając klub, rzucił ostatnie spojrzenie na szklaną płytę i stolik, przy którym miała siedzieć jego ofiara. Sześćdziesiąt metrów, optymalny zasięg karabinu. Lopez wiedział jednak, że najskuteczniejszą bronią będzie zaskoczenie. Wzdłuż zatoki stało wiele wysokich budynków. Policja naturalnie przyjmie, że śmiertelny strzał padł z ziemi. Na szklanej płycie nie zostanie żaden ślad, wskazujący na kierunek, z którego nadleciała kula. Nawet jeśli będą mieli dość sprytu i szczęścia, dumał Lopez, i pomyślą o kolejce, to i po najstaranniejszych poszukiwaniach nie znajdą broni. Ciężki muł basenu jachtowego i jego ciemne wody pochłoną karabin, jakby nigdy nie istniał.

W powietrzu czuło się atmosferę karnawału. Kiedy zjeżdżali z góry. Kate zauważyła zmiany na ulicach. Między latarniami wisały czerwone, zielone i białe flagi — libańskie barwy narodowe. Okna sklepowe byty ozdobione wyciętymi z papieru drzewami cedrowymi. Na rogach ulic porozstawiali się straganiarze, którzy mieli na wózkach miniaturowe flagi, pamiątkowe koszulki i wszelkiego rodzaju drobiazgi służące do dekoracji. Politycy również wykorzystali okazję, by prowadzić kampanię. Na słupach ogłoszeniowych i ścianach budynków ponaklejano ogromne plakaty ze zdjęciami kandydatów. Wyróżniała się wśród nich podobizna Louisa Jabara.

Michael skręcił małym sportowym samochodem z Grandę Corniche i ruszył w stronę centrum miasta. Obserwując karnawałowe dekoracje, Kate zastanawiała się, dokąd jada. Michael zadzwonił do niej w porze obiadu z pytaniem, czy ma wolne popołudnie. Powiedział, że chce jej coś pokazać. Niespodziankę.

Wjechał na duży plac z pomnikiem trzech postaci z ramionami uniesionymi do nieba.

— Co to za miejsce?

— Plac Męczenników na pamiątkę wszystkich, którzy zginęli za kraj.

Przypominało to Kate nowojorski Washington Square, miejsce spotkań mieszkańców Greenwich Village. Z tym wyjątkiem, że tutaj panował ożywiony ruch uliczny.

Po drodze zatrzymali ich studenci w koszulkach z emblematem College'u Chrześcijańsko-Arabskiego. Michael przedstawił Kate, która szybko się pogubiła, gdyż rozmowa toczyła się jednocześnie po angielsku, francusku i arabsku. Kate zauważyła, że niektórzy studenci noszą ciężkie złote krzyże. Zapytała o to.

— To symbol naszego zaangażowania — wyjaśnił jeden ze studentów. — Dzięki swoim darom Michael Saidi umożliwił nam rozpoczęcie działalności.

— Nie rozumiem. Co umożliwił?

— Wiele rzeczy! Bejrut to nie sami bogaci ludzie. Są tu biedni, którzy potrzebują jedzenia, ubrań, pomocy medycznej. Dzięki Michaelowi możemy im pomagać na wiele sposobów.

Trochę dalej Michael zatrzymał się przed turecką kawiarnią, gdzie dwaj starsi mężczyźni siedzieli nad filiżankami wielkości naparstka. Między nimi dymiły nargile. Kate poznała po czerwonych fezach z szerokim białym pasem, że to Druzowie.

Obaj mężczyźni przywitali Michaela, jakby był ich dawno nie widzianym synem. Zrobili miejsce dla nich i poczęstowali kawą. Kate uprzejmie potrząsnęła głową, kiedy podali jej drewniany ustnik nargile. Rozmowa toczona po arabsku była ożywiona. Jeden z mężczyzn poklepał Michaela po ramieniu i zniknął na chwilę. Kiedy wrócił, wokół niego kręciło się z tuzin dzieci, porządnie ubranych i umytych. Początkowo zachowywały się nieśmiało, ale Michael wyjął cukierki i wkrótce obstały go wszystkie.

Starzec dotknął ramienia Kate.

— Dzieci Michaela — powiedział łamanym angielskim. — Mają teraz dobre życie.

— Jak każde duże miasto Bejrut jest magnesem dla mieszkańców biedniejszych części kraju — wyjaśnił Michael, gdy wreszcie się uwolnili. — Często razem z mężem czy ojcem przyjeżdża cała rodzina. Wszystko, zwłaszcza znalezienie mieszkania, staje się wtedy znacznie trudniejsze. Rodziny rozpadają się, a dzieci kończą na ulicach.

— Co to za staruszkowie?

— Pomagają tym dzieciakom i ich rodzinom.

— A kto płaci za ubrania, jedzenie i zapewnia im miejsce do spania? — zapytała Kate, patrząc uważnie na Michaela.

— Zobaczyłaś, co robię z pieniędzmi — odparł. — Teraz pokażę ci, jak je zarabiam. Pół godziny później szli nabrzeżem Piątego Basenu, najważniejszych doków bejruckiego portu. Jak okiem sięgnąć wszędzie stały tankowce, kontenerowce, drobnicowce i statki handlowe, a gigantyczne dźwigi, ogromne dziesięciokołowe podnośniki widłowe i armie robotników portowych ładowały na nie towary. Tutaj również Michael czuł się jak u siebie w domu. Przywitał się z brygadzystami i zaprowadził Kate do olbrzymiego magazynu pełnego worków z mąką i zbożem.

— Część pochodzi z mojej ziemi z Bekaa — oznajmił Michael z dumą, a potem dodał uśmiechając się szeroko: — Tak, Kate, człowiek, który cię adoruje, jest farmerem. Nie łam mu serca i nie odrzucaj z powodu jego skromnego pochodzenia. Kate zaśmiała się nerwowo, zaskoczona jego wyznaniem.

— Pewnego dnia pokażę ci dolinę Bekaa. Była spichlerzem zbożowym Libanu jeszcze przed czasami Rzymian. Jesteśmy tak bogatym krajem, że możemy wysyłać żywność tym, którzy jej potrzebują. Nie przeczę, że czerpię z tego zyski. W przeciwnym razie byłbym głupcem albo złym przedsiębiorcą. I chociaż sam nie brudzę sobie rąk ziemią, dbam, żeby jej dary docierały wszędzie. Więc teraz już wiesz, Kate. Wczoraj ofiarowałaś mi wspaniały dar, okazując zaufanie. Chciałem więc pokazać ci, że nie popełniłaś błędu. Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowana.

— Jak mogłabym być? — szepnęła Kate rozglądając się. Oszołomiona tym, co zobaczyła, nie dostrzegła nieobecnego wyrazu twarzy Michaela. A on myślał o prostolinijnych i pobożnych studentach College'u Chrześcijańsko-Arabskiego. Jednym z jego najbardziej śmiałych i sprytnych posunięć było zepsucie tych młodych ludzi i zrobienie z nich handlarzy heroiną. Ostatecznie, kto podejrzewałby osobę noszącą złoty krzyż? A dzieci... w tej chwili dwaj starzy Druzowie, jego pośrednicy, ustawiają je w szeregu, żeby jacyś zdegenerowani Syryjczycy lub Irakijczycy mogli je sobie obejrzeć. Kiedy zobaczył, pod jakim wrażeniem jest Kate, omal się nie roześmiał. Pszenica należała do niego, podobnie jak pola, na których rosła. Ale Bekaa dawała znacznie większe plony. Ukryte w workach ze zbo-

żem, przeznaczone nie dla Afryki, lecz dla Nowego Jorku, najlepsze opium na świecie.

Michael zaprowadził Kate do małej restauracji, gdzie uśmiechnięci arabscy chłopcy podrzucali wysoko w górę ciasto na pizzę.

— Najlepsza pizza na wschód od „Raya” z Siedemdziesiątej Alei — zapewnił Michael z powagą. — Niektórzy twierdzą, na nawet lepsza.

Kate roześmiała się.

— Niemożliwe!

Patrzyła, jak Michael znika w tłumie przy ladzie. Kilka minut później zjawił się z dwoma parującymi talerzami.

— Cześć, Kate.

— David! — Przestraszona spojrzała w górę i napotkała zimny, beznamiętny wzrok.

— Nie spodziewałam się ciebie tutaj...

— Mogę usiąść?

Nie czekając na zaproszenie, David usiadł i spojrzał w stronę Michaela, który zbliżał się do stolika.

— Pan jest zapewne Michael Saidi. Ja nazywam się David Cabot. Michael powoli postawił talerze, wytarł palce i podał mu rękę.

— Tak, wiem — powiedział chłodno. — Pańska reputacja wyprzedza pana.

— O panu również słyszałem parę rzeczy, panie Saidi.

— Mam nadzieję, że dobrych. David pozostawił to bez komentarza.

— Opuścił pan Liban wkrótce po śmierci ojca, prawda?

— Nie miałem po co zostawać.

— Chyba tak. Powiodło się panu w Ameryce.

— Wie pan, co mówią, panie Cabot. Ameryka to kraj dużych możliwości.

— A co pana sprowadziło, panie Saidi?

— Bejrut to mój dom, panie Cabot.

O co tutaj chodzi? zdziwiła się Kate. I wtedy przyszła jej do głowy inna myśl. Skąd David wiedział, gdzie jej szukać.

Kate wyjrzała przez otwarte drzwi na plac. Po drugiej stronie dostrzegła zasłoniętego przez tłum przechodniów białego rolls-royce'a. Po obu jego stronach stali dwaj wysocy, potężni mężczyźni, którzy wydawali się patrzeć prosto na nią.

Śledzili mnie!

Kate zerwała się gwałtownie.

— Michaelu, przykro mi, ale muszę iść. Zadzwoń do ciebie później.

— Kate, co się stało...?

— Przepraszam! — Roztrzęsiona wybiegła na ulicę.

— Co, u licha, się dzieje? — zapytał Michael.

— Nic, co by pana dotyczyło, panie Saidi — odparł David. Kiedy David ją dogonił, wybuchnęła gniewem.

— Co tutaj robisz?

— Nie w ten sposób, Kate — powiedział łagodnie, biorąc ją za ramię. — Nie na ulicy.

Wyrwała mu się.

— Kto ci dał prawo, żeby mnie śledzić? David otworzył tylne drzwi rolls-royce'a.

— Proszę, Kate.

Niechętnie wsiadła do samochodu, który ruszył, gdy tylko David wsunął się na siedzenie obok niej.

— Armand wspomniał ci o informatorze twojego ojca — powiedział.

— Tak, ale co...

— Policja z Aix-en-Provence znalazła dzisiaj rano jego ciało. Początkowo wyglądało to na wypadek. Z zamiłowania był ornitologiem. Chodzenie po tych stromych wzgórzach i wąwozach może być niebezpieczne. Lecz gdy zrobili sekcję, stwierdzili, że został zamordowany.

Kate opadła na skórzane oparcie. W głowie kłębiły się jej pytania, ale nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

— Armand... — zaczęła.

— Armanda chwilowo nie ma w kraju — poinformował ją David. — Zadzwoń do ciebie, kiedy będzie mógł. Powiedział, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, wróci na karnawał.

— Co mam robić do tego czasu?

— Pomóż mi nie dopuścić do tego, co się wydarzyło w Aix-en-Provence — odparł David. — Gra staje się coraz ostrzejsza, Kate. Mam nadzieję, że to dostrzeżasz.

Emil Bartoli wyszedł po Armanda na lotnisko Kennedy'ego.

— Dobrze cię znowu zobaczyć, przyjacielu — powiedział, odbierając od niego torbę.

— Ciebie również. Jakież wieści?

— Przycisnąłem Prudence Templeton, tak jak mnie prosiłaś — poinformował Emil, kiedy limuzyna ruszyła w stronę Manhattanu. — Nie miała ochoty rozmawiać o Michaelu Samsonie, ale zgodziła się spotkać z tobą w hotelu dzisiaj wieczorem.

— Myślisz, że nam coś powie? Emil zacisnął usta.

— Wspomniała mi, że Kate już z nią rozmawiała o Samsonie, nie wie, co jeszcze mogłaby dodać. Sprawiała wrażenie przestraszonej...

— Próbuje kogoś chronić?

— Niewykluczone. Może ty coś z niej wydobędziesz.

Armand streścił mu swoją krótką rozmowę z Kate na temat Michaela Samsona, a potem zrelacjonował, co David Cabot odkrył na Malcie.

Na twarzy Emila odmalowało się zdziwienie i konsternacja.

— Mój, Boże, jakim byłem głupcem! — szepnął. — Przez tyle czasu nie skojarzyłem tych dwóch rzeczy — defraudacji i śmierci Samsona.

— Nie Samsona — poprawił go Armand. — Nie wiadomo, kogo zidentyfikowała Prudence Templeton. Człowiek, którego szukamy, to nie tylko defraudant. To morderca.

Armand zameldował się w Waldorfie, wziął prysznic i położył się, by odpocząć. O piątej włożył świeży garnitur i szedł na dół do „Peacock Alley”, wytwornej sali koktajlowej urządzonej przez amerykańskiego projektanta wnętrz na wzór irańskiego pałacu królewskiego. Emil już czekał na niego w zacisznym kącie, który gwarantował spokój.

— Powinna się zjawić lada moment — powiedział Bartoli, patrząc w stronę wejścia.

— Już jest.

Armand zobaczył kobietę o wyglądzie matrony, która stanęła w łukowatym wejściu i zawahała się. Kiedy spostrzegła Emila, na jej twarzy pojawiła się wyraźna ulga. Lecz prawie natychmiast uśmiech zniknął na widok Armanda.

— Prudence, dziękuję, że przyszedłaś — przywitał ją Emil kurtuazyjnie. — Pozwól, że przedstawię ci mojego dobrego przyjaciela z Bejrutu, pana Armanda Fremonta. Armand uklonił się i pocałował Prudence w rękę.

— Miło mi — powiedział. — Alexander zawsze mówił o pani z uznaniem.

Prudence splonęła rumieńcem.

— O panu również — odparła. — Wydaje mi się, że już pana dobrze znam.

Usiadła na ławeczce i zwróciła się do Emila.

Nie wiedziałam, że pan Fremont też tu będzie.

— Pan Fremont przyjechał z Bejrutu, ponieważ zebrał bardzo niepokojące informacje o Michaelu Samsonie, czy też kimkolwiek on jest.

— Ja... nie rozumiem, panie Bartoli. Nie wspomniał mi pan o tym przez telefon.

— To ja go o to prosiłem — wtrącił się Armand. — Panno Templeton, proszę mnie najpierw wysłuchać.

Prudence położyła torebkę na kolanach i zacisnęła na niej dłoń.

— Dobrze. Słucham.

Powoli, nie pomijając żadnego szczegółu, Armand przekazał jej wszystko, czego się dowiedział na temat mężczyzny o nazwisku Michael Samson. Współczuł tej biednej kobiecie, która w miarę słuchania zmieniała się na twarzy.

— Jak pani widzi, panno Templeton, Michael Samson nie jest tym, za kogo się podaje. Dlatego potrzebujemy pani pomocy. Przez jakiś czas byliście ze sobą blisko i pani zidentyfikowała ciało. Musimy się dowiedzieć o nim jak najwięcej. I jeszcze najważniejsza sprawa. Czy ma pani jego zdjęcie?

Prudence Templeton drżącą ręką sięgnęła po wodę mineralną.

— Nie wiem, co powiedzieć — wydusiła. — To wszystko brzmi tak niewiarygodnie.

— Ale to prawda — zapewnił Emil. — Proszę, Prudence, liczymy na panią.

— Jest tak niewiele — szepnęła. Po chwili opanowała się i zaczęła opowiadać o swoim związku z Michaelem Samsonem, o miejscach, do których jeździli, o rzeczach, które robili. Z naciskiem podkreśliła, że nigdy nie była w jego mieszkaniu i że Michael nie poznał nikogo spośród jej niewielu przyjaciół. — Był bardzo nieśmiały pod tym względem — zakończyła ze smutkiem. — Przypuszczam, że to dlatego nigdy nie pozwolił zrobić sobie zdjęcia. Nawet wspólnego.

— Ale może nam pani podać jego opis — naciskał Armand. — Gdyby pani usiadła z rysownikiem, udałoby się pani stworzyć portret.

— Tak, przypuszczam, że tak.

— Dobrze. Jutro jest sobota. Odpowiada to pani? Prudence skinęła głową. Armand wyciągnął do niej rękę.

— Rozumiem, co pani czuje. Ale nie tylko pani została oszukana przez, tego człowieka. I nie jest pani odpowiedzialna za to, co zrobił. Może byłoby lepiej, gdyby zatrzymała się tu pani na noc. Jeśli sobie pani coś przypomni lub będzie chciała po prostu porozmawiać, będę pod ręką.

To bardzo uprzejme z pana strony, panie Fremont. Ale wołała-

bym pójść do domu. Spodziewam się telefonu rano. A teraz, jeśli mi panowie wybaczą...

Zanim zdążyli zaprotestować, wstała i ruszyła szybkim krokiem do wyjścia.

Armand powstrzymał Emila, który zrobił ruch, jakby miał zamiar iść za nią.

— Nie. Emil usiadł.

— A jeśli się rozmyśli? Co wtedy zrobimy? Armand zdusił w sobie strach.

— Emilu, właśnie się dowiedziała, że mężczyzna, którego kochała i z którym sypiała, jest mordercą. Musimy dać jej trochę czasu, żeby ochłonęła. Jutro spróbujemy znowu. Jeśli będzie trzeba, weźmiemy się do niej ostrzej.

Prudence Templeton przeszła piętnaście przecznic do małego mieszkania na Murray Hill jak lunatyczka. Dwa razy próbowała przejść przez skrzyżowanie na czerwonym świetle i omal nie wpadła pod samochód. Nigdy jeszcze nie słyszała tylu obelg.

Zamknęła za sobą drzwi, zdjęła płaszcz i poszła do kuchni przygotować sobie herbatę. Z filiżanką w dłoni usiadła w ulubionym fotelu i sięgnęła do metalowego pudełka, w którym kiedyś trzymała drogie angielskie herbatniki.

Przerzuciła pamiątki i wyłowiła fotografię... jedyną, którą ukradkiem zrobiła Michaelowi pewnego dnia na Washington Square. Nie pokazała jej Katherine Maser.

Dopiero teraz, patrząc na zdjęcie, pozwoliła sobie na łzy. Oczywiście miała podejrzenia. Tysiąc razy zadawała sobie pytanie, w jaki sposób złodziej zdobył potrzebne kody. Właściwie to знаła odpowiedź. Lecz nie chciała w nią uwierzyć.

Uśmiechnęła się słabo. Ci idioci z Rezerwy Federalnej, tacy ważni, nie znaleźli wytłumaczenia. Chociaż było tak oczywiste... tak smutne i bolesne.

Rozejrzała się po małym saloniku. Której to nocy Michael przyszedł tutaj i szeptał jej do ucha słodkie słówka? Kochał się z nią, przez cały czas czekając na okazję, by zsunąć z kółka klucz do jej szuflady? Tylko w ten sposób mógł podejrzeć przyklejony taśmą świstek papieru z kodami Alexandra Masera i Emila Bartolego.

Zadrżała, odstawiła filiżankę i owinęła się szalem. Komu się oddała? Kim był ten nieznajomy o miękким dotyku i pieśczołliwym głosie?

Wzięła fotografię leżącą na kolanach. Czy nie zasłużyła na odrobi-

nę miłości. Czy nie miała prawa poczuć ramion mężczyzny, jego ciepła w zimne noce, kiedy deszcz bębnił o szyby? *Ale cena...*

Prudence zdawała sobie sprawę, że wina za nieszczęście, które spotkało Maritime Continental, spoczywa na niej. Może gdyby pokazała zdjęcie Katherine Maser, wielu rzeczy można by uniknąć. Michael Samson nie zginął w pożarze. Zabił kobietę, którego ciało znaleziono w mieszkaniu. Michael żyje. Gdyby dała zdjęcie pannie Maser, można by go odszukać i zamknąć. Niewinni zostaliby uwolnieni od zarzutów, a bank odzyskałby reputację.

Prudence zaśmiała się do siebie. Nie mogła postąpić inaczej. Michael Samson był dla niej kimś rzeczywistym. Czowała go, smakowała, chłoneła. W jej życiu było tak niewiele namiętności i szczęścia, że nie potrafiła zniszczyć wspomnień.

Owinięta szalem podeszła do grzejnika gazowego i otworzyła zawór. Wróciła na fotel i zapatrzyła się na zdjęcie. Herbata ostygła. Z góry dobiegało trzeszczenie desek podłogowych. Sąsiedzi szykowali się do snu. Prudence siedziała bez ruchu. Przez przypadek lub celowo nie zapaliła zapalniczki...

— Nikt nie odbiera w jej mieszkaniu — rzucił Armand do słuchawki. Spojrzał na zegarek. — Jest ósma. Gdzie ona może być?

— Mam nadzieję, że wyszła po pieczywo — odparł Emil. — Szybciej będzie, jeśli się u niej spotkamy.

Dwadzieścia minut później Emil wcisnął guzik domofonu. Nikt się nic zgłosił.

— Dozorca — podsunął pomysł.

— Nie, zaczekaj.

Armand zauważył młodą parę schodzącą po schodach. Gdy drzwi się otworzyły, uśmiechnęli się i wśliznęli do środka. Na drugim piętrze poczuli silny odór.

— Gaz! — zawołał Emil.

Armand poruszył gałką u drzwi Prudence.

— Prawdopodobnie ma podwójny zamek.

Szybko obejrzał zawiasy. Dał znak Emilowi, cofnął się, zebrał siły i całym ciężarem rzucił się na drzwi. Drewno pękło pod wpływem uderzenia.

Obaj zasłonili usta i nosy chusteczkami i wbiegli do środka. Emil otworzył szeroko okna, podczas gdy Armand zakręcił gaz i podszedł do miejsca, gdzie siedziała Prudence Templeton. Miała pogodny wyraz

twarży, jakby spała. Niebieskawy odcień skóry świadczył jednak o czymś innym. Armand zamknął jej oczy i już miał się odwrócić, kiedy zauważył zdjęcie. Wyjął je ze sztywnych palców i wyszedł na korytarz.

Po zaalarmowaniu dozorca, który natychmiast wezwał straż pożarną i policję, Armand i Emil wyszli z budynku.

— Dlaczego to zrobiła? — po raz kolejny powtórzył Emil. — O nic jej nie oskarżaliśmy...

— To nie miało nic wspólnego z nami — stwierdził Armand. — Spójrz.

Pokazał mu fotografię młodego mężczyzny. Emil spojrzał na zdjęcie, a potem na Armanda.

— Samson? Znasz go?

— Jestem prawie pewien — odparł Armand. — Jak tylko wrócę do Bejrutu, przekonam się! — Kiedy pierwszy samochód policyjny z piskiem zatrzymał się przy krawężniku, Armand wsunął zdjęcie do kieszeni. — Dasz sobie radę sam? — zapytał.

— Chodzi o Kate, prawda? — Emila zaskoczył wyraz strachu, który dostrzegł w oczach przyjaciela.

Armand skinął głową.

— Jedź! — powiedział Emil i odwrócił się plecami, jakby go nie znał.

Kate zamknęła raport francuskiej policji i położyła na stoliku między sobą a Davidem Cabotem.

— Człowiek, który próbował pomóc mojemu ojcu i którego ty szukałeś, został zamordowany — stwierdziła. — Co to oznacza?

— Ze nasze śledztwo doprowadziło kogoś do ostateczności — odparł David. — I dlatego ten ktoś jest bardzo niebezpieczny.

— Ale kto?

David nie miał wątpliwości, że zamieszany jest w to Pierre, ale inwigilacja jak dotąd niczego nie dała. Fremont ani na jotę nie zmienił rozkładu zajęć. Nie wyjechał z kraju, nie przyjmował innych gości niż zagraniczni bankierzy, których twarze David dobrze znał. A jednak to Pierre skorzystał ze śmierci Kennetha Mortona, jedyne go człowieka, który wiedział o jego oszustwach w Banque de Liban. Bez zeznań Anglika wytoczenie sprawy Pierre'owi byłoby znacznie trudniejsze.

Ale jest ktoś jeszcze. Dziewczyna Pierre'a. To ona chodzi tam, gdzie Pierre nie może. ona organizuje spotkania i robi rzeczy, nu które Piene by się nie odważył. Na przykład kontakt z Bachusem

— Davidzie?

Otrząsnął się z zamyślenia.

— Anglik został zamordowany, ponieważ ktoś zwęszył, że go szukamy, a to oznacza, że ty, Armand i ja jesteśmy potencjalnymi celami.

— Gdzie jest Armand? — zapytała Kate. — Kiedy wraca? David obliczył w pamięci różnicę czasu. Armand kilka godzin temu wylądował w Nowym Jorku. Prawdopodobnie już rozmawiał z Bartolim. Gdy tylko dowie się czegoś konkretnego, zadzwoni. On natomiast miał zadbać o to, by Kate nic się nie stało.

— Z kim będziesz oglądać paradę? — zapytał.

— Umówiłam się z Armandem — odparła. — A także z Jasmine i... Michaellem Saidim. — Kate zrobiła pauzę. — Davidzie, jeśli coś przede mną ukrywasz...

— Chciałbym, żeby o to chodziło — powiedział. — Zaczekamy do jutra. Tylko pamiętaj, musisz ze mną porozmawiać, zanim coś zrobisz.

Kate zadrżała.

O świcie David był jedynym pieszym na promenadzie graniczącej z Grande Corniche. Od czasu do czasu mijała go ciężarówka albo pusta taksówka, a ciszę zakłócał tylko szum morza.

Szedł dokładnie tą samą trasą, którą za kilka godzin ruszą orkiestry, wozy i komicy. Przesuwał wzrokiem po szczytach budynków mieszkalnych stojących przy Corniche, wypatrując dogodnych stanowisk strzeleckich i obliczając trajektorie. Jego ludzie dostarczyli mu listę wszystkich mieszkańców i właścicieli domów. Niemal wszyscy mieszkali tutaj od lat i byli szanowanymi Bejrutczykami. Davidowi nie chodziło o nich. Chciał wiedzieć, czy nie odwiedził ich ostatnio jakiś kuzyn, siostrzeniec, wuj lub inny gość. Nikt taki się nie pojawił.

David dotarł do platformy widokowej, na której zawsze zajmowali miejsce Fremontowie. Obszedł ją powoli. Sędziowie zasiadali w środkowym rzędzie, żeby mieć lepszy widok na przejeżdżające wozy i maszerujące zespoły. Bejruckie towarzystwo tłoczyło się za nimi na wyższych kondygnacjach. David nie mógł zmienić tego ustawienia, ale kazał przesunąć krzesło Armanda ze środka platformy na sam koniec, gdzie będzie mniej widoczny.

David podjął jeszcze inne środki ostrożności. Doszedł do wniosku, że zabójca spróbuje wykonać zadanie podczas parady. Chciał nie tylko przeszkodzić Bachusowi, ale go złapać. Był dobrze przygotowany. Teraz on i Armand potrzebowali tylko odrobiny szczęścia.

Dokładnie o dziewiątej rano wystrzeliło dziewiętnastowieczne działo na bejruckiej cytadeli, mistrz ceremonii dał znak i rozpoczęła się parada karnawałowa.

Ruszyło sześćdziesiąt wozów z ruchomymi obrazami pracowicie przygotowanymi w ciągu roku przez poszczególne grupy zróżnicowanej populacji Bejrutu. Między nimi maszerowały orkiestry, nubijscy śpiewacy, beduińscy jeźdźcy, północnoafrykańscy tancerze z cymbałkami i kompanie reprezentacyjne. Szli żonglerzy, klowni i połykacze ognia, piękne dziewczęta w skąpych strojach kąpielowych, mężczyźni ubrani w jaskrawe kostiumy z jedwabiu, piór i skóry, w wielkich groteskowych maskach. Tysiące ludzi tłoczyło się na Corniche, tysiące usadowiło się na latarniach lub cisnęło na balkonach budynków mieszkalnych wzdłuż trasy. Bogaci żeglarze lub właściciele jachtów zaprosili gości na warte miliony dolarów łodzie stojące w porcie.

Wśród widzów kręcili się mężczyźni o bystrym wzroku. Niektórzy obserwowali balkony lub ludzi wokół siebie, inni trzymali się bardzo blisko trybuny. Przypięte do pasków walkie-talkie trzeszczały bez przerwy.

Wysoko nad trasą pochodu krążył samotny helikopter. Od czasu do czasu schodził do poziomu dachów, po chwili wznosił się i zawisał w miejscu. David przyciskał do oczu ciężką wojskową lornetkę. Wyraźnie widział wszystko, co się dzieje w dole. Do tej pory nie zauważył niczego podejrzanego. Podobnie zresztą jak jego ludzie. Spojrzał na zegarek. Minęły już cztery godziny. Jeszcze dwie, zanim przejadą ostatnie wozy. Wyregulował ostrość i wrócił do obserwowania Corniche.

Kate wiedziała, że jest to dzień, którego nigdy nie zapomni. Parada dorównywała obchodom Mardi Gras w Nowym Orleanie, a miejsce na platformie tuż za sędziami zapewniało doskonały widok. Później wszyscy udali się na przyjęcie w prywatnych łóżach Klubu Jeździeckiego, skąd mogli obserwować wyścigi konne.

— Myślę, że to jedna z najlepszych parad od wielu lat.
Kate odwróciła się, słysząc ten głos. Obok niej usiadł Michael Saidi.
— Nigdy nie widziałam podobnej! — przyznała.
Mimo nieobecności Armanda i ostrzeżenia Davida Kate dobrze się bawiła.
Wciągnęła ją atmosfera święta i powszechnej radości.
— Nikt nie widział Armanda Fremonta — zauważył Michael. — Zwykle jest jednym z sędziów.
— Dogłąda interesów — powiedziała krótko.
Właśnie wprowadzono konie na start. Rozległ się sygnał, barierki poszły w górę i konie wyskoczyły z boksów.
— Cóż — powiedział Michael na koniec wyścigu — przynajmniej wygrałem kilka funtów. — Pomachał szczęśliwie biletem.
Jasmine i inni obecni w loży zaśmiali się.
— Kate, zdaje się, że jesteś nieobecna duchem — stwierdził Michael. — Mam nadzieję, że nie ma to nic wspólnego z naszym niefortunnym spotkaniem z Davidem Cabotem.
— Nie — odparła szybko. Przykrył jej dłoń swoją.
— Jeśli chcesz porozmawiać, nie krępuj się. Kate ścisnęła go za rękę.
— To naprawdę nic takiego. David dostał wiadomość od Armanda, to wszystko. Armand i jego małe tajemnice...
Jak długo nie dotyczą mnie, pomyślał Michael. Był pewien, że Kate nic nie wie. Lepiej jednak zostanie przy niej do końca dnia, na wypadek, gdyby...
— Dziękuję, że zapytałeś — powiedziała nagle Kate.
— Będziesz dzisiaj na kolacji w Jachtklubie? — zapytał Michael po tym, jak zwycięscy dżokeje otrzymali trofea.
Kątem oka Kate dostrzegła Davida idącego w jej stronę. Wyzywająco uniosła podbródek i głośno, tak żeby David usłyszał, powiedziała:
— Oczywiście, że będę. Usiądziemy razem.
Sala jadalna bejruckiego Jachtklubu była niemal pusta. W końcu pomieszczenia trzech barmani czyścili szkło, a pomocnicy kroili cytryny w plasterki. Zachodzące słońce wpadało przez wielkie okna i odbijało się od kryształów i porcelany, którymi nakryto kilkadziesiąt stolików. Kate usiadła przy oknie. Była w tym samym kremowym garniturze, zielonej bluzce i żółtym szalu, co na wyścigu. Gdy wróciła do willi Armanda, dwadzieścia minut później zjawił się David i powiedział jej, że samolot Armanda jest już sto mil od Bejrutu.

— Chce, żebyśmy spotkali się z nim w klubie — poinformował ją. — Nie pytaj mnie o szczegóły, bo nic nie wiem. Jesteśmy oboje na tej samej łodzi.

Teraz patrzyła, jak David z papierosem w dłoni idzie między krzesłami. Widać w nim było napięcie.

Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Armand. Ruszył szybkim krokiem w ich stronę. Uniósł rękę w powitalnym geście, ale minę miał poważną.

Dowiedział się czegoś? pomyślała Kate. Wzięła torebkę i wstała. Kątem oka zobaczyła, że David przyspiesza kroku. W tym momencie szklana ściana za nią rozpadła się na miliony kawałków, a David zachwiał się jak uderzony przez niewidzialnego giganta.

Następna kula przeleciała cicho przez pustą framugę. Kate poczuła żar na policzku i odskoczyła, widząc, jak na piersi Davida wykwitła krew.

— Nie!

Armand oglądał całą scenę jakby w zwolnionym tempie. W jednej chwili uświadomił sobie okrutną prawdę: to David, a nie on był od samego początku celem zabójcy. Stał się nim w chwili, kiedy zaczął śledzić Pierre'a. Przez cały ten czas David znajdował się na celowniku...

Armand krzyknął z wściekłości i rzucił się w stronę Davida. Nie dotarł do niego, trafiony przez kulę, która utkwiała mu w plecach. Poczul jakby mocne pchnięcie i wypadł na taras. Usłyszał krzyk Kate. Na moment przywarł do balustrady, ale impet był zbyt wielki. Stracił siły, puścił się i spadł na ziemię. Potoczył się w dół po stromym zboczu prosto we wzburzone wody.

Sto jardów dalej w wagoniku kolejki Alejandro Lopez obserwował ofiarę przez celownik. Dziewczyna klęczała. Miała pobladłą, zropaczoną twarz i wpatrywała się w ciemność, gdzie spadł mężczyzna. Bachus przez chwilę trzymał palec na spuście. Wymierzył w środek czoła dziewczyny. Potem jednym szybkim ruchem zabezpieczył broń. Już wykonał zadanie, a za dziewczynę nie dostał zapłaty.

Wycie syreny policyjnej i karetki ginęło w świątecznej wrzawie. Krew na ubraniu Kate zaschła, materiał zrobił się sztywny. Policja zamknęła Jachtklub i otoczyła kordonem, żeby nie dopuścić telewizji ani reporterów. Przed drzwiami, za którymi leżało ciało Davida Cabota, stał Salim. Wydawało się, że prawie nie oddycha. Minęła niecała godzina od chwili, kiedy świat eksplodował wokół Kate. Wciąż miała przed oczami ten obraz jak żywy: salę zasypującą od-

lamki szkła, David okręca się i pada, Armand rzuca się w jego stronę, zalewa się krwią, a potem przechyla przez balustradę i spada w ciemność, ona krzyczy. Rozmawiała z policją urywanym, drewnianym głosem. Próbowwała wziąć się w garść, pomóc. Przez cały czas dotykała zakrwawionych rękawów, jakby to były talizmany. David nie żyje, ale ona nie uwierzy w śmierć Armanda, dopóki nie pokażą jej ciała.

Ostrożnie ruszyła przez taras. Palce jej drżały, kiedy dotykała poręczy. Silne ręczne latarki oświetlały zboczne. Ratownicy szukali Armanda bremonta. W górze krążyły nad zatoczką dwa helikoptery z silnymi reflektorami, których promienie tańczyły na ciemnej kłębiącej się wodzie. Patrolowe łodzie policyjne pływały po obrzeżach zatoczki, nie mogąc się bardziej zbliżyć z powodu fal i skał. Kate usłyszała czyjś okrzyk, że wezwano „Zodiaki”. Te małe szybkie pontony wyposażone w silniki mogły dotrzeć do brzegu na tyle blisko, by wysadzić nurków, którzy poszukują ciała między skałami.

— Kate...

Drgnęła i obejrzała się. Obok niej stali Michael i Pierre. Rzuciła się Michaelowi na szyję. Z przerażenia, rozpaczy i wściekłości z oczu trysnęły jej łzy.

— Przyjechałem jak najszybciej, Kate. Nie wiem, co powiedzieć. To wszystko jest zbyt straszne.

— Kate — zaczął się uzalać Pierre. — Policja zadała mi mnóstwo idiotycznych pytań! Czy Armand miał wrogów? Czy mu grożono? Czy w kasynie ktoś ostatnio dużo przegrał? Skąd mogę to wszystko wiedzieć.

— To nie był niezadowolony hazardzista — powiedziała Kate ci-c_ho. — Ani szaleniec. Ci, którzy zabili Armanda i Davida, starannie to zaplanowali. Wiedzieli, gdzie będą i kiedy...

Pierre cofnął się.

— Kate, co ty mówisz?

— Tego nie zrobił jeden człowiek. Jeden człowiek pociągnął za spust, ale był tylko narzędziem.

— Kate, zwariowałaś — stwierdził Pierre nerwowo. — To wszystko nonsens. Rojenia o jakimś spisku...

Oczy Kate zapłonęły.

— Nie wąż się tak myśleć! Kiedy znajdą Armanda, sam wam powie...

— Kate, Armand nie żyje! Dostał kulę w plecy. Sama tak powiedziałaś. Widziałaś to! Nawet jeśli przeżył postrzał, upadek, fale... Kate, proszę nie dręcz się w ten sposób!

Kate zakryła twarz rękami, szlochając.

— Boże, już nie wiem, co się dzieje.

Michael objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

— Przestań, Pierre — powiedział. — Ona jest w szoku. Nie pogarszaj jej stanu. —

Uniósł brodę Kate. — Zabiorę cię do domu. Nic tutaj nie możesz zrobić. Policja zadzwoni, jak tylko znajdą Armanda. Pierre tego dopilnuje.

Spojrzał na Pierre'a, który skinął głową.

— Ja... chcę być przez chwilę sama — szepnęła Kate. Michael niechętnie puścił ją i patrzył, jak odchodzi i klęka obok

ciała Davida Cabota. Odsunęła prześcieradło, żeby popatrzeć na jego twarz.

Co znalazłeś? Co ich tak przestraszyło, że musieli cię uciszyć... i Armanda? Kim jest kryjący się w cieniu człowiek, który stoi za tym wszystkim? Tak czy inaczej, Davidzie, dowiem się prawdy!

Pierre zapalił papierosa, nie odrywając wzroku od Kate. Zauważył, że drżą mu dłonie. Czy serce przestanie mu wreszcie walić jak oszalałe?

Piłat również umył ręce... Pierre myślał, że teraz już będzie szczęśliwym

człowiekiem. Ludzie, którzy mogli poznać jego sekret, zagrozić mu

zdemaskowaniem i hańbą, odeszli. Nic nie zagrażało jemu ani Cleo. Spółka wystawi akcje kasyna na sprzedaż. On stanie się bogaty ponad wszelkie wyobrażenie, będzie mógł oddać ukradzione pieniądze, przez resztę życia spełniać wszystkie zachcianki Cleo. Wiedział, że jego krewniak zginie, i nic nie zrobił.

Pierre patrzył, jak Kate przykrywa Davida i wstaje. Nie wróciła do Michaela, lecz podeszła do Salima.

— On nie żyje. Musimy teraz iść do domu, czekać i modlić się. Olbrzymi Turek zadrżał, jakby zaraz miał się rozpaść na kawałki.

Potem zgarbił się, a Kate wzięła go za rękę i wyprowadziła jak dziecko.

Komisarz policji osobiście zawiadomił Jasmine o strzelaninie, tłumacząc się gęsto, że przekazuje jej taką wiadomość przez telefon.

— Uznałem, że powinna pani dowiedzieć się natychmiast. Za godzinę rozejdą się plotki o tym, co się stało. Posyłam do pani jednego z moich zastępców. Poleciłem detektywom, żeby go na bieżąco informowali. Niezwłocznie przekaże wszystkie szczegóły, które zdobędziemy.

Jasmine odegrała swoją rolę po mistrzowsku. W jej głosie słyhać było szok, smutek i gniew.

— Dziękuję, komisarzy... — Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Louisa — Zrobione.

Oczy Louisa rozszerzyły się, a twarz zszarzała. Jasmine chwyciła go za ramiona. — To twoja chwila! — szepnęła nagle. — Wyglądasz doskonale. Na twojej twarzy widać zaskoczenie i smutek. Tylko się nie załam, Louis. Jeszcze coś musimy zrobić. Już niedługo, kochanie, obiecuję.

Jasmine zniknęła w sypialni i zadzwoniła do Nabilu Tufailego. *Zuama* przybyli w ciągu godziny. Jasmine zaprowadziła ich w drugi koniec mieszkania, daleko od służby, i zamknęła drzwi. Spojrzała kolejno na dwunastu siedzących przed nią mężczyzn.

— Nasze miasto i kraj spotkała potworna tragedia — oświadczyła. — David Cabot nie żyje, a Armand zginął i przypuszczalnie zmarł z powodu ran lub utonął. Atak na Armanda Fremonta jest atakiem na nas wszystkich...

— Ale kto go zabił, Jasmine? — zapytał Nabil Tufaili cicho. — Kto chciał śmierci Armanda?

— Gdybym знаła odpowiedź, rozmawiałabym teraz z policją! — odparła ze złością.

— Według mnie to dzieło jakiegoś malkontenta albo fanatyka religijnego. Jeśli coś takiego mogło się przydarzyć Armandowi, może się przydarzyć każdemu z nas. W Libanie panuje porządek, ponieważ wszyscy doskonale wiedzą, kto ma władzę. Albo raczej kto ją powinien mieć. Uważam, że odpowiedzialnością za tę tragedię można obarczyć nas. Tak, nas wszystkich tu obecnych. Przez wiele miesięcy spieraliśmy się o kandydata na prezydenta. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że niezgoda osłabia nas, daje szansę innym. To dlatego Armand zginął! Pozwoliliśmy, by władza wymknęła się nam z rąk. Ale odzyskamy ją. Teraz!

— Jaką masz propozycję, Jasmine? — zapytał Nabil Tufaili.

— Nadal tę samą. Bezwarunkowe poparcie dla Louisa.

— Co się zmieniło od ostatniej rozmowy?

— Chodziło o pieniądze, prawda? — powiedziała Jasmine. — Dobrze. Louis i ja mamy już dla was zabezpieczenie!

Obecni spojrzeli po sobie.

— Podaj nam szczegóły, Jasmine, jeśli łaska.

— Cóż, sądziłam, że to oczywiste. Kto inny może odziedziczyć kasyno oprócz mnie i Pierre'a? A ponieważ oboje uważamy, że wystawienie Societe des Bains Mediterranien na sprzedaż jest rozsądną decyzją, wartość naszych udziałów w kasynie wzrośnie pięciokrotnie. Rozumiecie już? — Jasmine przesunęła spojrzeniem po niekoronowanych władcach Bejrutu. — Louis i ja chcielibyśmy uzyskać odpowiedź. Teraz.

— Oczywiście musimy to najpierw omówić — zaczął Tufaili.

— Żadnych dyskusji, Nabilu. Tak czy nie.

Tufaili w pierwszym odruchu chciał wyjść, ale kątem oka dostrzegł, że pozostali *zuama* nie ruszają się. Jasmine obraziła ich, ale jednocześnie czuli strach i niepewność. Ostatecznie Armand Fremont był jednym z nich. Teraz nie żył, a doskonale zrozumieli spokojne wyjaśnienie Jasmine.

Jeden z gości przejął inicjatywę.

— Macie nasze poparcie.

Samochody pełne reporterów i kamerzystów zablokowały drogę \do willi Armanda Fremonta. \

— Tylko nie to! Nie teraz!

Salim wyciągnął rękę i poklepał Kate po dłoni. Wysiadł zza kierownicy rolls-royce'a i ociężale ruszył w stronę dziennikarzy. Powiedział coś do nich poważnym tonem. Kate zobaczyła, że reporterzy gwałtownie potrząsają głowami. Salim wzruszył ramionami i spokojnie podniósł stojącego najbliżej człowieka. Mężczyzna przez minutę wisiał cztery stopy nad ziemią, machając wściekle nogami. Chwilę później koziołkował po zboczu, podczas gdy Salim sięgał po następną ofiarę. Dziennikarze rozpierzchli się.

— Jesteś w dobrych rękach — zauważył Michael z wymuszonym uśmiechem. — Wiem, że to trudne, ale spróbuj trochę odpocząć. Obiecujesz? — Poczula jego wargi na czole. — Będę z ekipami ratunkowymi. Kiedy go znajdą...

W domu panowała niesamowita cisza. Baltazar z zasmuconą twarzą chwycił Kate za rękę. Za nim stała Marie. Miała zaczerwienione oczy.

— Lekarz jest w drodze — poinformował służący.

Kate uświadomiła sobie, że chodzi o nią, i zaprotestowała.

— Naprawdę poczuje się pani lepiej — zapewnił ją Baltazar. Skinął w stronę okna.

— To dopiero początek. Będzie pani potrzebowała odpoczynku przez najbliższe dni.

Jego słowa przypomniały Kate zimne dni w domu ojca na Park Avenue, bezsenne noce spędzane na przewracaniu się w pościeli, poranki, kiedy budziła się złana potem. Teraz znajdowała się tysiące mil od domu. Nie wiedziała, czego się od niej oczekuje. Potrzebowała sił. Jak stawić czoło smutkowi? Nie sądziła, by cokolwiek mogło jej pomóc.

Kate stała pod prysznicem, dopóki zaniepokojona Marie nie zapukała **do** drzwi.

Lekarz, sam również wstrząśnięty, już odjechał, zоста-

wiając pigułki nasenne. Kate siedziała zwinięta na kanapie w swoim pokoju, zaciskając palce na plastikowej buteleczce, wpatrując się nie widzącym wzrokiem w świt za oknem.

Telewizor był włączony. Kate słyszała żalobny ton mówiącego po francusku spikera. Ratownicy znaleźli portfel i klucze, które zidentyfikowano jako należące do Armanda Fremonta. Z krzaków zdjęto strzępki materiału. Wszystko wskazywało na to, że Fremont wpadł do morza. Do tej pory ani helikoptery, ani łódzie niczego nie znalazły. Nurkowie przeszukiwali obszar blisko brzegu, ale bez rezultatu. Według prognozy pogody zeszłej nocy fale były wyjątkowo silne. Zważywszy na to, że Armand Fremont został postrzelony i spadł z dużej wysokości, szansa że przeżył, właściwie nie istniała.

Nie żyje, pomyślała Kate tępo. *Wiem to.*

I zaczęła płakać.

Trzeciego dnia po strzelaninie do willi Armanda przybył komisarz policji, by poinformować Kate, że odwołano poszukiwania.

— Szukaliśmy wszędzie, panno Maser — tłumaczył przepraszającym tonem. — Dotarliśmy aż do samych grot. Nigdzie śladu pana Fremonta. Możemy tylko przypuszczać, że fale zniosły ciało na pełne morze.

Kate milczała przez chwilę, a potem wstała mówiąc:

— Dziękuję za starania. Proszę mi teraz wybaczyć, ale chciałabym zostać sama. Poszła do ogrodu i siedziała tam, dopóki nie zjawiła się Jasmine.

— Nie wiedziałam, czy masz ochotę na towarzystwo — powiedziała. — Jeśli nie masz, pójdę sobie.

Kate jakby jej nie słyszała.

— Nie mogę uwierzyć, że on nie żyje.

— Kate, wyobrażam sobie, jaki przeżyłaś szok...

— Chcę wiedzieć, kto ich zabił, Jasmine! — oświadczyła Kate. I dlaczego!

— Ja również chcę to wiedzieć! — zapewniła Jasmine. — Podobnie jak Pierre, Louis i cały Bejrut! Nie wyobrażasz sobie, jakie plotki krążą po kraju. Niektórzy obwiniają palestyńskich radykałów, inni uważają, że to dzieło jakiegoś fanatyka, a jeszcze inni mówią o spisku.

— A co ty sądzisz?

Jasmine wsadziła papierosa do cygarniczki. Pierścionki na jej palcach rzucały ogień.

— Armand był potężnym człowiekiem, potężniejszym, niż sądzisz. Nie chodzi tylko o majątek, ale o sekrety, które znał. Sekrety ludzi jeszcze potężniejszych od niego. Przemysłowców, finansistów, polityków. Wszyscy oni przychodzili do kasyna, żeby grać, ale również, żeby prowadzić rozmowy, targować się, zawierać umowy. Armand był uczciwym pośrednikiem, a kasyno neutralnym gruntem. Pamiętasz jednak, jaki los spotkał posłańca, który przyniósł złe wieści. Cóż, myślę, że to samo przytrafiło się pośrednikowi. Ktoś zerwał umowę, nie dotrzymał obietnicy. Należało na kogoś zrzucić winę, a na kogo innego, jak nie na człowieka, który pośredniczył w jej zawieraniu?

— Sugerujesz, że nigdy nie poznamy prawdy — stwierdziła Katte. Jasmine położyła dłoń na ramieniu Kate. \

— Prawda to w większości wypadków złudna rzecz. Tak czy inaczej, zginęła razem z Armandem. Nie był sentymentalny. Nie prowadził dziennika ani ksiąg. Wiesz, jak się robi interesy na Bliskim Wschodzie. Wystarcza uścisk ręki. Tylko głupcy powierzają sekrety papierowi.

— Nie pogodzę się z tym, że nigdy nie poznamy prawdy.

— Nie pozwolę, żebyś karała się w ten sposób — powiedziała Jasmine stanowczo.

— To, co się wydarzyło, nie ma z tobą nic wspólnego. — Zrobiła pauzę. — Nie zamierzam być okrutna, ale przypomnij sobie, co się stało po zamachu na prezydenta Kennedy'ego. Komisje, teorie o spisku, żałoba narodowa, ani trochę bliżej prawdy. Pamiętaj więc, że pogrzeb to ostateczne pożegnanie.

— Pogrzeb... — szepnęła Kate. — Nawet o tym nie pomyślałam...

— Zajmę się wszystkim — wtrąciła Jasmine. — Jeśli chcesz, możesz przygotować krótką mowę...

— Dziękuję. Jasmine objęła ją.

— Wpadnę do ciebie, kiedy znajdę czas. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała lub po prostu chciała porozmawiać, zadzwoń.

Kate skinęła głową i obiecała, że zadzwoni. Ale kiedy patrzyła, jak Jasmine odchodzi, przypomniła sobie jej słowa o Kennedym. Ludzie nie przestali zadawać pytań. Poszukiwania prawdy trwały, ponieważ należało się to zamordowanemu prezydentowi. I ona to samo była winna Armandowi.

Cał po cał przesuwając palcami po gładkiej skale, szukając najmniejszego występu. Znalazł pęknięcie nie szersze od włosa i wczepił się w nie. Nadciągająca fala uniosła go do góry. Zebrał wszystkie siły, czekając na tę straszną chwilę, kiedy woda zacznie się cofać. Próbował

tego wcześniej setki razy i nie udawało mu się utrzymać na skale. Znosiło go z powrotem do basenu w grocie utworzonego przez głązy. Ból w ranie był rozdzierający. Szok i lodowata woda, które pozbawiały go cennych sił, zawiązały przeciwko niemu spisek. Wiedział, że ma niewielkie szanse. Jeśli nie zdoła utrzymać się na skale, fale będą go chłostały bezlitośnie, a wyczerpanie dokończy dzieła.

Usłyszał ryk wody, zacisnął powieki i zawisł. Poczuł, że ramiona wyrrywają mu się ze stawów. Wstrzymał oddech, aż rozbolały go płuca i krew zaczęła szumieć w głowie. Minęła cała wieczność, zanim męka się skończyła. Łapczywie zaczerpnął powietrza i podciągnął się. Uważając, żeby nie rozluźnić chwytu, drugą ręką znalazł jakąś szczelinę i znowu przesunął się trochę do przodu. Położył się między dwiema skałami, obejmując jedną z nich ramionami.

Zapał się, kiedy nadeszła kolejna fala. Zazgrzytał zębami, gdy otarł się raną o twarde podłoże. Nie miał pojęcia, jak poważnie jest ranny. Wydawało mu się, że całe plecy ma w ogniu, ale pierwsza kula musiała ominąć płuca. W przeciwnym razie nie przeżyłby tak długo. Wiedział jednak, że druga trafiła go w lewą skroń. Namacał rozcięcie. Kilka centymetrów dalej i mogło się okazać śmiertelne. Słona woda zatamowała krwawienie, ale bolesne pulsowanie nie ustawało. Nie potrafił sobie przypomnieć, ile razy tracił przytomność. Fakt, że utrzymał się na skałach dzięki instynktowi samozachowawczemu, zakrawał na cud.

Zmusił się do otwarcia zlepionych solą oczu. Wokół panował półmrok. Wysoko w górze znajdowało się sklepienie groty wyżłobionej w ciągu tysiącleci w wapiennych skałach. W głębi czaiła się ciemność, która go przerażała i pobudzała wyobraźnię. Nie dochodził stamtąd żaden dźwięk.

Tłumiąc strach, skoncentrował się na widoku nieba i morza, nad którym wstawał świt. W oddali usłyszał słaby warkot helikopterów i łodzi motorowych. Poczuł narastającą wściekłość. Szukali w złym miejscu, a on był bezradny i nie mógł do nich dotrzeć. Wiedział, że prądy w zatoce tworzą wiry i że schwytana w nie łódź lub niedoświadczony żeglarz są zgubieni. Zdarzało się jednak czasami, że ocean wypychał wodę z zatoczki i pędził ją w stronę grot, którymi były podziurawione jak rzeszoto wzgórze na północ od miasta.

Istniała jedna szansa na sto, że tak się stanie. Ale istniała. On też przeżył postrzały i upadek.

Obrazy jak żywe stały mu przed oczami. Widok padającego Davida, próba przyjscia mu z pomocą, potem straszliwy ból i upadek

przez balustradę. Nie mogąc się niczego chwycić, pokaleczył się o kamienie i krzaki. Jakimś cudem nie skreślił sobie karku, ale kiedy wpadł do wody, był zupełnie bezradny, ledwo mógł utrzymać się na powierzchni.

Walka z prądem oznaczałaby pewną śmierć. Tak więc pozwolił mu się unosić, starając się nie nadziać na wystające skały, dopóki prąd, jak kot zmęczony zabawą z myszą, nie cisnął go do grotu.

Armand znowu wstrzymał oddech, kiedy przewaliła się nad nim fala. Obliznął spierzchnięte usta i wypluł sól. Czuł się tak zmęczony, że mógłby tu leżeć bez końca. Ale gdzieś głęboko w nim wciąż płonął gniew.

A Kate? Co się z nią stało?

Dreźczyła go niepewność. Zabójca mógł ją zastrzelić, ale jeśli nie dosięgły jej kule, oznaczało to, że jest sama z Michaelem Saidim skradającym się do niej jak wąż.

Przestani Musisz przeżyć, jeśli chcesz się tego dowiedzieć!

Udało mu się wysunąć z wody o kilkanaście centymetrów. Łodzie nadal go szukały. Przypuszczał, że ratownicy wciąż przeczesują wzgórze i brzeg morza. Ale nie dotrą tak daleko. Gdy nie znajdą go w zatoce, nigdy nie przyjdzie im do głowy, że prąd mógł go znieść tak daleko.

Ta myśl poraziła Armanda. Grota była ogromna. Z powodu ciemności nie mógł ocenić, jak daleko od brzegu się znajduje. Jeśli spróbuje dopłynąć, zmoże go wyczerpanie. Ale pozostanie tutaj oznaczało pewną śmierć. Opadał z sił. Zimna woda wkrótce dokona reszty. Musi dotrzeć do lądu.

Zsunął się głęboko do wody, ale nie mógł się zdobyć na to, by oderwać się od skały. Oznaczała wybawienie, z którego nie chciał zrezygnować.

Jeśli nie dla siebie, zrób to dla Kate... i Davida. Dla Kate, bo może jeszcze żyje. Dla Davida, ponieważ zginął dla ciebie!

Zamknął oczy i odwrócił się. Odczekał, aż przetoczy się fala, i puścił się skały. Dał nurka.

Dzień przed pogrzebem Kate spotkała się ze starszym detektywem zajmującym się sprawą zabójstwa Armanda i Davida. Był wysokim, chudym mężczyzną z ospowatą cerą i nazywał się Hamsc. Dowiedziała się od niego, że nie ma żadnych postępów w śledztwie.

— Chciałabym zobaczyć pańskie raporty — oznajmiła.

Hamsc zobowiązał się je dostarczyć i akta wkrótce znalazły się na biurku Kate.

— Ten stos to kartoteki ekstremistów religijnych — poinformował ją. — Tu mamy Palestyńczyków. To jest lista osób, które przegrały w kasynie duże sumy. Policja w Egipcie, Iranie, Iraku i Syrii prowadzi śledztwo na własnym obszarze. — Otworzył następną teczkę. — To dotyczy samej strzelaniny. Stwierdziliśmy, że strzały padły z wagonika kolejki. Wybór miejsca był genialny. Gwarantował zabójcy bezpieczną ucieczkę.

— Jak to?

— Na świecie jest niewielu ludzi, którzy potrafią tak precyzyjnie strzelić z poruszającego się obiektu do ruchomych celów.

— Zatem nie pomyśleliście od razu, że strzelano z gondoli? Detektyw poruszył się niespokojnie.

— Nie przyszło nam początkowo do głowy, że to możliwe.

— Ale sam pan powiedział, że jest tylko kilku ludzi zdolnych do takiego strzału. Czy to nie ogranicza liczby podejrzanych?

— Tak, panno Maser — odparł Hamse chłodno — gdyby ktoś ich znał lub wiedział, gdzie ich szukać.

— Jest jeszcze jedna kwestia — stwierdziła Kate. — Kto wynajął zabójcę?

— Niestety, z tym jest jeszcze większy problem — oświadczył Hamse rozkładając ręce. — Nikt nie mógł wynająć go bezpośrednio. Zleceniodawca i morderca nigdy się nie spotykają. Szczegóły można przekazać przez zaufane osoby albo w rozmowie telefonicznej, telegramie, a nawet w niewinnie sformułowanym ogłoszeniu prasowym.

— Nawet jeśli tak jest, zapewne można ograniczyć liczbę głównych podejrzanych na podstawie motywu.

Hamse uniósł brwi.

— Doprawdy, mademoiselle? A jaki to mógł być motyw? Potrafi nam pani podsunąć jakiś?

— Nie, ale...

— Nie może nam pani wcale pomóc, prawda? — ciągnął detektyw, akcentując każde słowo. Zebrał papiery. — Wyświadczyłem pani grzeczność. Pani ton i insynuacje składam na karb smutku. Jeśli przypomni sobie pani jakieś istotne szczegóły, proszę do mnie od razu zadzwonić. Tymczasem wyrażam pani kondolencje. Do widzenia, mademoiselle.

Orszak składał się z dwudziestu samochodów, w których jechał między innymi prezydent Libanu i jego cały gabinet. Za samochodami szli najdostojniejsi żałobnicy reprezentujący śmietankę bejruckiego to-

warzystwa oraz goście zagraniczni. Za nimi podążali pracownicy kasyna i tysiące zwykłych obywateli, którzy przyszli, żeby oddać cześć zmarłym.

Na prośbę Jasmine Kate jechała w pierwszym samochodzie razem z rodziną. W przodzie sunęły obok siebie dwa karawany. Trumny owinięte libańskimi flagami wyglądały jak niesione przez falę kwiatów.

Kate spotkała się z jedynym człowiekiem, który przyjechał na pogrzeb Davida. Wysoki, małomówny mężczyzna przedstawił się jako zastępca z Genewy, Charles Sweet. Próbowła nawiązać z nim rozmowę, ale odpowiadał półsłówkami.

— Wszyscy opłakujemy ich na swój sposób, panno Maser — powiedział Amerykanin. — Ale obiecuję pani jedno. Ani ja, ani nikt inny w Interarmco nie spoczniemy, dopóki nie znajdziemy mordercy Davida i pana Fremonta.

Procesja skierowała się na wzgórze Jounyeh, gdzie obaj mieli być pochowani. Kiedy maronicki ksiądz wypowiedział ostatnie słowa, Kate popatrzyła na morze, które wydawało się tak ponadczasowe, anonimowe... bezlitosne. Potem odwróciła głowę i rzuciła ostatnie spojrzenie na opuszczaną do grobu trumnę Armanda. Pustą trumnę. Kiedy Kate wróciła do willi, było pusto i cicho. Siedząc w bibliotece, zaczęła wspominać czasy Berkeley. Mimo burzliwego związku z Tedem życie było wtedy takie proste. Teraz nie poznawała siebie. Nie wiedziała, czego chce ani dokąd ma pójść.

Myśl o powrocie do Nowego Jorku raczej ją zabolala, niż przestraszyła. Brak możliwości oczyszczenia z zarzutów siebie albo Emila Bartolego oznaczał porażkę. Oznaczał również, że nie może się spodziewać łaski ze strony prokuratora okręgowego lub sądu. Jeśli odda się w ich ręce, wszystko przepadnie.

Zapadła noc, a ona siedziała w ciemności, pogrążona w smutnych i niespokojnych myślach. Kiedy zabrzączał dzwonek do drzwi, powlokła się do przedpokoju i spojrzała przez wizjer. Zobaczyła nieznajomą, lecz sympatyczną twarz.

— Nazywam się Jean Shihab. Jestem adwokatem pana Fremonta.

— Może pan również być reporterem — rzuciła Kate podejrzliwie. Prawnik zachnął się. Jak wszyscy Arabowie nie był przyzwyczajony do tego, by kobieta tak go traktowała.

— Oto moja wizytówka — powiedział, wsuwając ją przez kratę.

— Po co pan tu przyszedł? — zapytała Kate, patrząc na wizytówkę.

— Panno Maser...

— Proszę mi powiedzieć!

Shihab obejrzał się konspiracyjnie przez ramię.

— Mademoiselle, chodzi o pana Fremonta — szepnął. — O jego testament...

Zaprowadziła go do biblioteki, gdzie natychmiast otworzył teczkę i uparł się, żeby oficjalnie odczytać jej testament.

— *Swoje udziały w Societe des Bains Mediterranien przekazuję Kat-herine Maser, żeby zadysponowała nimi według własnego uznania.*

Kate czekała na dalszy ciąg, ale adwokat najwyraźniej skończył.

— Nie rozumiem — stwierdziła. — Jakie udziały?

— Societe des Bains Mediterranien to spółka będąca właścicielem kasyna — wyjaśnił prawnik. — Pan Fremont miał większość udziałów, resztę zaś Jasmine i Pierre Fremont. Pani, mademoiselle Maser, jest nowym, prawowitym właścicielem Casino de Paradis.

— Niemożliwe! — szepnęła Kate. — To musi być jakaś pomyłka. Jean Shihab potrząsnął głową.

— Nie ma żadnej pomyłki. Pan Fremont dodał ten kodycył dziesięć dni temu.

Szczerze mówiąc, mnie również to zaskoczyło, ale takie miał życzenie. Byłem adwokatem pana Fremonta przez wiele lat. Nigdy nie zdarzyło się, żeby zrobił coś bez powodu, ważnego powodu. Chciałbym go pani podać, ale nie potrafię. W pewnych sprawach pan Fremont nie szukał mojej rady. Ta do nich należała.

— Ale co powinnam zrobić? — zapytała Kate. Adwokat zawahał się, a potem powiedział:

— Powinna pani zachować ostrożność, mademoiselle.

Pewni ludzie rodzą się w czasach, których nie mogą zmienić
Przysłowie arabskie

18

W sypialni Nabiła Tufailego za drewnianymi żaluzjami było zupełnie ciemno. Dziesięcioletni chłopiec leżący po jego prawej stronie zapłakał, przez sen. Z drugiej strony leżał zwinięty jego brat bliźniak, trzymając pięść przyciśniętą do ust. Oczy miał szeroko otwarte i rozszerzone źrenice. Wpatrywał się w nicość jak katatonik. Była to sztuczka, którą nauczył się stosować, żeby zapomnieć o bólu przeszywającym ciało, wwiercającym się w mózg.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i do środka wpadł promień światła. Tufaili obudził się, zanim dotknęła go dłoń służącego, który szepnął mu coś do ucha, uprzedzając wybuch gniewu. Tufaili miał zwyczaj zabawiać się z chłopcami późnym popołudniem i spać do dziewiątej. Potem mył się, ubierał i szedł o północy na kolację.

Teraz narzucił na siebie obszerny jedwabny szlafrok i wyszedł na korytarz. W gabinecie czekał na niego stary mężczyzna, urzędnik, który przez dziesięciolecia pracował dla prawnika Armanda Fremonta. To była dobra inwestycja, pomyślał Tufaili. Płacił mu od kilku lat, odkąd dowiedział się, że lekceważony urzędnik szuka zemsty na pracodawcy.

Całuj dłoń, której nie możesz ugryźć, i módl się, żeby Bóg ją złamał.

Stare arabskie przysłowie sprawdzało się codziennie na tysiąc różnych sposobów. Jeśli urzędnik przyniósł to, co trzeba, Tufaili odegra rolę Boga i złamie rękę, która wyrządziła krzywdę.

Wziął dokumenty i serce mu podskoczyło, kiedy przeczytał napis na okładce.

Ostatnia wola i testament Armanda Fremonta. Polizał palec i zaczął przewracać strony. Pokiwał głową, kiedy zobaczył zapisy dla Jasmine i Pierre'a Fremonta. Ona i ten tępy bankier mieli odziedziczyć wszystko. Pieniądze zainwestowane w Louisa Jabara były bezpieczne... Nie! Nie!

Tufaili omal nie przedarł strony na pół. Słowa dotyczące Societe des Bains Mediterranien zamazywały mu się przed oczami, ale ich sens był oczywisty. Podobnie jak nazwisko Katherine Maser.

Wszyscy zgadzali się, że pogrążona w żałobie Jasmine zachowuje się z godnością. Nie tylko wyglądała oszłamiająco w czerni, ale starała się nie obnosić z żalem. Uroniła jedynie kilka łez. Żadnego bicia w piersi tak typowego wśród Arabów ani rzewnych oplakiwań, do których byli skłonni libańscy chrześcijanie. Zgodnie z niepisaną umową bejruckie towarzystwo zaakceptowało fakt, że teraz Jasmine jest głową rodziny Fremontów. Hołd składano również Louisowi, któremu już gratulowano bliskiego zwycięstwa w wyborach prezydenckich. Nikt nie przeoczył obecności Nabilu Tufailego ani faktu, że on i inni *zuama* poświęcali Louisowi wiele czasu. Było oczywiste, gdzie jest teraz władza i kto wkrótce będzie rządził. Zważywszy na to, jak gładko wszystko szło, Jasmine była całkowicie zaskoczona, kiedy Pierre i Nabil Tufaili pojawili się u niej w porze wieczornego drinka. Wstrząsnął nią zmizerowany wygląd Pierre'a i furia, z jaką Tufaili sforsował frontowe drzwi.

— Nabilu, jak miło cię widzieć.

Tufaili podetknął Jasmine pod nos jakieś dokumenty.

— Nic o tym nie wiedziałaś, prawda?

— Jasmine, próbowałem im powiedzieć — zaczął się tłumaczyć Pierre.

Jasmine wstała i zbliżyła się do Tufailego.

— Nigdy więcej tak się przy mnie nie zachowuj! — szepnęła. — Louis, nalej Nabilowi szampana. Pamiętam, że to jego ulubiony napój. — Louis poszedł po butelkę, a Jasmine gestem zaprosiła gości, żeby usiedli. — Pierre, masz atak serca? — Do diabła z tobą, Jasmine — szepnął Pierre. — Powinniśmy przewidzieć, że coś takiego może się stać. To nas zrujnuje.

Jasmine spojrzała na Tufailego.

— Mam wrażenie, że udało ci się natchnąć Pierre'a bojaźnią Bożą. Jak tego dokonałeś, Nabilu?

Tufaili już odzyskał panowanie nad sobą. Pomógł mu szampan, ale jeszcze bardziej myśl, że pewnego dnia odpłaci tej dziwce za obrazę. Z rozkoszą wybierze czas i sposób. Teraz postanowił dać Jasmine przedsmak tego, co nastąpi, i wręczył kopię testamentu Louisowi, który zerknął na zaznaczone paragrafy i osunął się w fotelu.

— Głupiec! — szepnął.

Jasmine chwyciła dokument i przeczytała uważnie cały tekst, a niektóre fragmenty po dwa i trzy razy. W pokoju rozległ się jej niski gardłowy śniecieli.

— Za jakiego spryciarza musiał się uważać Armand! — Spojrzała na trzech mężczyzn. — I to was tak przestraszyło? Nie rozumiecie, że mamy do czynienia z dzieckiem? Nabilu, gwarantuję, że w ciągu miesiąca Kate Maser wyjedzie z Bejrutu, a kasyno zostanie sprzedane!

— Nie możesz tego zagwarantować — stwierdził Tufaili stanowczo.

— Chcesz się założyć? O tyle, ile wynosi twój wkład w kampanię Louisa?

Tufaili poczuł wielką pokusę. Chciał poniżyć i upokorzyć tę kobietę. Ale to nie był właściwy moment.

— Spokojnie, Nabilu — ostrzegła Jasmine, czytając w jego myślach. — Twój wkład, podobnie jak wkłady innych *zuama*, znajdują się w bezpiecznym miejscu. Nie myśl, że możesz mnie zastraszyć, próbując je odebrać.

— Zrób to! — powiedział ochryple Tufaili. — Pokaż mi, jak okradasz Katherine Maser!

Kate udało się zasnąć nad ranem. W głowie wirowały jej obrazy Armanda i jego gwałtownej śmierci. Kilka godzin później obudził ją telefon Jasmine.

— Muszę cię ostrzec, Kate. Pewne szczegóły testamentu Armanda przedostały się do prasy. Czy odwiedził cię Jean Shihab?

— Był tutaj wczoraj wieczorem, Jasmine...

— Więc wiesz?

— Tak, ale...

— Nie ma czasu na wyjaśnienia — przerwała jej Jasmine. — Zaraz się u ciebie zjawia dziennikarze. Musimy porozmawiać, Kate. Ty, ja, Louis i Pierre.

Kate poczuła ulgę.

— Gdzie?

— Wysyłam po ciebie samochód. Pół godziny ci wystarczy?

Kate spodziewała się, że pojedzie do domu Jasmine, ale kierowca zawiózł ją do centrum, do jednego z wieżowców przy Grand Corniche.

— Budynek należy do Banque de Liban — wyjaśnił w odpowiedzi na jej pytanie. Samochód wjechał do podziemnego garażu i zatrzymał się przed windą. Kierowca zaczekał, aż Kate wsiądzie, zasalutował i zniknął. Winda zawiozła ją na najwyższe piętro.

— Kate! Moja droga, tak się o ciebie martwiliśmy — przywitał ją Pierre, wziął za łokieć i kurtuazyjnie zaprowadził do długiego owalnego stołu z miejscami przygotowanymi dla czterech osób. Przy każdym leżał gruby dokument, pióro, bloki papieru, stała kryształowa szklanka i mała karafka z wodą mineralną. Jasmine i Louis nakładali sobie ciastka przy kredensie.

— O, Kate. — Jasmine podeszła i przyjrzała się dziewczynie. — Dzielnie się trzymasz. Armand zawsze lubił niespodzianki, prawda?

Kate poczerwieniała. Poczula się jak nieproszony gość, który trafia na przyjęcie i udaje mu się wkręcić do towarzystwa.

Kiedy Louis odsunął krzesło u szczytu stołu, Kate zaprotestowała.

— Tutaj siadał Armand — powiedział Louis. — Teraz to jest twoje miejsce jako głównego udziałowca.

Kate usiadła, choć nie podobała się jej cała sytuacja. Pierre spojrzał na obecnych i przerwał niezręczną ciszę.

— Rozumiemy, jak się czujesz. Szczerze mówiąc, żadne z nas nie wie, dlaczego Armand wyznaczył cię na spadkobierczynię, ale faktem jest, że tak zrobił, i jego wola jest wiążąca.

— Sama nic nie rozumiem — odparła Kate.

— Wszyscy jesteśmy zdezorientowani — stwierdził Louis. — Nie możemy jednak uchylić się od spełnienia obowiązku wobec Armanda.

— Co wiesz o Societe des Bains Mediterranien? — zapytała Jasmine.

— Tylko tyle że jest to spółka będąca właścicielem kasyna — odparła Kate. — Armand powiedział mi również, że ma trochę ziemi i inne nieruchomości.

— O mniejszej wartości w porównaniu z kasynem — powiedziała Jasmine. — Czy Armand kiedykolwiek wspominał o naszym zamiarze sprzedania kasyna?

Kate była zaszokowana.

— Nie, nigdy!

Jasmine spojrzała na Pierre'a i Louisa i ledwo dostrzegalnie wzruszyła ramionami.

— Cóż, jestem pewna, że miał swoje powody. Niemniej tak się sprawa przedstawia. Jak wiesz, jesteśmy teraz prywatną firmą. Zanim pomyślimy o sprzedaży, musimy się przekształcić w spółkę akcyjną.

— Po co? — spytała Kate.

— To kwestia kapitału własnego — wyjaśnił Pierre. — Obecnie udziały mają sztucznie zaniżoną cenę ustaloną wiele lat temu. Wartość kasyna jest teraz znacznie wyższa. Jeśli akcje zostaną wystawione na

sprzedaż, ich cena wzrośnie między innymi dlatego, że podbije ją kilku potencjalnych nabywców. Nie trzeba chyba dodawać, że powinny osiągnąć najwyższą możliwą cenę.

— Więc już mieliście jakieś propozycje?

— To były tylko wstępne oferty — powiedział Pierre. — Wierz mi, wartość aktywów Societe nie ulega kwestii. — Podał Kate grubą skórzaną teczkę. — Przygotowała to dla nas niezależna firma audytorska. Stosowne liczby są na pierwszej stronie.

Liczby oszołomiły Kate. Rewidenci wyliczyli, że wystawiony na sprzedaż udział SBM miałby wartość pięćdziesięciu siedmiu milionów dolarów. Zważywszy na ilość udziałów, dałoby to razem ponad dwieście milionów dolarów. Z czego około sto dziesięć milionów przypadło by jej.

Kate zakreśliło się w głowie. Już w dzieciństwie oswoiła się z pieniędzmi.

Dorastając, wciąż słyszała wymieniane przy stole słowo „miliony”. Ale te pieniądze nigdy nie były czymś realnym, nigdy nie należały do niej.

Spojrzała na Jasmine i Louisa, a potem na Pierre'a.

— Dlaczego chcecie to sprzedać? — zapytała. — Z tego, co widziałam, kasyno świetnie prosperuje. I od tak dawna pozostaje w rękach rodziny...

— Świat się zmienia, Kate — powiedział Louis. — Armand nigdy się nie ożenił.

Nie zostawił syna, który kontynuowałby jego dzieło. Nie ma dynastii. Poza tym wiesz o moich ambicjach politycznych. Nie będę miał czasu ani energii, żeby poświęcić się kasynu. A jeśli chodzi o Jasmine, bardzo polegam na jej zdaniu i liczę na pomoc.

— Moje stanowisko dyrektora banku jest dożywotnie — wyjaśnił Pierre. — W moim przypadku chodziłoby nie tylko o brak czasu, ale również o stosowność. Naprawdę tylko Armand mógł się całkowicie poświęcić prowadzeniu kasyna. Z całym należnym szacunkiem, Kate, nie sądzą, żebyś się do tego nadawała.

Kate spojrzała na nich kolejno.

— Chcę, żebyście zrozumieli jedną rzecz. To wszystko jest dla mnie bardzo krepujące. Armand był przyjacielem mojego ojca, ale nasze losy, mój i jego, splotły się dopiero niedawno. Teraz nagle zostałam jego spadkobierczynią, a wy jesteście gotowi wręczyć mi czek na sto dziesięć milionów dolarów bez słowa protestu!

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Wreszcie Jasmine wyprostowała się na krześle i powiedziała:

— Cóż, myślę, że to my powinniśmy czuć się zakłopotani. Albo nawet obrażeni. Dlaczego tak trudno ci zaakceptować, że Armand wybrał ciebie na swoją spadkobierczynię, zostawiając nam nie więcej, ale z pewnością i nie mniej, niż mieliśmy. To jego decyzja. Poza tym już jesteśmy bogaci. Oczywiście Armand miał wszelkie prawo zrobić to, co zrobił, i szanujemy to prawo. Gdybyś była poszukiwaczką przygód albo wymusiła na nim ten zapis, wierz mi, wtedy nie dostałabyś nic. A jeśli chodzi o motyw Armanda, może nie jest tak tajemniczy. Nie sądzisz, Kate, że pieniędzmi za udziały Armanda można by spłacić klientów Maritime Continental i naprawić w ten sposób reputację twoją i ojca?

Słowa Jasmine zawstydziły Kate. Ci ludzie okazali jej tyle dobroci, a ona zachowuje się wobec nich podejrzliwie. Lecz instynkt mówił jej, że coś jest nie w porządku.

— Testament! — powiedziała raptem. — Nie ma w nim wzmianki o potencjalnych kupcach, o stanie negocjacji, bieżących ofertach ani proponowanej cenie. Nie sądzicie, że gdyby Armand naprawdę chciał sprzedać kasyno, zostawiłby szczegółowe instrukcje?

— Kate, doprawdy... — zaczął Louis.

— Nie, kochanie, ona ma rację — wtrąciła się Jasmine. — Wyjaśnienie jest proste. Armand nie miał czasu włączyć tych szczegółów do testamentu. Może zamierzał umieścić je w innym kodycylu. Nigdy się nie dowiemy.

— Nie, to się nie zgadza — upierała się Kate. — Istnieje nowy kodycyl. Skoro Armand miał czas go sporządzić, z pewnością dołączyłby instrukcje, co zrobić z kasynem.

— Można na to spojrzeć w jeszcze inny sposób — zasugerował Pierre. — Uczynił ciebie główną udziałowczynią, ponieważ najlepiej będziesz wiedziała, jak urzeczywistnić jego zamiary.

— Tak, to możliwe.

Ale jakie były jego zamiary? Dlaczego Armand nie stwierdził wprost, że mam sprzedać kasyno?

Kate wzięła głęboki oddech.

— Nie miałam jeszcze okazji przejrzeć papierów Armanda. Może zostawił jakieś uwagi na temat sprzedaży. Myślę, że powinnam najpierw do nich zajrzeć. — Zauważyła, że nikt z obecnych nie jest uszczęśliwiony tym pomysłem.

— Jeśli nie okazujemy entuzjazmu, Kate, to dlatego, że ważnym czynnikiem jest czas — wyjaśnił Pierre. — Z pewnością rozumiesz, że lak zwykle jest w interesach.

— Podał jej list napisany na grubym ręcz-

nie czerpanym papierze. — To od osobistego przedstawiciela sultana Brunei. Oferta jest jasna. W dniu, kiedy wystawimy akcje na sprzedaż, sultan zaproponuje sześćdziesiąt dolarów za udział, w gotówce. Nie będzie potrzeby organizowania strony finansowej, przygotowywania dokumentów. Te ostatnie będą gotowe do podpisania, a pieniądze zostaną przelane do wybranych banków w ciągu dwudziestu czterech godzin.

— Tylko że ten przedstawiciel chce, byśmy do jutra dali odpowiedź — podesunęła Kate. — Albo wycofa ofertę.

— Co ci szkodzi powiedzieć, że chcesz sprzedać, Kate — odezwał się Louis. — Jeśli coś nam się nie spodoba w warunkach umowy, zawsze możemy się rozmyślić. Chyba wszyscy się zgadzamy, że cena jest uczciwa.

Kate rozumiała sytuację. Ponieważ była głównym udziałowcem, losy Jasmine, Louisa i Pierre'a znajdowały się w jej rękach. Jeśli będzie się wahała lub odmówi, mogą stracić miliony.

— Wszyscy chcecie sprzedać na tych warunkach?

— Tak, Kate — potwierdziła Jasmine.

— Wiem, że chcecie od razu znać odpowiedź, ale przykro mi, nie mogę wam jej udzielić. Wierzcie mi, znam stawkę, ale potrzebuję czasu, żeby się zastanowić. Obiecuję, że zadzwonię jutro przed południem.

— Rozumiemy, Kate — zapewniła ją Jasmine. — I uszanujemy twoją wolę. — Zrobiła pauzę. — A ty z pewnością uszanujesz naszą.

Nad oceanem zapadał zmierzch, a wzgórze Jounyeh zalewało bursztynowe światło. Kate siedziała na kamiennej ławce przy grobie Armanda. Wiatr już zdążył rozrzucić kwiaty, które na nim złożono. Kate dotknęła zimnego marmurowego nagrobka. Nie sądziła, że nawet śródziemnomorskie słońce nie będzie w stanie go ogrzać.

Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego mnie zostawiłeś? Co mam teraz zrobić?

Może to całkiem proste. Może Jasmine udzieliła jej odpowiedzi. Kate pomyślała o oszukanych klientach Maritime Continental, o tym, jak łatwo byłoby ich spłacić dzięki pieniądzom ze sprzedaży kasyna. A jednocześnie oczyścić z zarzutów Emila Bartolego.

/ mogłabyś wrócić do domu. Nawet prokurator okręgowy nie uwierzyłby, że jesteś winna, gdybyś zwróciła pieniądze. Nie byłoby piętna, mogłabyś znowu robić karierę...

Myślała nad tym usilnie. To prawda. Mogłaby wrócić do dawnego życia i jakoś je sobie ułożyć. Ale czy to by wystarczyło? Co z życiem,

które poznała tutaj? Co z niemą obietnicą złożoną Armandowi, że znajdzie odpowiedzialnych za jego śmierć?

Te pytania prowadziły do następnych. Dlaczego Armand zostawił jej kasyno, obarczył odpowiedzialnością i koniecznością podjęcia decyzji? To nie miało sensu. Żył w świecie intryg. Skoro wiedział, że może stać się celem, czy nie zatroszczyłby się o to, by inni mogli kontynuować jego dzieło? Przypomniała sobie ich rozmowę w restauracji St. Georges. Wyjaśnienia Armanda o powiązaniach kasyna z Interarmco stanowiącym jego oczy i uszy na całym Bliskim Wschodzie.

Dlaczego ktoś inny nie może tego ciągnąć. Co z jego rodziną. Dlaczego nie miałby im zaufać i powierzyć najcenniejszej rzeczy w życiu?

Znowu przesunęła palcami po płycie pamiątkowej jak ślepiec szukający odpowiedzi napisanej alfabetem Braille'a. Powoli zaczynała rozumieć, w miarę jak ostatnie promienie słońca chowały się w morzu.

Kasyno należało do Armanda, ale Interarmco było nie tylko jego dziełem, ale również mojego ojca! A ja jestem ostatnia z rodu Maserów...

Nasunęło się jej inne wspomnienie. Stały jej w pamięci pełne rozbawienia uwagi Jasmine o stosunku Armanda do niej, o tym, że to było coś więcej niż uprzejmość czy troska. *Był we mnie zakochany. Zostawił mi spadek, ponieważ mi ufał. A ufał mi, ponieważ mnie kochał...*

Uświadomiwszy to sobie zadrzała. Wiedziała, że ma rację. Czowała to wszystkimi fibrami. Ale dlaczego Armand nie wyznał jej swoich uczuć? Dlaczego nie dał jej żadnego znaku?

Może dał, ale ona go nie zauważyła... bo również była zaślepiona miłością do niego. Spojrzała na nagrobek. *Dlaczego nie ocknęła się wcześniej i nie powiedziała mu, co czuje?*

Usłyszała za sobą jakiś dźwięk i obejrzała się, zaciskając dłonie w pięści. Stał za nią młody ksiądz z włosami do ramion i długą gęstą brodą. Był ubrany w czarną sutannę. Na szyi miał ciężki srebrny krzyż, a na głowie nakrycie wskazujące, że należy do greckiego kościoła ortodoksyjnego.

— Jesteś Katherine? — zapytał, nie odrywając od niej wzroku.

— Tak... to ja.

— Więc masz pójść ze mną.

— Kim jesteś?

— Jestem brat Gregory. Należę do Zakonu Trzeciego Krzyża.

— Czego chcesz ode mnie?

— Masz pójść ze mną — powtórzył mnich. — Tylko tyle wiem. Nic zamierzam cię skrzywdzić. Mój opat ma ci coś ważnego do powiedzenia.

Kate odsunęła się.

— Posłuchaj, nie wiem, kim jesteś ani o co chodzi... — urwała, kiedy kątem oka dostrzegła Salima. Gigantyczny Turek skinął głową w kierunku mnicha. Bez wahania zaniechała ostrożności. — Możemy pojechać samochodem...

Gregory uśmiechnął się łagodnie i wskazał na wóz z sianem stojący przy cmentarnej bramie.

— Ciekawskie oczy nie zwracają uwagi na to, co skromne. Patrząc, jak Salim wraca do samochodu i odjeżdża w przeciwnym kierunku, poczuła się zupełnie bezbronna.

— Dokąd on jedzie? — krzyknęła.

— Nie może pojechać z nami. — Brat Gregory wyciągnął w jej stronę płaszcz z kapturem. — Proszę to włożyć.

— Nie zrobię ani kroku, dopóki mi nie powiesz, o co chodzi.

— Powiedziałbym, gdybym mógł, ale jestem tylko przewodnikiem. Musisz mi zaufać. — Pokazał na płaszcz. — Proszę, nie powinniśmy zwlekać.

Kate niechętnie włożyła na siebie grubo tkaną, szorstką sutannę i naciągnęła kaptur.

Chyba jestem szalona! Brat Gregory wsiadł na wóz i wyciągnął rękę, żeby pomóc Kate. Zaciął batem konia i wóz ruszył z turkotem.

Jechali przy świetle gwiazd i księżycy zakurzoną pustą drogą, która ciągnęła się jak wytarty skórzany pasek wzdłuż wybrzeża i nowoczesnej autostrady. Mijali ciemne gospodarstwa, nad którymi unosił się zapach siana, i małe, jasno oświetlone sklepiki, z których dobiegała muzyka i śmiechy. Po kilku milach skręcili w stronę wzgórz. Droga zwęziła się i w końcu zniknęła zupełnie, przechodząc w wyboistą ścieżkę. Kilka razy Kate odwróciła się, żeby spojrzeć na światła Bejrutu wyglądające jak okruchy diamentów na czarnym baldachimie. Im dalej od miasta, tym bardziej narastały w niej obawy. Lecz za każdym razem, kiedy myślała, żeby zakończyć tę tajemniczą przygodę, ciekawość brała nad nią górę.

A może to jest zaufanie?

Z ciemności wyłonił się nagle monastyr. Była to starożytna budowla wzniesiona w czasach drugiej krucjaty i stanowiła jedno z kilku świętych miejsc w świecie arabskim, które nigdy nie zostały splądrowane ani opuszczone. Kiedy wóz z turkotem zbliżył się do bramy, Kate zadrżała. Jej strach nie miał nic wspólnego ze świętością.

Brat Gregory pociągnął za sznur przy drzwiach.

— Ktoś inny wprowadzi cię do środka — powiedział, biorąc lejce. Niech cię Bóg błogosławi, Katherino Maser.

Patrząc za odjeżdżającym Gregorym, Kate chciała go zawołać, ale w tym momencie otworzyła się brama. Stał w niej stary człowiek
o twarzy pomarszczonej jak pieczone jabłko, towarzyszyło mu dwóch młodszych mnichów.

— Jestem opat John. Chodź za mną.

Bez słowa odwrócił się i ruszył przez dziedziniec obok niskich budynków w stylu baraków, gdzie, jak się domyśliła Kate, spali mnisi,

1 dalej na tyły monasteru. Minał ogród warzywny i ule, szopę, która pachniała winogronami, i wszedł do magazynu na narzędzia. Skinął na jednego z nowicjuszy, który podszedł do kamiennej ściany i nabrawszy oddechu napał na nią z całej siły. Ściana obróciła się ze zgrzytem, a za nią ukazał się korytarz oświetlony lampami naftowymi. Nie spojrzawszy nawet na gościa, opat pośpieszył w głąb tunelu. Kate poszła za nim i nagle wydała cichy okrzyk. Po obu stronach, na półkach wyciętych w wapiennej skale, leżeli zmarli. Jak daleko mogła sięgnąć wzrokiem, widziała martwe ciała członków zakonu. Niektóre zamieniły się w zakurzone szkielety okryte łachmanami, inne w niemal doskonale zachowane mumie. Opat obejrzał się przez ramię.

— Nie stanie ci się tu żadna krzywda. Proszę...

Kate nie mogła oderwać oczu od makabrycznego widoku. Odetchnęła z ulgą, kiedy przeszli przez kolejne drzwi i zagłębili się w następny podziemny korytarz. Kate wydawało się, że minęła wieczność, zanim znaleźli się w dużym pomieszczeniu o pobielonych ścianach, z pojedynczym oknem tuż pod sufitem. Powietrze pachniało solą. Pokój oświetlały stojące lampy. Gdzieś w oddali Kate usłyszała szum pracującego generatora. W kącie zobaczyła łóżko, stół i kilka krzeseł. Kiedy podeszła bliżej, poczuła ostry zapach środków dezynfekcyjnych i lekarstw. Jeden z braci pomagał właśnie usiąść leżącemu na łóżku człowiekowi.

— Nie, to niemożliwe! — szepnęła Kate. — Armand... Pobiegnęła po śliskiej posadzce, opadła na kolana i chwyciła Armanda za rękę, drugą dotykając jego policzka.

— Ty żyjesz... — szepnęła.

Armand skinął głową, uśmiechając się słabo. Twarz miał wymizerowaną, cerę szarą. Kate natychmiast zauważyła, że bardzo schudł, ale w jego ciemnych oczach płonął ogień, który tak dobrze знаła.

— To niemożliwe...

Armand wyciągnął rękę i pogładził dziewczynę po włosach.

— Czasami myślałem, że już cię nie zobaczę — powiedział ochryłym głosem. Ale jeszcze nie przyszedł na mnie czas.

— Armandzie, jak...

Uciszył ją i zwrócił się do opata.

— Dziękuję. Nigdy ci tego nie zapomnę.

— Między przyjaciółmi nie ma zobowiązań — rzekł opat. — Wrócimy po nią.

Kiedy mnisi wyszli, Kate przyjrzała się Armandowi. Był obandażowany w pasie. Na boku i plecach zobaczyła plamy krwi. Opatrunek na czole wyglądał groźnie.

— Mogło być gorzej — powiedział Armand, widząc jej spojrzenie.

— Jak się czujesz? — zapytała Kate cicho.

— Rana na głowie tylko mocno krwawiła. Ale ta druga... cóż, kilka centymetrów w lewo i nie miałbym jednej nerki. — Armand uśmiechnął się blado. — Nigdy bym z tego nie wyszedł.

— Chcę wiedzieć, co się stało.

Armand opowiedział jej wszystko od momentu, kiedy postanowił opuścić bezpieczne skały i wplnąć do groty. Odpoczął chwilę i mówił dalej:

— Nie miałem pojęcia, gdzie jestem. To wyjątkowe szczęście — chociaż dobrzy braciszkuwie upieraliby się przy boskiej interwencji — że popłynąłem we właściwym kierunku i dotarłem do brzegu. Potem straciłem przytomność. Następną rzecz, którą pamiętam, to ten pokój.

— Kim są ci bracia? — spytała Kate.

— To prawie tysiactletni zakon. Bardzo aktywny politycznie, chociaż działa wyjątkowo dyskretnie. Całe to wzgórze jest pocięte tunelami i korytarzami, które każdy brat zna jak własną kieszeń. Słyszeli o strzelaninie i poszukiwaniach, więc zeszli do groty, żeby mnie poszukać. Na szczęście...

— Wiesz, że wszyscy myślą, że nie żyjesz?

— O tak. — Armand pogłaskał ją po policzku. — Myślałem, że ty również możesz nie żyć...

Kate chwyciła jego dłoń.

— Wczoraj pochowali twoją trumnę. To... to było straszne.

— Mam nadzieję, że ludzie mówili o mnie same dobre rzeczy — powiedział Armand z poważną miną. Kate dostrzegła łzy w jego oczach. — Powinienem tam być... dla Davida. Był najlepszym człowiekiem, jakiego znałem. A ja go zabiłem.

— Co ty mówisz? — krzyknęła Kate. — Davida zabił wynajęty morderca!

— Tak, ale dlaczego? Dlaczego David stał się celem! Przeze mnie.

Armand położył się na plecach. Patrzył prosto przed siebie, ale przez cały czas mocno ścisnął dłoń Kate. Dziewczyna wyczuwała w nim smutek, gniew, żal, których nie mogły przekazać słowa.

— Czas, żebyś dowiedziała się wszystkiego — oświadczył. — Nie będzie więcej tajemnic. Mam nadzieję, że potrafisz mi wybaczyć, Kate.

— Wybaczyć ci? Co mam...

— Wysłuchaj mnie, proszę. Potem mi odpowiesz. To chodzi nie tylko o Davida i o to, co stało się tamtej nocy. Wszystko zaczęło się od Alexandra.

Na wzmiankę o ojcu krew odpłynęła z twarzy Kate.

— Po pierwsze, Alexander nie zginął w wypadku. Został zamordowany.

Elementy łamigłówki zaczęły do siebie pasować. Kate myślała, że serce zaraz jej pęknie, ale całą siłą woli koncentrowała się na tym, co mówił Armand.

— Kto to jest, Armandzie? — zapytała w końcu. — Kim jest drań, który kazał zamordować mojego ojca?

Armand spojrzał jej w oczy.

— Pierre...

Cała wściekłość nagle z niej wyparowała. Kate spodziewała się potwora, a nie łagodnego bankiera.

— Ale jak to możliwe?

Armand powiedział jej o finansowych kłopotach Pierre'a i o sposobach, do których się uciekł, żeby zdobyć pieniądze.

— Twój ojciec dowiedział się o tym i zagroził, że go wyda.

— Dlaczego?

— Ponieważ bał się reperkusji dla mnie, dla tego, co wspólnie robiliśmy...

— Na pogrzebie zjawił się pewien człowiek — powiedziała Kate. — Jedyne, który przyszedł opłakiwać Davida. Nazywa się Sweet.

— Charles Sweet, zastępca Davida. Spotkasz się z nim i on ci wszystko powie.

— Armandzie, dlaczego zostawiłeś mi kasyno? — zapytała Kate nagłaco. — Musisz odpowiedzieć!

— Pomóż mi usiąść — poprosił.

Kate wsunęła mu rękę pod plecy i dźwignęła. Nie odsunęła się jednak.

Nic tylko ten dotyk uświadomił Armandowi, że w Kate nastąpiła jakaś zmiana.

Dostrzegł to w jej oczach, w tonie głosu, w zachowaniu. Podzielał to nie wypowiedziane uczucie. Rozumiał jednak, jak niebez-

pieczne byłoby teraz przyznanie się do niego. Spojrzał na Kate, modląc się, by wystarczyła jej połowa prawdy.

— Zmieniłem testament, bo tylko tobie mogłem zaufać. Wiesz dobrze, że Jasmine i ja nie jesteśmy w najlepszych stosunkach. Ani ona, ani Louis nigdy nie mieli udziałów w Interarmco, a nie chciałem, żeby się wszystkiego dowiedzieli.

Kate powoli pokiwała głową.

— Tak, rozumiem.

— Wróćmy jednak do Pierre'a — zaproponował Armand, czując ulgę, że Kate przyjęła jego wyjaśnienie. — Widziałas go od czasu mojej przedwczesnej śmierci? Kate zrelacjonowała mu spotkanie z Pierre'em, Jasmine i Louisem. Armandowi zabłyśły oczy.

— Więc podobno chcę sprzedać kasyno — powiedział ochryple. — Kto poruszył ten temat?

— Pierre.

— Czy Jasmine i Louis byli zaskoczeni?

— Nie. Zgodzili się, że to najlepsza rzecz, jaką można zrobić w tej sytuacji.

— Z pewnością. Ale o jaką sytuację chodzi? Co zyskaliby Jasmine i Louis?

— Mnóstwo pieniędzy — odparła Kate.

— Mój Boże! Kampania Louisa! — Armand spojrzał na nią. — Jak mogłem być tak ślepy?

— Armandzie, pochopnie wyciągasz wnioski!

— Louis to mięczak, Kate. Jest równie sprzedajny, jak inni *zuama*. Kupili go i wykreowali.

Kate była oszołomiona. Nigdy nie dostrzegła w Louisie tej cechy.

— Wiem, że trudno w to uwierzyć — przyznał Armand, widząc jej zaskoczenie. — Louis potrafi dobrze się zaprezentować. Ale wierz mi, to tylko fasada. — Zrobił pauzę. — Nieprawdą jest również, że chcę lub kiedykolwiek chciałem sprzedać kasyno.

Kate cofnęła się.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałeś?

— Nie, Kate. Nigdy.

— Więc dlaczego...?

Armand zobaczył, że zaczyna do niej docierać prawda.

— Wykorzystali mnie — stwierdziła wolno. — Nagle dziedziczyć kasyno, o którego prowadzeniu nic mam pojęcia. Oni wiedzą, że sytuacja Maritime Continental skłoni mnie do sprzedaży. Będę mogła wtedy

oddać pieniądze, oczyścić nazwisko swoje, ojca, Emila Bartolego, wrócić do domu i zająć się karierą zawodową.

— Czy to było kuszące?

— Owszem. Powiedziałam jednak, że potrzebuję czasu, by zastanowić się nad ofertą sułtana Brunei.

— No tak — mruknął Armand. — Pierre szybko działa. Kate spojrzała na niego.

— Pierre był zamieszany w to, co się stało z Maritime Continental, prawda? Ukuł całą intrygę.

— Nie wiem. Wydaje się to dość prawdopodobne, ale...

— Ale co?

— Dla mnie Pierre jest człowiekiem zdesperowanym, bliskim paniki. Czy potrafiłby być przebiegły, metodyczny i bezlitosny? Nie mogę sobie tego wyobrazić, Kate.

— Wspólnik — powiedziała Kate powoli. — Wspólnik Pierre'a...

— Tak, ktoś wykorzystał Pierre'a, żeby zamaskować własne działania.

— Kto?

— David zginął próbując znaleźć odpowiedź — stwierdził Armand z powagą. — Morton, brytyjski bankier, który wydał Pierre'a twojemu ojcu, został zabity, bo David wpadł na jego trop. I jeszcze ten Michael Samson.

Nie od razu skojarzyła. Dopiero po chwili przypomniała sobie nazwisko.

— Samson? Urzędnik z działu transferów, który zginął w pożarze w Nowym Jorku. Co on miał z tym wszystkim wspólnego?

Przestraszyła się, widząc straszliwy smutek w oczach Armanda.

— On nie nazywa się Michael Samson — powiedział cicho. — To Michael Saidi.

— Nie!

Armand przytulił Kate i opowiedział o Michaelu Saidim. Nie zataił niczego, nawet samobójstwa Prudence Templeton. Wyciągnął z kieszeni zdjęcie, które zostawiła.

— Właśnie to miałem ci pokazać w Jachtklubie.

Kate spojrzała na fotografię o brzegach zagiętych od morskiej wody.

— To on — szepnęła. — Myślisz, że Pierre wykorzystał Michaela, żeby okraść Maritime Continental?

— Możliwe — powiedział Armand. — Nie sądzę, żeby Pierre chciał brudzić sobie ręce. Powstaje jednak pytanie, czy Pierre potrafiłby znaleźć wspólnika i kontrolować go? Nic przypuszczam.

Kate zdawała się go nie słuchać.

— Więc Michael mógł mieć coś wspólnego z morderstwem mojego ojca, choćby pośrednio.

Armand pochwycił niebezpieczny ton w jej głosie. Chęć zemsty. I rewanz miał nastąpić, ale nie w taki sposób, jak myślała. Nie wiedziała, jak ma się rozegrać ta część gry.

— Michael to oszust i morderca — stwierdziła Kate stanowczo. — Boże, jakbym chciała postawić go przed sądem za zabicie tego biednego człowieka, który zginął w płomieniach! Armandzie...

— Tak, Kate. Musimy znaleźć sposób, żeby zdemaskować Michaela Saidiego. Ale jest jeszcze sprawa współnika Pierre'a. Obaj muszą się teraz czuć bezpieczni. Myślą, że nie żyję. Oczywiście będę musiał w końcu się pokazać...

— Nie, Armandzie — zaprotestowała Kate. — Ja wszystkim się zajmę.

— To niemożliwe! Ja nie...

— Nie masz wyboru! Już jestem w to wmieszana, ponieważ uczyniłeś mnie swoją spadkobierczynią!

— Do licha, Kate, nie mogę ci na to pozwolić. To nie jest gra. Pierre i jego współnik zabijali trzy razy... cztery, jeśli liczyć zamach na moje życie. Jeśli wejdiesz im w drogę, dopadną również ciebie!

— Już to zrobili — oświadczyła Kate zimno. — Kiedy zamordowali mojego ojca. Armand opadł na poduszkę, oddychając ciężko.

— Proszę, Kate, nie rób tego. Nie chciałem, żebyś się w to wplątała. — Popatrzył na nią. — To brudna sprawa! Nawet nie wiesz, jak nienawidzę tej strony libańskiego życia z jego niezliczonymi i nie kończącymi się intrygami, które niszczą zaufanie i lojalność, nawet w rodzinie. Staliśmy się swoimi najgorszymi wrogami, Kate. Jesteśmy zbyt chciwi, zbyt dumni. Myśliliśmy, że wszystko jest możliwe i że żadna cena nie jest zbyt wysoka. Pewnego dnia drogo za to zapłacimy.

— Inni tak, ale nie ty — powiedziała Kate. Nachyliła się do niego, widząc, że szybko traci siły. — Powiedz mi, co robić. Pierre i Jabaro-wie oczekują, że zgodzę się sprzedać kasyno. Może odmawiając zmuszę Pierre'a do popełnienia błędu, do wygadania się, kto z nim współdziała. Jeśli okaże się, że to Michael...

Armand zamknął oczy i leżał nieruchomo. Kate wstrzymała oddech.

— Musisz zyskać na czasie — odezwał się wreszcie. — Poczekamy na właściwy moment, żeby zdemaskować Michaela Saidiego. Jest na to pewien sposób... —

Armand milczał przez chwilę. Jedyne słowo.

Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

19

Kabaret i salę widowiskową w Casino de Paradis zamknięto o trzeciej nad ranem. Sale gier godzinę później. Do szóstej ekipa sprzątaczy uporała się z robotą. Kasyno miało otworzyć swoje podwoje o jedenastej.

Przeładowane ozdobami pokoje wydawały się teraz Kate przytulniejsze. Przesunęła dłońmi po miękkim jak aksamit rypsie stołów do bakarata. Otworzyła jeden ze stołów do ruletki i zakręciła drewnianym kołem. Kulka potoczyła się po nim z przypominającym strzały grzechotem. Kate przywołała na pamięć twarze graczy. Słyszała ich śmiechy i szepty, okrzyki radości i ciche przekleństwa, które nie zdołały ustrzec od pecha.

Chodziła w ten sposób pośród duchów i wspomnień. Po dłuższym czasie uświadomiła sobie, czego szuka. To nie drewno, kamień czy jedwab, imponująca architektura czy cenne ornamenty, ani też bogactwo i władza, którymi przesiąknięły mury, nadawały charakter Casino de Paradis. Uczynił to jeden człowiek. Armand Fremont. Wędrowała po kasynie, żeby dowiedzieć się więcej o mężczyźnie, w którym się zakochała.

Po raz ostatni rozejrzała się wokół siebie i wyszła na wczesny poranek. Algierscy zamiatacze ulic przygarbieni nad miotłami spojrzeli na nią i wrócili do pracy. Od porannego chłodu ramiona Kate pokryły się gęsią skórką. Od tej pory każdy jej krok, każdy gest, każde słowo miały być dokładnie analizowane. Nie może sobie pozwolić na okazywanie najmniejszych wątpliwości lub wahania. Jej jedyną bronią będzie wiedza o wrogu. Musi się dowiedzieć znacznie więcej, jeśli chce zwyciężyć. Wsiadła do samochodu, w którym czekał na nią Salim. Kilka minut później znajdowała się w drodze na lotnisko. Wprowadzała w życie pierwszą część wielkiego planu.

Dwie godziny później prywatny odrzutowiec wylądował na międzynarodowym lotnisku w Genewie.

Kate wstrzymała oddech zbliżając się do kontroli paszportowej, ale sprawdzenie dokumentów odbyło się pobieżnie, tak jak przewidział Armand.

Złatwiłem ci libański paszport — powiedział jej Armand. — Jest w moim sejfie. Zapamiętaj kombinację...

Charles Sweet, którego poznała na pogrzebie, przywitał ją przy wyjściu i rozłożył parasol, żeby osłonić ją przed drobną mżawką. Zgodnie z zarządzeniem Davida Cabota Sweet przejął kierownictwo Interarmco. Wiedział, że testament Armanda Fremonta dawał Kate Maser kontrolę nad agencją.

— Jak zapewne pan się domyśla, panie Sweet — powiedziała Kate w samochodzie — Armand zostawił szczegółowy opis działalności Interarmco.

Sweet skinął głową.

— Nie przyjechałam tu, by się wtrącać lub próbować coś zmienić, jeśli o to się pan martwi — kontynuowała. — Przyjechałam, żeby się dowiedzieć, czym się zajmował mój ojciec, i jakie obowiązki przekazał mi Armand.

Napięcie Sweeta trochę opadło.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pani pomóc. Samochód zatrzymał się przed zwyczajnie wyglądającym budynkiem. Weszli do holu.

— Niech pani nie zmyli wygląd — uprzedził, biorąc od niej płaszcz. — Anonimowość to cenna zaleta. A to, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami...

Winda zawiozła ich na trzecie piętro i Sweet oprowadził Kate po pokojach.

— To tutaj pracował David — powiedział cicho, wskazując na komputery i obsługujące je osoby w fartuchach laboratoryjnych. — David stworzył bazę danych nie ustępującą innym. Nie tylko śledzimy poczynania naszych klientów, ale również ich konkurentów i wrogów. Kroki, które podejmujemy, są przeważnie zapobiegawcze, i jeśli odnosimy sukces, klient nawet nie wie, że jego przedsięwzięcie było zagrożone.

— Odnosi pan sukcesy, panie Sweet?

— Sporo. — Zabrał ją na szóste piętro. — Wszystko, co tu pani widzi, zostało zorganizowane i opłacone przez pana Fremonta i pana Masera — oznajmił.

Kate spojrzała na duże pomieszczenie pełne biur, szafek na akta i półek.

Przypominało redakcję dużej gazety. Sweet przedstawił jej

pracujących tam ludzi. Pochodzili z czterdziestu krajów i reprezentowali wszystkie rasy.

Kate spędziła z nimi kilka godzin. Lekarze z Baltimore i Nairobi pracowali nad sposobami dostarczenia pomocy medycznej dotkniętym suszą regionom Afryki. Inżynierowie z Amsterdamu i Singapuru eksperymentowali z nowymi systemami nawadniania, które miały być wykorzystane na Dalekim Wschodzie. Czarni i biali obywatele RPA dyskutowali o najskuteczniejszych sposobach szmuglowania książek i kaset do kraju apartheidu. Australijscy piloci ustalali trasy, którymi mieli dostarczać żywność i leki do najbardziej potrzebujących rejonów świata.

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedziała Kate do Sweeta, kiedy na moment zostali sami. — Jak mój ojciec i Armand tego dokonali? Jak udało im się utrzymać w tajemnicy coś takiego?

— Czasami najlepszym kamuflażem jest jawność działań — odparł Sweet. — Interesy pani ojca wymagały licznych podróży. Nikt nie upatrywał w tym niczego dziwnego. Pan Maser miał do czynienia z firmami i osobami obracającymi setkami milionów dolarów. Wszyscy rozumieli, dlaczego ich spotkania muszą być dyskretne, odbywać się w ustronnych miejscach. To samo dotyczyło pana Fremonta, który jednak radził sobie inaczej. Był osobą publiczną i media go kochały. Zamiast więc wyjeżdżać do tych, z którymi chciał porozmawiać, zapraszał ich do kasyna. Stanowiło ono najbardziej naturalne w świecie miejsce na spotkania. I nikt niczego nie podejrzewał.

— Po co trzymać to wszystko w sekrecie? — zapytała Kate. — Przecież to jest działalność humanitarna. Przy niewielkiej reklamie mój ojciec i Armand mogliby przyciągnąć bogatych ofiarodawców.

— Możliwe — zgodził się Sweet. — Ale woleli pozostawać w cieniu. Myślę, że w ten sposób byli skuteczniejsi.

— Sugeruje pan, żebym niczego nie zmieniała w Interarmco? Sweet skinął głową i uśmiechnął się.

— Chyba tak.

Kate zastanawiała się przez chwilę.

— Myślę, że ma pan rację — stwierdziła.

Spędzili popołudnie na omawianiu bieżących spraw i planów na przyszłość.

— Wszystko wygląda dobrze — powiedziała Kate. — W tej chwili jest dość pieniędzy. Kiedy tylko przejrzę księgi kasyna, zobaczę, czy się da coś więcej zrobić. Charles Sweet wstał.

— To była przyjemność, panno Maser. Naprawdę mi przykro, że poznaliśmy się w takich okolicznościach. Cieszę się jednak na współpracę z panią.

Kate uścisnęła mu rękę.

— Ja również.

Odprowadzając ją do samochodu, Sweet zapytał:

— To nie moja sprawa, panno Maser, ale czy pan Fremont wspominał kiedykolwiek o jakiejś konkretnej sprawie prowadzonej przez Inter-armco? "

Kate zerknęła na szofera, który spokojnie czekał za kierownicą.

— Armand opowiedział mi o handlu niewolnikami — odparła. — I o Davidzie Cabocie. Czy jeszcze coś chciałby pan wiedzieć, panie Sweet?

— Mam nadzieję, że mi pani wybaczy — przeprosił Sweet. — To bardzo delikatna sprawa. Zapewne chciałaby pani, żebyśmy kontynuowali pracę.

— Oczywiście.

— Więc może panią zainteresuje to, co powiem. Pan Fremont zamierzał rozbić szajkę, która pojawiła się po zlikwidowaniu przez nas kilku innych. To był ciężki orzech do zgryzienia. Zajmowałem się tym przez długi czas. Ale teraz chyba zbliżamy się do celu. Czy określenie „Miejsce Wybrane” coś pani mówi?

Kate zamyśliła się.

— Obawiam się, że nie.

Sweet nie starał się ukryć rozczarowania.

— Myślałem, że może pan Fremont wspomniał pani o tym.

— Co to jest „Miejsce Wybrane”? — zapytała Kate.

— Przypuszczamy, że to miejsce przerzutu — wyjaśnił Sweet. — Nie udało się nam jednak go znaleźć.

— Proszę do mnie zadzwonić od razu, gdy coś odkryjecie — powiedziała Kate. — Tymczasem, jeśli znajdę w papierach Armanda coś interesującego, natychmiast pana powiadomię.

Sweet otworzył drzwi samochodu.

— Jeszcze ostatnie pytanie, panno Maser. Zamierza pani przyjąć ofertę sprzedaży kasyna?

Kate spojrzała na niego.

— Wie pan o tym, prawda?

— To moja praca — powiedział Sweet bez śladu przeprosin w głosie.

— Mam więc nadzieję, że nie obrazi się pan, jeśli powiem, że będzie pan musiał zaczekać i sam się przekonać.

Gdy Kate wróciła do Bejrutu, czekały na nią wiadomości. Oczy jej się zwięziły, kiedy przeczytała nowiny. Większość pochodziła od jednej osoby: Pierre'a Fremonta.

Zrobiła głęboki wdech i przypomniała sobie ostrzeżenie Armanda. *To będzie znacznie trudniejsze, niż sobie wyobrażasz, Kate. Rozmowa o mordercy to jedna rzecz. Spojrzenie mu w twarz to co innego. Zwłaszcza że on nie podejrzewa, że ty już wiesz.*

Kate zapewniła go, że potrafi to zrobić. Armand dodał jej odwagi, ale ostrzegł, że dziewczyna musi cały czas panować nad sobą. Powoli sięgnęła po słuchawkę i wykreciła numer Pierre'a. Kiedy się odezwał, poprosiła go o zwołanie posiedzenia zarządu na następną dzień.

— Zajmę się tym — obiecał Pierre. — Kate, martwiliśmy się o ciebie. Zostawiłem ci wiadomości...

— Pierre, przykro mi. Znalazłam w księgach kasyna coś dziwnego. Wyjeżdżałam właśnie w tej sprawie.

— Kate, o czym ty mówisz?

— Nie przez telefon — przerwała mu. — Omówimy to jutro.

O ósmej w sali konferencyjnej banku.

Wszyscy już na nią czekali. Uśmiechy i ciepłe powitania nie mogły rozproszyć napięcia, które wisiało w powietrzu.

— Myślałam, że coś ci się stało — powiedziała Jasmine. Kate zajęła miejsce u szczytu stołu.

— U mnie wszystko w porządku. Przejrzałam jednak księgi kasyna i odkryłam pewne nieścisłości.

— Nieścisłości? — zapytał Pierre. — Co masz na myśli?

— Transakcje gotówkowe, których nie zaksięgowano.

— Jakie transakcje? — zapytał Louis.

— Brakuje około dwóch milionów dolarów.

— Nie mogę w to uwierzyć! — wykrzyknął Pierre. — Księgowi zauważyliby to.

Jesteś pewna, że Armand nie zostawił jakichś notatek, które by to wyjaśniały?

— Żadnych — odparła Kate zdecydowanie. — Chyba dostrzegacie problem. Jeśli ja potrafiłam znaleźć błąd, z pewnością ludzie sułtana Brunei też sobie poradzą. W najlepszym razie uznają nas za głupców. W najgorszym mogą dojść do wniosku, że próbujemy ich oszukać.

— Co proponujesz? — zapytała Jasmine.

— Jediną możliwą rzecz. Odłożyć sprzedaż do czasu wyjaśnienia sprawy.

Nic! Mamy zbyt dużo do stracenia!

Wszyscy spojrzeli na Louisa, którego twarz pokryła się z gniewu czerwonymi plamkami.

— Brakujące kilka milionów to nic w porównaniu z sumami, o których mówimy. Jak możesz w ogóle myśleć o rezygnacji ze sprzedaży z powodu takiego drobiazgu?

— Muszę się nad tym zastanawiać, Louisie, ponieważ ode mnie zależy ostateczna decyzja! — przypomniała mu Kate stanowczo.

— Na litość boską, Louis — upomniła go Jasmine — daj jej to wyjaśnić. Kate, wiesz, kto może być za to odpowiedzialny?

— Jeszcze nie — powiedziała Kate ostrożnie. — Armand mógł wziąć pieniądze na własne potrzeby. Albo ktoś je ukraść.

— Więc to sprawa dla policji — oświadczył Pierre. — Mogę zadbać, żeby śledztwo było dyskretne.

— Nie ma wystarczających dowodów — sprzeciwiła się Kate.

— Ona ma rację — stwierdziła Jasmine. — Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że coś się wydostanie na zewnątrz. Nawet cień podejrzenia może zagrozić negocjacom z sułtanem.

— Uważam, że Kate powinna podzielić się z nami tym, co wie — powiedział Louis.

— Moglibyśmy pomóc.

— Wolałabym sama się tym zająć — oznajmiła Kate twardo. — Przynajmniej na razie. To przecież mój obowiązek i...

— Ale to dotyczy nas wszystkich! — krzyknął Louis. Kate wstała.

— Będę o tym pamiętać, Louisie. A teraz wybaczcie, mam dużo pracy. Jak tylko coś znajdę, zadzwonię do was.

Gdy tylko wyszła z pokoju, Pierre odezwał się do Louisa.

— Brawo! Gdybyś nie był taki głupi, może by nam coś powiedziała!

— Akurat! — odpalił Louis.

— Przynajmniej raz Louis ma rację — powiedziała Jasmine w zamyśleniu. —

Niestety, na razie nic nie możemy zrobić. — Zwróciła się do Pierre'a. — Jak zachowuje się Katherine?

Pierre stracił resztę cierpliwości.

— Do diabła z tobą i twoimi zagadkami, Jasmine! Jak się zachowuje? Jak wariatka!

— Nie — odparła Jasmine powoli. — Rozumiem jednak, dlaczego miałeś kłopoty z kobietami, kochanie. To jasne. Nasza Kate kogoś chroni. Nie chce, żeby ten ktoś ucierpiał. Ciekawe, kto to może być?

Leonard Watkins został ambasadorem w Libanie dzięki niezwyklej skuteczności w zbieraniu w rodzinnej Kalifornii funduszy na kampanię

wyborczą prezydenta. Watkins uważał, że wysiłki się opłaciły. Bejrut był szalonym miastem, gdzie człowiek znający właściwe osoby mógł oddać się przyjemnościom, które przyprawiłyby o rumieniec nawet kalifornijskich hedonistów.

Jasmine Fremont-Jabar z pewnością należała do osób, które warto znać. Kiedy cztery lata temu Watkins przyjechał do Bejrutu, dosłownie go porwała i otworzyła przed nim świat, którego istnienia nigdy nie podejrzewał. Najważniejsze, że była bogata, więc nie groził mu szantaż. Znała Bejrut jak własną kieszeń, wiedziała, komu można ufać, a kogo należy unikać. Watkins był jednak politykiem i miał świadomość, że prędzej czy później zostanie poproszony o przysługę. Patrząc teraz na siedzącą w jego gabinecie Jasmine, doszedł do wniosku, że ten moment nadszedł. Wskazał na szampana chłodzącego się w wiaderku.

— Masz ochotę się napić?

— Dziękuję, ale nie. Nie chcę ci zabierać czasu.

Więc to jest interes... Postanowił ją delikatnie wysondować.

— To straszne, co się przytrafiło Armandowi.

— Okropne — zgodziła się Jasmine.

— Zdaje się, że policja nie zrobiła żadnych postępów.

— Nie znam się na tym. Przypuszczam, że to wymaga czasu — stwierdziła Jasmine.

— Leonardzie, przyszedłam do ciebie w bardzo delikatnej sprawie. To ma związek ze śmiercią Armanda, chociaż nie bezpośredni, zapewniam cię. Muszę cię jednak prosić o zachowanie dla siebie wszystkiego, co ci powiem. Jeśli dojdiesz do wniosku, że nie jesteś w stanie mi pomóc, ufam, że zapomnisz o całej sprawie.

Watkins potarł najniższy z trzech różowych podbródków.

— Nic, co powiesz, nie opuści tego gabinetu, Jasmine — zapewnił. — Możesz być tego pewna. A jeśli chodzi o pomoc, zobaczę, co da się zrobić.

— Dziękuję, Leonardzie. Spodziewałam się tego.

Jasmine powiedziała Watkinsowi o testamencie Armanda Fremon-ta, o udziałach Kate w SBM i, co za tym idzie, kasynie oraz ofercie sułtana Brunei.

— Jest jednak pewna drobna komplikacja. Chociaż Kate zgodziła się, przynajmniej w teorii, na sprzedaż akcji, uważa, że ma moralne zobowiązanie wobec Armanda.

Zachodzi obawa, że się rozmyśli.

Watkins słuchał bardzo uważnie. Informacje mogły się okazać bardzo cenne, gdyby znalazł sposób ich wykorzystania. Uważał siebie za starego Bcjrutczyka. Wszystko tutaj działało na zasadzie naczyń połączonych. Musiało za tym kryć się coś więcej.

— Kate opuściła Stany Zjednoczone nielegalnie. Pamiętasz te bzdurne oskarżenia, że jest zamieszana w sprawę Maritime Continental? Wiem, że chciałyby to załatwić. Jeśli dojdzie do sprzedaży, Maser dostanie tyle pieniędzy, że będzie mogła je zwrócić z odsetkami klientom banku. Osoba winna i do tego znajdująca się poza zasięgiem amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości z pewnością nie brałaby takiej rzeczy pod uwagę.

Watkins uśmiechnął się blado.

— Z pewnością.

— Myślę, że powinniśmy ją do tego zachęcić. Na przykład, gdyby otrzymała od władz federalnych zapewnienie, że po zwróceniu pieniędzy wszystkie zarzuty przeciwko niej i Emilowi Bartolemu zostaną wycofane, mogłoby to przekonać ją do sprzedaży.

— Rozumiem — zgodził się Watkins niezobowiązującym tonem. Czekał na ciąg dalszy.

— Nasz interes, mój i Louisa, w tej sprawie jest oczywisty — kontynuowała Jasmine. — Chociaż Louis ma pełne poparcie *zuama* dla swojej kandydatury, będziemy mogli znacznie więcej włożyć w kampanię, jeśli sprzedaż się powiedzie. Nie muszę mówić, że im więcej zrobimy, żeby zapewnić sobie zwycięstwo, tym lepiej dla wszystkich.

Leonard Watkins rozparł się na krześle i popatrzył na fotografię prezydenta Johnsona. Dobrze znał Lyndona. Staremu Tekszańcykowi spodobałby się ten targ. Bez wątplenia Louis Jabar był człowiekiem, którego Watkins chciałby widzieć w prezydenckim pałacu. W przeciwieństwie do reszty świata, który według Watkina składał się z niewdzięczników, Libańczycy kochali Amerykanów. Oczywiście korzystali z pomocy Stanów Zjednoczonych, ale potrafili to docenić. Amerykańscy przedsiębiorcy kochali ten kraj, a Louis Jabar udowodnił, że jest człowiekiem, z którym można robić interesy. Watkins wychwalał Louisa w Kongresie, podobnie jak Aramco, Texaco, Mobil i DuPont. Jak długo wszyscy byli szczęśliwi, Leonard Watkins mógł się spodziewać następnych intratnych posad.

Przybrał oficjalną minę.

— Jasmine, doceniam twoje zaufanie. Chyba mogę zasugerować w Departamencie Sprawiedliwości, żeby przyznano pannie Maser pełną amnestię, jeśli wynagrodzi poszkodowanym straty.

Do diabła, niemal mogę to zagwarantować!

Watkins rzeczywiście mógł, ponieważ Bill Fredricks, agent FBI przy ambasadzie, był starym kolegą szkolnym Bobby'ego Kennedy'ego, którego ludzie kierowali Departamentem.

— Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć, Leonardzie — powiedziała Jasmine wstając. — Louis i ja nigdy ci tego nie zapomnimy.

Watkins uśmiechnął się szeroko. Mógł być tego pewien.

Nadszedł czas, by Kate pokazała się w kasynie. Spekulowano na temat losu tej wizytówki kraju oraz intencji nowej właścicielki. Bejrutczycy, w większości Libańczycy, uważali, że kasyno jest ich i mają prawo wiedzieć, co się z nim stanie. Kate przypomniała sobie, jak uprzejmie i bez wysiłku Armand zabawiał gości, dawał każdemu rozmówcy odczuć, że jest wyjątkowy. Ona nie rozpoznałaby nikogo.

— Po kilku godzinach będziesz miała wszystko w małym palcu — zapewniła ją Lila Mikdadi.

Lila była czarnooką pięknoscią o oliwkowej skórze. Miała czterdzieści lat, a od dwudziestu pełniła rolę sekretarki Armanda Fremonta i, jak Kate dowiedziała się po pogrzebie, od równie dawna kochała się w nim bez wzajemności. Kiedy jednak poznała treść testamentu, natychmiast zapewniła Kate o swojej lojalności.

— Bo wiem, że zrobisz to, czego życzyłby sobie Armand.

Lila wprowadziła Kate do gabinetu i pokazała dwie szafki z kartotekami. Na każdej karcie znajdowało się nazwisko, adres, numer prywatnego telefonu, dane osobiste, takie jak nazwisko obecnej kochanki lub kochanka, a w prawym górnym rogu zdjęcie paszportowe.

— Kiedyś będziesz musiała je wszystkie przejrzeć — powiedziała Lila. — Na szczęście wiem, kto jest kim w mieście. Te na razie wystarczą.

Rozkoszując się kąpielą, Kate przestudiowała dwieście kart, które wyciągnęła Lila. Początkowo myślała, że to za dużo. Kiedy jednak przyszła do kasyna, szepnęła Liili do ucha słowa podziękowania.

Tym razem nie udało się uniknąć fotografów. Każdy, kto wchodził po schodach kasyna, był łakomym kąskiem. Paparazzi od razu rzucili się na Kate.

Przypomniała sobie rady, które dał jej Armand. Zaczekała w samochodzie, aż Salim i inni ludzie z ochrony utworzą szpaler. Następnie wzięła głęboki oddech, ozdobiła twarz najlepszym uśmiechem i wysiadła. Oślepiły ją flesze, a reporterzy zasypali pytaniami wykrzykiwanymi w kilkunastu językach. Pomachała im ręką, ale schowała się za Salima i parę sekund później była już w kasynie.

Personel przywitał ją tak ciepło, jakby pracował dla niej od wielu lat. Z Salimem u boku Kate poszła do głównej sali pełnej graczy, wo-

kół których kręciły się pary, gawędząc i obserwując grę. Kiedy stanęła w wielkich mahoniowych drzwiach, wszystkie głowy obróciły się w jej stronę. Rozpoznała kilka twarzy z kartoteki. W tym momencie wydarzyło się coś dziwnego. Przy stolikach zapanowała cisza, a gracze i dealerzy wbili w nią wzrok. Kate poczuła rumieniec wpełzający na szyję, ale zwalczyła chęć ucieczki.

Jakby na dany znak goście rozsunęli się, robiąc miejsce starszemu dystyngowanemu mężczyźnie w smokingu. Kate wiedziała, że to *maitre des jeux*, kierownik kasyna, który miał ostatnie słowo we wszystkim, co działo się w sali. Pamiętała, że Armand przedstawiając go, szepnął jej, że ten człowiek pracował w kasynie pięćdziesiąt lat. *Maitre des jeux* podszedł do Kate i uklonił się do pasa. Następnie odwrócił się w stronę tłu i czystym, donośnym głosem oznajmił:

— Panie, panowie, mam zaszczyt przedstawić pannę Katherine Maser! — I zaczął bić brawo. Dołączyli do niego wszyscy obecni i po chwili owacje stały się ogłuszające.

Nawet po tym powitaniu Kate nie poczuła się pewniej. Miała wątpliwości, czy poradzi sobie, gdy ktoś podejdzie do niej z jakimś problemem. Na szczęście wszystko szło gładko. Koła ruletek terkotały, a liczni gracze akurat tej nocy dużo przegrali. Wszystkie stoliki w restauracji „Oiseau Bleu” były zajęte, a kuchnia pracowała pełną parą.

Kate nie bardzo wiedziała, czy ma się przywitać z niektórymi gośćmi: gwiazdami filmowymi, których twarze od razu rozpoznała, znanymi milionerami i właścicielami największych firm na świecie. Szybko jednak przekonała się, że ci ludzie sami szukają jej towarzystwa. Tematy rozmów wydawały się dość błahe: moda, plotki towarzyskie, interesy i polityka. Kate wyczuwała jednak, że wszyscy ją obserwują i oceniają.

Chcą zobaczyć, jaka jestem. Czekają na potknięcia...

I przybrała pewny siebie uśmiech, zamierzając pokazać obecnym, że jest to normalny wieczór w Casino de Paradis.

Chociaż wyszła z kasyna dopiero po drugiej w nocy, wstała już o siódmej. Baltazar przygotował jej śniadanie składające się z owoców, jajek i amerykańskiego bekonu. Dopiero kiedy siadła do stołu, uświadomiła sobie, że umiera z głodu. Otworzyła poranne wydanie bejruckiego *Stara* i przekonała się, że wieczór był większym sukcesem, niż sądziła. W swojej kolumnie Joyce Kimball obsypywała ją pochwałami, opisując szczegółowo, jak Kate była ubrana i uczesana, z kim rozma-

wiała i, co ważniejsze, jak długo. Artykuł kończył się stwierdzeniem, że mimo tragedii Bejrutczycy mogą być wdzięczni losowi, że jego perła, Casino de Paradis, przeszła w ręce tak zdolnej i pełnej wdzięku osoby. Kate piła drugą filiżankę kawy, kiedy pojawił się Baltazar.

— Ma pani gościa, medemoiselle. Myślę, że zechce go pani przyjąć.

— Kto to jest?

Baltazar bez słowa podał jej wizytówkę.

Bill Fredricks, łącznik FBI w ambasadzie, był jednym z najlepszych ludzi Hoovera, kutym na cztery nogi.

— Dzień dobry, panno Maser — powiedział. — Wygląda na to, że nie traci pani czasu. — Wskazał na gazetę.

— Miło mi pana poznać, panie Fredricks — odparła Kate, ignorując jego komentarz.

— Co pana sprowadza?

Fredricks wyglądał na dość miłego człowieka, ale miał oczy policjanta. Rozejrzał się, nie przeocząc żadnego szczegółu, i wyciągnął wnioski.

— To nie zajmie dużo czasu — uspokoił ją. — Chodzi o pani status w USA.

— A jaki jest mój status, panie Fredricks? Fredricks uśmiechnął się.

— Niepewny. Przynajmniej na razie. Wszystko wskazuje jednak na to, że pani sytuacja może ulec zmianie. Rozmawiałem z moim szefem z Waszyngtonu. Do ambasady wysłano odpowiednie dokumenty. Dostaniemy je za kilka dni. Wczoraj przyszedł teleks.

Wręczył go Kate i obserwował ją, gdy czytała.

— To jakiś podstęp? — zapytała Kate ze zdumieniem.

— Żaden podstęp, proszę pani — zapewnił Fredricks uroczyście. — Dostanie pani dokumenty, jak tylko przyjdą. Na razie może pani na podstawie tego teleksu zorientować się, o co chodzi. Jeśli zwróci pani pieniądze klientom banku, pani i pan Bartoli zostanieie oczyszczeni z zarzutów. Będzie pani mogła wrócić do domu.

Wszystko jest tutaj czarno na białym. — Zrobił pauzę dla większego efektu. —

Podpisane przez samego prokuratora generalnego.

Wydarzenia następują szybciej, niż przewidywałem — stwierdził Armand. — Twoje wahanie pobudziło Pierre'a do działania.

Kate siedziała na brzegu łóżka, patrząc na Armanda. Przyjechała do monastynu, kiedy jeszcze było ciemno. Teraz pierwsze promienie światła przesączały się przez małe okienko umieszczone wysoko na pobielonej ścianie.

Stwierdziła, że Armand wygląda dzisiaj lepiej. Jego uścisk był wyraźnie silniejszy, a oczy błyszczące. Nadal jednak martwiła się o niego.

— Nie rozumiem — wyznała. — Fredricks nie powiedział mi, dlaczego oferta przyszła akurat teraz. Ani kto za nią stoi. Ja nie znam nikogo w Departamencie Sprawiedliwości.

— Ale Pierre owszem. Próbuje się ciebie pozbyć, Kate. Stara się wykorzystać okazję, by zatrzeć za sobą ślady. Jak zareagowali pozostali?

— Louis był wściekły. Łatwo go przejrzeć, Armandzie. Spodziewał się, że udział Jasmine pójdzie na jego kampanię.

— A Jasmine?

— Stała w mojej obronie. Chciałaby, żeby doszło do sprzedaży. Nie ma co do tego wątpliwości. Zdaje się jednak, że mnie popiera.

— Jestem zaskoczony — mruknął Armand. — Jasmine nie należy do osób, które łatwo rezygnują z pieniędzy.

— Nie wiem, jak długo uda mi się ich zwodzić — powiedziała Kate. — Uwierzyli w historyjkę o nieścistościach w księgach kasyna, ale wcześniej czy później zaczną się domagać szczegółów, zwłaszcza Pierre.

Armand spojrzał na nią badawczo.

— Wszystko w porządku, Kate, prawda? Mam na myśli Pierre'a.

— Niczego nie podejrzewa. — Popatrzyła mu w oczy. — Wiesz, co mnie przeraża? Nie to, że mogę się zdradzić. Chodzi o gniew, Armandzie. Nigdy nic myślałam, że mogę nienawidzić kogoś tak, jak teraz nienawidzę Pierre'a. Cokolwiek się stanie, on musi zapłacić.

— Zapłaci — odparł Armand łagodnie. — Obiecuję ci. Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Przerwała je Kate.

— Kiedy spotkałam się ze Sweetem, powiedział mi coś dziwnego. Czy słyszałeś kiedyś nazwę „Miejsce Wybrane”?

Armand poruszył się na łóżku i skrzywił z bólu.

— Miejsce Wybrane... Nie, nie sądzę.

— Sweet twierdzi, że to ma coś wspólnego z szajką handlarzy niewolnikami, którą rozpracowujecie. On sądzi, że to ważne.

Armand próbował myśleć. *Miejsce Wybrane...* Co to może być? Gdzie? Nazwa wydawała się znajoma, ale nie potrafił jej z niczym skojarzyć. Lekarstwa przytępiły mu umysł.

— To pewnie bez znaczenia — rzuciła Kate pośpiesznie, zaniepokojona bladością Armanda. — Tylko luźna uwaga.

Armand był niemal gotowy się z nią zgodzić. Nagle drgnął. Miejsce Wybrane! Istniało tylko jedno takie. Mouchtara! Rodzinny dom Alexandra Masera!

— Armandzie, co się stało?

— Nic — szepnął. — To lekarstwa.

Obserwując, jak Kate biegnie po opata, myślał gorączkowo. To musi być Mouchtara! Ale czy służy jako kwatery szajki czy punkt przerzutowy? Ukrywają tam dzieci, czy sprowadzają kupców? I dlaczego Mouchtara? Bo jest opuszczona? A może ktoś zakpił sobie w ten sposób z Alexandra?

Armand doszedł do wniosku, że musi się tego dowiedzieć. Walczył zbyt ciężko, czekał zbyt długo, żeby teraz się poddać. I będzie musiał zrobić to sam.

Dam radę? Nawet jeśli uda mi się zwlec z łóżka i wydostać stąd, co dalej? A jak mnie ktoś rozpozna?

Ryzyko wydawało się jednak niewielkie w porównaniu z nagrodą. Kiedy Armand zobaczył Kate wracającą w towarzystwie dwóch mnichów, wiedział już, co robi. Przed wejściem na pokład samolotu do Genewy Kate odbyła rozmowę telefoniczną, którą przez cały czas odkładała.

— Kate! Już szalałam z niepokoju! Oglądałam wiadomości z Bejrutu. Wiem o Armandzie. Wszystko u ciebie w porządku? Oczywiście, że tak. Przecież widziałem cię w telewizji.

— Emilu, przykro mi. Powinnam była zadzwonić wcześniej. U mnie wszystko dobrze. Tyle się wydarzyło.

- Słucham, Kate.

Opowiedziała mu o zamachu, akcji ratunkowej i testamencie Armanda, który uczynił ją spadkobierczynią. Zorientowała się, że Emil jest wstrząśnięty. Nigdy wcześniej nie zdarzało się, by zabrakło mu słów.

— Kate, mogę ci jakoś pomóc? — wydusił w końcu.

Kate zamknęła oczy, zadowolona, że nie rozmawia z nim bezpośrednio. Tyle musiała przed nim ukryć, a dla niej było to równoznaczne z kłamstwem.

— Emilu, czy kontaktował się z tobą ktoś z Departamentu Sprawiedliwości?

— Nie.

Więc tylko do mnie zwrócili się z ofertą...

Powiedziała mu o ofercie Departamentu Sprawiedliwości przekazanej przez ambasadę.

— Nic z tego nie rozumiem, ale nie sędzę, żeby to był kawał.

— Ja również — stwierdził. — Kate, jestem w kropce. Nie spodziewałem się czegoś takiego.

— Ani ja.

Zaniepokoił się, słysząc jej ton.

— Coś jest nie w porządku, prawda? Powiedz mi, o co chodzi. Poinformowała go, że pozostali członkowie rodziny chcą wystawić akcje SBM na sprzedaż, i wspomniała o świetnej ofercie.

— Emilu, moglibyśmy oddać pieniądze naszym klientom i wznowić działalność banku. A co najważniejsze odzyskalibyśmy dobre imię.

— Wyczuwam wielkie „ale”.

— Musiałabym sprzedać kasyno. Nie wiem, czy mogę to zrobić, Emilu. Mój ojciec i Armand stworzyli coś wyjątkowego...

— Kate, nie rozumiem.

Zaczerpnęła tchu i przekazała Emilowi wszystko, czego się dowiedziała o Interarmco.

— Teraz agencja przeszła na mnie. Rozumiesz już, prawda? Interarmco musi dalej działać, a jest to możliwe pod warunkiem, że kasyno nadal będzie finansowało jej działalność. Z drugiej strony, dzięki sprzedaży kasyna moglibyśmy odbudować Maritime Continental. To jest szansa, na którą zasłużyłeś stokrotnie.

Na linii zapanowała cisza i przez chwilę Kate myślała, że połączenie zostało przerwane. Po dłuższej chwili Emil odezwał się spokojnym głosem.

— Gdybym nie wiedział nic o dokonaniach twojego ojca, może uważałbym, że powinnaś zgodzić się na sprzedaż. Ale jest inaczej.

Masz rację. Nie możemy pozwolić, by praca Alexandra i Armanda poszła na marne. To byłaby największa zdrada wobec nich. Interarmco jest twoim spadkiem, Kate, może bardziej niż kasyno. Nie możesz zawieść zaufania.

Oczy Kate napełniły się łzami.

— Przysięgam, że znajdę inny sposób, żeby ci pomóc, Emilu.

— Wiem. I nie chcę, żebyś się o mnie martwiła. Z całym szacunkiem należnym amerykańskim bankierom, my, Wenecjanie, potrafimy ich nauczyć paru sztuczek. Kate roześmiała się.

— Powodzenia, Kate. Proszę, bądź ostrożna. Bejrut to teraz niebezpieczne miejsce. Zadzwoń do mnie, żebym się nie denerwował.

— Obiecuję, Emilu.

Kate była głęboko zasmucona, kiedy rozmowa się skończyła. Skłamała człowiekowi, który jej ufał i którego kochała. Wiedziała, że kiedyś oczyści go z zarzutów. Ale jeszcze przez długi czas nie będzie mogła spojrzeć mu w oczy.

— Panno Maser, nie spodziewałem się zobaczyć pani tak szybko — powiedział Charles Sweet. Siedział w samolocie naprzeciwko niej.

— Dziękuję, że pan się zjawił. Sweet wzruszył ramionami.

— Jestem zaintrygowany.

— Potrzebuję pańskiej pomocy — oznajmiła Kate i wyjaśniła mu, o co chodzi. Sweet cicho zagwizdał.

— To trudne zadanie. Prawdopodobnie mógłbym to zrobić, ale potrzebowałbym czasu.

— Którego nie mam! — rzuciła Kate niecierpliwie. — Wiem od Armanda, że David Cabot miał szczególnie dobre stosunki z policją francuską. Z pewnością jest ktoś, kto chętnie by pomógł, wiedząc, że robi to dla Davida.

Oczy Sweeta spochmurniały.

— A zatem informacja, której pani szuka, ma związek ze śmiercią Davida?

— Wiem, że poruszy pan niebo i ziemię, żeby znaleźć zabójcę. Proszę mi wierzyć, pragnę tego tak samo jak pan. Proszę więc, żeby mi pan zaufał.

— Pod jednym warunkiem — oświadczył Sweet. — Że podzieli się pani ze mną odkryciami.

— Jeśli będzie to bezpośrednio dotyczyło zabójcy Davida.

— Zgoda. Zadzwoń do pani w Bejrucie.

— Będzie pan musiał zrobić to wcześniej — uprzedziła Kate. — Lecę bezpośrednio do Paryża.

Charles Sweet przyglądał się jej przez chwilę.

— Była pani zupełnie pewna, że pomogę, prawda?

— Oboje chcemy tego samego — skwitowała Kate. — Tego byłam pewna.

Kate przyleciała do Paryża w samą porę, by zobaczyć zachód słońca, od którego poczerwieniały iglice katedry Notre Dame. Pojechała limuzyną do Ritza, wzięła prysznic, przebrała się i nałała sobie aperitif. Później zjadła doskonałą kolację w „Tour d'Argent” i przed powrotem do hotelu zrobiła sobie spacer wzdłuż Sekwany. W pokoju czekała na nią wiadomość od Charlesa Sweeta. Kate przeczytała ją, uśmiechnęła się i zgasiła światło. Następnego ranka poszła do klubu, do którego należał jej ojciec, i zapytała o jego rzeczy. Kierownik był sympatyczny i zapewnił ją, że klub odesłałby je do Nowego Jorku. Kate zadała mu przy kawie jeszcze kilka pytań, podziękowała i wyszła.

Udała się do prefektury policji na Isle de la Cite, gdzie spotkała się z baryłkowanym, palącym papierosa za papierosem inspektorem Denisem Caronem. Policjant zamknął drzwi gabinetu i zasunął żaluzje.

— Rozmawiałem z panem Sweetem — oświadczył. — Chodzi pani o śmierć pana Cabota.

— Nie — odparła Kate spokojnie. — O jego mordercę. I mordercę Armanda Fremonta.

Francuz uniósł ręce.

— Ale to się stało w Bejrucie, mademoiselle! Dlaczego uważa pani, że mogę coś pomóc?

— Może pan. Potrzebuję rejestru rozmów telefonicznych, zwłaszcza międzynarodowych. Interesuje mnie numer...

— Nie, mademoiselle! Absolutnie nie! Nie mogę otrzymać wykazu telefonów bez nakazu sędziego śledczego. A do tego muszę mieć powód.

— Właśnie go panu podałam — zauważyła Kate.

— Opowiedziała mi pani bajeczkę! Nie ma pani dowodu, że obywatel francuski miał coś wspólnego z tą historią w Bejrucie!

— Nie mówiłam, że to był obywatel francuski.

— Obywatel, mieszkaniec, gość... to nie ma /nac/enia! Jego po prostu nie da się zrobić.

Kate postanowiła zablefować.

— O ile sobie przypominam, David Cabot zrobił dla pana rzecz niemożliwą. Inspektor zawahał się.

— Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało z Davidem — powiedział, zapalając papierosa, chociaż poprzedni dopalał się w popielniczce. — Ale błagam, żeby pani mnie zrozumiała. Gdy ostatnim razem pomogłem Davidowi, poniosłem konsekwencje. W sprawę byli zamieszani politycy. Kiedy wniesiono przeciwko nim oskarżenie, wydało się, że to ja przyczyniłem się do ich zdemaskowania. — Caron zaciągnął się głęboko. — Powinienem zostać bohaterem, mademoiselle. Stało się jednak inaczej. Szefowie stracili do mnie zaufanie. Nie mogli mnie usunąć, ale zadbali o to, by moja kariera się skończyła. Nie mam nadziei na awans. Proszę mi więc wybaczyć, że tym razem postawię na pierwszym miejscu rodzinę i emeryturę. — Rozumiem, inspektorze — powiedziała Kate. — Mam nadzieję, że nie przysporzyłam panu kłopotów.

— Nie, mademoiselle. Tylko mi pani o nich przypomniwała.

Jak w każdy wtorek inspektor Denis Caron wyszedł z prefektury o trzeciej. Piętnaście minut później opierał się o cynkową ladę w barze uczęszczanym przez policjantów. Caron spędził tutaj wiele miłych godzin na pogawędkach z kolegami. Teraz pił sam. Jak parias przyszedł do starej spelunki wczesnym popołudniem, kiedy zwykle jest tu jeszcze pusto.

Wielkoduszny barman poświęcił Caronowi trochę czasu. Jako były policjant stanowił wzór dyskrecji. Gdyby chciał, mógłby ciągnąć spore korzyści z zasłyszanych plotek. Ponieważ nie miał innych klientów do obsłużenia, usiadł na stołku i dotrzymywał towarzystwa inspektorowi, który opowiadał o zabójstwie bogatego libańskiego właściciela kasyna i jego ochroniarza. Stopniowo zainteresowanie barmana słabło.

Lecz marokański sprzątac, który zamiatał podłogę przed barem, słuchał z coraz większą uwagą. Chociaż nigdy się z tym nie zdradzał, doskonale rozumiał francuski. Pracował tutaj prawie dwa lata, nie rzucając się w oczy. Nikt się nim nie interesował, ale sprzątac nie przepuszczał żadnego słowa. W niektóre dni nie dowiadywał się niczego, inne były kopalnią złota. Zgarbił się nad miotłą. Serce biło mu coraz żywiej. On również słyszał o morderstwie w Bejrucie. Krążyły plotki na temat tożsamości zabójcy. A teraz ta kobieta, Amerykanka, zadawała pytania.

Marokańczyk zwilżył wyschnięte wargi i odszedł szurając nogami. Zastanawiał się, jakiej zapłaty ma zażądać za te rewelacje.

Gdy samolot Kate lądował w Bejrucie, w domu Jasmine na wzgórzach Jounyeh zadzwonił telefon. Kiedy rozpoznała głos rozmówcy, zaschło jej w gardle.

— Katherine Maser węszy — oznajmił i poinformował ze szczegółami, czego Kate próbowała dowiedzieć się w Paryżu. — Była w klubie, do którego należał Alexander Maser — kontynuował rozmówca. — Była w prefekturze na Isle de la Cite. Trzeba ją powstrzymać. Albo sama się tym zajmiesz, albo ja to zrobię! Jasmine była wstrząśnięta jego słowami.

— Nie chcę, żeby się jej stała krzywda! — powiedziała szybko. — Potrzebuję jej... — Nie obchodzi mnie to! Dopilnuj, żeby przestała wścibiać nos w nie swoje sprawy. Jeśli nie przestanie, dowiem się. Słucham i patrzę.

Jasmine zadrżała. Minęło kilka sekund, zanim się zorientowała, że rozmowa skończona.

Z lotniska Kate pojechała prosto do kasyna na spotkanie z Anatolem Benedettim. Benedetti był Sycylińczykiem, niskim, krępy męczyzną o oczach czarnych jak węgiel. Zwykle nosił biały smoking ze świeżą różą w klapie.

— Benedetti pracuje u mnie od lat — powiedział jej Armand. — Jako dyrektor nie ma sobie równego na obu brzegach Morza Śródziemnego. Personel jest wobec niego lojalny, o on wobec mnie. Benedetti będzie ci pomagał, ale wiedz, że gardzi słabością. Ucz się od niego, ale nie pozwól mu nigdy — i nikomu innemu — zapomnieć, kto naprawdę rządzi.

Chociaż Benedetti przywitał ją z szacunkiem, Kate wyczuła w nim rezerwę. Poprosiła go, by przewodniczył pierwszemu zebraniu, w którym brali udział szefowie czterech działów kasyna: gier, finansowego, zaopatrzenia i ochrony. Szef każdego działu odczytał krótki raport z poprzedniego dnia. Ponieważ nie było żadnych pilnych spraw, zaczęto zastanawiać się nad tym, jak najlepiej wykorzystać tegoroczne dochody, gdyż sezon zapowiadał się na rekordowy.

Kate przysłuchiwała się uważnie. Robiła notatki, choć siedząca obok niej Lila stenografowała naradę. Gdy wszyscy skończyli, Kate zabrała głos.

A co z Azjatami?

Wszyscy spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Benedetti wyprostował się na krześle i uśmiechnął lekko.

— Co ma pani na myśli, panno Maser? Kate wzięła głęboki oddech.

— Widzę, że koncentrujemy się tylko na rynku europejskim i północnoamerykańskim.

— Musimy. Tam właśnie działają nasi konkurenci. Enghien, Baden-Baden i tak dalej — przerwał jej szef działu gier.

— Rozumiem. Nie sugeruję, że należy lekceważyć te rynki. Mówię o pozyskaniu nowych klientów.

— Jakich? — zapytał kierownik działu finansowego.

— Azjatów — odparła Kate. — Hazard jest nie tylko rozrywką, lecz pasją w takich miejscach jak Hongkong, Tokio, Singapur i Manila. Ich mieszkańcy mają dużo pieniędzy, lecz raczej nie zapuszczają się w świat. Zresztą po co? W Hongkongu jest wszystko, czego mogą zapragnąć. Salony gier, hotele, restauracje i wszelkie rozrywki. Wydaje się, że to zamknięty rynek i dlatego nikt nie pomyślał o zdobyciu go. — Spojrzała na obecnych. — Może dlatego my powinniśmy spróbować.

Kierownicy działów spojrzeli po sobie. Zastanawiając się nad słowami Kate, doszli do zgodnego wniosku, że pomysł jest wykonalny. Zamiłowanie Azjatów do hazardu było legendarne. Skoncentrowane wysiłki, żeby ściągnąć do Bejrutu złoto i dolary z Hongkongu, mogły przynieść rezultaty. Zyski byłyby oszałamiające. Dlaczego nikt nie wpadł na to wcześniej?

— Panno Maser, skąd pani to przyszło do głowy? — zapytał Anatole Benedetti.

— Mieszkałam na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, panie Benedetti — powiedziała. — W takich miastach jak San Francisco społeczność azjatycka jest bardzo witalna. Azjaci zajmują się głównie handlem złotem, diamentami i platyną. Jeśli zdołamy ściągnąć ich do Casino de Paradis, przywiozą swoje bogactwa w walizkach.

Widząc wokół siebie kamienne twarze, Kate przez chwilę zastanawiała się, czy zrobiła jakieś wrażenie.

— Panno Maser — odezwał się Benedetti. — Słyszeliśmy plotki o chętnym do kupienia kasyna. Pozwoli pani, że zapytam wprost, czy ma pani zamiar je sprzedać? Kate spojrzała mu w oczy.

— Tak, jest kupiec. Powiedziano mi, że Armand Fremont zastanawiał się nad przyjęciem oferty. Nie znalazłam jednak wśród jego pa-

pierów żadnych instrukcji w tej sprawie. Więc jeśli o mnie chodzi, panowie, Casino de Paradis nie jest na sprzedaż!

Benedetti wstał, odsunął krzesło Kate i podał jej rękę.

— Miło nam będzie pracować z panią, mademoiselle — oświadczył, patrząc na pozostałych. — A jeśli chodzi o pani pomysł z Azjatami, uważamy, że to jest wielka szansa. Proponuję, żebyśmy poważnie nad tym się zastanowili i zajęli tą sprawą na następnym zebraniu.

Kiedy dwie godziny później Lila Mikdadi zapukała do drzwi, Kate nadal pilnie pracowała.

— Ma pani gościa — oznajmiła, rzucając jej porozumiewawcze spojrzenie.

— Kto to jest? — Kate podniosła wzrok, zaintrygowana. Lila odsunęła się i do pokoju wszedł Michael Saidi.

— Cześć, Kate. — Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy drzwi są zamknięte, i powiedział lekkim tonem: — Pomyślałem, że mnie unikasz.

Kate nie wstała zza biurka, wdzięczna za dzielącą ich przeszkodę. Czowała, że ogarnia ją gniew, kiedy patrzyła, jak Michael podchodzi poruszając się z wdziękiem i uśmiechając czarująco.

Jesteś mordercą! Złodziejem i mordercą!

— Kate, dobrze się czujesz? Jesteś strasznie blada.

— Przykro mi, Michaelu. Byłam ostatnio bardzo zajęta. Michael rozejrzał się po gabinecie.

— Wyobrażam sobie. Mówią, że kasyno idzie na sprzedaż.

— Jest ktoś zainteresowany kupnem — poprawiła go Kate. — To nie to samo.

— Wnioskuje więc, że nie jesteś zainteresowana sprzedażą. Potrząsnęła głową.

— Kate, wyglądasz, jakbyś się źle czuła — powiedział Michael łagodnie. — Nie zamierzałem cię zdenerwować.

Rozpaczliwie starała się zachować spokój.

— Tak się o ciebie martwię, Kate. — Michael podszedł do niej. — Tyle mamy do zwiedzenia. Proszę, nie unikaj mnie w taki sposób — szepnął, dotykając wargami jej ucha.

Przesunął dłońmi po jej ciele. Podniósł ją z krzesła, chwycił za pośladki i mocno przyciągnął do siebie. I nagle gwałtownie pocałował.

Kate próbowała się wyrwać, ale kiedy Michael przytrzymał ją mocniej, zrezygnowała z oporu. Sztuczka poskutkowała. Nic nic mogło bardziej ostudzić Michaela niż kobieta zachowująca się jak szmaciana lalka.

— Kate, przepraszam. Poniosło mnie. — Michael cofnął się i roześmiał. — Tak na mnie działasz.

— Później, Michaelu — powiedziała słabo. — Będę miała więcej czasu.

— O tak — odparł Michael. — Nie zamierzam pozwolić, byś się stała odludkiem.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, Kate poszła chwiejnie do łazienki. Odkręciła kran. Trysnęła zimna woda, mocząc jej sukienkę. Nie zwracając na to uwagi, zwilżyła twarz i zaczęła mocno trzeć skórę, żeby się pozbyć zapachu Michaela. Potem nagle wybuchnęła histerycznym płaczem, kiedy pomyślała o rannym, bezradnym Armandzie. W tym momencie desperacko pragnęła być razem z nim, przytulić go, pocieszyć. Jak długo zdoła wytrzymać bez niego?

Michael nalał sobie whisky z butelki stojącej na stoliku z alkoholami w salonie Jasmine.

— Jest inny mężczyzna? — zapytała Jasmine. Michael prychnął.

— Niemożliwe! Kogo innego mogła poznać?

— Więc dlaczego się od ciebie odsuwa? — zastanawiała się Jasmine. — Najpierw była gotowa otworzyć przed tobą serce. Teraz cię odpycha, jakby już cię nie potrzebowała. Jakby kogoś sobie znalazła.

— Może Katherine Maser ukrywa więcej, niż przypuszczamy? Jasmine wróciła myślami do cichych, złych słów, które usłyszała zaledwie parę godzin temu. One również dotyczyły Kate.

— Ktoś się nią opiekuje — powiedziała. — Ktoś udziela jej rad. Myślę, że o to właśnie chodzi. Powinnam była ją wybadać. Teraz ty to musisz zrobić.

— To nie będzie łatwe — uprzedził Michael. — Jeśli jest ktoś inny, ona nie otworzy się przede mną.

— Jesteś bystry! — odparowała Jasmine. — Znajdź inny sposób. Każ ją śledzić. Michael skinął głową.

— To da się zrobić. Jasmine zabłysły oczy.

— Możemy zrobić jeszcze więcej! Czas, żeby trochę potrząsnąć złotą klatką panny Katherine Maser.

I przedstawiła mu swój pomysł.

21

Kiedy Baltazar poinformował Kate, że inspektor Hamse czeka w bibliotece, pobięła tam z obawą, że przyniósł złe wieści. Otworzyła drzwi.

— Inspektorze, coś się stało?

— Może, panno Maser. Ustalimy to na komisariacie, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

— Ale dlaczego? — spytała zaszokowana.

— Wyjaśni mi pani pewne rzeczy w związku ze śmiercią Armanda Fremonta — odparł cicho.

— Już powiedziałam wszystko, co wiem.

— Panno Maser, rzeczywiście powiedziała mi pani dużo — zgodził się Hamse uprzejmie. — Ale to było, zanim się dowiedziałem, że mogła pani mieć motyw.

— Motyw?

— Spadek, panno Maser. — Zachichotał. — Dziesiątki milionów dolarów, które pani dostanie, jeśli sprzeda pani kasyno.

Ostatnią osobą, którą Kate spodziewała się lub chciała zobaczyć na schodach komisariatu policji, była Joyce Kimball z kroniki towarzyskiej. Kate odwróciła wzrok, mając nadzieję, że się prześliznie, ale drobna czarnowłosa kobieta rzuciła się na nią jak sęp.

— Kate, musisz mi powiedzieć! — zawołała bez tchu. — Mówią, że będziesz przesłuchiwana w sprawie zamachu na Armanda. Czy to prawda?

— Po pierwsze, Joyce, nie wiem, co to za „oni” — rzuciła Kate ze złością. — Po drugie, mam wrażenie, że wiesz więcej niż ja. A przy okazji, jak się dowiedziałas, gdzie mnie znaleźć?

— O, mam swoje sposoby, kochanie. — Kimball zachichotała, starając się dotrzymać kroku Kate, która szybko wbiegła po schodach.

— A jeden z tych sposobów to inspektor Hamse, prawda?

— Kochanie, wiesz, że nie mogę ujawnić swoich źródeł.

— Więc nie spodziewaj się ode mnie niczego!

Kate trzasnęła drzwiami przed nosem Kimball. Odkręciła się i stanęła twarzą w twarz z Hamse.

— Jeśli ma pan pytania, mógł pan do mnie zadzwonić, a ja chętnie bym pomogła.

Dlaczego chce pan to zrobić w taki sposób?

— To oficjalne przesłuchanie, panno Maser — oznajmił Hamse uprzejmym tonem.

— Nie towarzyska rozmowa.

— Nie sądziłam, że chce pan zrobić z tego widowisko!

— Tędy proszę, panno Maser.

Ale ktoś chciał. Wszystko wygląda tak, jakby zostało starannie zaaranżowane... W porządku, panie Hamse. Ma pan teraz zabawę. Kiedy skończymy, odpowie mi pan na parę pytań!

Kate spodziewała się, że Hamse będzie agresywny i grubiański. Już miała na końcu języka oświadczenie, że domaga się obecności adwokata. Inspektor okazał się jednak zupełnie inny. Postawił przed Kate magnetofon i wyjął plik papierów. Znudzonym głosem zaczął zadawać pytania.

Kate zdusiła gniew i skoncentrowała się, czujna na każdą próbę schwywania w pułapkę. Po pierwszych pytaniach o nazwisko, wiek i adres posypały się następne i Kate wkrótce stwierdziła, że brzmią znajomo. Po chwili wszystko stało się jasne: pytania były słowo w słowo takie same, jakie zadano jej w dniu, kiedy zginęli Armand i David!

Wyrwała papiery z rąk Hamsego i przebiegła wzrokiem. Był to zapis jej pierwszego przesłuchania! Hamse nie zadał sobie trudu, żeby dodać lub zmienić choć jedno słowo.

— Ty draniu! — szepnęła Kate. — O co ci chodzi?

Hamse wyciągnął rękę i odebrał jej kartki. Uśmiechnął się miło i otworzył drzwi.

— Dziękuję za współpracę, panno Maser — powiedział głośno. — Może pani iść... na razie. Ale proszę nie opuszczać Bejrutu.

Reporterzy tłoczący się za drzwiami zanotowali tę wypowiedź, a fotografowie zarejestrowali wyraz zaskoczenia i udręki na twarzy Kate.

Po kilku dniach nagonki prasa zostawiła Kate w spokoju. Zmęczona ukrywaniem się, nie zadała sobie nawet pytania, dlaczego reporterzy i fotografowie zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nie wiązała tego z telefonem i wizytą Billa Fredericka. Agent FBI spotkał się z Kate w kasynie. Wręczył jej dużą zalakowaną kopertę.

— Zaczekam na wypadek, gdyby pani miała jakieś pytania — powiedział.

Kate przeczytała dokument. Mimo prawniczego żargonu jego sens był jasny. Jeśli Katherine Maser osobiście wyrówna straty finansowe wymienionym niżej osobom i instytucjom, działania podjęte przeciwko Maritime Continental zostaną odwołane. Bank będzie mógł wznowić działalność. Na ostatniej stronie znajdował się charakterystyczny podpis prokuratora generalnego.

Kate wypuściła powietrze. Te słowa oznaczały, że będzie mogła wrócić do domu, oczyścić nazwisko swoje i Emila Bartolego, zacząć wszystko od nowa.

Tyle że nie mogła niczego rozpocząć, dopóki nie skończy tutaj. Niczego.

— Nie ma tu mowy o tym, że Emil i ja zostaniemy całkowicie uwolnieni od winy — stwierdziła. — Albo że dostaniemy publiczne przeprosiny od rządu.

Fredericks poprawił się niespokojnie na krześle.

— No tak, ma pani rację.

— Prawdę mówiąc, panie Fredericks, bez takiej klauzuli oferta mija się z celem. Jeśli chcemy razem z panem Bartolim odzyskać wiarygodność w świecie finansów, musimy mieć stwierdzone czarno na białym, że nie mieliśmy nic wspólnego z tym, co się stało w Maritime Continental.

— Panno Maser, pozwoli pani, że wyjaśnię jedną rzecz — powiedział Fredericks bez ogródek. — Ta oferta nie podlega negocjacji. Tak oświadczył Waszyngton i jest to ostateczna decyzja. Nie zamierzam pani przekonywać, że dostajecie wszystko. Ale to znacznie więcej, niż macie teraz. Pani i Bartoli będziecie mogli później zapracować na swój wizerunek. Tymczasem proszę zadowolić się tym.

Kate odsunęła dokument. Bill Fredericks zrozumiał gest i wstał.

— Czy mogę usłyszeć, co zamierza pani zrobić, panno Maser?

— Panie Fredericks, dowie się pan, jak tylko sama będę wiedziała.

— Oferta nie zmieni się, panno Maser — ostrzegł Fredericks.

— Wiem — odparła Kate.

Pół godziny później Fredericks był już w gabinecie ambasadora. Gdy skończył składać raport, Leonard Watkins zadzwonił do Jasmine.

Rzeczywiście nie ma zamiaru zgodzić się na sprzedaż, pomyślała Jasmine. Była zaskoczona. Sądziła, że publiczne upokorzenie i oferta, która wydawała się nic do odrzucenia, wystarczą, żeby skruszyć opór Kate. Teraz wszystko zależało od Michaela.

Siedząc na tarasie hotelu Phoenicia, Jasmine obserwowała opalonych młodych mężczyzn pływających za szklaną ścianą basenu. Jeśli czuła pokusę lub pożądanie, nie zdradzała tego jej twarz ani oczy ukryte za olbrzymimi okularami przeciwsłonecznymi. Naprzeciwko niej Pierre nerwowo mieszał mrożoną herbatę, stukając wysoką łyżką o szklanę.

— Pierre, przestań. To mi działa na nerwy.

Wytrzeł twarz chusteczką. Czuł się nieswojo w takich miejscach jak to. Architektura wydawała mu się toporna, a hałas przypominał szkolne boisko.

— Jak mogła nie przyjąć oferty prokuratora generalnego? — zapytał po raz dziesiąty.

Jasmine nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Pierre stawał się nudny.

— Powiedziałaś, że ją przyjmie, Jasmine. Powiedziałaś, że nie będzie żadnych problemów.

Pierre tkwił w imadle strachu i gniewu. Po tym jak Jasmine przygotowała grunt u amerykańskiego ambasadora, on zaczął zabiegi w Waszyngtonie i Nowym Jorku. Banque de Liban był szanowanym graczem na Wall Street, a wiele wpływowych osób miało wobec jego dyrektora długi wdzięczności. Dzięki ich telefonom i przyjaźni Pierre'a z senatorami z komisji finansów, wywarło delikatny nacisk na biuro prokuratora generalnego. Sam prokurator uważał, że sprawa Maritime Continental jest błaha i chętnie skorzystał z okazji zdobycia dla siebie paru punktów. Pierre był przekonany, że w takiej sytuacji Kate nie może odmówić.

— Ona nie zamierza wystawić SBM na sprzedaż, prawda, Jasmine? — wypalił.

— Myślę, że można ją przekonać — mruknęła Jasmine. — Katherine jeszcze nie wie, jaki okrutny potrafi być ten świat.

— O czym ty mówisz?

Jasmine odwróciła się do niego. Jej twarz skutecznie zasłaniał kapelusz z szerokim rondem.

— Co w ciebie wstąpiło, Pierre? — zapytała cicho. — Zachowujesz się jak oparzony kot.

— Myślałem nie o sobie, tylko o Louisie i jego planach.

I o kontroli w banku. Zostało do niej kilka tygodni i Pierre wiedział, że w żaden sposób jej nie przeżyje, jeśli nie będzie działał szybko. Nie chodziło tylko o zwrot pieniędzy. Należało zatrzeć wszystkie ślady w księgach i komputerach. Pierre miał już wcześniej do czynienia

z tymi rewidentami. Bystrzy i spostrzegawczy, pracowali dla znanej międzynarodowej firmy konsultacyjnej, wybranej ze względu na brak jakichkolwiek powiązań z rządem libańskim. Takich ludzi nie można było przekupić ani zastraszyć. I nie przeoczało niczego.

— Co zamierzasz zrobić? — zapytał Pierre.

— Możesz być pewien, Pierre, że Katherine zrozumie, jak mądrym posunięciem jest wystawienie SBM na sprzedaż — powiedziała Jasmine. — Dostaniemy pieniądze. Niecałą milę od Phoenixii, w futurystycznej willi zaprojektowanej przez izraelskiego architekta Moshe Safdiego Louis Jabar siedział pośrodku okrągłego stołu naprzeciwko dziesięciu mężczyznom. Czuł się jak motyl, którego entomolog zaraz umieści za szkłem. Nabił Tufaili spojrzął na tace z przekąskami i herbatą dla gości i gestem odprawił służących.

— Wszyscy mamy już tego dość — oświadczył. — Wasze niezręczne próby przekonania Katherine Maser, żeby wróciła do domu, zawiodły. Wcale nie jest bliższa wyrażenia zgody na sprzedaż SBM niż na początku. Nasza cierpliwość się kończy.

Zuama poczęstowali się *tabbouleh* i *kibbe qurass*.

— Ja nie mam z tym nic wspólnego! — zaprotestował Louis. — To był pomysł Jasmine.

Louis dostrzegł błyski rozbawienia i pogardy w oczach pozostałych mężczyzn. Już miał coś powiedzieć, ale przerwał mu Tufaili.

— Kochamy cię jak syna, Louisie — stwierdził. — Ty jednak nie traktowałeś nas z szacunkiem i poważaniem, które powinien okazywać syn. Pobłażaliśmy ci i dużo w ciebie zainwestowaliśmy, ale ty trzymałeś się fartuszka... — Uniósł rękę, uciszając protest Louisa. — Czasami mądrzej jest słuchać. Obserwowaliśmy, jak Jasmine prowadzi twoją kampanię, i do tej pory uważaliśmy, że robi to dobrze. Ale już tak nie uważamy. Ona ma obsesję na punkcie Katherine Maser i jest zdesperowana. Pragnie pieniędzy, które ma przynieść sprzedaż udziałów. Pożąda władzy, którą ma w zasięgu ręki dzięki władzy nad tobą, Louisie, a co za tym idzie nad nami. Chce jej wyłącznie dla siebie.

Louisowi zaschło w ustach.

— Mylicie się — wydusił.

— Nie, nie mylimy się — odparł Tufaili z chłodną stanowczością. — Boli mnie, że tak mówisz, chociaż wiesz, że to nieprawda.

Tufaili spojrzął na obecnych. Jeśli dali sobie jakiś znak, Louis go nie dostrzegł.

— Zamierzamy postawić ci nowy warunek. Musisz zerwać z Jasmine!

Louis nie mógł uwierzyć własnym uszom.

— Ale ona jest moją żoną!

— Nie! — zagrzemiał Tufaili. — Ty jesteś jej żoną. Zawsze byłeś słaby, Louisie. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Wierzyliśmy jednak, że jeśli udzielimy ci poparcia, będziesz wiedział, komu jesteś winien lojalność.

— Dowiodłem swojej lojalności! — krzyknął Louis. — Zrobiłem wszystko, o co prosiliście.

— Zrobisz jeszcze jedną rzecz — powiedział Tufaili. — W przeciwnym razie zrobimy z ciebie żebraka!

— Co mam zrobić?

Tufaili złożył dłonie na wydatnym brzuchu.

— Zdaje się, że Fremontowie mają ostatnio pecha. Obawiam się, że to jeszcze nie koniec, zwłaszcza dla Jasmine.

Osobisty przedstawiciel sułtana Brunei był drobnym mężczyzną o gładkiej lśniącej skórze, która przypominała Jasmine toffi. Prezentował się doskonale, poczynając od ręcznie szytych angielskich butów po gęste zaczesane do tyłu włosy. W obecności Sharifa Udaya Jasmine czuła się skrepowana, co nigdy się jej nie zdarzało.

— Minałbym się z prawdą, gdybym powiedział, że jestem zadowolony z rozwoju sytuacji, pani Jabar. Spodziewaliśmy się większych postępów. Fakt, że panna Maser nie powiadomiła nas jeszcze o zamiarze sprzedaży, niepokoi Jego Ekscelencję. Nie chodzi tu o wydatki, które ponosimy. To wszystko drobiazg. Najważniejsza jest sprawa honoru. Zwłoka to afront dla Jego Ekscelencji.

Jasmine słyszała każde słowo, ale całą uwagę skupiła na Udayu. Ginał na tle wielkiego apartamentu prezydenckiego w Phoenix i nawet fotel, w którym siedział, był dla niego za duży. Patrzyła, jak zakłada nogę na nogę, nie dotykając dywanu. Zduśiła w sobie gniew. Od lat nikt nie nazwał jej panią Jabar.

— Jak pan zapewne wie, panna Maser miała ostatnio pewne osobiste kłopoty...

Uday uniósł rękę.

— Słyszałem o tej groteskowej próbie powiązania jej z zabójstwem Armanda Fremonta. Ktoś przesądny mógłby powiedzieć, że nad panną Maser ciąży fatum.

— Zważywszy na to, co się stało, trudno było nakłonić Katherine do podjęcia decyzji — powiedziała Jasmine ostrożnie. — Ona rozumie, że z punktu widzenia interesów sprzedaż jest najlepszym posunięciem. Ale jak każda młoda i niedoświadczona w sprawach finansowych osoba, czasami kieruje się sercem zamiast rozsądkiem.

Sharif Uday zachichotał.

— O, moja droga pani Jabar. Właśnie po to pani tutaj jest, żeby ją przekonać, wystąpić jako mądry doradca.

— Właśnie to robię.

Uday pochwycił nutę zniecierpliwienia w jej głosie.

— Ale nie dość dobrze — odparł szeptem groźniejszym niż krzyk. — I jeśli nic nie może pani zrobić, będę musiał z żalem poradzić Jego Ekscelencji, żeby bezzwłocznie zakończył negocjacje.

Nieruchome spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, że Uday tak właśnie postąpi.

— Jeśli mam osiągnąć to, czego wszyscy chcemy, muszę mieć wolną rękę.

— To oczywiste.

— Muszę więc pana uprzedzić, że pewne rzeczy, które wydarzą się w najbliższym czasie, mogą wydać się... dziwne.

— Nie interesują nas metody, pani Jabar. Liczy się tylko rezultat. Ma pani wiele do zyskania, dlatego sędzę, że wybierze pani właściwy sposób działania. — Sharif Uday przechylił głowę jak modliszka. — Wyznam jednak, że jestem zaintrygowany. Mam nadzieję, że dowiem się, co oznacza pani określenie „wolna ręka”?

— Oczywiście. Nie będzie pan miał wątpliwości.

— Nadal uważam, że źle robisz — powtórzył opat, patrząc, jak Armand wkłada sutannę. Nawet tak niewielki wysiłek sprawiał mu wyraźny ból.

— Nie ma innego sposobu — odparł Armand, obwiązując się sznurem w pasie. — Muszę sprawdzić, co znajduje się w Miejscu Wybranym.

— Możesz się mylić — zaprotestował opat.

— Sweet sobie tego nie wymyślił — powiedział Armand niecierpliwie. — Jeśli mieści się tam kwatery szajki handlarzy albo punkt tranzytowy...

— Co wtedy zrobisz? — zapytał opat ostro.

— Wrócę po pomoc. Opat potrząsnął głową.

— Przynajmniej weź ze sobą dwóch braci. Jesteś jeszcze słaby, Armandzie. Jeśli coś się stanie, nikt ci nie pomoże. Proszę!

Armand położył dłoń na ramieniu opata.

— Wzrusza mnie twoja troska. Ale nie mogę nikogo narażać.

— W takim razie bracia będą się trzymali w pobliżu — oświadczył opat z uporem.

— Obok Miejsca Wybranego jest mały kościółek. Złożą wizytę tamtejszemu księdzu.

Armand ruszył za opatem przez podziemia monastynu. Po wyjściu spojrzął w niebo usiane gwiazdami. Na zachodzie wisiał wielki pomarańczowy księżyc. Armand podszedł do zdezelowanej ciężarówki, której zakon używał do wozenia winogron i warzyw na targ. Dwaj mnisi, którzy mieli stanowić eskortę, już na niego czekali.

— Z Bogiem, mój przyjacielu — powiedział opat, obejmując Armanda.

— Pamiętaj — przypomniał mu Armand — ani słowa Kate. Chyba że nie wrócę. Wtedy opowiedz jej wszystko. Jeśli się nie zjawię, będzie to dowód, że miałem rację.

— Modłę się, żeby do tego nie doszło.

Armand usadowił się z tyłu materaca ze słomy i owinał szorstkim kocem. Kiedy ciężarówka ruszyła, skrzywił się. Przy każdym podskoku samochodu czuł przeszywający ból w plecach. Będzie lepiej, pomyślał, kiedy znajdziemy się na szosie.

Kiedy w końcu dotarli do gładkiego makadamu, Armand położył się na plecach i spojrzął na gwiazdy. Miejsce Wybrane... wiedział, że może być tylko jedno.

Nie odwiedzał Mouchtary od lat. Po śmierci ojca Alexander utrzymywał posiadłość.

Ale jak w wypadku każdego wielkiego domu koszty okazały się za duże. Zwolnił więc służbę, rozdzielił stada między farmerów, zostawił ziemię odłogiem.

— To już przeszłość, która nie ma znaczenia dla teraźniejszości ani przyszłości — tłumaczył Armandowi. — Niektóre rzeczy lepiej jest zostawić za sobą.

Może miał rację. Mouchtara mogła jednak okazać się użyteczna dla innych ludzi.

Opuszczona i leżąca na uboczu, była dokładnie tym, czego szukali. Miejscem Wybranym...

Gdzieś na drodze między Bejrutem a Sajdą Armand zapadł w sen. Gdy się obudził, stwierdził, że są już w górach, że minęli Joun i Deir Moukalle, a ciężarówka jedzie wolno krętą drogą czarną jak smoła. Zjadł kawałek chleba, ser i rodzynki, które zapakowali dla niego bracia, i popił wodą z menażki.

Dwie godziny później skręcili na północ, minęli Bori, a trochę dalej Amateur. Niebo było jeszcze ciemne, ale Armand czuł, że noc się kończy. Powietrze ochładzało się, w miarę jak wjeżdżali coraz wyżej. Wreszcie dotarli do rzeki Barouk.

Armand wysiadł i sprawdził zawartość plecaka. Miał lornetkę, kompas, wodę i plik pisemek religijnych wsuniętych zapewne przez opata. Broszury przydadzą się na wypadek, gdyby go ktoś zaczepił. Miał nadzieję, że broda, która mu zdążyła wyrosnąć, na tyle zmieniła jego wygląd, że nikt go nie rozpozna.

Obszedł ciężarówkę. Jeden z mnichów wręczył mu ciężki przedmiot zawinięty w sukno. Armand namacał pistolet.

— Opat sugerował, żeby pan to wziął — powiedział mnich spokojnie. — W tych lasach są niebezpieczne zwierzęta.

Armand wsunął pistolet do kieszeni sutanny, podziękował mnichom i ruszył w dół zbocza. Znał Barouk z czasów dzieciństwa. Przeprowadził się przez rzekę w miejscu, gdzie sięgała po kolana. Gdy dotarł na drugi brzeg, obejrzał się: mnisi i ciężarówka zniknęli.

Poszedł dalej drogą niewiele szerszą od ścieżki, prowadzącą do Mouchtary. Istniało niebezpieczeństwo, że rezydencja jest zajęta — przez ludzi, których o to podejrzewał — i że może go zauważyć patrol. Ale ta droga była krótsza i nie tak uciążliwa jak leśne szlaki. Wiedział, że musi dotrzeć do celu, zanim wzejdzie słońce, i zachować jak najwięcej sił. Po godzinie zboczył z drogi przechodzącej w prawie niewidoczny trakt, który jeżeli pamięć go nie zawodziła, biegł wokół posiadłości i kończył się trzydzieści lub czterdzieści metrów od domu. Zanim wyszedł pomiędzy drzew, poczuł dym. Wspiął się na mały pagórek porośnięty kępą wierzb.

Z bijącym sercem opadł w wysoką trawę. Leżał spocony, dopóki ból w ranach nie przeszedł w ćmienie. Otworzył plecak, wyjął lornetkę i przesunął się do przodu. Mouchtara!

Serce mu się ścisnęło na widok budynku w żalonym stanie. Całe lewe skrzydło niegdyś wspaniałej rezydencji zawałiło się, zostawiając po sobie ziejącą dziurę. Środkowa część pozostała taka, jaką pamiętał, z tym wyjątkiem, że bliźniaczym wieżom brakowało zwieńczeń. W środku jednak paliły się światła, a na dziedzińcu stało kilka ciężarówek. Kiedy niebo pojaśniało, zobaczył ludzi.

Naliczył ich sześciu. Wszyscy mieli przewieszane przez ramię karabiny, a jeden trzymał w ręce zwinięty pejcz. Armand usłyszał wykrzykiwane rozkazy i gburowate odpowiedzi. Poczul zapach gotującego się jedzenia. Pociągnął łyk wody, nasunął głębiej kapliu i czekał.

Pierwsze dziecko nie miało więcej jak siedem czy osiem lat. Był to blady, chudy chłopiec z kościstymi kolanami i łokciami. Wyciągnięto go z domu i ciśnięto na tył ciężarówki. Po nim pojawiły się następne — czterech chłopców i sześć dziewczynek. Dziewczynki miały od trzynastu do osiemnastu lat, a na ich twarzach malowało się przerażenie i bezradność. Armand przygryzł wargi. Poczł krew. Prawa ręka odruchowo powędrowała w dół, zacisnęła się na broni.
Szaleństwo! Nie zbliżyłbyś się do nich nawet na dziesięć stóp, a już zostałbyś zastrzelony.

Wycelował lornetkę na wychodzących z domu mężczyzn. Żadna twarz nie była mu znajoma, ale każdą dobrze zapamiętał. Jeszcze się policzymy, pomyślał, obserwując, jak wsiadają do ciężarówki.

Kiedy ostatni mężczyzna wskoczył na siedzenie kierowcy, Armand opuścił lornetkę. I wtedy usłyszał krzyk. Z domu wypadł jeszcze jeden człowiek, machając ręką. Natychmiast podbiegli do niego dwaj strażnicy. Wysłuchali jego rozkazów, potakując głowami.

Armand przycisnął lornetkę do oczu. To musiał być ktoś ważny, ktoś, kto miał władzę nad tymi rzezimieszkami. Jego twarz zasłaniałi jednak wartownicy. Armand zaklął. Gdy wreszcie się przesunęli, wziął głęboki oddech. Na dziedzińcu stał nowy pan Mouchtary, Michael Saidi.

W środku lata Bejrutczycy przewidywali, że będzie najlepszy sezon od lat. Do portu zawijała rekordowa liczba statków wycieczkowych, hotele miały zarezerwowane miejsca do końca września, a linie lotnicze zwiększyły liczbę sprzedanych biletów o dwadzieścia procent. Wydawało się, że cały świat postanowił przyjechać do Bejrutu, a ci, którzy starali się znaleźć jakąś przyczynę najazdu, spoglądali na jedną osobę: Kate Maser. Rozgłos, jaki zapewniły jej gazety, okazał się skuteczną reklamą.

Projektowanie i wyrób kart do gry stanowiły jeden z najstaranniej strzeżonych sekretów w świecie kasyn. Firma o niewinnej nazwie Bellam Novelties miała praktycznie monopol na zaopatrzenie europejskich domów gry. Była dostawcą kart i żetonów także dla Casino de Paradis, odkąd Aristide Fremont otworzył jego podwoje.

Bellam Novelties mieściła się w londyńskim Southwark w starej fabryce, nie wyróżniającej spośród innych zniszczonych budynków z kamienia i cegły, stojących nad Tamizą. We wnętrzu było jednak inaczej. Rozebrano je do gołych ścian, wyszorowano piaskiem stuletnie cegły. Okna wyposażono w alarmy, a drzwi wzmocniono stalowymi blachami. Firma zatrudniała strażników, którzy patrolowali teren od zmierzchu do świtu, a każdego pracownika, łącznie z zamiataczami, dokładnie sprawdzano.

Interesy Bellam Nevelties wymagały skrupulatnego przestrzegania zasad bezpieczeństwa. Od ponad stu lat firma produkowała karty do gry dla największych kasyn w Europie. Na pierwszy rzut oka wydawały się zwyczajne: lśniące białe tło z dużymi cyframi i symbolami lub karcianymi figurami w jaskrawych kolorach. Tajemnica sukcesów i reputacji firmy kryła się na odwrotnej stronie kart. Wzór był wykonany jasnoniebieską farbą, ale nawet mimo tej łagodnej barwy natychmiast mienił się w oczach. Koła, pętle i zawijasy nakładały się na siebie

w pozornie przypadkowy sposób. Oko nie potrafiło wychwycić żadnego porządku i dlatego nikt nie rzucał na tę stronę karty drugiego spojrzenia. I o to chodziło. Wzór został opracowany przez tych samych rytowników, którzy projektowali brytyjskie banknoty dla Banku Anglii. Matryce używane do drukowania kart były strzeżone równie starannie jak te, które znajdowały się w podziemiach Threadneedle Street. Istniała jednak pewna różnica. Jeśli na matrycy służącej do drukowania pieniędzy trafiła się rysa lub szczyrba, błąd wykrywano po wydrukowaniu banknotów. I natychmiast niszczone całą partię. Albo, jeśli z jakiegoś powodu nie zauważono błędu, banknoty szybko wycofywano z obiegu i stawały się rarytasem dla zbieraczy. Skaza na matrycy służącej do wyrobu kart mogła się okazać katastrofalna w skutkach. Podobnie jak inni producenci kart Bellam Novelties miała swoich ekspertów, którzy badali świeżo wydrukowane karty ze starannością jubilerów sprawdzających diamenty. Jeśli dostrzegli najmniejszy błąd, całą partię, z wyjątkiem niewielkiej liczby kart potrzebnych jako dowody, niszczone. Wewnętrzne śledztwo było bezlitosne. Zadawano tylko jedno pytanie: czy to tylko błąd, czy też rytownik celowo zaznaczył matrycę, żeby wspólnik mógł rozpoznać karty?

Tylko w jeden sposób można było obejść ten system zabezpieczeń. Rytownik i ekspert musieli współdziałać ze sobą. W ciągu stu siedemnastu lat istnienia Bellam Novelties ustrzegła się podobnej zмовy, podwójnie dokładnie sprawdzając przeszłość pracowników na tych stanowiskach. Wewnętrzna służba bezpieczeństwa obserwowała ich przy pracy i opłacała informatorów, którzy ich szpiegowali poza bramami fabryki. Rytownicy i sprawdzający karty wiedzieli o tym i ułatwiali sobie życie, nie zawierając ze sobą bliższych znajomości. Ludzie z ochrony zdawali sobie sprawę, że ich podopieczni wiedzą o prowadzonej obserwacji. Stało się to dżentelmeńską grą, której zasady rozumiały obie strony, akceptowały je i robiły swoje bez zbędnych słów. Ale istniała też druga gra: kto kogo przetrzyma. Prawie zawsze obserwujący pierwsi tracili czujność.

Henry Doust miał siedemdziesiąt sześć lat, kępki siwych włosów na pokrytej wątrobianymi plamami czaszce i plecy przygarbione po latach spędzonych nad stołem grawerskim. Jego obaj synowie zginęli pod Dunkierką ćwierć wieku temu, a żona, która nigdy nie przeboleła straty, przebywała w zakładzie dla psychicznie chorych w Lancashire. Co miesiąc firma wysyłała połowę pensji Dousta do szpitala. On sam miał niewielkie potrzeby. Reszta mu wystarczała.

Prawda była taka, że Doust potrzebował więcej. Pracował w Bel-lam Novelties przez całe dorosłe życie. Dla rytmików stanowił legendę, dla pracodawcy zaś wzór pracownika — starannego, godnego zaufania, o pewnym oku i ręce. Wszyscy go podziwiali za sposób, w jaki radził sobie z tragediami, które go spotkały. Nikt nie podejrzewał, że Henry Doust, który wiele przeżył, jednej rzeczy bał się bardziej niż śmierci: że kiedy odejdzie, nikt na świecie nie będzie pamiętał o nim dłużej niż przez pięć minut. Doust pragnął odrobiny sławy. Postanowił zostawić po sobie ślad. Peter Allen przeżywał kryzys wieku średniego. Ożenił się z kobietą, której rodzina miała ziemię w Kencie i która nigdy nie przepuszczała okazji, by mu o tym przypomnieć. Po piętnastu latach Allen osiągnął szczyt kariery. Był starszym ekspertem i nie mógł już dalej awansować. W marzeniach jednak widział się na pokładzie jachtu gdzieś na turkusowych wodach Morza Egejskiego, wśród załogi złożonej z opalonych młodych kobiet spełniających jego zachcianki. Za każdym razem wyobrażał sobie minę żony, kiedy uświadomiłaby sobie, że odszedł na zawsze. Ta jedyna rzecz powstrzymywała go przed zamordowaniem jej. Czy to był przypadek, czy też nieuniknione spotkanie dwóch pokrewnych dusz, Henry Doust i Peter Allen poznali nawzajem swoje marzenia. Jak w partii szachów pierwsze ruchy odbyły się w śmiertelnej ciszy. Starannie przemyślano posunięcia, z wielką ostrożnością dobrano słowa. Nawet kiedy obaj byli już siebie nawzajem pewni, nigdy nie wymówili słów „kradzież” lub „oszustwo”. Zgadali się, że jest tylko jeden sposób, by Doust osiągnął nieśmiertelność, a Allen wolność. Lecz ich marzenia mogłyby się nigdy nie ziścić, gdyby nie osoba trzecia, jakby brakująca cyfra, która stanowiła rozwiązanie równania. Doust i Allen nie mieli pojęcia, w jaki sposób ta kobieta wejrzała w ich serca i zobaczyła przechowywane tam sekrety. Faktem jest, że tego dokonała. Obaj patrzyli na nią teraz z nabożnym lękiem, przekonani, że trzyma w rękach ich los. Jak zawsze Peter Allen wziął dwutygodniowy urlop pod koniec czerwca. Jego żona już była na wsi i spodziewała się, że on przyjedzie pociągiem z Londynu o ósmej. Czekala na próżno, ponieważ jej mąż w tym czasie przechodził przez kontrolę celną w Bejrucie. Miesiąc wcześniej Allen wyczyścił konto, które otworzył bez wiedzy żony i na które udało mu się wpłacić tysiąc funtów. Opiócz biletu na

samolot i rezerwacji w hotelu Allen kupił za nie garnitur i frak u najlepszego krawca z Savile Row. Kiedy wszedł do hotelu St. Georges, poczuł, że naprawdę należy do tego świata. Pełne podziwu spojrzenia kobiet utwierdzały go w tym przekonaniu. O jedenastej wieczorem wyszedł z apartamentu i pojechał hotelową limuzyną do kasyna. Wyglądał w każdym calu jak bogaty i gnuśny brytyjski emigrant. Udał się prosto do stołów bakarata i przez kilka minut obserwował grę. Pilnował się, by nie patrzeć zbyt długo na karty. Jako nowy gość mógł przyciągać uwagę. Przyglądał się osobom siedzącym przy stole, jakby oceniał ich umiejętności. I tak nie miało to znaczenia.

Dziesięć minut później dostrzegł to, na co czekał. Karta wydawała się taka sama jak inne. Z tym, że Allen wiedział, czego szukać. W górnym lewym rogu, pośród esów-floresów widniała duża litera D, podobna do tych, jakimi mnisi zaczynali pierwsze słowa w przepisywanych manuskryptach.

Allen usiadł i wyjął gruby portfel. Podał dealerowi zwitek dwudzie-stofuntowych banknotów. Z lodowatym spokojem i pewnością siebie przystąpił do gry.

Według standardów kasyna wygrana nie była tak duża: pół miliona dolarów.

Ponieważ jednak Allen nie był ani nałogowym graczem, ani znanym szulerem, *maitre des jeux* zaalarmował Kate i Benedettię. Ukrytym aparatem zrobiono Allenowi zdjęcie. Dwie godziny później przekazano je do paryskiego Interpolu. W tym samym czasie przeprowadzono dyskretny wywiad w St. Georges. Poproszono kilka osób z personelu, by miały oko na pana Petera Allena z Londynu.

Następnego ranka, gdy Kate przyszła do biura, czekały na nią raporty z Paryża i Londynu. Policja nie poszukiwała Petera Allena. W ogóle nie miała go w swoich kartotekach. Kate zerknęła na listę wygranych i przegranych z poprzedniego wieczoru. Jeszcze dwaj inni gracze mieli szczęście, ale nie wygrali tak dużo jak Allen. Znalazło się również kilku pechowców. Był to więc normalny wieczór w kasynie, które osiągnęło spory zysk. Kate wrzuciła raporty do szuflady. Postanowiła dzisiaj sama zwrócić uwagę na Anglika.

Allen przybył punktualnie o jedenastej. Został uprzejmie powitany przez pozostałych graczy, których pamiętał z poprzedniego wieczoru. Nic był tym zaskoczony. Hazardziści znani są z przesądności. Woleli trzymać się w pobliżu człowieka, który w ciągu trzech godzin wygrał pół miliona dolarów. Szczęście lubi się udzielać.

Wszyscy się rozczarowali. Czterdzieści rozdań później Anglik stracił prawie połowę wygranej z poprzedniej nocy. Rozdający i *maitre des jeux* poczuli ulgę, choć zachowali kamienne twarze. Szczęście odwróciło się od gracza, co było nieuniknione. Wydawało się całkiem prawdopodobne, że kasyno nie tylko odzyska całe pół miliona, ale wyraźnie odciąży portfel gościa.

Tak się jednak nie stało. Gdy Anglikowi zostało już tylko sto tysięcy w czarno-złotyach tysiąc dolarowych żetonach, podniósł stawkę i wygrał. W ciągu godziny odrobił straty i zyskał dodatkowo pięćdziesiąt tysięcy. Kolejno odpadli wszyscy gracze, z wyjątkiem dwóch, którzy mogli podjąć wyzwanie: kuwejckiego księcia i pewnego Egipcjanina. Kuwejczyk dał znak, że chce podnieść stawkę. Pozostali dwaj gracze naradzili się i wyrazili zgodę. *Maitre des jeux* zerknął na Kate, która skinęła głową. Po trzech rozdaniach Anglik miał na swoim koncie milion, a Egipcjanin odpadł.

Kuwejczyk, Hijal ibn Talal, strzelił palcami i jego służący otworzył walizkę pełną amerykańskiej waluty o dużych nominałach.

— Jedno rozdanie, jeden milion — szepnął.

Kate nie odrywała wzroku od Anglika. Czowała, że Peter Allen oszukuje. Ale jak?

Maitre des jeux czekał. Kate spojrzała na Benedettiego, a potem skinęła głową.

Rozdano karty, po dwie dla każdego gracza. Allen odchylił róg, żeby zobaczyć, co ma. Następną kartą znajdowała się u dealera. Jej delikatny wzór był zupełnie niewinny dla wszystkich z wyjątkiem Allena. Zobaczył D i znak na dole oznaczający czwórkę. Nie mógłby prosić o nic lepszego. Miał waleta i piątkę trefl. Czwórka dawała mu w sumie dziewiątkę, odpowiednik dwudziestu jeden w oczku.

— Karta — powiedział.

Hijal zamarł. Dealer odwrócił jego karty. Ukazał się król i ósemka. Kuwejczyk błysnął Allenowi w uśmiechu złotymi i platynowymi zębami wartymi dziesięć tysięcy dolarów.

— *Neuf a la banque!*

Przy stoliku zawrzało, kiedy wszyscy gracze zaczęli trąkotać w czterech językach. Benedetti dał znak spojrzeniem i ludzie z ochrony kasyna wkroczyli sprawnie do akcji, wyjmując walizkę z rąk totumfackiego Kuwejczyka.

— Chciałbym to dostać. Dziękuję — powiedział Allen, wskazując na neseser.

— Zamieni pan żetony na gotówkę, sir? — zapytał uprzejmie Benedetti.

— Myślę, że tak.

— Proponuję więc, żebyśmy zanieśli wszystko do skarbcza.

Nie czekając na odpowiedź Allena, Benedetti dał znak, żeby zebrać i przeliczyć żetony Anglika. Sam wziął Allena za łokieć i poprowadził w stronę ledwo widocznych drzwi obok okienek kasowych. Kate poszła za nimi do pomieszczenia, w którym stało tylko biurko i dwa krzesła.

— Mogę panu zaproponować szampana, panie Allen? — zapytała.

— Nie, dziękuję. Chciałbym jednak otrzymać wyjaśnienie... i wygraną.

Kate wypatrywała u niego najmniejszych oznak strachu, ale Allen nie tracił zimnej krwi. Wydawał się rozluźniony i całkowicie opanowany.

To oznacza, że ma piekielne szczęście albo jest oszustem, pomyślała Kate.

— Mamy zwyczaj wydawania takich sum w formie czeku bankierskiego — oznajmiła, grając na zwłokę. — Czy to panu odpowiada?

— Macie również zwyczaj, panno Maser, przelewać wygraną do wybranego banku w dowolnym miejscu na świecie. I właśnie tego sobie życzę.

Kate uśmiechnęła się. Ten drań jest złodziejem i rzuca jej to prosto w twarz!

— Czy zechciałby pan chwilę zaczekać, panie Allen?

— Jestem tym zmęczony, panno Maser — ostrzegł. — Jeszcze na razie czuję się jak gość, ale jeśli sytuacja się zmieni, zapewniam panią, że konsekwencje dla pani firmy będą poważne.

Kate spojrzała mu w oczy.

— Myślę, że się rozumiemy.

Peter Allen uśmiechnął się i odwrócił wzrok. Oczami wyobraźni widział iskrzące się wody Morza Śródziemnego, piękną, nie skażoną wyspę z domami o pobielonych ścianach, niebieskich żaluzjach i czerwonych dachach. U stóp jednego z takich domów kołysze się osiemna-stometrowa żaglówka z silnikiem. Na tekowym pokładzie stoi młoda roześmiana kobieta, wyciągając do niego opalone ramiona. Kate i Benedetti wrócili z zamkniętego już i odgradzonego sznurem prywatnego pokoju. Czekali tam na nich *maitre des jeux* i dealer.

— Zabierzcie to — powiedział Benedetti szorstko, wskazując na stół. — Ściągnijcie tutaj Shulmanna z Jounyeh. Niech sprawdzi pod mikroskopem każdą kartę!

W swojej willi na wzgórzach Jounyeh profesor Aaron Shulmann pozostawał w błogiej nieświadomości, że za chwilę znajdzie się w centrum dramatu rozgrywającego się w Casino de Paradis. W dawnym życiu Shulmann był genialnym fałszerzem, który popełnił jedyny błąd, ulegając próżności. Próbował zrobić to, co każdy ekspert na świecie uważał za niemożliwe: podrobić czek podróżny American Express.

Możliwe, że Shulmann przewidział przyszłość, ponieważ uczynił Bejrut ośrodkiem swojej działalności. A w Bejrucie, nawet po tym, jak kogoś aresztowano, osądzono i skazano na trzysta lat więzienia, można było zawrzeć ugodę. Armand Fremont wy dostał Shulmanna z więzienia, co samo w sobie stanowiło niemały wyczyn. W zamian Shulmann ślubował poświęcić swój niewątpliwy talent dbaniu o to, by podejrzane papiery wszelkiego rodzaju — banknoty, obligacje, papiery wartościowe — nie zmniejszyły ani o centa dochodów kasyna. Przez dziesięć lat profesor uczciwie zapracował na wynagrodzenie, które otrzymywał za „konsultacje”. Ale jak wielu starszych mężczyzn kochał towarzystwo młodych kobiet. Mógł sobie pozwolić na najlepsze, więc korzystał z tego, kiedy tylko przyszła mu ochota. Tej nocy akurat nie szukał żadnej, ale dziewczyna była tak rozkoszna, że nie mógł się oprzeć. Sześć godzin później Aaron Shulmann leżał sam w łóżku, chrapiąc głośno. Dziewczyna wykonawszy to, za co dostała zapłatę, wysliznęła się z pościeli i odeszła w noc. Pokój śmierdzał papierosami, potem i szampanem. Człowiek o legendarnym niezawodnym oku był kompletnie pijany.

— Zdaje się, że mamy problemy — stwierdziła Kate.

— I to niejeden. Wystarczy, że trzymacie mnie w tej celi od ponad godziny — odparł Peter Allen. Powiedział to bez urazy, rzeczowym tonem, który sugerował, że niewątpliwie on ma rację. — O jakim problemie pani mówi, panno Maser?

— Niewykluczone, że dzisiaj przy stole miały miejsce pewne nieprawidłowości.

— Doprawdy? Czy mają coś wspólnego z moją wygraną?

— Możliwe. Peter Allen wstał.

— Teraz zamierza mi pani powiedzieć, że kasyno ma prawo wstrzymać wypłatę przez dwadzieścia cztery godziny, żeby przeprowadzić śledztwo. Mam rację?

— Zna pan zasady — zauważyła Kate. — Proszę mi powiedzieć, panie Allen, gdzie jeszcze pan grywał?

Allen zignorował jej pytanie.

— Jeśli nie ma pani do mnie innych pytań, ani nie sugeruje, że byłem w jakikolwiek sposób zamieszany w te „nieprawidłowości”, proponuję, żeby mi pani pozwoliła wrócić do hotelu. Przyjdę tu jutro dokładnie o jedenastej. Oczekuję, że pokaże mi pani polecenie przelewu na sumę miliona dwustu tysięcy dolarów amerykańskich do Royal Bank w Atenach. Numer konta to 8074. Jeśli, z jakiegokolwiek powodu, nie da mi pani tej satysfakcji, skontaktuje się z panią mój adwokat. — Peter Allen ruszył do drzwi, ale obejrzał się jeszcze i uśmiechnął. — Wziąwszy wszystko pod uwagę, panno Maser, to była prawdziwa przyjemność.

Dwadzieścia cztery godziny później Peter Allen znowu pojawił się w Casino de Paradis. Natychmiast zaprowadzono go do gabinetu Kate. Sprawdził polecenie przelewu, podczas gdy Kate wpatrywała się w niego w milczeniu.

— W porządku — oświadczył Allen.

— Bezpiecznej podróży — powiedział cicho Anatole Benedetti. Kiedy Allen spojrział na niego, oczy Sycylijczyka przewierciły go na wylot. — I niech pan nigdy nie wraca.

Wynajęta limuzyna zawiozła Petera Allena prosto na bejruckie lotnisko, gdzie tankowano wyczarterowany samolot do Aten. Dopiero kiedy zobaczył pod sobą podobne do klejnotów światła Bejrutu, zaczął się trząść. Musiał wypić pół butelki whisky, żeby uspokoić nerwy.

Zameldował się w ateńskim Hiltonie i spał do południa, potem wynajął samochód, załatwił sprawy w Royal Bank i zrobił trochę zakupów. Ubrany w lekki strój żeglarski, polecił kierowcy, żeby go zawiózł do portu w Pireusie.

Dał mu suty napiwek i poszedł nabrzeżem do pochylni numer osiemnaście. Zgodnie z obietnicą czekał na niego pośrednik w handlu jachtami, cały w uśmiechach. Najwyraźniej dostał przelew z ateńskiego banku. Allen spojrział na wspaniałą żaglówkę z silnikiem, zsuwającą się do wody. Pośrednik paplał coś o dokumentach, które trzeba podpisać, ale Allen nie słyszał ani słowa. Wszystkie jego plany ziściły się.

— Muszę do kogoś zadzwonić — powiedział.

Pośrednik zapewnił go, że będzie szczęśliwy mogąc mu wyświadczyć przysługę. Allen uśmiechnął się i znowu obrzucił spojrzeniem łódź. Żałował, że Henry nie może jej zobaczyć.

Przez ostatnie trzy dni Henry Doust jak zwykle krzątał się koło swoich spraw. Był czujny na wszelkie zmiany wokół siebie, nowe twa-

rze, przyglądających mu się ludzi lub wypytyjących o Petera Allena. Nic takiego się nie wydarzyło. Każdego wieczoru Doust oglądał wiadomości ze świata i wydawał westchnienie ulgi, że nie ma żadnych nowin z Bejrutu. Następnie poczynił przygotowania.

Tego samego ranka, kiedy Petter Allen przyleciał do Aten, Henry Doust podjął oszczędności z banku i wysłał czek do zakładu w Lancashire. Dyrektor zapewnił go, że suma wystarczy na pokrycie potrzeb jego żony na resztę życia. Zrobiwszy to, Doust zszedł na dół do małego mieszkania sąsiadów, milej, borykającej się z losem pary z dzieckiem. Wyjaśnił, że odchodzi na emeryturę i wyjeżdża na wieś i zaproponował im podnajęcie jego czteropokojowego mieszkania. Zakłopotany łzami młodej matki, wręczył kopię umowy, klucze i uciekł.

Kiedy tego popołudnia wyszedł z Bellam Novelties, wziął ze sobą dwie rzeczy. Najcenniejszą był zestaw narzędzi grawerskich, których używał przez ponad czterdzieści lat. Wiedział, że nie pozwolą mu ich zatrzymać, ale podobała mu się myśl, że kiedy już wszystko się skończy, zestaw razem z talią kart zostanie wystawiony we właściwym muzeum.

Allen zadzwonił o umówionej porze. Z zamkniętymi oczami i uśmiechem zadowolenia na ustach Doust słuchał, jak przyjaciel relacjonuje mu swoją przygodę. Nie był zaskoczony, gdy tamten go zaprosił do siebie.

— Nie sądzę, żeby coś z tego wyszło, Peter. Ale to rozkoszna myśl i dziękuję ci za zaproszenie. Miłej podróży, przyjacielu.

Ubrany w najlepszy garnitur Doust wsiadł do taksówki. Zatrzymał się najpierw na Fleet Street, centrum brytyjskiego dziennikarstwa i siedzibie największego brukowca, *News of the World*. Poprosił taksówkarza, żeby zaczekał, a sam wszedł do środka i wręczył portierowi dużą kopertę z instrukcją, że ma być dostarczona redaktorowi naczelnemu. Umowa jego i Allena z tą kobietą została wykonana. Dwadzieścia minut później taksówka znowu się zatrzymała. Tym razem Doust, wysiadł, zapłacił kierowcy, dając duży napiwek, i wszedł po schodach. Zanim chwycił kłamkę, przystanął, żeby uspokoić walące serce. Kiedy otworzy te drzwi, na zawsze zostawi za sobą świat, który znał. I nigdy nie będzie mógł wrócić.

Ale przynajmniej będą wiedzieli, że istniałem.

Henry Doust podszedł do młodego mężczyzny siedzącego za okrągłym biurkiem w holu.

— Witamy w Scotland Yardzie, sir — powiedział uprzejmie funkcjonariusz. — Jak mogę panu pomóc?

Doust uśmiechnął się nieśmiało.

— Chyba ja mogę wam pomóc. — Położył na biurku niewielką skrzynkę z narzędziami. Na niej umieścił talię kart. — Szef wydziału fałszerstw będzie tym bardzo zainteresowany.

W tym czasie kiedy detektywi Scotland Yardu przesłuchiwali Henry'ego Dousta, prasę *News of the World* opuszczały pierwsze egzemplarze przeznaczone na kontynent. Zawieziono je pośpiesznie na lotnisko Gatwick. Ze względu na charakter historii i popularność *News* w Bejrucie, wydawcy postanowili podwoić nakład. W rezultacie piętnaście tysięcy egzemplarzy pojawiło się w bejruckich kioskach w chwili, kiedy ludzie kończyli pracę i zastanawiali się, co przyniesie wieczór. Kate odsunęła gazetę i wyprostowała się na krześle.

— Anatole, co się stało?

Benedetti, który obserwował ludzi tłoczących się w foyer kasyna, odwrócił się.

— Zagrano nam na nosie.

— Co masz na myśli?

— To, że Henry Doust i jego wspólnik, Peter Allen, wycięli nam mały numer.

— Nie nazwałabym dwóch milionów dolarów małym numerem! — stwierdziła sucho Kate.

— To nie wszystko — uprzedził Benedetti.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Wiemy, że karty były znaczone. Shulmann jest tego pewien, a jego opinię potwierdzili dwaj inni eksperci. Całe szczęście, że karty ze skazą pochodziły z partii, której używano tylko przy tym stoliku.

— Czy to nie wydaje ci się dziwne?

— Wcale. Kiedy przychodzi dostawa, dzielimy ją między stoliki, (idy zabraknie kart, dealer bierze je z zapasu zarezerwowanego tylko dla tego stolika. Ani Doust ani Allen nie mogli wiedzieć, do którego stolika trafi znaczona talia. Allen był przygotowany na grę przy każdym, i przy minimalnej stawce, dopóki nie zauważy karty ze skazą. Miał szczęście przy pierwszej próbie.

— Co oznacza, że wszyscy, którzy tej nocy przegrali przy tym stoliku, mogą wystąpić z roszczeniami wobec nas — mruknęła Kate. — Powiedzą, że to była oszukańcza gra i zażądać zwrotu pieniędzy. A szczęściarze wymkną się chyłkiem. Benedetti usłyszał gorycz i bunt w głosie Kate.

— Musimy naprawić szkody — oświadczył spokojnie. — Grozi nam skandal. Najlepiej dla nas będzie oddać pieniądze tym, którzy przegrali, zwłaszcza Kuwejtczykowi i Egipcjaninowi. Są i tak dość rozgniewani. Co gorsza, uważają, że zostali publicznie upokorzeni.

— Może zorganizujesz dla mnie spotkanie z nimi dwoma — zasugerowała Kate. Benedetti zawahał się.

— Może chcesz się nad tym jeszcze raz zastanowić — podsunął. — Obaj to muzułmanie. Nie mają dobrej opinii o kobietach. W tej chwili o wszystko obwiniają ciebie. Nie twierdzą, że nie przyjmą twoich przeprosin. Tylko że miałyby większą wagę, gdyby pochodziły ode mnie.

Kate wiedziała, że Benedetti ma rację. Muzułmanie uważali robienie interesów z kobietami za ubliżające ich godności. Przekonywała się o tym każdego dnia.

— Muszę wydać jakieś oświadczenie — stwierdziła Kate, zmieniając temat. — Lila mówi, że telefony się urywają. Co wiemy na razie?

Benedetti wziął głęboki oddech.

— Jesteśmy w stałym kontakcie w Bellam Novelties w Londynie. Zajmują się sprawą, podobnie jak Scotland Yard. Zdaje się jednak, że nie mają nic ponad to, co im wyjawiał Doust.

— I prasie.

— Tak. Powstaje pytanie, czy Peter Allen był rzeczywiście współnikiem Dousta. Doust twierdzi z uporem, że to on sam wszystko wymyślił, a Allen po prostu przypadkiem z tego skorzystał.

— Przecież pracowali w tym samym miejscu?

— I co z tego? Obaj śmieją się z nas. Allen nie robił sekretu ze swoich posunięć. Śledziłem go do Aten i Pireusu. Mogę ci dokładnie powiedzieć, co załadował na łódź i dokąd popłynął. Można go zatrzymać w dowolnej chwili. Jednym problemem jest to, że nie mamy przeciwko niemu żadnych dowodów ani nawet poszlak. To, że pracował w Bellam Novelties, nie dowodzi, że on i Doust działali wspólnie. Nie zachowywał się jak przestępca. Był bardzo spokojnym gościem.

— A co z jego żoną? Benedetti wzruszył ramionami.

— Nie posiada się z wściekłości. Podobno czekała na stacji przez pół nocy. Nie pytaj mnie o szczegóły. Prawda jest taka, że to jędza. Gdybym był na miejscu Allena, również bym uciekł. Tak czy inaczej, możemy wykluczyć ją jako współniczkę.

Kate wstała i podeszła do biurka, bawiąc się bransoletką.

— Jestem w stanie zrozumieć, że Doust chciał pokazać światu, co potrafi. Nie miał niczego. Te nagłówki — wskazała na plik gazet — to jego spadek. To dlatego się przyznał i powie nam wszystko, co chcemy wiedzieć, oprócz najważniejszej rzeczy.

— Jakiej?

Kate uniosła rękę.

— Jest jeszcze Peter Allen. Według ciebie ma najlepszy motyw, jaki może mieć mężczyzna, by popełnić przestępstwo: straszną żonę. Tak więc oba motywy są logiczne. Możemy je zrozumieć i zaakceptować.

— Ale?

Kate zignorowała sceptyczną minę Benedettiego i mówiła dalej:

— Mogli wybrać dowolne kasyno w Europie. Wybrali właśnie to. Dlaczego?

— Doust powiedział, że ciągnęli słomki. Dosłownie. Krótsza oznaczała ciebie.

Kate potrząsnęła głową.

— Nie kupuję tego. Jest jeszcze jedno pytanie: dlaczego postanowili to zrobić akurat teraz?

— Według Dousta tyle czasu zajęło im ułożenie planu — odparł Benedetti.

— Znowu mi to nie pasuje. Doust był sam przez całe lata. Allen prawie równie długo trwał w nieudanym małżeństwie.

— Szukasz ukrytej sprężyny — mruknął Benedetti.

— Twierdzą, że Doust i Allen mieli doświadczenie, potrzebne środki i motywy, żeby zrobić to, co zrobili. Ale ktoś napuścił ich na nas. Do diabła, Anatole, jest tu za dużo zbiegów okoliczności! Tajemniczy gracz omal nie rozbija banku kasyna. Shulmann jest zupełnie pijany, akurat kiedy najbardziej go potrzebujemy. Nie potrafi nawet opisać dziewczyny, którą poderwał, a twoje próby odnalezienia jej spełzają na niczym. Zniknęła. Przez Shulmanna tracimy bezcenny czas. Trzeźwy mógłby nam od razu powiedzieć, że karty były znaczone. Ty byś zaalarmował Bellam Novelties i Doust zostałby aresztowany, za-nimby zdążył dostarczyć paczkę do redakcji *News*. Już samo to położyłoby kres sprawie. Ale ktoś chciał, żeby prasa zrobiła z niej sensację.

Benedetti patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem podszedł do telefonu.

— Do kogo dzwonisz?

— Do Scotland Yardu. Poproszę Brytyjczyków, żeby mi pozwolili uczestniczyć w przesłuchaniach. Jeśli zostanę na pięć minut sam z Doustem, jeśli potrząsnę nim mocno, zdradzi się z czymś.

Benedetti próbował ułagodzić Hijala ibn Talala, lecz mu się nie udało. List z przeprosinami i otwarta linia kredytowa o wartości równej sumie przegranej tej fatalnej nocy pozostały bez odpowiedzi. Kate pozwoliłaby Kuwejczykowi dąsać się, gdyby nie jedna rzecz: przy wszystkich stolikach dochody zmniejszyły się o siedemdziesiąt procent. Intuicja podpowiadała jej, że gracze, z natury przesądni i przewrażliwieni, czekają na jakiś znak, zanim wrócą do gry. Zrobiła wszystko, co mogła, udzielając obszernych wywiadów gazetowych i telewizyjnych. Wielokrotnie powtarzała fakty i argumenty, jakby zwracała się do sądu. Z tym, że tego sądu nie obchodziły jej argumenty. Nie była jedną z nich, hazardzistką.

Kate zmieniła taktykę. Znalazła najlepszego, najdroższego jubilera w Bejrucie i kazała mu w ciągu dwudziestu czterech godzin stworzyć arcydzieło. Normalnie byłoby to niemożliwe, ale kiedy usłyszał, czego chce Kate, obrzucił ją przebiegłym spojrzeniem i oświadczył, że może wykonać zamówienie w żądanym czasie, ponieważ ma wzór. Naturalnie cena będzie odpowiednia.

Następnego dnia Kate posłała Hijalowi ibn Talalowi napisane odręcznie zaproszenie na spotkanie przy tym samym stoliku, przy którym przegrał. Liczyła na dwie rzeczy: że Kuwejczyk będzie na tyle zaintrygowany jej śmiałością, by się zjawić, i że rozpowie o zaproszeniu, tak że przed wieczorem wszyscy w Bejrucie będą o tym wiedzieli. Miała rację w obu sprawach.

Za pięć jedenasta Kate wyszła z gabinetu i ruszyła do foyer. Tłum był dzisiaj znacznie większy, a sygnały, które jej wysyłali dealerzy, świadczyły, że interes idzie dobrze. Salony bakarata świeciły pustkami, ale Kate zauważyła i rozpoznała co najmniej kilkanaście osób ze śmietanki towarzyskiej rozmawiającej cicho w małych grupkach. Jeden ze strażników zdjął aksamitny sznur oddzielający stół i Kate podeszła do miejsca, gdzie zwykle stał dealer. Minutę po jedenastej wciąż czekała. Już zbierała się do odejścia, kiedy podwójne szklane drzwi salonu otworzyły się i wszedł Hijal, powiewając białymi szatami. Błyszczące czarne oczy nie zdradzały niczego.

— Jestem zaszczycona, że postanowił pan przyjąć moje zaproszenie, wasza ekscelencjo — powiedziała Kate.

Hijal nie poruszył się. Tłocząca się za nim świta wstrzymała oddech. Nie opuszczając wzroku, Kate uniosła wieczko drewnianej kasetki stojącej przed nią na stole. Sięgnęła do środka i wyjęła prezent.

Głośne westchnienie, które dobiegło od strony dworaków Hijala, słychać było w sąsiedniej sali. Na tle zielonego sukna leżał rzucający

iskry wielki żeton. Wykonano go z jednego kawałka złota i wygrawerowano napis: 1000000 \$. Brzeg miał kształt misternej ślimacznicy wysadzonej małymi diamentami, rubinami i szmaragdami — ulubionymi kamieniami Bliskiego Wschodu.

— Oto prezent ode mnie i rekompensata za to, co się wydarzyło — oznajmiła Kate. Kuwejtczyk przesunął wzrok z żetonu na Kate i z powrotem. Nagle podszedł i wziął go do ręki.

— A gdybym go postawił i przegrał?

— Wtedy by go pan stracił, ekscelencjo. Proszę jednak pamiętać, że nie ma drugiego takiego na świecie.

— Łatwo można by wykonać następny.

— To prawda. Ale jeden czy tysiąc, wszystkie byłyby kopiami. Hijal uśmiechnął się blade.

— Więc dam pani szansę odzyskania go. Zagramy jedno rozdanie. Stawką będzie to.

— Wskazał na żeton.

— Obawiam się, że zasady obowiązujące w kasynie nie pozwalają mi grać, wasza ekscelencjo.

— Naprawdę? Ale to pani kasyno, czyż nie?

Była to zamierzona złośliwość. Kate splonęła rumieńcem, ale opanowała gniew.

— To po prostu kwestia polityki kasyna — powtórzyła.

— Rozumiem — powiedział Hijal w zamyśleniu. — W takim razie pozwolę sobie zaproponować kompromis. Jeden z moich ludzi zagra za panią. Przecież nie ma znaczenia, kto dostanie karty, prawda? Jeśli, oczywiście, nie ma pani żadnych obiekcji.

Intencja była oczywista. Kuwejtczyk rzucał wyzwanie, kwestionował jej prawo do tego terytorium.

— Dobrze, wasza ekscelencjo. Jedno rozdanie.

Hijal szybko położył na stole trzy talie kart opakowane w celofan.

— Tymi kartami, jeśli pani nie boi się, że są znaczone.

— Jak pan sobie życzy — odparła Kate. — Przecież jest pan człowiekiem honoru.

Oczy Hijala rozbłysły na moment. Poruszanie sprawy honoru w towarzystwie Araba było niebezpieczną rzeczą.

Sam *maitre des jeux* włożył karty do maszyny tasującej. Spojrzał na Hijala i jego człowieka. Obaj skinęli na znak, że są gotowi. Hijal uniósł rogi otrzymanych kart i potrząsnął głową. Jego totumfacki uchylił swoje na tyle, żeby Kate mogła je zobaczyć. Król i szóstka. Ponieważ figura oznaczała zero, suma wynosiła sześć, zbyt daleko od magicznej

liczby dziewięć, żeby spasować, ale jednocześnie zbyt dużo. Jeśli wyciągnie powyżej trójki, przegra. Kate, której doświadczenie w hazardzie ograniczało się do gry w oczko w Vegas, starała się ukryć zmieszanie. Hijal uśmiechnął się szeroko. Zawodowiec najwyraźniej rozpoznał nieudolnego amatora. Kate wiedziała, że teraz albo nigdy.

— Gdybym była na pańskim miejscu — rzuciła niedbale, zwracając się do totumfackiego — wzięłabym następną kartę.

Maitre desjeux przesunął łopatką kartę w jej stronę. Była to trójka. Odwrócił wszystkie trzy karty Kate i panującą w salonie ciszę przerwała wrzawa. To samo zrobił z kartami Kuwejtczyka. Ukazała się ósemka.

— Gratuluje, panno Maser — powiedział Hijal. — Grała pani bardzo dobrze.

— Ma pan na myśli, że jak na amatorkę miałam dużo szczęścia. Kuwejtczyk roześmiał się.

— To również. Teraz to należy do pani.

Z wielką ceremonią wręczył jej złoty żeton. Kate go nie przyjęła.

— Nie, wasza ekscelencjo. Proszę, by go pan zatrzymał. To podarunek. Nie ma innej wartości poza tą, którą pan i ja mu nadajemy. Jeśli chodzi o mnie, jest ogromna.

Hijal skłonił głowę.

— Jest pani subtelną kobietą, panno Maser. Myślę, że zaczyna się w pani odzywać Libanka. To dobrze. Przyjmuję pani podarunek. Dla mnie również ma wielką wartość.

Strzelił palcami i służący otworzyli dyplomatkę pełną starannie ułożonych plików banknotów.

— Jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, chciałbym się teraz trochę odegrać.

Anatole Benedetti wrócił z Londynu następnego dnia.

— Gratuluje gry z Hijalem. Zrobiłaś wrażenie.

— Jak się o tym dowiedziałaś?

— Szeptano o tym we wszystkich londyńskich klubach gry. Chyba odzyskamy graczy.

— Miejmy nadzieję — powiedziała Kate. — Jak ci poszło?

— Niestety nie tak dobrze jak tobie. Scotland Yard pozwolił mi się zobaczyć z Doustem, ale nie zdołałem nic z niego wydusić.

— Bał się, że coś mu się stanie, jeśli zacznie mówić?

— Nie wydaje mi się — odparł Benedetti powoli. — Właściwie Doust nie sprawia wcale wrażenia przestraszonego. Posiedzi w więzieniu bardzo długo.

Przypuszczam, że gdyby ktoś chciał, mógłby kazać

go zamordować. Ale nie to go powstrzymuje. Henry Doust jest jednym z tych ludzi w starym stylu, którzy dobijając targu, lubią postawić na swoim.

— Więc musimy poszukać Allena — stwierdziła Kate. — To może nie być takie łatwe.

Kate spojrzała na niego ostro.

— Dlaczego? Myślałam, że macie go na oku.

— Grecki patrol morski otrzymał od niego ostatnią wiadomość, że płynie do Sztambułu — odparł Benedetti. — To było cztery dni temu. Powinien dotrzeć do wybrzeża tureckiego czterdzieści osiem godzin później. Tymczasem na tureckich wodach znaleziono dryfujący osiemnastometrowy jacht bez żywego ducha na pokładzie. Policja przypuszcza, że piraci, którzy grasują między Aleksandrią i Sztambułem, napadli na ławą zdobycz, zabili właściciela i pasażerów, a następnie splądrowali łódź. To musiało się stać bardzo szybko, ponieważ nie odebrano żadnego sygnału o niebezpieczeństwie...

— Musimy powstrzymać Pierre'a! — mówiła Kate. — Nie możemy dopuścić do kolejnego morderstwa.

Armand zobaczył gniew w jej oczach. Usiadł na łóżku, krzywiąc się z bólu. Miał szczęście, że udało mu się wrócić do miejsca, gdzie czekali na niego dwaj mnisi. Nie wiedział, skąd wziął na to siły.

Był wściekły — i przestraszony — kiedy opat opowiedział mu o próbach upokorzenia Kate. Nękanie przez policję w połączeniu z ofertą ambasady wzbudziły w nim odrazę. Próba zdyskredytowania kasyna i Kate wstrząsnęły nim do głębi. Był dumny ze sposobu, w jaki Kate, dzięki refleksowi i przytomności umysłu, uniknęła katastrofy.

— Kate, podejdź tutaj.

Natychmiast wyczuła nową nutę w jego głosie i zaniepokoiła się. Usiadła na łóżku i czekała.

— Zdarzyło się coś, co zmusiło mnie do opuszczenia monasteru.

I wyjaśnił jej, że słowa Sweeta naprowadziły go na ślad, który musiał sprawdzić.

Opowiedział o podróży do Mouchtary \ o tym, co tam zobaczył. Kate była przerażona.

— Saidi jest znacznie bardziej niebezpieczny, niż podejrzewaliśmy — zakończył.

Oczy Kate zapłonęły.

— Więc musimy znaleźć sposób, żeby go powstrzymać! Armand potrząsnął głową.

— Jeśli zdołamy. Kate, chcę, żebyś zrozumiała jedną rzecz. Niewiele mogę zdziałać w obecnej sytuacji. Do niedawna myślałem, że można uratować Liban. Myliłem się. Może byłem zbyt zarozumiały. Nie mogę cofnąć zegara ani odwrócić biegu wydarzeń. Arabowie mają takie przysłowie: „Pewni ludzie rodzą się w czasach, których nie mogą zmienić”. Nigdy nie sądziłem, że należę do nich.

Rozpacz w głosie Armanda sprawiła, że Kate zadrżała.

— Czy to oznacza, że się poddajesz? — zapytała cicho.

— Nie. Trzeba powstrzymać tych, którzy przyczynili się do naszego nieszczęścia. Lecz żeby tego dokonać, muszę uwolnić się od przeszłości.

Kate nie zrozumiała go w pierwszej chwili. Potem do niej dotarło.

— Armandzie, nie! Wyciągnął rękę i powiedział:

— Kate, pamiętasz, jak o tym rozmawialiśmy. Zgodziliśmy się, że to zrobimy, jeśli sytuacja nas zmusi.

Kate przygryzła wargi.

— Do diabła! — szepnęła. — Nie powinno do tego dojść!

— Ale doszło. I nic nie możemy na to poradzić. Otarła łzę.

— Dobrze, Armandzie, ale nie chcę, żeby Pierre'owi wszystko uszło bezkarnie.

— Co proponujesz? — zapytał spokojnie.

— Konfrontację. Myślę, że Pierre bardziej się boi swojego współnika niż nas.

Muszę więc wybrać odpowiedni moment i powiedzieć mu wprost, że jest mordercą. Armand wyobraził sobie tę scenę. Jak zareagowałby Pierre? Roześmiałby się, czy poddał, oburzył, czy przyznał? To był niebezpieczny, ale może jedyny sposób.

— Proszę, Armandzie. Nie powstrzymuj mnie. Razem zdemaskujemy nie tylko

Pierre'a, ale i jego współnika. — Kate zrobiła pauzę. — Powiedziałeś, że chcesz, by winni zostali ukarani. Nie poświęcaj wszystkiego, jeśli nie jesteś tego pewny.

Po raz setny Armand zadał sobie pytanie, czy robi właściwą rzecz. Nie powiedział Kate, że ma podejrzenia co do tożsamości współnika Pierre'a. Doszedł jednak do wniosku, że tak będzie lepiej.

— W porządku — powiedział w końcu z czułością, która wprawiła ją w

zakłopotanie. — Zedrzyj Pierre'owi maskę. Tylko żeby tego nie żałował.

Dotknęła jego policzka.

— Nigdy niczego nie będziesz musiał żałować.

Obserwując, jak Kate zabiera swoje rzeczy, Armand czuł się rozdarty. Tyle już ich spotkało. A czekały ich jeszcze większe niebezpieczeństwa. A jeśli już jej nigdy nie zobaczy? Jak będzie żył?

— Kate — zawołał ochryple.

Czy sprawiło to skupienie, przenikliwe spojrzenie, czy sposób, w jaki światło padało na jej twarz, ale w jednej chwili niepewność Armanda co do uczuć wobec Kate rozwiała się. Wreszcie wyrzucił z siebie słowa, które od tak dawna pragnął powiedzieć.

— Kocham cię, Kate.

Podeszła do niego, przytuliła się całym ciałem i obsypała twarz pocałunkami. Potem nagle zaczęła się śmiać, a z oczu trysnęły jej łzy.

— Myślałam, że nigdy tego od ciebie nie usłyszę!

— Byłem głupcem — stwierdził Armand. — Do tej pory nie znałem takiego uczucia. Bałem się...

— Już nie musisz, kochanie. Nigdy więcej. Przez dłuższy czas trzymali się w objęciach.

— Lepiej już pójdę — szepnęła Kate.

— Obiecuj, że będziesz ostrożna i trzymaj się z daleka od Michaela Saidiego.

— Na Michaela jeszcze przyjdzie czas — powiedziała Kate cicho. — Nie uniknie przeznaczenia.

Pierre Fremont siedział przy biurku w stylu Ludwika XIV, pogrążony w pracy. Gabinet ze sklepionym sufitem ozdobiony złotymi liśćmi, gobelinami, dywanami i lustrami w złożonych ramach był jego schronieniem. Kiedy podwójne drzwi otworzyły się z hukiem, Pierre poderwał się, strącając niechcący srebrny kałamarz na niepowtarzalny dywan z Aubusson.

Do pokoju wmaszerowała Kate, a za nią pojawiła się sekretarka bliska apopleksji. — Chcę się spotkać z tobą dzisiaj wieczorem, Pierre. W „Oiseau Bleu”, w sali Armanda. O dziewiątej. Nie spóźnij się.

— Kate! O co chodzi? Co się dzieje? — zawołał za nią Pierre.

— Dowiesz się wieczorem — rzuciła przez ramię i dodała: — Zresztą i tak się domyślasz!

Tego samego wieczoru Cleo pojechała do Ra's Bejrut. Chociaż ruch był natężony, prowadziła maserati jak szalona, ścinając zakręty. Towarzyszyły jej klaksony i przekleństwa.

— *Ma'alesz* — szeptała do siebie. — To bez znaczenia. Nadszedł w końcu moment, którego się bała, choć niemal udało się

jej uwierzyć, że nigdy nie nadejdzie. Całe bogactwo okazało się mirażem, jak zawsze podejrzewała. Pierre powiedział jej kiedyś „My Bejrutczycy nie jesteśmy zdobywcami. Z tego samego powodu nie potrafimy niczego bronić. Ale nigdy się nie poddajemy. Jeśli jedno się nie powiedzie, uda się co innego. Nie przyjmujemy się drobiazgami. Robimy sobie drinka i spokojnie czekamy. Pamiętaj, Cleo, *ma'alesz*...”

Skręciła w prawo i sportowy samochód pognał jak rakieta w stronę Placu Męczenników, jasno oświetlonego jak na paradę. Zaparkowała maserati i pobiegła przez plac do małej kawiarenki, w której było prawie pusto. Jasmine już czekała, paląc papierosa.

— Ta dziwka wszystko wie! — krzyknęła Cleo, oddychając ciężko. — Pierre jest tego pewien!

— Przypuszczam, że mówisz o Kate — odparła Jasmine. — Co niby wie? Oczy Cleo zapłonęły.

— O kradzieżach Pierre'a! Czy to nie wystarczy? Jasmine zachowała kamienną twarz.

— Pierre jest tego pewien?

— Kiedy wrócił do domu, wyglądał jak wrak! Podobno Kate wpadła do jego gabinetu i rozkazała, dosłownie rozkazała, żeby był dzisiaj wieczorem w „Oiseau Bleu”. Powiedziała, że on dobrze wie, o co chodzi.

— Tak więc Pierre pochopnie wyciągnął wnioski — mruknęła Jasmine.

— Pierre może sobie wyciągać dowolne wnioski. Ja znikam! Chcę moich pieniędzy, Jasmine.

— Nie uważasz, że reagujesz przesadnie? Cleo zaśmiała się ochryple.

— Nie zaczynaj. Powiedziałam ci, nie pozwolę, by Pierre pociągnął mnie za sobą na dno.

Jasmine zastanowiła się chwilę.

— Dobrze. Chcesz wyjechać. Nie zatrzymuję cię. Jutro w południe sprawdź konto w Sauer Bank w Zurychu. Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku. Chcę tylko, żebyś mi oddała przysługę.

— Żadnych przysług! Właściwie domyślam się, czego chcesz! — oświadczyła Cleo, gwałtownie potrząsając głową.

— Tylko tego, żebyś poszła na kolację razem z Pierre'em. Opłaci ci się to — dodała Jasmine. — Sto tysięcy dolarów.

Cleo zaniemówiła na moment.

— Co może być warte takich pieniędzy? — zapytała podejrzliwie.

— To chyba oczywiste — odparła Jasmine. — Chcę wiedzieć dokładnie, o czym będą rozmawiali Pierre i Kate.

— To znaczy, że mu nie ufasz.

— To znaczy, że czasami Pierre cierpi na zaniki pamięci, kiedy mi coś opowiada.

— Podziwiam cię, Jasmine. Pierre'owi grozi ruina, a ty nawet z tego potrafisz wyciągnąć korzyści.

— Zawieramy umowę? — zapytała Jasmine.

— Niech w tym szwajcarskim banku czekają na mnie dodatkowe pieniądze — powiedziała Cleo.

— Pozwól, że z ciekawości zapytam, co zamierzasz zrobić? Cleo uśmiechnęła się.

— Zawsze będziesz o mnie mogła poczytać w kolumnie towarzyskiej, kochanie. Kate celowo spóźniła się na kolację z Pierre'em. Stanowiło to część planu, podobnie jak ochroniarze, którzy rozsiedli się po całej sali niedaleko stolika Armanda. Nie przewidziała jednak, że u boku Pierre'a pojawi się Cleo. Była to komplikacja, ale na szczęście drobna.

Kate kazała podać Pierre'owi szampana. Nie liczyła na to, że się upije, ale mogła się jej przydać nawet najmniejsza przewaga. Odczekała trochę i wkroczyła do sali. Szampan był nietknięty. Pierre i Cleo siedzieli w milczeniu.

— Dobry wieczór — rzuciła Kate.

Pierre spojrział na nią szklanym wzrokiem. Miał tępy wyraz twarzy.

— Kate.

Cleo skinęła głową bez słowa.

— Nie spodziewałam się ciebie, Cleo — stwierdziła Kate. — Zważywszy na okoliczności.

— Nie wiem, o jakich okolicznościach mówisz — powiedział Pierre gwałtownie. — Wpakowałaś się do mojego gabinetu i zachowałaś jak wiariatka. Wyświadczyłem ci grzeczność, zjawiając się tutaj, jak chciałaś. Między mną i Cleo nie ma żadnych sekretów. Jeśli się uprzesz, żeby wyszła, ja wyjdę razem z nią.

Kate zobaczyła, że Cleo uśmiecha się złośliwie.

— Dobrze, Pierre. Jeśli tak chcesz. — I widząc, że nerwowo skubie serwetkę, dodała, starając się zapanować nad drżeniem głosu. — Masz powody, żeby być zdenerwowanym. Jesteś złodziejem. Okradłeś swój bank.

Pierre nadal bawił się serwetką. Oczy miał opuszczone.

— I jesteś również mordercą. Spotkałeś się z moim ojcem w Paryżu i on zagroził, że cię wyda, więc postanowiłeś go zabić. Mieliście drugie spotkanie i to wtedy zmajstrowałeś coś przy jego samochodzie. Ale to ci nie wystarczyło, prawda? Musiałeś się dowiedzieć, jak mój ojciec odkrył prawdę. Trop zaprowadził cię do Kennetha Mortona z Londynu, którego zamordowałeś w Prowansji.

— Jesteś szalona! — krzyknął Pierre. — To wszystko bajki!

— Ty draniu! — szepnęła Kate. — Spójrz na mnie i powiedz, że kłamię! No dalej, spójrz! Nie potrafisz, prawda? Bo wiesz, że jesteś winny! A ja zamierzam to udowodnić!

Pierre zaśmiał się ironicznie.

— Gdybyś miała dowód, już dawno byś poszła na policję.

— Jeszcze mogę to zrobić, Pierre. I zrobię, jeśli mi nie podasz nazwiska współnika.

— Więc to jest spisek! — warknął. — Naprawdę myślisz, że ktoś ci uwierzy, Kate? Pchnęła w jego stronę list.

— Jutro premier i prasa, łącznie z dużymi gazetami europejskimi i amerykańskimi, otrzymają kopie. Daję ci dwadzieścia cztery godziny, Pierre. Wierz mi, potrafię udowodnić, że spowodowałeś śmierć mojego ojca, i zrobię to. Podaj mi więc nazwisko współnika, który wszystko zorganizował, wynajął zabójcę. Jeśli, oczywiście, ty sam tego wszystkiego nie zrobiłeś.

Pierre osunął się na krzesło i spojrzał ponad jej ramieniem. Kate odwróciła się i zobaczyła trzech mężczyzn rozmawiających z kierownikiem sali. Sytuacja była dla niej oczywista. Mężczyźni chcieli dostać stolik, ale nie mieli rezerwacji. Nagle kierownik runął do tyłu, jakby go ktoś popchnął z całej siły. Na jego białej koszuli pojawiła się ciemnoczerwona plama. Wpadł na wózek z deserami i osunął się prosto w ramiona przestraszonej kobiety.

W rękach trzech mężczyzn pojawiła się broń. Ochroniarzy, którzy ruszyli do akcji, przywitał ogień z pistoletów maszynowych. Goście rzucili się na podłogę lub ukryli pod stolikami. Intruzi wbiegli do prywatnej sali.

Jakieś ręce poderwały Kate. Na karku poczuła chłód stali.

— Nie krzywdźcie nikogo...

Urwała, kiedy jeden z napastników wyciągnął Cleo zza stolika.

— Nie!

Pierre nie miał szans. Jeden z mężczyzn uderzył go w twarz wierzchem dłoni. Pierre opadł na kolana. Rozległy się kolejne krzyki, gdy grad kul ściał ludzi z ochrony, którzy wpadli przez drzwi restauracji. Kate zachwiała się do tyłu, kiedy napastnik ją puścił i opróżnił magazynek, żeby zapobiec brawurowym próbom ratunku. Dwaj nadal trzymali Cleo, popychając ją w stronę drzwi kuchni.

Kate głowa puchła od krzyków i jęków. Podpełzła do Pierre'a, który nadal klęczał. Rozejrzał się wokół dzikim wzrokiem, szukając Cleo, i kiedy zobaczył kołyszące się drzwi, próbował wstać.

— Nie, Pierre! — krzyknęła Kate. — Nie uwolnisz jej w ten sposób. Zabijają ją, jeśli tylko spróbujesz.

Pierre wpatrywał się w drzwi, w których zniknęła Cleo. Nagle opuściła go wola walki. Kate nigdy nie widziała takiego żalu i bezradności na czyjejs twarzy.

— Dlaczego? — szepnął, kiwając się na boki. — Dlaczego ją zabrali?
Pierre zajączał, mrużąc oczy przed blaskiem bijącym od białej ramy łóżka. W pierwszej chwili był zdezorientowany, ale zaraz uświadomił sobie, że jest w szpitalu. I wtedy wróciło przerażenie. Zaczął się rzucać, jakby próbował strącić z siebie niewidzialnych napastników.

Chciał z powrotem pograć się w narkotycznym śnie. W głowie dudniło mu od huku wystrzałów. Przed oczami ukazywała się przestraszona twarz Cleo. Czuł wstyd, że nic nie zrobił, by jej pomóc. Pozwolił ją zabrać i nawet nie kiwnął palcem.
— Pierre...

Odwrócił się i zobaczył Kate stojącą obok łóżka.

— Proszę, panno Maser. Tylko parę minut.

Pierre usłyszał słowa lekarza i zawołał słabym głosem. Kate wzięła go za rękę.

— Znajdziemy ją — powiedziała.

— Gdzie ona jest?

— Jeszcze nie wiemy. Policja przeczesuje miasto. Mają opis jednego z porywaczy.

— Było ich trzech.

— Dwaj nie żyją. — Kate pochyliła się nad nim. — Musisz mi powiedzieć, dlaczego porwali Cleo.

Pierre zadrżał. Dlaczego uprowadzono Cleo, a nie Kate? Jasmine przyrzekła, że nic się jej nie stanie.

— Pierre, musisz ze mną porozmawiać. — ponagliła go Kate. — Nie rozumiesz? Zostałeś zdradzony. To ja miałam być ofiarą, prawda?

— Nie — szepnął Pierre.

— Nie ma sensu kłamać! — krzyknęła Kate. — To ja byłam celem. Tak ci powiedziano, a ty w to uwierzyłeś. Ktokolwiek jest twoim współnikiem, Pierre, już ci nie ufa.

— Nic nie wiem.

Krzyki Pierre'a ściągnęły lekarzy.

— To nie ja ci zagrażam — powiedziała Kate. — Wiesz, kogo powinieneś się teraz bać.

Gdy tylko Kate wyszła ze szpitala, zjawił się jej prześladowca, inspektor Hamse, i poddał ją wielogodzinnemu przesłuchaniu na temat wydarzeń w kasynie.

— To nie stało się przypadkiem, panno Maser stwierdził. -Dwie osoby nie żyją, jedna została porwana, a kilka jest rannych.

Wszystko wydarzyło się na pani terenie, a pani twierdzi, że nie ma pojęcia dlaczego? Obraża pani moją inteligencję, mademoiselle!

— Nie miałam takiego zamiaru! — odparła Kate. — Już mówiłam, że nikt mi nie groził. O ile się orientuję, nikt nie żywi urazy do żadnego z moich pracowników. Powinien pan to wiedzieć na podstawie własnego śledztwa. Więc pytam, inspektorze, co się według pana zdarzyło? Podobno tak dobrze zna pan Bejrut. Hamse poczerwieniał, słysząc jej uszczypliwy ton.

— Napastnicy strzelający z broni automatycznej do niewinnych ludzi w miejscu publicznym to nie jest zwykła rzecz w moim mieście, panno Maser. A tak przy okazji, tyle się wydarzyło, odkąd pani tutaj przyjechała, prawda? Może ściągnęła pani na nas kłopoty!

— Powiedziałam już wszystko — odparowała Kate. — A teraz chciałabym usłyszeć, co pan robi, żeby znaleźć Cleo?

Hamse spojrział na nią w zamyśleniu.

— Wszystko co w naszej mocy, panno Maser. Ma pani moje słowo.

— To nie ja potrzebuję pańskich zapewnień, inspektorze, lecz Cleo.

Kate kazała kasjerom kasyna trzymać na wszelki wypadek milion dolarów w gotówce. Chciała być przygotowana, kiedy zgłoszą się porywacze. Właśnie skończyła wydawać polecenia, kiedy zadzwonił człowiek, którego najmniej spodziewała się usłyszeć. Nabił Tufaili.

— Muszę się z panią zobaczyć, panno Maser — oznajmił. — To niezwykle pilna sprawa.

— Panie Tufaili, z pewnością pan zrozumie, że to nie jest najlepsza pora...

— Panno Maser, wiem o ostatnich kłopotach. Właśnie dlatego musimy się spotkać. Nalegam. Dzisiaj wieczorem o dziesiątej, w moim gabinecie w Arabsko-Amerykańskim Banku na Corniche. Mój człowiek panią wprowadzi. I proszę, żeby pani przyszła sama. Tak będzie najlepiej, zważywszy na to, co mam do powiedzenia.

Zaintrygowana tajemniczym zaproszeniem Tufailego, Kate zjawiała się przed bankiem punktualnie o dziesiątej. Tufaili dotrzymał słowa. Milczący mężczyzna w czarnym garniturze zaprowadził ją do windy i nacisnął guzik najwyższego piętra. Drzwi otworzyły się bezpośrednio na bogato urządzonej pokój pełen skandynawskich mebli z palisandru oraz dzieł prymitywnej sztuki z Afryki i Azji. Kate od razu zauważyła, że ich głównym motywem jest seks.

Na sofach i w fotelach siedziało półokręgiem dziesięciu mężczyzn, łącznie z Nabilem Tufailim. Kate знаła ich twarze z gazet i czasopism. Przypomniała sobie, co Armand opowiadał jej o każdym z nich. To byli *zuama*.

— Dziękuję za punktualność, panno Maser — powiedział Tufaili bez wstępów. Wskazał na fotel ustawiony pośrodku gabinetu. — Mogę pani zaproponować herbatę?

Kate usiadła i utkwiała oczy w Tufailim.

— Nie, dziękuję.

— Dobrze. Sądzę, że możemy sobie podarować prezentację? Wie pani, kim jesteśmy.

— O tak, panie Tufaili.

— Zatem pozwoli pani, że wyjaśnię, dlaczego panią tutaj zaprosiliśmy, panno Maser. Jednej rzeczy Bejrutczycy nienawidzą ponad wszystko. Bałaganu. Nasz kraj kwitnie, ponieważ jesteśmy ludźmi honoru, uczciwymi pośrednikami.

Kate uniosła brwi, ale nawet jeśli Tufaili, to zauważył, postanowił zignorować.

— Z głębokim żalem muszę stwierdzić, że pani obecność w Bejrucie, tragiczne wydarzenia, które ostatnio miały miejsce, poważnie zakłóciły tak dla nas cenną równowagę. Jestem pewien, że pani tego nie chciała, ale to nie zmienia sytuacji. Współczuję pani z powodu straty. Wiem, jaki ciężar wzięła pani na siebie. Nie możemy jednak siedzieć bezczynnie, widząc, że grozi nam chaos.

Kate z całej siły starała się nad sobą zapanować. Gdyby przerwała Tufailemu, uznałby to za największą impertynencję. Nie mogła się jednak powstrzymać.

— Domyślam się, że ma pan dla mnie jakąś radę, panie Tufaili?

— Istotnie. Dotarło do naszej wiadomości, że pewne osoby zaproponowały bardzo dobrą cenę za akcje SBM.

— A skąd pan wie, że to nie jest zwykła plotka, panie Tufaili? — zapytała Kate ostro.

— Ponieważ pani nie zaprzecza. Zresztą to i tak nie miałyby znaczenia. Możemy polegać na naszych źródłach informacji. A zatem istnieje kilka możliwości.

Przyjmując ofertę, stałaby się pani bardzo bogatą kobietą. Proszę pomyśleć o sprawach sądowych, które mogłaby pani wytoczyć po powrocie do Ameryki. To mi nasuwa kolejną myśl. Ma pani doskonałą okazję, żeby opuścić Bejrut. Proszę mi wierzyć, panno Maser, nie ma pani tutaj teraz, czego szukać. Wyjeżdżając zachowa pani twarz. Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że pani przegrała.

Przeciwnie, Bejrutczycy rozumieją doskonale, że wybrała pani jedyne rozsądne wyjście.

— A co z moim sumieniem? Czy ono też mi powie, że wykazałam się rozsądkiem?

— Nie jestem pani doradcą duchowym, panno Maser. Ale... i tu przechodzimy do trzeciego punktu, pani wyjazd byłby przez nas mile widziany. Osobiście nic przeciwko pani nie mamy. Ale nie dopuścimy do zakłócenia delikatnej równowagi. Jest pani *strega*, panno Maser. Czarownicą sprowadzającą nieszczęście i pecha. Obawiam się, że Bejrutczycy nie mogą sobie pozwolić na pani obecność. A my wykorzystamy całą siłę perswazji, żeby panią o tym przekonać.

— Czy mam to odebrać jako groźbę?

— Oczywiście. To właśnie jest groźba. Kate wstała.

— Jest pan podłym człowiekiem, panie Tufaili. Podobnie jak wy wszyscy. Młoda kobieta zostaje uprowadzona z kasyna, dwaj moi pracownicy giną zastrzeleni, niewinni goście przeżywają chwile grozy, a wy zamiast wyciągnąć do mnie rękę, rzucacie groźby. To mi wystarczy, żeby się na was poznać. Nie mamy o czym rozmawiać! — oświadczyła spokojnie.

— Panno Maser! — krzyknął Tufaili. — Puścimy mimo uszu pani obraźliwe słowa, ponieważ nie zna pani naszych obyczajów. Widzimy jednak wyraźnie, że jest pani nie tylko niebezpieczna, ale i głupia. Proszę nie popełnić błędu, nie doceniając nas. Wprawdzie odziedziczyła pani kasyno, ale daleko pani do Armanda Fremonta. Możemy panią bez trudu zniszczyć. Jeśli zechcemy, pracownicy odejdą i nikogo pani nie znajdzie na ich miejsce, niezależnie od proponowanej płacy. Rewidenci dokładnie zbadają pani księgi finansowe. W tak zwanym „towarzystwie” rozejdzie się wieść, że jest pani niemile widziana, i stoliki w kasynie opustoszeją. Proszę mi wierzyć, panno Maser. Możemy tego dokonać i jeszcze znacznie więcej. Proszę bardzo starannie rozważyć swoją decyzję w świetle tego, co powiedziałem. Nikt nie okaże pani współczucia. Zostanie pani całkiem sama. A kiedy wyrzucimy panią z kraju, wróci pani do Ameryki i trafi prosto do więzienia. Odrzuciła pani jedną umowę, panno Maser. Proszę nie popełnić drugi raz takiego samego błędu.

— Dziękuję, Nabilu. Jestem pewna, że wzięła to sobie do serca. — Jasmine odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Louisa. — Poszło tak, jak zaplanowaliśmy.

— Jesteś szalona! - szepnął Louis. - Najpierw porwanie Cleo Powiedziałaś, że nikomu nie stanie się krzywda. Obiecałaś! Teraz mieszasz w to Tufailego. Sharif Uday prędzej czy później się o tym dowie i poradzi sułtanowi, żeby zrezygnować z kupna. Sama wszystko psujesz!

— Nie bądź osłem! — odparowała Jasmine. — Jak długo Kate ma decydujący głos i odmawia sprzedaży, nie mamy nic!

Louis głęboko zaciągnął się papierosem. W zajmującym całą ścianę lustrze widział, jak Jasmine wychodzi z pokoju.

Tufaili ma rację, pomyślał. Zaczyna się robić niebezpieczna.

I kiedy wyobraził sobie żonę martwą, po raz pierwszy zaczął się rozkoszować myślą o wolności.

Jeden z największych zamków krzyżowców w Libanie został zbudowany w 1099 roku na Górze wznoszącej się nad zatoką Saint Georges. Libańczycy omijali zamek, uważając, że w nim straszy. Cleo wiedziała o tym i porzuciła nadzieję na ratunek. Komnata miała ściany z ciosanego kamienia i podłogę z ubitej ziemi. Oświetlały ją lampy naftowe. Łóżko stanowił cienki brudny materac przykryty szorstkim kocem z końskiego włosia, a za toaletę służyło wiadro.

Cleo nie potrafiła stwierdzić, czy jest dzień, czy noc. Resztki wieczorowej sukni zwisały w strzępach na posiniaczonym ciele. Głębokie rany na stopach krwawiły, a twarz lepiała się z brudu. Dziewczynę można by wziąć za manekin, dopóki nie spojrzało się w szeroko otwarte błyszczące oczy wpatrujące się w jakiś niewidoczny punkt, pełne strachu i powoli narastającego szaleństwa.

Cleo nie mogła sobie przypomnieć, ile razy została zgwałcona. Było ich tylko dwóch, ale zachowywali się jak zwierzęta. Ciało miała pozbawione czucia od pasa w dół.

Nadal nie miała pojęcia, dlaczego ją porwano, zresztą i tak nie miało to teraz znaczenia. Czy zrobiono to dla okupu, czy dla zabawy nigdy nie da się naprawić krzywdy, jaką jej wyrządzono. Wychowana przez ulicę, Cleo na chwilę zapomniała, że nie należy ufać dobremu losowi, lecz teraz zrozumiała, że ani bogactwo, ani władza nie są w stanie uchronić jej przed złem. Mężczyźni przychodzili i brali to co chcieli. Kiedy się nią zmęczyli, odchodzili, a ona czołgała się do barłogu jak chore zwierzę szukające kryjówek. Niewiele więcej mogli jci zrobić.

Cleo nie miała pojęcia, w jakim jest stanie.

Drzwi komnaty otworzyły się i do środka weszli dwaj mężczyźni. Cleo poczuła coś, co już prawie zapomniała: orzeźwiający, zmysłowy zapach męskiej wody kolońskiej. Obudziła się w niej nadzieja.

Nowy przybysz pozostał w cieniu. Cleo nie mogła dostrzec jego twarzy. Jeden z tych, którzy ją gwałcili, podszedł i obrócił ją twarzą do ściany. Usiadł bardzo blisko niej, tak że czuła jego cuchnący oddech.

— Powiedz mi, Cleo, wszystko o swoim opiekunie — zażądał głos. Zmieszana, nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Pierre ma swoje sekrety. Chcę, żebyś mi je wyjawiała. Wtedy Cleo zrozumiała. Pierre miał tylko jeden sekret. Gdyby to wyszło na jaw, byłby zgubiony. Ale nie warto za coś takiego umierać. Jeśli kochanek zbankrutuje, ona oczywiście go zostawi, ale zachowa urodę i młodość. Przeżyje i znajdzie sobie kogoś innego.

Początkowo z wahaniem, ponieważ od wielu dni nie wydobyła z siebie żadnego słowa, Cleo opowiedziała swojemu anonimowemu rozmówcy wszystko o małwersacji w Banque de Liban. Z każdym zdaniem rosła w niej nadzieja.

— To wszystko? — zapytał mężczyzna.

— Przysięgam, że to jego jedyny sekret. Mężczyzna westchnął.

— Gdybyś tylko wiedziała, jak on bardzo się o ciebie boi. Zrobi wszystko, żeby cię odzyskać. To naprawdę wzruszające. Nie możemy go rozczarować, prawda? Powinniśmy cię odesłać do niego.

Cleo zamknęła oczy.

— Tak.

— Zamierzasz z nim zostać, Cleo, nawet kiedy będzie zrujnowany? Powiedz prawdę!

Cleo nie wahała się. Mężczyzna trzymał w rękach jej życie.

— Nie.

— Och, Cleo, rozczarowałaś mnie. Ale to było do przewidzenia. Myślę, że Pierre zasługuje na lepszy los, nie sądzisz? Ostatecznie tylko ty mu pozostaniesz?

— Więc go nie opuszczę! Jeśli tego chcecie ode mnie. Przysięgam!

— Chciałbym ci wierzyć, Cleo — powiedział nieznajomy cicho. — Ale muszę mieć pewność. Jest na to tylko jeden sposób.

Inkwizytor dał znak i w dłoni jego sługi pojawiła się brzytwa.

Sam niezbyt religijny, Louis Jabar liczył na poparcie silnej wspólnoty maromckiej. Wpadł więc na pomysł, by zwrócić się do jej przywódców w Katedrze Sw. Zofii. Torując sobie drogę wśród tłumu, który stał na schodach kościoła, Louis zastanawiał się, czy Bóg wybaczy mu to, co się zaraz stanie.

Fakt, że wiec przedwyborczy odbywa się w świątyni, nie wywoływał zdumienia u Bejrutczyków. Dziwiła natomiast obecność Nabiła Tufailego i wielu wpływowych Arabów, gdyż krucyfiksy, ikony i inne przedmioty kultu religijnego stanowiły dla muzułmanów bluźnierstwo. Obecność Tufailego i pozostałych *zuama* sugerowała jednak, że za Louisem Jabarem stoją zjednoczone siły.

Louis zaprowadził Jasmine i świtę swoich doradców do ławek po prawej stronie. Następnie ruszył przejściem i złożył Tufailemu wyrazy szacunku. Kiedy wszyscy usiedli, Louis wszedł po krętych schodach na ambonę znajdującą się po lewej stronie głównej nawy. Na twarzy miał wyraz pewności siebie i olśniewający uśmiech. Nie wypowiedział jeszcze ani jednego słowa, a już skupił na sobie uwagę obecnych.

Odwrócił się i spojrzał na Jasmine. Nigdy nie wyglądała piękniej. Przypomniała mu się noc, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją w kasynie w Enghien. Wiedział, że patrzy na nią ostatni raz, więc przesłał jej pocałunek.

To za stare czasy. Dłużej bym już tego nie wytrzymał. Byłaś piękną dziewczynką, Jasmine, piękną, szaloną i śmiertelnie niebezpieczną.

Ułożył notatki na pulpicie i spojrzał na zegarek. Jeszcze niecałe pięć minut. Jasmine tylko udawała, że słucha Louisa. Sama napisała przemówienie, więc teraz obserwowała reakcje publiczności. Nikt nie mógł żywić wątpliwości co do talentów oratorskich Louisa. Miał w sobie nieodparty magnetyzm. Był jak puste naczynie, piękne, lecz zupełnie bezużyteczne. Przemówienie stawało się coraz żarliws/c i Jasmine

z dumą pomyślała, że to ona tchnęła duszę w tego pustego, pięknego mężczyznę. Ta chwila miała jej na zawsze utkwąć w pamięci. Louis wyciągnął rękę do słuchaczy, drugą położył na pulpicie. Głowę miał wysuniętą do przodu, oczy płonące. I wtedy eksplodowała bomba ukryta pod okapem, jakby gniew Boży spadł na wszystkich obecnych.

Na ostatecznej liście ofiar znalazło się pięćdziesiąt siedem nazwisk. Powszechnie uważano za cud, że nie zostało zabitych więcej osób. Niektórzy, w tym Louis Jabar, Nabil Tufaili i inne ważne osobistości z pierwszej ławki, zginęli na miejscu. Inni udusili się lub wykrwawili na śmierć, leżąc pod gruzami. Kiedy ukazały się pierwsze zdjęcia, ludzie dziwili się, że katedra rozpadła się na pół, jakby przecięta boskim mieczem. Ci, którzy siedzieli po prawej stronie, zanosili ciche modlitwy dziękczynne.

Tragedia w Bejrucie trafiła na pierwsze strony gazet na całym świecie. Jej symbolem stała się fotografia wdowy po niedoszłym prezydencie, Jasmine Fremont-Jabar, trzymającej w ramionach ciało męża. Klęczała na rumowisku, głowę miała odrzuconą do tyłu, twarz wykrzywioną rozpaczą.

Policja przeprowadziła szybkie i zdecydowane śledztwo. Natychmiast zdementowano plotki o pękniętej rurze gazowej. Inspektor Hamse uroczyście oświadczył, że to był zamach polityczny. Ktoś podłożył bombę. Jedynym celem mógł być Louis Jabar. Hamse zapewnił prasę, że sprawcy zostaną schwytani i ukarani.

To był dopiero początek. Rozwścieczeni bestialskim mordem dokonany na przywódcach, młodzi maronici ruszyli na dzielnice arabskie, wybijając okna, grabiąc sklepy, bijąc właścicieli. Muzułmanie odpowiedzieli tym samym i wkrótce w całym mieście było słychać strzały z broni automatycznej. Ponieważ większość *zuama* nie żyła, nie miał kto zaprowadzić porządku. Ponaglany przez Zgromadzenie Narodowe, urzędujący prezydent ogłosił stan wyjątkowy i wysłał na ulice oddziały gwardii narodowej, której dowódcy niezwłocznie zarządzili godzinę policyjną. Kate dowiedziała się o tragedii już po paru minutach, ale do późnych godzin nocnych nie mogła się dostać do przebywającej w szpitalu Jasmine. Kiedy w końcu się z nią zobaczyła, wdowa zarzuciła ją pretensjami.

— Mogłaś nam pomóc, Kate — oświadczyła. — Powinnaś była stanąć za rodziną i publicznie poprzeć Louisa. Mój Boże, co to się dzieje! Najpierw Armand, potem porwanie Cleo, teraz Louis. Proszę,

Kate nie mów ani słowa. Gdybyś tylko posłuchała naszej rady i zgodziła się pozbyć tego cholernego kasyna! A tak wrogowie Armanda stali się naszymi wrogami i w końcu to my płacimy, a nie ty!

Kate próbowała coś powiedzieć, nie w swojej obronie, lecz żeby ją pocieszyć, ale wyraz zagubienia i rozgoryczenia na twarzy Jasmine powiedział jej, że zjawiała się za późno.

Pomimo godziny policyjnej przez następne kilka dni w całym Bejrucie szalała przemoc, dopóki walczący nie zmęczeni się lub nie zostali aresztowani. Sezon, który rozpoczął się tak obiecująco, dobiegał końca.

Kate zamknęła Casino de Paradis. Obroty przy stołach gier zmalowały prawie do zera, a w „Oiseau Bleu” rozpoczęto remont. W całym mieście działo się to samo.

Restauracje, nocne kluby, kabarety odwoływały imprezy i zwalniały personel.

Kupcy siedzieli przed sklepami na pustych chodnikach. Okna wystawowe były zalepione ofertami ogromnych zniżek. Garstki śmiałków zawzięcie robiły okazyjne zakupy.

Kate wydawało się, że miasto i cały kraj wstrzymuje oddech. Nikt nie odważył się o tym wspomnieć, ale wszystkich przerażała świadomość, że po śmierci Louisa Bejrut znalazł się na łasce losu. Cieszący się autorytetem *zuama*, do których zwykli ludzie mogli się zwrócić po pomoc i sprawiedliwość, zginęli pod gruzami.

Większość Bejrutczyków zapomniała o uprowadzeniu Cleo. Ale nie Kate. Czekwała z godziny na godzinę, z dnia na dzień na jakiś strzęp wiadomości. Próbowała dodzwonić się do Pierre'a, ale nie było go w banku ani w domu. Poszła do jego willi, lecz nie udało się jej sforsować bramy. Jasmine jej nie pomagała. Była pogrążona w żałobie i zajęta przygotowaniami do pogrzebu męża. Plotka głosiła, że odkładano uroczystości, gdyż rząd obawiał się kolejnej fali zamieszek.

Kate jednak nie poddała się. Codziennie dzwoniła do inspektora Hamsego, pytając o postępy w sprawie Cleo. Wysyłała telegramy do domu Pierre'a i przekupiła kierownika jego klubu, żeby ją powiadomił, jeśli Pierre się pojawi. Wyglądało jednak na to, że bankier zapadł się pod ziemię. Aż pewnego wieczoru do jadalni, gdzie Kate siedziała przy kolacji, wbiegł zadyszany Baltazar.

— To pan Fremont! — wysapał. — On... W drzwiach stanął zmizerowany Pierre.

— Słyszałaś? — rzucił z obłędem w oczach.

— O czym? Pierre, co się stało?

— Niecałą godzinę temu odebrałem telefon od człowieka, który twierdzi, że ma Cleo. Powiedział, że zamierza ją wypuścić, przywieźć

tutaj... — Rozejrzał się wokół dzikim wrokiem, jakby spodziewał się zobaczyć Cleo.

— Nic o tym nie wiem. Odpowiedz mi wszystko dokładnie. Pierre wypił dużą brandy i powtórzył rozmowę.

— Nie rozpoznałem głosu. Powiedział tylko, że będzie wolna i że mam tutaj na nią czekać.

— Nie rozumiem — stwierdziła Kate. — Nikt do mnie nie dzwonił.

— Ależ musiał! Może odebrał ktoś ze służby...

— Byłam tu przez cały dzień. Mówię ci, że nie dostałam żadnej wiadomości.

— Uwolnią Cleo — oświadczył Pierre z desperacją, jakby próbował przekonać samego siebie.

— Kontaktowałeś się z policją?

— Nie! _ krzyknął. — Powiedział, że ją zabije, jeśli zobaczy policję.

Zadzwoił telefon. Pierre spojrzął na Kate. Po chwili wahania podniosła słuchawkę.

— Wyjrzyj na drogę przed domem.

Kate pomyślała, że ten zimny głos musi wydobywać się z grobu. Połączenie zostało natychmiast przerwane.

— Jest na drodze przed domem — szepnęła drżącym głosem. Zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, Pierre wybiegł z pokoju.

— Pierre! — zawołała Kate. — To może być pułapka!

Popędziła na nim. Za bramą z kutego żelaza w jasnym świetle księżyca zobaczyła samotną postać stojącą pośrodku drogi. Razem z Pier-re'em otworzyli bramę i wyszli na asfalt. Na widok Cleo zamarły w nich serca. Stała nieruchomo, trzymając w wyciągniętych rękach wielkie lustro.

— Cleo... — wyszeptał Pierre.

Zrobił dwa kroki i wtedy dziewczyna odwróciła głowę. Kate zobaczyła, że Pierre cofa się chwiejnie, i po chwili usłyszała, jak wymiotuje. Nie mogła oderwać oczu od twarzy Cleo... a raczej tego, co z niej zostało. Przez całe policzki, od oczu aż do podbródka, biegły dwie długie blizny. Nos i czoło były pokryte mnóstwem mniejszych cięć z zaschniętą krwią. Kate natychmiast się zorientowała, że nie pomoże żadna liczba operacji plastycznych, żeby przywrócić piękno, które bestialsko zniszczył nóż.

— Dali mi lusterko, żebym mogła siebie oglądać — wyszeptała Cleo ochryple. —

Powiedziałam im wszystko, ale mimo to mnie okaleczyli. Pierre, pomóż mi.

Wybacz.

Zrobiła krok do przodu. Poruszała się sztywno jak żywy trup. Wyciągała błagalnie ramiona do Pierre'a. On cofał się przed nią.

Zamarła w miejscu. Pocięte wargi zadrżały i okropny krzyk przeszył powietrze, uniesiony przez wiatr wiejący od wzgórz. Był to lament, który wstrząsnął Kate do głębi. Zło i brzydota, które ukazały się zza doskonałej fasady Bejrutu, wywołały w niej obrzydzenie.

Michael obszedł łóżko, na którym leżała naga Jasmine. Usiadł na sofie naprzeciwko niej i zapalił papierosa. Przewróciła się na bok. Głos miała cichy i drżący.

— Wreszcie mamy wszystko, czego chcieliśmy. Louis nie żyje, *zuama* także.

Miasto jest pogrążone w chaosie, a ty wkrótce zostaniesz prezydentem Libanu. — Przesunęła czerwonym paznokciem po jego stopie. — I będziemy razem.

Tak, pomyślał Michael. Tej części umowy zamierzał dotrzymać, ponieważ Jasmine była niebezpieczna. Kilka miesięcy wcześniej nabrała podejrzeń, że Tufaili nie zamierza dłużej tolerować jej wpływu na Louisa. Uknęła więc plan, żeby wyeliminować jego i Louisa. W ten sposób pozbywała się zagrożenia dla siebie w osobie tego pierwszego, a przy okazji człowieka, którym gardziła, ale który miał się stać narodową ikoną. Jako otoczona szacunkiem wdowa będzie mogła poprzeć kandydata, który niedługo potem pojawi się na miejsce jej męża.

A jednak, pomyślał Michael, nie mogłaby tego dokonać beze mnie.

Jasmine obmyśliła doskonały plan, ale nie wiedziała, kiedy najlepiej wprowadzić go w życie. O ironio, problem się rozwiązał dzięki namiętności Nabiła Tufailego do małych chłopców. Michael udał się do dwóch starców z Placu Męczenników, którzy zajmowali się handlem dziećmi. Kazał im znaleźć wyjątkowych chłopców, którym Tufaili nie będzie się w stanie oprzeć. Chłopców przywieziono do Bejrutu, nakarmiono i ubrano. Wkrótce dowiedzieli się, co mają robić. Nauczyli się poleceń na pamięć, aż mogli je recytować przez sen. Obiecano im, że zostaną odesłani do domów starych mężczyzn, których apetyty seksualne już wygasły. Będą ich towarzyszami i pomocnikami, a nie ozdobami sypialni.

Chłopcy zostali szpiegami Michaela w willi Tufailego. Ponieważ Tufaili nie dostrzegał ich poza sypialnią, nie silił się na żadne szczególne środki ostrożności w ich obecności. Kiedy dyskutował z innymi *zuama*, jego głos niósł się po całym domu. Z czasem Michael poznał wszystkie szczegóły ultimatum wobec Louisa i plany zamordowania Jasmine.

Najtrudniejsza była ostatnia część całej operacji. Michael i Jasmine nie mogli przystąpić do działania, dopóki bomba nie zostanie umieszczona w katedrze Św. Zofii. Zabójca wynajęty przez Tufailego czekał z wykonaniem zadania do dnia poprzedzającego wystąpienie Louisa. Michael miał własnych ekspertów, dwóch Palestyńczyków, absolwentów północnokoreańskiej szkoły terroryzmu. Udało mu się przemycić ich do katedry zaledwie sześć godzin przed wiecem. Palestyńczycy mieli tylko tyle czasu, by unieszkodliwić bombę, która miała zabić Jasmine, i zastąpić ją swoją, wystarczająco potężną, by zniszczyć wszystko w promieniu kilkunastu metrów, ale nie na tyle, by wyleciał w powietrze cały kościół. Palestyńczycy, pomyślał Michael, wykonali wspaniałą robotę. Będzie o nich pamiętał. Z pewnością się jeszcze przydadzą.

— Co zrobimy z Kate? Sądzę, że najłatwiej byłoby unieważnić jej dokumenty i wyrzucić z kraju.

Jasmine pogłodziła go po łydce.

— Może i tak. Ale jest lepsze wyjście.

— Co masz na myśli?

— Nie sądzisz, że Kate skwapliwie skorzysta z okazji, by pomóc pogrążonej w żalu wdowie i przyjacielowi, zwłaszcza jeśli będzie sądziła, że w ten sposób przyczynia się do większej pomyślności Libanu?

Oczy Michaela rozszerzyły się.

— Nie mówisz chyba...?

— O tak, właśnie — szepnęła Jasmine. — Kiedy jej powiemy, że zamierzasz kandydować na prezydenta, dojdzie do wniosku, że musi sprzedać kasyno, by opłacić kampanię. W swojej naiwności uzna, że nie ma się nad czym zastanawiać. Przecież pomoże wprowadzić „właściwego człowieka” do pałacu prezydenckiego. I zostanie jej jeszcze dość pieniędzy, żeby oczyścić Maritime Continental.

— Tyle pieniędzy — powiedział Michael cicho. — Szkoda ich...

— A raczej będzie myślała, że zostanie jej dość pieniędzy — poprawiła się Jasmine.

— Zadbam o to, żeby Sharif Uday nie dał jej wszystkiego od razu, tylko tyle, ile będzie potrzebne tobie. Resztę, zgodnie z umową, dostanie po wyborach.

— Których wyników może nie dożyć? Ale kto wtedy przejmie kasyno?

— Picre i ja zostaniemy jedynymi udziałowcami, a wszyscy wiemy, jakim niedobrym chłopcem jest Pierre. Nie sądzę, żeby miał jakiś pożytek ze swoich udziałów.

Michael uśmiechnął się, ale poczuł dreszcz przebiegający po plecach. Najpierw Alexander stanowił problem. Potem Armand mający

kontrolę nad kasynem i szerokie wpływy w Bejrucie. Jasmine wiedziała, że jeśli chce zapewnić Michaelowi prezydencki fotel, musi rozprawić się z Armandem. *I tak się stało.*

Później David Cabot, historia ze znaczonymi kartami, kiedy to wykorzystwała niczego nie podejrzewającego Shulmanna, potem Cleo, a wreszcie Louis i Tufaili. Michael zdusił niedopałek i odchylił się na oparcie sofy. Jasmine oplotła się wokół niego.

— To będzie takie proste — powiedziała cichym gardłowym głosem. — Nikt nie dba o Kate Maser. Po prostu zniknie bez śladu.

Pogrzeb Louisa Jabara i *zuama* przypominał defiladę wojskową. Całą trasę obstawiała policja, a w strategicznych punktach miasta rozmieszczono ciężarówki z żołnierzami. Miasto wstrzymało oddech, czekając na akty przemocy. Wyglądało jednak na to, że ze względu na zmarłych wrogie ugrupowania zapomniały o animozjach, przynajmniej tego dnia.

Kate stała nad grobem blisko Jasmine, do której kolejno podchodzili ministrowie, członkowie korpusu dyplomatycznego i przedstawiciele międzynarodowych firm, żeby złożyć kondolencje. Po pogrzebie Jasmine zbliżyła się do Kate i szepnęła:

— Musimy porozmawiać. To bardzo ważne.

Kate pomyślała, że Jasmine z godnością znosi żałobę. Zniknęła otaczająca ją chłodna rezerwa, zastąpiona przez smutek i refleksję. Kiedy zobaczyła Jasmine w zaciszu domowym, na moment poczuła się nieswojo. Potem objęła ją mocno.

— Tak mi przykro z powodu tamtego dnia — powiedziała Jasmine. — Zachowałam się okropnie. Śmierć Louisa to nie twoja wina.

— Czy policja już wie, kto to zrobił? Jasmine wzruszyła ramionami.

— Podejrzewają Palestyńczyków. Ze swoją ślepą nienawiścią są kłopotliwymi sąsiadami. Jak można porozumieć się z tak gwałtownymi ludźmi, którzy obwiniają o swoje kłopoty wszystkich oprócz siebie?

— Nie mają nic do stracenia.

— Och, Kate, Bejrut to jedna wielka zagadka. Ciągle zadaję sobie pytanie, kto mógł chcieć śmierci Louisa. Jaki miał cel? Straszne jest to, że nic nie znajduję odpowiedzi. Louis nie był błyskotliwym człowiekiem, ale kochał ten kraj, wiedział, czego mu potrzeba. Kate, zdaję sobie sprawę, że jest to również dla ciebie straszne. W innej sytuacji nie po-

ruszałabym tego tematu. Ale to miasto, cały kraj, znajduje się na skraju katastrofy. To, co się stało z Louisem, stanowi dla wszystkich ostrzeżenie. Przed chwilą powiedziałam, że kochał kraj i wiedział, czego mu potrzeba. Otóż znam innego człowieka, który myśli i czuje w ten sam sposób. Myślę, że powinien kandydować na prezydenta. — Zrobiła pauzę. — To Michael Saidi.

Kate zbladła. Złodziej i morderca głową państwa...

Jasmine uśmiechnęła się.

— Wiedziałam, że będziesz zaskoczona.

— Nie sądziłam, że Michael ma polityczne ambicje — wydusiła Kate. Zastanawiała się, jak powiedzieć Jasmine prawdę.

— Nie miał. Ale kraj potrzebuje silnego, uczciwego człowieka. Patrioty.

Kate z trudem przełknęła ślinę. Musi natychmiast powstrzymać Jasmine!

— Pamiętasz, czego uczyłaś się w szkole, Kate — mówiła dalej Jasmine. — Natura nie znosi próżni. Jeśli nie znajdziemy nikogo na miejsce Louisa, prezydentem zostanie któryś z *zuama*. Czy tego chcesz dla Libanu?

— Nie, oczywiście, że nie. — Zamierzała wyjawić sekret Michaela, ale nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. — Dlaczego mi to mówisz? — zapytała w końcu.

— Ponieważ potrzebuję twojego poparcia. W kasie Louisa nie zostało prawie nic, a bądź pewna, rodziny *zuama* nie pozostaną bezczynne. Michael będzie miał rywali. Oczywiście może ich pokonać, ale tylko wtedy, jeśli damy mu pieniądze.

— To oznaczałoby konieczność sprzedaży kasyna — stwierdziła Kate. — Nie ma innego sposobu zdobycia pieniędzy.

— Decyzja należy do ciebie, Kate — oświadczyła Jasmine. — Ale nie chodzi tylko o pieniądze. Najważniejszy jest Liban. Ja zrobię wszystko co w mojej mocy. Reszta należy do ciebie. Ale proszę, nie zwlekaj. Inni nie będą.

W tym momencie Kate wiedziała dokładnie, co musi zrobić. Pomysł wiązał się z niebezpieczeństwem. Wszystko miało zależeć od szczegółowego rozplanowania w czasie. Nie będzie drugiej szansy. I wyjaśniła Jasmine, co jej przyszło do głowy.

Następnego dnia Jasmine Fremont-Jabar zadzwoniła do wydawców największych bejruckich gazet, zapraszając ich na spotkanie w hotelu St. Georges. Zaintrygowani, stawili się wszyscy.

— Ten horror musi się skończyć — oświadczyła wdowa. — Zapłacono krwią i życiem. Mówię w imieniu wszystkich Libańczyków, dość tego.

W pewnym momencie stwierdziła, że kontrolę nad przyszłością kraju powinien przejąć wyjątkowy człowiek. I wtedy pojawił się Michael Saidi. Przez chwilę panowała cisza. Potem Jasmine wzięła w dłonie jego rękę i uniosła wysoko.

— Panie i panowie — powiedziała głosem łamiącym się z emocji. — Przedstawiam wam następnego prezydenta Republiki Libanu!

I jak magik trzymający publiczność w napięciu wyprowadziła Michaela z sali, zapowiadając, że następnego dnia odbędzie się konferencja prasowa.

Pierre uśmiechnął się bezmyślnie na widok Michaela w roli kandydata na prezydenta. Bankier stracił mnóstwo na wadze i był cieniem człowieka. Jedzenie, niegdyś wielka namiętność, budziło w nim obrzydzenie. Skóra zwisała fałdami na szyi, a w podkrążonych oczach otoczonych czerwonymi obwódkami czaił się ból. Przejrzał wreszcie wielki plan Jasmine i zrozumiał, jakim był głupcem, jak sprytnie go wykorzystwała. Od tej przerażającej chwili przed domem Kate świat Pierre'a skurczył się do szpitalnego pokoju. Mieszkał i spał obok sali Cleo i chodził do domu tylko po to, żeby się wykąpać i przebrać. Nie potrafiły go stamtąd ruszyć żadne perswazje ani nawet pesymistyczne rokowania chirurgów plastycznych, specjalistów sprowadzonych ze Stanów Zjednoczonych, którzy powiedzieli mu, że medycyna nie jest w stanie przywrócić Cleo urody. Po wielu operacjach i długim czasie blizny zmniejszą się, ale nigdy nie znikną.

Pierre spędził wiele nocy obserwując śpiącą Cleo. Przesuwał dłońmi po jej ramionach, żeby czuła, że nie jest sama, i dotykał sztywnego płótna krepujących ją pasów. Drugiego dnia pobytu w szpitalu Cleo stłukła szklanę z wodą. Pierre ledwo zdążył chwycić jej rękę, zanim wbiła odłamek w nadgarstek.

Większość dnia przesiadywał przy jej łóżku. Lekarze nie pozwalali, by mówiła, i dawali jej silne środki uspokajające. Pierre za to mówił do niej przez cały czas, przekonany, że go słyszy. Jej twarz już go teraz nic przerażała. Wpatrywał się w nią tak długo, że zapamiętał najmniejszą ryse i bliznę. Uważał, że nadal jest bardzo piękna, i kiedy powtarzał, że ją kocha, słowa te po raz pierwszy nic wynikały ze strachu, że ona go rzuci, lecz z czystej miłości.

W miarę jak mijały dni, Pierre uświadomił sobie, że Cleo należy do niego na zawsze. Od dnia, kiedy ją poznał, zadreślał się, że pewnego dnia zniknie z jego życia. Teraz przestał cierpieć męki. Świat był taki okrutny i kapryśny, podobnie jak Cleo. Wielbił piękno i młodość, ale odtrącał bogów i boginie, kiedy dotykał ich los. Nie, świat już nigdy

O nią się nie upomni, lecz będzie jej unikał, zmusi do ukrywania się przez resztę życia za woalką.

I dlatego już na zawsze będzie do mnie należała. Tylko ja będę ją kochał jak do tej pory. Nigdy jej nie opuszczę, a ona nigdy mnie nie zostawi. Już nie ma nade mną władzy.

Wiedział, kto jest za to odpowiedzialny. Początkowo życzył Jasmine okropnej śmierci. Mimo bólu zrozumiał jednak, dlaczego posunęła się do tak odrażającego czynu. Jasmine nigdy mu nie ufała. Nigdy nie ryzykowała, zwłaszcza tego że Katherine Maser w jakiś sposób wydusi z niego prawdę o tym, co się stało z jej ojcem. Tak więc porwała Cleo

I torturowała ją, dowiedziała się od niej, jak blisko był załamania.

Zresztą tak musiało się stać, pomyślał ze smutkiem. Cleo stała się ofiarą, by on uświadomił sobie, że ci, którzy ją oszpecili, mogli również odebrać mu ją na zawsze. O tak, sekrety są bezpieczne w rękach tych, którzy je doceniają i rozumieją, ale płacą za nie ci, którzy nie znając ich mocy, dali się skusić. Ale nikt już nie skrzywdzi Cleo. Jest z nim teraz związana na wieczność.

Armand Fremont siedział z opatem Johnem w jego celi w monasterze Zakonu Trzeciego Krzyża. Poprzedniego dnia wstrząśnięty słuchał przemówienia Jasmine nadawanego przez radio. Jeszcze bardziej był zdruzgotany, kiedy tej samej nocy do monastynu przyjechała Kate i powiedziała mu, co zamierza zrobić.

— To szaleństwo! — wykrzyknął. — Nie pozwolę ci podejmować takiego ryzyka!
— Nie mamy wyboru! — odparła Kate porywczo. — Już nigdy nie będzie podobnej okazji.

Sprzeczali się przez kilka godzin, ale Armandowi nie udało się wymyślić nic lepszego. W końcu skapitulował. Razem z opatem, który spełnił rolę adwokata diabła, opracowali szczegóły.

— Moja kochana, bądź bardzo ostrożna — błagał Armand, kiedy Kate zbierała się do odejścia.

— Wiesz, że będę — odparła, całując go mocno. — Gdziekolwiek pójde, będziesz przy mnie.

Armand otrząsnął się z zamyślenia i spojrzął na opata.

— Nie ma wątpliwości — stwierdził opat z przekonaniem w głosie. — Michael Saidi jest szefem handlu opium w dolinie Bekaa. — Skinął na dwóch mnichów, którzy stali obok niego. — Wysłuchaj ich.

Pierwszy mnich opowiedział, że podczas pobytu w Bekaa spotkał farmerów, którzy późno wieczorem po kolacji i wielu szklankach araku zdradzili się, ile dostają za trującą żywicę pewnej kleistej rośliny i kto im płaci.

Drugi brat, który pełnił obowiązki duszpasterza dla marynarzy i robotników portowych w dokach, poinformował ich o ogromnych ilościach broni wyładowywanej każdego dnia i nocy z frachtowców pływających pod kilkunastoma różnymi banderami. Mówił o wielkich sumach pieniędzy przechodzących z ręki do ręki, kwotach, które w końcu, według robotników, trafiają do kieszeni tajemniczego młodego mężczyzny, bezlitosnego mordercy. Jego nazwisko wymawiano jedynie szeptem.

— Jak coś takiego mogło się dzieć bez mojej wiedzy? — spytał Armand ze zdziwieniem. Już nie odczuwał gniewu i oburzenia. Jego serce przepełniał żal i wyrzuty sumienia.

— Człowiek odpowiedzialny za to jest chytry jak lis — odparł opat. — Panuje nad własną próżnością i dumą, działając w cieniu, dopóki...

— Dopóki nie stanie się tak silny, żeby się ujawnić! — szepnął Armand. — Kiedy legalnie zdobędzie władzę, wykorzysta chaos, do którego doprowadził, żeby zniewolić, uciszyć lub zniszczyć przeciwników...

— O, mój Boże!

Nagle Armand drgnął jak rażony prądem. *Jasmine...*

Tak, to musi być ona! Przez cały czas był przekonany, że działającym w ukryciu marionetkarzem jest mężczyzna. Nigdy nie wziął pod uwagę, że to może być kobieta.

Jasmine, która wykorzystwała, a potem pozbyła się Louisa; która kazała zabić swoich przeciwników, *zuama*, zniszczyła współnika, Pier-re'a. A wszystko po to, żeby zrobić miejsce dla swojego wybranka, Michaela Saidiego. Przygotowała go do dnia, kiedy będzie mógł się pokazać światu.

Armand powoli odwrócił się do opata. Z jego oczu wyglądał strach.

— Katc... — szepnął. — Kate jest z nią sama. — Usłyszał, jak dzwony monastynu wybijają północ. Konferencję prasową zaplanowa-

no na ósmą rano. Było za późno, żeby ostrzec Kate. Prawdopodobnie razem z Jasmine nadal pracuje nad szczegółami oświadczenia. Gdyby posłano do niej któregoś z braci, a Jasmine by go zobaczyła...

— Wszystko jest teraz w rękach Boga — powiedział opat spokojnie, czytając w myślach Armanda. — Została nam tylko wiara.

Bejrucki Klub Prasy Krajowej był imponującym budynkiem mieszczącym się w centrum miasta.

— To ulubione miejsce wszystkich reporterów pracujących na Bliskim Wschodzie — oznajmiła Jasmine. — Miałś świetny pomysł! Po tym ochłapie, który im rzuciłam w St. Georges, mamy zagwarantowaną międzynarodową publiczność. Kate zgodziła się milcząco, ale z powodów, o których Jasmine nie miała pojęcia. Nie powiedziała jej o Michaelu ani o tym, co zamierza zrobić. Czowała się źle z tego powodu, ale wysoka stawka, o którą grała, wymagała niezwyklej ostrożności. Wiedziała, że Jasmine będzie zdruzgotana, ale miała nadzieję, że zrozumie, kiedy jej później wszystko wyjaśni.

Jeśli chodzi o wybór miejsca, Kate uznała, że klub prasy najlepiej spełnia jej wymagania. Jego położenie, na wprost pałacu prezydenckiego, dodawało szczypty pikanterii.

O siódmej główny hol z setkami krzeseł i dużym podium był pełen reporterów, kamer i dźwiękowców. Kilka minut przed rozpoczęciem konferencji Kate kazała ustawić rzutnik na stoliku obok podium. Zapytana o to przez Jasmine, odpowiedziała:

— Niespodzianka.

Punktualnie o ósmej Michael Saidi ubrany w szyty na miarę niebieski garnitur i czerwono-biały krawat wszedł na podwyższenie. W sali zapanowała cisza.

— Przyjaciele — powiedział — stoję dzisiaj przed wami, ponieważ kraj jest na krawędzi chaosu. Napięcia wewnętrzne grożą bratobójczą wojną. Nie można do niej dopuścić. W ostatnich dniach Liban utracił wielu dobrych i sprawiedliwych obywateli. Niektórych, jak naszego drogiego Louisa Jabara, nie da się zastąpić. Niemniej jednak ich dzieło trzeba kontynuować. Dlatego z pokorą wysuwam swoją kandydaturę na prezydenta naszego wspaniałego kraju!

Dziennikarze jeden przez drugiego zaczęli wykrzykiwać pytania. Michael umiejętnie radził sobie z tłumem. Począł, aż wrzawa ucichnie, i odpowiedział kolejno na pytania najbardziej wpływowych reporterów. Po pół godzinie uniósł w górę ręce, prosząc o ciszę.

— Chciałbym teraz przedstawić dwie osoby, które przekonały mnie, że bym zdecydował się na ten krok, i bez których poparcia nic nie byłoby możliwe. Pokazał na pierwszy rząd. Jasmine wstała i podeszła do podium. Kate z bijącym sercem ruszyła za nią. Stała obok niej i wysłuchiwała krótkiego przemówienia, uśmiechając się z przymusem. Kiedy przyszła jej kolej, pochyliła się do mikrofonu i powiedziała:

— Czasami obraz jest wart tyle co tysiąc słów.

Nie zważając na zdziwione spojrzenia publiczności, podeszła do rzutnika. Wcisnęła guzik i na ścianie ukazało się gigantyczne zdjęcie Michaela.

— Oto człowiek znany jako Michael Saidi — oznajmiła donośnym głosem. — Dotknęła inny przycisk i obecni ujrzeli powiększenie fotografii, którą Prudence Templeton zrobiła ukradkiem swojemu kochankowi na Washington Square. — A to jest Michael Samson, defraudant i morderca! Panie i panowie, to ten sam człowiek! Przez chwilę panowała kompletna cisza. Setki oczu analizowały oba zdjęcia. Potem dziennikarze przesunęli wzrok na Michaela.

— To nedorzecznosc!

Kate spojrzała na Michaela. Jego twarz była pozbawiona koloru. Desperacko próbował odzyskać zimną krew.

_ Nie! — powiedziała Kate do mikrofonu. — To jest prawda!

— Najwyraźniej zaszło tutaj nieporozumienie... — próbował przekonywać Michael. — Nie!

Wszyscy obejrżeli się do tyłu, skąd dobiegł głos. Na widok Armanda Fremonta, który eskortowany przez Salima szedł z wyraźnym wysiłkiem w stronę podium, dziennikarzom zapało dech.

— To nie możesz być ty! — krzyknął Michael. — Ty nie żyjesz?

— Bo tak zaplanowałeś? Jak widzisz, nie tak łatwo mnie zabić. — Armand zbliżał się nieubłaganie do Michaela. — Powiedz mi, dlaczego okradłeś Maritime Continental Bank, wykorzystałeś Prudence Templeton?

Michael pochylił się nad pulpitem i rzucił wyzywającym tonem:

— Nie wiem, o czym mówisz? Jesteś szalony!

— To była część wielkiego planu, prawda? Planu obmyślonego przez ciebie... —
Zrobił pauzę. — I przez twoją współpracowniczkę!

Wyciągnął rękę, wskazując palcem na Jasmine. Wstrząśnięta Kate zobaczyła
drwiący uśmiech na jej ustach.

— Mój ojciec... — szepnęła Kate. — To do ciebie przybiegł Pierre, kiedy mój ojciec
zagroził, że go zdemaskuje! Kazałaś zaaranżować śmiertelny wypadek, a potem
poleciałaś zabić brytyjskiego bankiera, kiedy David Cabot trafił na jego ślad.

Armand wiedział, że ktoś stoi za Pierre'em, ale nie przyszło mu do głowy, że to
może być kobieta. — Była tak przejęta, że nie zauważyła, jak Michael wycofuje się
chyłkiem z podium.

— To nie wszystko — dorzucił Armand, patrząc na dziennikarzy, którzy z zapalem
robili notatki. — Celem Michaela Saidiego były nie tylko pieniądze, dzięki którym
rozwinął handel żywym towarem i narkotykami.

Ta rewelacja wywołała okrzyki wśród przedstawicieli prasy.

— On i Jasmine zapewne sądzili, że jeśli doprowadzą Maritime Continental na skraj
bankructwa, ruszę bankowi z pomocą. Musiałbym w tym celu sprzedać kasyno. A
kto by na tym skorzystał? Pierre Fremont, defraudant!

Reporterzy chłonęli każde słowo.

— Wyeliminowałem go jednak jako współnika. Tak więc została tylko Jasmine.
Jasmine odrzuciła głowę i roześmiała się.

— To czysta fantazja. Nie masz dowodu! Nie możesz mi nic zrobić.

— Michael! — krzyknął Armand.

Kate obejrzała się i zobaczyła, jak Michael znika za kurtyną.

— Policja jest wszędzie! — zawołał za nim Armand. — Nie uciekniesz.

W tej chwili rozległ się głośny wystrzał.

W Bejrucie żałoba przyjmuje wiele form, ale nigdy nie przeszkadza w interesach.

Rodziny i bliscy przyjaciele zamordowanych *zuama* nie przepuścili ani sekundy
spektaklu, który rozegrał się w Klubie Prasy Krajowej. Szybko zwołano narady.

Niezależnie od tego, czy rewelacje Fremonta miały okazać się prawdziwe czy
wyssane z palca, Michael Saidi był skończony jako polityk. A razem z nim Jasmine
Fremont, która /brukowała wdowi strój. Znowu powstała próżnia i tym razem mu-

siał ją zapełnić jeden z nich. Przy herbacie i Chivas Regal zawarto porozumienie i uzgodniono kandydatury.

Nowe pokolenie *zuama* wydało westchnienie ulgi. Mieli teraz pewność, że odzyskają władzę nad krajem i uporają się z anarchią. Zapanuje spokój. Wszystko się zmieni, a zarazem nic się nie zmieni. I tak powinno być.

— Jakim cudem mógł uciec? — pieklił się Armand.

Nieszczęsny szef bejruckiej policji był zdenerwowany. Nie miał pojęcia, co powiedzieć człowiekowi, którego uważano za zmarłego, a który parę godzin temu pojawił się w drzwiach. Historia, którą mu opowiedział, brzmiała niewiarygodnie. Ponieważ jednak szef policji doskonale znał Bejrut, wysłuchał uważnie Armanda Fremonta i postąpił dokładnie według jego wskazówek.

Skoro potrafił zmartwychwstać, do czego jeszcze jest zdolny? zastanawiał się policjant, ukradkiem robiąc znak, który strzegł przed urokiem.

— Postąpiłem tak, jak pan sugerował — oświadczył. — Wszystkie wyjścia były obstawione. Nikt nie przewidział, że pan Saidi będzie uzbrojony.

— Albo że pańscy ludzie nie potrafią trafić do celu! — odparował Armand.

Opadł na miękką skórzaną sofę w gabinecie kierownika klubu prasy. W prawej połowie ciała czuł ogień. Skóra lepiała się od potu, a w głowie mu dudniło.

— Dość! — powiedziała Kate ostro. — Chcemy zostać sami. Policjanci zawahali się, a następnie wyszli rządkiem z pokoju. Kate podeszła do Armanda i podała mu szklanekę zimnej wody.

— Znajdą go — powiedziała uspokajająco. — Jego zdjęcie pokazano w telewizji. Nie uda mu się uciec.

— Uda mu się! Nie doceniasz tego człowieka!

— Gdyby tylko Jasmine nam pomogła! — rzuciła zmartwiona Kate.

— Nie powie ani słowa.

Aresztowana Jasmine odmówiła zeznań. Dobrze wiedziała, że Armand może sobie wysuwać oskarżenia, dopóki nie ma żadnych dowodów. Wkrótce zjawi się adwokat i zażąda, żeby przedstawiono zarzuty albo ją zwolniono.

— Jest jeszcze jedna osoba, która może wiedzieć, gdzie zniknął Michael — stwierdziła Kate.

Kiedy wymieniła nazwisko, Armand skinął głową.

— To możliwe.

— To nasza jedyna nadzieja — powiedziała Kate.

— Najpierw musimy coś zrobić.

Po wyrazie smutku w jego oczach Kate domyśliła się, o co chodzi.

— Musisz, Armandzie? Po tym wszystkim, co się stało, jeszcze przez to musisz przejść?

— Właśnie dlatego. — Armand spojrzał na nią czule. — Już po wszystkim, Kate. Mamy to za sobą.

— To niezgodne z prawem, panie Fremont — oświadczył Sharif Uday, utkwivszy nieruchome spojrzenie czarnych oczu w Kate i Armandzie.

— Nie, jeśli chce pan kupić Casino de Paradis — odparł Armand. Chociaż dochodziło południe, przedstawiciel sułtana Brunei był owinięty w obszerny jedwabny szlafrok, zakrywający mu nawet stopy. Za nim stali kręgiem londyńscy prawnicy, którzy sporządzili akt kupna Casino de Paradis.

— A co z panią Fremont-Jabar? — zapytał Uday.

— W tych okolicznościach jej obecność nie jest wymagana — powiedział Armand stanowczo.

Uday nie był tego taki pewien. Od wielu godzin starał się skontaktować z Jasmine. Dowiedział się, że policja ją zwolniła, ale nikt nie odbierał telefonów w żadnej z jej rezydencji.

— Może powinniśmy poczekać — zasugerował Uday. — Mimo wszystko...

— A może pański mocodawca nie jest poważnie zainteresowany kupnem kasyna — odparował Armand. — Dokumenty są w porządku. Pańscy prawnicy są tutaj. Możemy szybko sfinalizować interes.

Uday sondował wzrokiem człowieka, który zmartwychwstał. W chwili gdy zobaczył Armanda Fremonta żywego, nabrał przekonania, że nigdy nie dojdzie do sprzedaży. Jednym posunięciem Fremont uczynił z siebie legendę. Mógł albo sam przejąć władzę w Bejrucie albo odgrywać rolę szarej eminencji. Mimo to abdykował.

Uday przekazał swoje zastrzeżenia sułtanowi. Odpowiedź była jednoznaczna: zawrzeć umowę jak najszybciej, póki jest jeszcze okazja.

— Dobrze, panie Fremont — powiedział Uday, podsuwając mu plik dokumentów. Czterdzieści minut później Armand złożył podpis na ostatniej stronie.

— SBM jest teraz spółką akcyjną — oświadczył. Przedstawiciel sułtana umieścił swój podpis na drugim dokumencie.

— Jego Ekscelencja zgadza się kupić wszystkie udziały po sześćdziesiąt dolarów za jeden. Pieniądze zostaną przelane niezwłocznie.

Przez następne pół godziny Armand i Sharif Uday, z pomocą prawników, przekopywali się przez ostatni najgrubszy plik dokumentów. Gdy skończyli, jeden z adwokatów postawił przed Armandem telefon.

— Cześć, Emilu.

Głos Bartolego brzmiał spokojnie w słuchawce, jakby rozmowa ze zmarłym była dla niego czymś normalnym.

— Pieniądze zostały przelane i są teraz na twoim koncie.

— Dziękuję. Wiesz, co robić. Wkrótce się z tobą skontaktuję. Armand wstał. Ponad stołem uścisnęli sobie z Udayem dłonie.

— Nie odczuwa pan żalu, panie Fremont? — zapytał niedbale Uday.

— Potrafię z tym żyć.

— Cześć, Pierre. Możemy wejść?

Pierre zamrugał oczami. Stał w drzwiach swojego domu, ubrany w trzyczęściowy garnitur, odprasowaną białą koszulę, bladożółty krawat i lśniące buty z szerokimi noskami, jakby wybierał się do pracy. Spojrzał na Armanda i Kate. W jego szklanych oczach nie pojawiło się nawet zdziwienie. Uśmiechnął się tępo.

— Tak... oczywiście.

Elegancki dom cuchnął stęchlizną, pogrążony w półmroku. Wszystkie żaluzje były zasunięte. Panowała cisza. Kate zadrżała.

— Mogę zajrzeć do Cleo? — zapytała.

Pierre zawahał się, ale zaprowadził ją do sypialni. Ten pokój był skąpany w słońcu. Otwarte drzwi balkonowe wychodziły na ogród pełen kwiatów. Cleo spała.

Pokierszowana twarz odcinała się na tle białej poduszki. Armand zbladł i odwrócił wzrok.

— Jak mogłeś do tego dopuścić, Pierre? — wyszeptał. — Michael i Jasmine zniszczyli Liban, podobnie jak zniszczyli Cleo.

Pierre delikatnie zamknął drzwi. Poczłapał do fotela, wokół którego leżały rozrzucone gazety, czasopisma i puste opakowania.

Z odłożonej na stół słuchawki wydobywało się ciche brzęczenie. Kate zamierzała ją odwieść na miejsce.

— Nie! — zaprotestował ostro Pierre. — Bez przerwy dzwonią z gazet. Boję się, że obudzą Cleo.

Usiadł w skórzanym fotelu z wysokim oparciem na wprost Armanda i Kate, jakby mieli odbyć nad nim sąd.

— Więc przyłapaliście Michaela — mruknął. — Widziałem wszystko w telewizji. Zawsze byłeś bystry, Armandzie. Ale nigdy go nie dostaniecie.

— Dostaniemy, jeśli nam pomożesz — powiedziała Kate. Pierre milczał przez dłuższy czas, wpatrując się w przestrzeń. Od czasu do czasu nerwowy tik wykrzywił mu usta.

— Wszystko zaczęło się od twojego ojca — odezwał się w końcu.

— Gdyby nie on, może nic by się nie wydarzyło. Kate zamknęła oczy.

— Mój ojciec...

— A może to miłość — kontynuował Pierre, jakby jej nie usłyszał.

— Tak, myślę, że to było coś, czego twój ojciec nie mógł pojąć. Nikt na świecie nie rozumiał, co znaczy dla mnie Cleo. Patrzyli na mnie i myśleli: „nie ma większego głupca od starego głupca”. Ale ja robiłem to, co musiałem, żeby uszczęśliwić Cleo. Gdyby po prostu zostawiono nas w spokoju, wszystko byłoby dobrze. — Pierre umilkł i przez kilka minut siedział bez ruchu z głową przechyloną jak ptak. Potem nagle zapytał: — Rozumiesz Kate, że nie miałem wyboru? Alexander zamierzał mi wszystko zabrać. Nie mogłem mu na to pozwolić. Poszedłem więc do Jasmine, która obiecała, że się tym zajmie. Skontaktowała się z handlarzem win, wszystko zorganizowała.

Kate przypomniała sobie, co Armand powiedział o zabójcy, który zastrzelił Davida Cabota i omal jego nie pozbawił życia. Opat nazywał go Bachusem. Bóg wina!

— Pierre — powiedziała, starannie ważąc słowa. — Zleciłeś Bachusowi zabicie Armanda?

— O nie! — zaprotestował Pierre. — To był pomysł Jasmine. Miała znacznie większe ambicje...

Serce tłukło się jej boleśnie w piersiach, kiedy spytała:

— Wiesz, gdzie Jasmine mogłaby się schronić z Michaeliem? Pierre uśmiechnął się sennie.

— Szczególnie lubię pewien wers z Księgi Przysłów: „Jest plemię o zębach jak miecze...” Oni jednak widzą się inaczej. Uważają siebie za nowe wcielenie władców Tyru, do których Salomon wysłał emisariuszy po cedry na świątynię w Jerozolimie. To beznadziejne, pomyślała Kate. Pierre lawirował między fantazją a rzeczywistością jak cyrkowiec na linie. Poczwała, że ktoś ciągnie ją za rękaw, podchwyciła porozumiewawcze spojrzenie Armanda.

— Muszę zajrzeć do Cleo — powiedział Pierre. — Muszę się nią teraz opiekować. Zawsze się nią opiekowałem.

Zdziwiła go cisza. Rozejrzał się i dopiero po chwili zauważył, że jest sam.

Poszedł do pokoju Cleo i usiadł na krześle obok łóżka. Nadal spała. Zaczął jej coś cicho nucić jak ojciec śpiewający kołysankę. Przesunął palcami po bliznach na twarzy, czując bolesny skurcz w sercu, kiedy napotkał szorstką, twardą skórę.

Z oczu Pierre'a zniknęła czułość i troska. Nie zdejmując wzroku z Cleo, sięgnął po telefon i wykręcił numer centrali międzynarodowej. Kilka minut później rozmawiał z Gibraltarem, zamawiając bardzo rzadki, bardzo drogi gatunek wina.

Gdy wyszli na ulicę, Kate zauważyła, że dzieje się coś niedobrego. Armand chwycił się za prawy bok i jęknął z bólu. Zarzuciła sobie jego ramię na plecy i zaprowadziła do samochodu. Salim wyskoczył i pomógł jej usadowić Armanda na tylnym siedzeniu. Kate zdjęła mu marynarkę i cofnęła się na widok przesiąkniętej krwią koszuli.

— Szwy się rozeszły — zawołała. — Musimy go zawieźć do szpitala.

Salim wskoczył za kierownicę, a Kate próbowała zatamować krwawienie.

— Wszystko będzie dobrze, kochanie — powtarzała szeptem. Armand zacisnął zęby, kiedy ciężki samochód przechylał się na zakrętach.

— Musisz powiedzieć policji — wysapał. — Michael... Michael jest w Mouchtarze! Kate spojrzała na niego zaintrygowana.

— Ale skąd...? — I w tym momencie zrozumiała. Pierre wspomniał o cedrach. Armandowi to wystarczyło.

Położyła sobie jego głowę na kolanach, starając się ukoić ból. Przez cały czas myślała gorączkowo? Policja? Nie, mieli szansę, ale pokpili sprawę. Nie mogła liczyć na to, że złapią Michaela. Był zbyt sprytny. Ale jeśli nikt nic nie zrobi, on zniknie... i wróci pewnego dnia, by znowu mordować i siać zniszczenie!

Kate przysięgła sobie, że nigdy do tego nie dopuści.

Gdy dotarli do szpitala, Salim wbiegł do środka, żeby sprowadzić pomoc. Po chwili Armand już leżał na wózku.

— Stracił dużo krwi i doznał szoku — stwierdził jeden z lekarzy. Ale wyjdzie z tego!

Doktor spojrział na nią przez ramię.

— Przywiozła go pani w samą porę — zapewnił.

Kate ruszyła za nimi do środka, ale po chwili zatrzymała się. *Przysięgłaś, że nie pozwolisz uciec Michaelowi!* Modląc się, żeby Armand jej wybaczył, wróciła biegiem do samochodu.

— Musisz mnie zawieźć na lotnisko! Salim zawahał się, patrząc uważnie na Kate.

— Robi to pani dla niego? — zapytał.

— Dla nas wszystkich.

Skinął głową i uruchomił samochód. Gdy wyjechali za bramę szpitala, Kate sięgnęła po radiotelefon i wezwała pilota Armanda, każąc mu przygotować helikopter do startu.

Drżąc, odchyliła głowę na oparcie. We wstecznym lusterku pochwyciła spojrzenie Salima, który przyglądał się jej bacznie. Kiedy dotarli na lotnisko i podjechali do czekającego helikoptera, Salim odwrócił się do niej.

— Przyda się to pani.

W milczeniu wsunął pistolet do torby Kate. Mouchtara... Miejsce Wybrane.

Helikopter kierował się w stronę Tyru. Otaczająca ich cisza i chłodny wiatr wiejący od gór Shouf wywoływał w Kate dreszcze. Starła się odpędzić strach, ale nie potrafiła zapomnieć, że jest zdana na samą siebie...

W oknach nie paliło się żadne światło. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego.

Fontanny na głównym dziedzińcu były zarośnięte zielskiem, a kolorowe mozaiki popękane. Posągi lwów i ogierów leżały roztrzaskane obok piedestałów. Winorośl i bluszcz zasłoniły mury, wrastając w zaprawę i szczeliny.

Kate podeszła do ciężkich frontowych drzwi i pchnęła je. Zobaczyła klatkę schodową w kształcie podkowy. Marmurowe stopnie były zniszczone, niektórych brakowało. Kurz, liście i gruz zaśmiecały kamienną podłogę, z której wyrastały chwasty. Kate podniosła wzrok i zobaczyła sowę spoglądającą na nią z góry z łaskawą obojętnością.

Zrozumiała teraz, dlaczego jej ojciec niemal nigdy nie mówił o Mouchtarze.

Należała do innego czasu, innego świata. Pewnym rzeczom nie dane jest przetrwać. Mouchtara do nich należała.

Kate przeszła cicho przez pokoje. Co chwila natykała się na ślady, że ktoś tutaj mieszkał. Wszędzie wały się puste puszkę po konserwach, butelki i odpadki. I ubrania... Kate pochyliła się i podniosła zniszczony sweter, który mógł należeć do dziesięciolatka.

Kiedy wyszła do ogrodzonego murem zapuszczonego ogrodu, usłyszała cichy głos.
— Więc znalazłaś mnie, sprytna Kate.

Obejrzała się i zobaczyła Michaela w tym samym garniturze, w którym wystąpił na konferencji prasowej. Jediną różnicę stanowił pistolet trzymany w dłoni.

— Nie, to nie ty, Kate — stwierdził Michael w zamyśleniu. — To Armand mnie wytropił, prawda? A przy okazji, co się z nim stało? Nie widziałem, żeby wysiadł z helikoptera.

Kate zaschło w ustach.

— Armand jest w szpitalu. Rany mu się otworzyły — udało się jej wydusić z siebie.

— Więc przyjechałaś tutaj sama.

— Tak, Michaelu.

— W takim razie jesteś albo bardzo odważna, albo bardzo głupia.

Nawet z pistoletem w torebce. — Roześmiał się. — W porządku. Zostaw go tam, gdzie jest. I tak nie zdążysz go wyjąć. — Ruszył w jej stronę, ale zatrzymał się na wyciągnięcie ręki. — Mogło być nam razem cudownie, Kate — powiedział cicho.

— Pomyślałaś o tym?

— Nie, nigdy.

— Więc powiedz mi, dlaczego przyjechałaś? Kate spojrzała na niego spokojnie.

— Musiałam zobaczyć cię po raz ostatni. Zapytać, dlaczego wyrzuciłeś tyle zła ludziom, którzy ci nic nie zrobili.

— Ponieważ taki jest świat, Kate — odparł Michael. — Wszyscy jesteśmy drapieżcami albo ofiarami. Nie należę do tych ostatnich. Naprawdę myślałaś, że przychodząc tutaj, skłonisz mnie do poddania się?

— Nie, nigdy tak nie pomyślałam. Chciałam tylko spojrzeć ci w twarz.

— A pistolet?

— Dla obrony.

Michael popatrzył na nią uważnie i zrobił krok do przodu.

— Nie, gdybyś zamierzała mnie zabić, nie przyszłabyś tak otwarcie. A jeśli czekasz na pomoc, to wiedz, że zniknę na długo przed jej przybyciem. — Rzucił jej olśniewający uśmiech. — Pewnie się zastanawiasz, co tutaj robię. — Wskazał na dwie walizki stojące w miejscu, gdzie kiedyś były drzwi balkonowe. — To moje zabezpieczenie. Przez lata ukrywałem tutaj fortunę. Twój ojciec uznałby to za zabawne. Fortuna w złotych monetach, Kate. Najlepsza waluta na świecie. Myślisz, że twoje małe przedstawienie w klubie prasy zniszczyło mnie? Nie, Ka-

te. To tylko drobne niepowodzenie. Narkotyki, dzieci, a teraz broń, wszystko nadal będzie przechodziło przez moje ręce. — Uśmiechnął się znowu. — A zresztą, co mogłabyś mi udowodnić? Prudence Templeton nie żyje. Była jedynym świadkiem, ale nawet jej zeznania opierałyby się na spekulacjach i domysłach. A w Libanie nikt nie może mi zarzucić nielegalnych działań.

— Chyba że Jasmine cię obciąży — przypomniała mu Kate. Michael prychnął i odwrócił się na sekundę.

— To śmieszne! Jasmine nie odważy się zeznawać przeciwko mnie. Tkwi w tym po uszy... — Spojrzał na nią w chwili, kiedy wyciągała pistolet. — Och, Kate, Kate — powiedział miękko. — Myślałaś, że odwrócę się do ciebie plecami. Tylko cię sprawdzałem. Zawiodłaś mnie. Jakie to smutne. Schowaj broń z powrotem, a torebkę postaw na podłodze.

Kate wytrzymała jego spojrzenie.

— Nie, Michaelu. To już koniec. Może nie zdążę strzelić, ale... Michael przesunął wzrok z jej twarzy na opuszczoną dłoń z pistoletem i pociągnął za spust.

Huk wystrzału rozdarł ciszę. Kate upadła. Nie wiedziała, czy została trafiona, czy też odruchowo rzuciła się na ziemię. Kiedy uniosła głowę, zobaczyła leżącego przed nią w kałuży krwi Michaela.

— Nie potrafilibyśmy wyjaśnić twojej śmierci. Zważywszy na to, co się stało na konferencji prasowej, byłibyśmy głównymi podejrzanymi. Naprawdę bym tego nie chciała.

Kate wstała chwiejnie.

— Jak tutaj trafiłaś?

Jasmine opuściła pistolet i roześmiała się.

— Było niewiele miejsc, do których Michael mógł uciec. Nie mógł udać się do żadnej z kryjówek w Bejrucie ani opuścić kraju bez grosza przy duszy. Pozostawała Mouchtara, chociaż prawdę mówiąc nie miałam pojęcia, że tyle tutaj zachomikował.

— Zrobiła pauzę. — Wiedziałam również, że ty albo Armand domyślicie się, dokąd uciekł, i jedno z was przyjedzie tutaj. A wtedy Michael was zabije. — Jasmine spojrzała w zamyśleniu na Kate. — Wzięłaś ze sobą pistolet. Użyłabyś go?

Kate nie wahała się.

— Gdybym musiała. Jasmine wzruszyła ramionami.

— Już po wszystkim, Kate. Dla ciebie i Armanda. Słyszałam o sprzedaży kasyna. Zdaje się, że dostanę niezły grosz za moje udziały.

Wierzę, że Armand okaże się dżentelmenem. Bądźcie ze sobą szczęśliwi. I tak można wam pozazdrościć losu.

Jasmine zrobiła ruch pistoletem i Kate cofnęła się, potykając o ciało Michaela. Drgnęła i spojrzała w dół. Kiedy uniosła głowę, Jasmine już nie było. Zniknęła razem z łupem Michaela.

Epilog

W przeciwieństwie do ceniących blichtr kuzynów w Monte Carlo i St. Tropez mieszkańcy Villefranche na francuskim wybrzeżu Morza Śródziemnego zazdrośnie strzegli swojej prywatności i uparcie trzymali się starych zwyczajów. Wioska z jedną brukowaną ulicą biegnącą wzdłuż doków i starych domów, w których całe piętra zajmowały odnowione apartamenty, nie zmieniła się od lat. Na parterze mieścił się rzeźnik, piekarnia i kiosk, gdzie Kate codziennie rano odbierała gazety. Do wynajętej willi z widokiem na morze usadowionej na wzgórzach prowadziło dokładnie sto czterdzieści jeden stopni wykutych w skale.

Kate położyła gazety na stoliku na patio, gdzie razem z Armandem jadal śniadania. Zagraniczne wydania były spóźnione o dzień, ale to nie miało znaczenia.

Poszła cicho do sypialni. Armand jeszcze spał. Przystanąła na chwilę, kiedy zobaczyła blizny na jego ciele. Na ich widok wciąż budził się w niej gniew. Czasami tłumaczyła sobie, że to niewielka cena za jego życie. Lecz blizny przypominały jej o tylu innych rzeczach. Znienawidzonych rzeczach, które nadal prześladowały ją w snach. Wiedziała, że blizny nie znikną, a nocne koszmary nie ustąpią, dopóki ona i Armand naprawdę nie zostawią za sobą dawnego życia.

Odgarnęła mu włosy. Zamknęła oczy, czując jego ciepło. Czasami bała się swojej miłości. Nie mogła sobie wyobrazić życia bez niego. Może jednak właśnie to czyniło ją tak szczęśliwą, a każdą minutę spędzoną razem zmieniało w wieczność. Przesunęła dłonią po jego piersi i brzuchu. Armand zamruczał i otworzył oczy. Uśmiechnął się i otoczył ją ramionami.

— Nie — szepnęła Kate. — Teraz moja kolej...

Zjedli późne śniadanie i nie chcąc psuć sobie nastroju, nie zajrzeli do gazet. Przeczytali je dopiero później.

— Gwardia narodowa otoczyła dzielnice Palestyńczyków — stwierdziła Kate — ale walki nasilają się i przenoszą do innych części miasta. Jabal kurczowo trzyma się władzy.

— Już niedługo — skomentował Armand.

Po tajemniczej śmierci Michaela Saidiego i zniknięciu Jasmine Amil Baruk, syn zamordowanego chrześcijańskiego *zuama*, został prezydentem Libanu. Lecz luźna koalicja wpływowych rodzin, która poparła jego kandydaturę, rozpadła się z powodu podejrzliwości, prawdziwych lub urojonych afrontów i wszechobecnej chciwości. Wkrótce między maronitami, sunnitami i szyitami rozgorzały walki, których sceną stał się Bejrut, a potem cały Liban.

Tydzień przed zaprzysiężeniem Baruka Kate i Armand opuścili kraj. Inspektor Hamse był przekonany, że Kate coś wie o śmierci Michaela Saidiego, ale ponieważ nie znaleziono broni, nie miał nic na popracie swoich podejrzeń.

Armand ściągnął do Bejrutu Charlesa Sweeta i przekazał mu wszystko, co wiedział o roli Mouchtary w handlu niewolnikami, a także informacje zebrane przez mnichów z Zakonu Trzeciego Krzyża. Sweet obiecał, że Interarmco wkrótce zlikwiduje szajkę.

Kiedy nadszedł czas wyjazdu, Kate powiedziała do Armanda:

— Mógłbyś odzyskać kasyno, dom, wszystko, co jest dla ciebie drogie.

— Istnienie kasyna jest uzależnione od istnienia oazy. Teraz wieją pustynne wiatry, nawiewają piasek i wkrótce oaza będzie tylko mirażem. Nie ma już Bejrutu, który znałem. Wielu ludzi to widzi, ale nie chce przyjąć do wiadomości. Tak czy inaczej, nie możemy nic na to poradzić. — Armand objął ją i przytulił. — Zresztą, już mam to, co dla mnie najdroższe. Za pieniądze ze sprzedaży uporządkujecie razem z Bartolim sprawy Maritime Continental. Interarmco nadal będzie działało. A potem, kto wie...

Na wspomnienie tej chwili Kate uśmiechnęła się. Wzięła Armanda za rękę.

— Myślę, że powinniśmy kontynuować tradycję — oświadczyła.

— Jaką? — zapytał zdziwiony.

— Prowadzenie kasyna. Armand uniósł brwi.

— Nie ma ich zbyt wiele na sprzedaż — powiedział z powątpiewaniem.

Kate uśmiechnęła się szeroko.

— Kto powiedział, że nie możemy wybudować własnego? Słyszałam, że wschodnie wybrzeże Australii wokół Brisbane to raj. A tamtejszy rząd szuka inwestorów. W oczach Armanda zabłysło podniecenie. Wkrótce z zapałem zaczęli omawiać pomysł.

Kiedy wstawali od stołu, żeby pójść do wsi, Kate rzuciła ostatnie spojrzenie na gazety.

— Nadal nie rozumiem, skąd Jasmine wzięła się w Mouchtarze — stwierdziła ponuro. — Nie mogła przecież wiedzieć, że się tam wybieram.

Armand potrząsnął głową.

— To proste. Jasmine miała swój plan. Kiedy Michael uciekł z konferencji prasowej, uświadomiła sobie, że stał się dla niej kolejnym ciężarem, jak Louis, Nabil Tufaili i inni. Nie mogła mu ufać. Obawiała się, że zacznie mówić, jeśli sytuacja przybierze zły obrót. Więc...

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

— Ale czy to nie dziwne, że słuch po niej zginął? Jakby zapadła się pod ziemię — powiedziała Kate.

— Nie Jasmine — odparł Armand. — Ona należy do zwycięzców. Pewnego dnia spotkasz ją na ulicy w Atenach albo w Singapurze.

W bejruckim Jachtklubie stało jeszcze sporo łodzi, ale doświadczone oko dostrzegłoby, że większość najokazalszych odpłynęło i po raz pierwszy od dziesięcioleci można było wynająć lub kupić miejsce na przystani.

Leżąc na górnym pokładzie, Jasmine zastanawiała się leniwie, czy powinna wykupić jakieś miejsce jako inwestycję. Zakotwiczony pośrodku basenu portowego trzydziestometrowy jacht wycieczkowy należący do jej brazylijskiego sponsora kołysał się lekko na fali odpływu, wprawiając ją w błogi stan półsnu.

Wkrótce przystąpi do działania, jak tylko ten parweniusz, prezydent Baruk, zorientuje się, kto naprawdę rządzi w Bejrucie. Michael zniknął, ale ona nadal ma swoje znajomości i koneksje. Baruk może sobie być prezydentem, ale czeka go w najbliższym czasie trochę trudnych negocjacji, jeśli chce zachować urząd.

Jasmine westchnęła, przewróciła się na brzuch i skinęła na swojego masażystę. W tym momencie dostrzegła piękny trzymasztowy szkuner wypływający w morze. Próbowała rozpoznać statek. Bezskutecznie. Nie mogła przestać o nim myśleć jeszcze chwilę później...

Wynajęty pilot prowadził szkuner między bojami wytyczającymi tor wodny i wjazd do portu. Choć Bachus miał inną specjalność, był dość dobrym żeglarzem, żeby zająć miejsce prawdziwego pilota, który leżał nieprzytomny w tyle samochodu zaparkowanego w dokach.

Minął ostatnią boję i oddał ster kapitanowi. Poszedł na rufę, gdzie siedziało dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, spoglądających w stronę przystani. Za parę minut przyplynie po niego łódź motorowa. Złamał główną zasadę: nigdy nie spotykać się z klientami. Lecz tym razem ciekawość wzięła nad nim górę.

Spojrzał na zegarek i wyjął z kieszeni mały nadajnik. Odliczył osiem sekund i nacisnął czerwony guzik.

— *Via con Dios.*

Niebiesko-biały jacht stanął w płomieniach. Mężczyzna wstał, z napięciem wpatrując się w wodę, jakby musiał się upewnić, że wrak zatonął. Kobieta drgnęła, ale nie poruszyła się. Intrygowała Bachusa. Przez cały czas, kiedy przebywał na łodzi, nie słyszał od niej żadnego słowa. Ani nie widział jej twarzy ukrytej za białą woalką wetkniętą pod kapelusz. Nagle powiał wiatr i uniósł woalkę. Bachus gwałtownie zaczerpnął oddechu, kiedy zobaczył blizny przecinające twarz kobiety. Musiała wyczuć jego wzrok, ponieważ odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy. Po jej wargach przemknął nieznaczny uśmiech, rozjaśniając twarz, egzotyczną, tajemniczą i potwornie oszpeconą. Jak widoczne w oddali miasto.